

CAROLINE WALLACE

MARTA

KTÓRA SIĘ ODNALAZŁA

Pascal

Tytuł oryginalny: *The Finding of Martha Lost*

Autor: Caroline Wallace

Tłumaczenie: Anna Bereta-Jankowska

Redakcja: Paweł Wielopolski

Korekta: Aleksandra Tykarska

Skład: Robert Kupisz

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Borkowska

Zdjęcia na okładce: Joyce Vincent (Arcangel); Daniel Sambraus / EyeEm (Getty Images)

Redaktor prowadząca: Agnieszka Pietrzak

Redaktor inicjująca: Agnieszka Skowron

Redaktor naczelna: Agnieszka Hetnał

Copyright © Caroline Wallace, 2016

First published as *The Finding of Martha Lost* by Transworld Publishers

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal

Ta książka jest fikcją literacką. Jakiemukolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autorki bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegukolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Bielsko-Biała 2017

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

tel. 338282828, fax 338282829

pascal@pascal.pl

www.pascal.pl

ISBN 978-83-8103-015-1

Dedykuję LG, dla przypomnienia (że nie przestaję o Tobie myśleć).

Wierzę w każdą prawdę, dopóki nie zostanie obalona. Wierzę więc we wróżki, mity, smoki. To wszystko istnieje, choćby tylko w naszej wyobraźni. Dlaczego niby sny i koszmary nie mają być równie realne jak tu i teraz?

John Lennon

Stacja Liverpool Lime Street, maj 1976 roku

Dawno, dawno temu...

Ta część mojej baśni rozpoczyna się w maju 1976 roku. Uznajmy, że to Rozdział piąty historii mojego życia. I zanim komukolwiek przyjdzie do głowy zapytać, uprzedzam – nie mam pojęcia, co wydarzyło się w Rozdziale pierwszym.

W tej chwili wiruję sobie przez główną halę dworca, wołając *Bonjour* do każdego znajomego. Moja sukienka w czarne grochy faluje, szeleszcząc przy każdym obrocie. Piszczę z radości, gdy ogarniają mnie zawroty głowy, aż wreszcie padam jak kłębek chichotu na betonową posadzkę pod tablicą odjazdów.

– *Bonjour*, Jenny Jones! – krzyczę.

Siedzi w swoim kiosku, ulokowanym po przeciwnej stronie hali, blisko wyjścia. Jakiś mężczyzna kupuje paczkę papierosów i pudełko zapalek. Pochylony odlicza monety na wyłożonym przed budką stosie gazet. Jenny Jones przygląda się mu, jedną rękę trzyma w torebce chipsów kukurydzianych, a drugą przewraca strony czasopisma. Spogląda w moją stronę i macha, nie wyjmując dłoni z paczki chrupek.

– Poranne wirowanko, co? – woła do mnie kioskarka.

Odpowiadam skinieniem.

– Byłaś na zewnątrz, królowo?

Potrząsam głową przecząco.

– Liver bird¹ – mówię, wskazując na siebie.

¹ Liver bird – legendarny ptak, symbol Liverpoolu, występuje w herbie miasta; obecnie uważa się, że najbliższy mu istniejący gatunek to kormoran (przyp. tłum.).

Jenny Jones kręci głową, a ja rozpościeram dół sukienki w pełne koło. Sunący wartkim potokiem ludzie omal się o mnie nie potykają – niektórzy posyłają mi uśmiech, inni rzucają przekleństwo. Zamykam oczy i wznoszę ramiona ku żelaznym podporom sklepienia. Mocno zaciągam się zapachem brudu, sadzy i papierosów. Jest i domieszka paliwa, octu i wymiocin; czuć zapaszek skórzanych waliz i oleju. Słodka, ostra woń dworca kolejowego łaskocze mnie w nos. Opuszczam ręce i powoli wypuszczam powietrze z płuc.

– Dzięki, że mogę tu mieszkać – szepczę.

– Bez ciebie Lime Street nie byłaby taka sama, królowo! – woła Jenny Jones.

Otwieram oczy. Patrzę na kioskarkę, która znów kręci głową z wesołą miną. Odwzajemniam jej uśmiech.

– *Bonjour*, Stanley! – witam sprzątacza.

Zamiata właśnie wejście na peron szósty obok budki telefonicznej. Unosi rękę, wskazując na zegarek.

– Wiesz, która godzina? – krzyczy, więc odwracam się i spoglądam na wiel-

ki zegar wiszący przy oknie Matki.

– O rety! – wołam, próbując wstać, ale wciąż kręci mi się w głowie. – Spóźnię się! – dodaję, ale nie potrafię odmówić sobie przyjemności powirowania przez halę – oj, ostrożnie na ławkę! – aż do biura rzeczy znalezionych.

Uwielbiam się kręcić. Nie jest to najwydajniejsza forma przemieszczania się, ale po wielu miesiącach prób i błędów chyba doprowadziłam moje wirowanie do perfekcji. Wszystko dzięki technice baletowej, o której wyczytałam w zgubionej przez kogoś książce. Polega na skupieniu wzroku na jednym punkcie. Przekonałam się, że najlepiej, żeby obrany punkt nie był osobą, bo ludzie mają tendencję do poruszania się, przez co obroty robią się trochę chwiejne. Potrafię się kręcić całe wieki i już prawie nie zdarza mi się zwymiotować na sukienkę. Chciałam nawet napisać list do Margot Fonteyn z zapytaniem, czy kiedykolwiek zwymiotowała na swoje tutaj, ale Elisabeth mi to odradziła.

Śmieję się, potem gwizdzę, a przechodnie muszą się zatrzymać, kiedy próbuję prostą linią piruetów pokonać odległość od tablicy odjazdów do mojego miejsca pracy.

W otwartych drzwiach stoi listonosz. To wysoki, chudy jegomość o wąsach w kształcie odwróconej do góry nogami litery „U”, które układają się wokół jego ust jak włochata podkowa. Ludzie wołają na niego Drak z powodu jego dziwnie sterczących przednich zębów. Dostarcza pocztę, odkąd tu jestem. W tej chwili wachluje sobie twarz kopertami zaadresowanymi do biura rzeczy znalezionych.

– *Bonjour*, Drak – witam go szeptem, opierając się o drzwi i ciężko dysząc.

Schylam się, by zdjąć czarne szpilki, po czym pospiesznie staję za ladą.

– Odwróć się – rzucam polecenie, które wykonuje bez sprzeciwu.

Chowam się za kontuarem, gdzie ściągam przez głowę sukienkę, po czym zakładam jeden z czarnych fartuchów Matki. Kitel sięga mi niemal do kostek i wygląda jak wielki poliestrowy wór. Upycham sukienkę w grochy i buty w tajnym schowku pod ladą.

– Przepraszam, Draku – mówię cichutko, wystawiając głowę nad blat.

Listonosz odwraca się do mnie.

– Dzień dobry, Marto Zgubo. Czy ona jest...?

Wskazuję palcem sufit, a mężczyzna kiwa głową.

– Żeby tak dostawał funta za każdym razem, kiedy oblewa mnie tym swoim Jezusowym płynem – szepcze Drak. Kiwa głową w kierunku sufitu. Wciąż stoi w progu.

– Opływałbyś w bogactwa – odpowiadam cichutko, zakrywając usta dłonią i próbując opanować chichot.

– W zeszłym tygodniu gonila mnie aż do peronu trzeciego z rondlem pełnym tej Jezusowej cieczy – szepcze listonosz. – Ma niezłe biegi jak na kobietę, co by nie mówić, sporych gabarytów. Chlusnęła tym przez całą halę, mówię ci.

Śmiech wymyka mi się spod palców, mimo że biedak już od tygodnia codziennie opowiada mi tę samą historię.

Zajmuję miejsce na taborecie za ladą. Zerkam w mój rejestr i gwizdzę. Lubię Draka, ale mam nadzieję, że zaraz sobie pójdzie. Niezbyt dobrze się orientuje, kiedy już na niego czas. Elisabeth mówi, że powinnam być bardziej surowa, żeby nie czuł się aż tak mile widziany, bo będzie godzinami tkwił w progu, szepcząc tym swoim syczącym głosem. Ale ja w sumie lubię to jego szeptanie. Czasem przymykam oczy i wyobrażam sobie, że jest wężem.

– Mam dziś coś dla ciebie – syczy listonosz. – Pierwszy raz udaje mi się dostarczyć ci przesyłkę, zanim wpadnie w jej ręce.

– Dla mnie? – pytam, podnosząc wzrok.

Kiwa głową z uśmiechem.

– Nigdy dotąd nie dostałam listu.

– Specjalnie go odłożyłem – szepcze Drak, rozpinając zamek kurtki i wydobywa niewielki brązowy pakunek. – Nie chciałem, żeby Matka go przechwyciła.

Wskazuje podbródkiem sufit i puszcza do mnie oko. Wchodzi do biura, kładzie koperty na ladzie i wręcza mi paczuszkę. Ani drgnę.

– Naprawdę dla ciebie – szepcze. – Nie znam innej Marty Zguby.

Uśmiecha się; kiwam głową. Przejmuję od niego pakunek i kładę go przed sobą na blacie. Przesuwam palcami po moim imieniu widniejącym na papierze.

– Stempel z Liverpoolu – syczy Drak.

Patrę mu w twarz. Jego palce tańczą przy wąsach.

– Lepiej otwórz.

Ręce mi drżą. Ostrożnie otwieram paczkę, starając się nie podrzeć brązowego papieru. Pakunek puszcza z jednej strony, potem z drugiej. Zaglądam do środka i aż piszczę z wrażenia.

– Książka! – staram się nie podnosić głosu. – Nadawca najwyraźniej wie, że uwielbiam czytać!

– Wiedziałem! – cieszy się listonosz, zapominając o szeptaniu.

Wyjmuję książkę. Odwracam ją i otwieram szybko. Na wewnętrznej stronie okładki znajduje się dedykacja – specjalnie dla mnie.

Na piętrze nad nami rozlegają się głośnie kroki. W mgnieniu oka zajmuję miejsce na stołku. Drak i ja jednocześnie zwracamy oczu ku sufitowi. Moja dłoń automatycznie wędruje ku policzkowi, by zakryć szpecący go siniak. Stąpienie ustaje. Czeka. Listonosz stoi jak skamieniały ze wzrokiem wbitym w punkt wysoko ponad naszymi głowami. Nic. Wypuszczam powietrze z płuc, głośno wzdychając.

– Lepiej już sobie pójdę – szepcze Drak.

Kiwam głową, ale nie patrę w jego stronę. Czytam słowa napisane tajemniczą ręką po wewnętrznej stronie okładki. Cztery wyrazy: MARTO, TWOJA MATKA KŁAMIE. Na zewnątrz pysznią się złote litery tytułu: *Historia Nocnego Promu*

Londyn–Paryż.

Spostrzegam, że jedna z kartek ma zagięty róg. Strona dziesiąta. Czytam ją. Potem jeszcze raz i znów. Z początku nie mogę pojąć, dlaczego ktoś uznał tę stronę za tak istotną, więc w kółko ją czytam. Jeśli mam być szczerą, nie jest to najciekawszy tekst, z jakim się w życiu spotkałam. Ale nagle spływa na mnie olśnienie i czytam fragment jeszcze raz, żeby nabrać absolutnej pewności. To nie tekst powinien mnie zafrapować, ale to, czego na stronie brakuje.

Nocny Prom wcale nie był pociągiem, który zmieniał się w statek, kiedy docierał do fal rzeki Mersey. Był międzynarodowym pociągiem sypialnym kursującym pomiędzy londyńską stacją Victoria a Paris Gare du Nord w sercu Francji. Nocny Prom nigdy nie zawitał w Liverpoolu.

I tak to – już nie było szans, żebyśmy mogła się skupić na pracy.

O dziewiątej wpada do mnie Elisabeth. To moja najlepsza przyjaciółka. Jest właścicielką sąsiadującej z moim biurem kawiarni i jest tak piękna, że mogłaby być hollywoodzką gwiazdą. Mogłabym patrzeć na nią cały dzień i wcale by mi się nie znudziło. Czasem tańczy, zamiast iść zwykłym krokiem. W jej głowie chyba stale gra muzyka. Jest dość wysoka jak na kobietę i strasznie chuda, mimo że co dzień na śniadanie je ciasto. Nosi się modnie, ale nigdy nie kupuje ubrań. Nie wydaje mi się, żeby dużo zarabiała. Jest bardzo zręczna; kopiuje sukienki, które wpadną jej w oko, rysuje wzory i sama wykonuje stroje na maszynie do szycia. Jest kompletnie niepodobna do Matki.

Jednak dziś o dziewiątej nie zagłębiam się w rozmowę z Elisabeth. O dziesiątej nie zjadam porcji tarty cytrynowej. O jedenastej powstrzymuję wszelkie myśli, które mogłyby wywołać uśmiech. Ubieram twarz w grymas i spod zmarszczonych brwi wpatruję się w napis, dumając o tym, że niemal-początek mojej baśni to stek kłamstw. Po kilku godzinach takich rozmyślań zachodzę w głowę, dlaczego ktoś wysłał mi przedmiot, który odbiera tak wiele z Rozdziału drugiego, ale nie wpadł na to, by podać numer telefonu, żebym mogła zadzwonić i o tym pogadać.

Nie wiem już, komu wierzyć, więc robię to, co zawsze, kiedy brak mi pomysłu na rozwiązanie problemu lub gdy zbyt długo się nie uśmiecham. Zamykam biuro jak zwykle o trzynastej, idę na górę do naszego mieszkania, wołam do Matki, że się źle czuję, i zamykam się w swoim pokoju. Przysiadam w kucki na taboreciku przy toalecie, wbijam wzrok w lustro i uśmiecham się do siebie.

Wyczytałam gdzieś, że większość czterolatków uśmiecha się czterysta razy dziennie, ale kiedy już dorosną, liczba ta spada do dwudziestu. Nie jestem pewna, czy chcę być dorosła.

Nie odrywam wzroku od odbicia w lustrze. Mija godzina, może dwie; udaje mi się przez ten czas uśmiechnąć siedemdziesiąt trzy razy, jak również dopracować minę, którą uważam za wielce wytworną. Polega na lekkim poruszeniu brwią i wyduńczeniu nozdrzy. Lubię wypróbować nowe wyrazy twarzy w zaciszu mojej sypial-

ni, zanim je zademonstruję światu.

Później, w oczekiwaniu na sen, przytulam do siebie książkę. Matka nie zagląda do mnie, żeby spytać, jak się mam. Matka nie zagląda, żeby mnie skarcić. Matka nie jest zbyt zaglądalej osobą.

Całą noc przewracałam się z boku na bok. Odbylam już moje poranne wirowanie i teraz stoję w otwartych drzwiach biura, obserwując halę stacji Lime Street. Zerkam na tablicę odjazdów. Lada chwila w kierunku peronu szóstego i peronu pierwszego ruszy tłum. Pociągi do Warrington i Manchesteru właśnie wtaczają się na stację.

Gwiżdżę, a ludzie szybkim krokiem przechodzą przez dworzec. Nie mogą puścić się biegiem, bo są dorośli, a dorosłym nie wypada biegać czy wirować przez stację. Podoba mi się, jak śmiesznie podrygują, gdy wykonują ten swój bieg-nie-bieg. Przeszukują wzrokiem tablicę odjazdów w nadziei jak najszybszego odnalezienia odpowiedniego peronu. Biuro rzeczy znalezionych stoi otwarte, ale o tej porze dnia wszyscy spieszą się do pracy i tak naprawdę nikomu nie jestem potrzebna. Nie jest mi przykro. Lubię się przyglądać podróżnym.

Tablica odjazdów wisi nad kasą biletową. Dzisiejszego ranka kolejka do okienka jest dłuższa niż zwykle. Stojąca na końcu ogonka kobieta odwraca się i posyła mi uśmiech. Jej włosy są ciemnobrązowe, jak moje, i spływają kaskadą po jej ramionach. Ma łabędzią szyję i chude kostki, zupełnie jak ja. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jesteśmy spokrewnione. Dygam grzecznie; pani przygląda mi się przez chwilę, po czym podchodzi do mnie.

– Skąd taka kolejka? – pytam.

– Nowa dziewczyna – odpowiada kobieta, wywracając oczami. – Nie mogłaś mi sprzedać biletu, królowo?

Kręcę głową.

– Niestety.

Pani spogląda na tłoczących się przy kasie ludzi.

– Szkoda – mówi. – Tu trzeba odstać swoje. – Odwraca się do mnie i wchodzi do biura rzeczy znalezionych. – Pracujesz tu? – Obejmuje wzrokiem metalowe regały ustawione pod ścianami na lewo i prawo.

– Tak. Mieszkam z Matką nad biurem.

– Masz szczęście, nie musisz dojeżdżać do roboty.

Przyznaję jej rację skinieniem głowy.

– To najlepsze miejsce na świecie – oznajmiam. – Kojarzy pani te dwa liverpoolskie kormorany z brązu na szczycie gmachu Royal Liver Building? Widziała pani, że są przykute łańcuchami, żeby nie mogły odlecieć? Wie pani, że podobno, gdyby odleciały, Liverpool przestałby istnieć?

– Mhm... – mruży, ale nie jestem przekonana, czy w ogóle mnie słucha.

Boję się, że kobieta może uznać moją opowieść za bzdurę. Jasne, że zna le-

gendę o liverpoolskich kormoranach – każdy mieszkaniec tego miasta o nich wie, przygotowywałam tylko grunt pod dalszą rozmowę. Miałam zamiar zdradzić nieznajomej, że nigdy nie byłam poza stacją Lime Street. Następnie chciałam opowiedzieć, że wkrótce po moim przybyciu na dworzec Matka dostała list, w którym napisano, że jestem nowym kormoranem stacji Lime Street. Zamierzałam jeszcze dodać, że list zawierał też ostrzeżenie. Jeśli choć na chwilę przestanę dotykać stacji, budynek zawali się i runie w podziemne tunele, a stacja Lime Street na wieki zniknie z powierzchni ziemi.

Zamiast tego obserwuję kobietę przyglądającą się wewnątrz biura. Pomieszczenie jest idealnie kwadratowe, a zgubione przez właścicieli przedmioty opowiadają doskonałe historie. Metalowe regały ciągną się przez całą długość lewej ściany i całą długość ściany prawej; z tyłu znajduje się dwoje drzwi. Uwielbiam patrzeć, jak ludzie reagują na widok wszystkich tych półek i pudełek.

– To tekturowe pudło naprawdę jest pełne sztucznych szczęk? – nie dowierza kobieta.

Każda z metalowych półek jest zastawiona kartonami opatrzonymi etykietami z informacją co do zawartości.

– To pluszowa małpka? – Wskazuje na usadowione na blacie zwierzątko.

– Tak, właśnie wpisuję ją w zeszyt – potwierdzam. – Mamy też siedem słomianych osiołków, o, tam stoją.

Wyciągam rękę w kierunku górnej półki w lewym kącie, sięgającej drzwi, które prowadzą do mieszkania Matki na piętrze. Te drzwi zawsze pozostają zamknięte.

– Pełna organizacja – zauważa kobieta ze śmiechem. – Przydałby mi się w domu ktoś taki jak ty, królowo.

Uśmiecham się.

– Dobra organizacja to podstawa – mówię. – Ale dziś planuję małe przemalowanie.

– E, z tą ladą chyba nie dasz rady wiele tu pozmieniać.

Kobieta wskazuje ciągnący się w poprzek pomieszczenia drewniany kontuar, tworzący w połączeniu z metalowymi regałami literę H. Niewielki fragment blatu można unieść do góry, umożliwiając mi wejście za niego i zajęcie miejsca na taborecie.

– Lada i moje krzeselko są w porządku – mówię. – Od razu widzę, kto wchodzi i mam świetny widok na ławkę pośrodku hali. O, tamtą. – Wyciągam palec i spostrzegam, że kolejka do kasy biletowej wije się wokół siedziska. Pani też rzuca okiem na ogonek, wzdycha ciężko i z powrotem przenosi wzrok na mnie. – Matka woli tamten stół, bliżej drzwi do mieszkania. Mówi, że kiedy tam siedzi, ludzie nie zawracają jej głowy pytaniami. – Wskazuję miejsce Matki.

– Nie lubi ludzi? – pyta kobieta, po czym zerka na zegarek i wydaje przera-

żony pisk. – Ależ jestem spóźniona! – Obraca się i robi parę kroków w kierunku hali. – Kolejka chyba wiele się nie zmniejszyła.

Opuszcza mnie. Wpadam w panikę.

– Jest-pani-moją-biologiczną-matką? – moje słowa zlewają się w jeden długi wyraz.

– Twoją biologiczną matką? – pyta, odwracając się z powrotem do mnie z niepewną miną.

– Porzuciła mnie pani i zostawiła na tamtej półce? – Wskazuję na regał po prawej, ten najbliższy szyby biura.

– Mam dwadzieścia trzy lata. A ty ile? Piętnaście? – Mierzy mnie wzrokiem.

– Szesnaście.

Wybuchła śmiechem i znów spogląda na zegarek.

– Muszę lecieć. Miło się z tobą rozmawiało...

– Marta Zguba – podsuwam.

– Miło się z tobą rozmawiało, Marto Zgubo.

Podnoszę się z taboretu, opieram się o blat i patrzę, jak kobieta po wyjściu z biura rzeczy znalezionych skręca w prawo, mija kawiarnię i kieruje się ku głównemu wyjściu.

– Proszę mnie jeszcze odwiedzić! – wołam.

Nie ogląda się za siebie.

Dzisiejszego ranka na stacji Lime Street brzęczy jak w ulu. Dopiero ósma, a na dworcu roi się od podróżnych. Zaczynam się zastanawiać, dlaczego nagle wszyscy chcą wyjechać z Liverpoolu.

W pobliżu kolejki do kasy sprzątacze Stanley lawiruje między skupiskami ludzi, ale w tym tłoku trudno znaleźć miejsce na przeciągnięcie miotły. Nie wydaje mi się, żeby Stanley naprawdę miał tak na imię. Niektórzy twierdzą, że przypomina Stana Laurela.

Wychodzę z za lady i staję w progu biura. Wołam do sprzątacza, a on zbliża się, zamiatając po drodze co może.

– Co się dzieje? – pytam, wskazując ruchem podbródka kłębiących się ludzi.

– Podobno później mają się tu pojawić chłopcy z Liverpoolu – informuje Stanley. – Na zewnątrz już roi się od glin.

To by się zgadzało. Niedawno czytałam o tym w gazecie Elisabeth. Potem kilka razy tłumaczyła mi, o co chodzi, zanim zrozumiałam. Dziennik podawał, że kilka dni temu Kevin Keegan strzelił wyrównującego gola w drugiej rundzie finału pucharu UEFA. Grali przeciwko belgijskiemu Club Brugge.

– Jak się wymawia Brugge? – Użyłam mojego francuskiego akcentu, wypowiadając słowo: „bradžiii”.

– Wydaje mi się, że „gg” czyta się jak „ha”, a „bru” to samo „br” – powiedziała Elisabeth.

– Bez sensu – skrzywiłam się. Po co używać liter, które czyta się zupełnie inaczej?

– Br-ha – spróbowała Elisabeth.

– Niech będzie i Brudzio – skwitowałam.

Moja przyjaciółka wybuchła śmiechem.

– Pasuje – oceniła.

– Ale po co wpisywać w słowie jakieś litery, a potem kazać ludziom pomijać je w wymowie? – nie odpuszczałam. – W Brudziu przynajmniej wykorzystuję wszystko, co widzę.

– To język obcy, kochanie.

Spytałyśmy jeszcze Stanleya, ale powiedział, że możemy sobie czytać, jak nam się żywnie podoba. Elisabeth zauważyła, że bramka Kevina Keegana doprowadziła FC Liverpool do wygranej cztery do trzech w punktacji łącznej. Wyjaśniła, co to znaczy, ale ja skupiłam się głównie na wyrażeniu „punktacja łączna” i kształtach, w jakie wyginały się moje usta, kiedy je wypowiadałam.

Elisabeth opowiadała, że miasto świętuje i że ludzie powywieszali w oknach transparenty z napisami w stylu: KEEGAN NA KRÓLA. Wy tłumaczyła, że chodzi o króla Liverpoolu i że niesłusznie ekscytowałam się, że zostanie władcą świata. Powiedziała, że miasto mieni się barwami FC Liverpoolu, które ludzie noszą na szalikach i papierowych czapkach z wizerunkami wszystkich piłkarzy z drużyny, sprzedawanych za grosze przez jakiegoś mężczyznę w hali targowej St. John's Market.

Musiałam jej wierzyć na słowo. Nigdy nie wychodzę poza stację Lime Street, dlatego w życiu nie widziałam ulicznego świętowania, może poza kilkoma podpitymi kibicami zataczającymi się przez dworzec w poszukiwaniu drogi do domu.

Elisabeth ma słabość do Kevina Keegana. Zapowiedziała, że napisze do niego list i zaprosi go na degustację jej Francuskich Finezji. Nie mogę się doczekać, aż jej powiem, że może dziś zobaczy go na żywo.

– Zjawią się tu tysiące kibiców – prorokuje Stanley. – Drugie w historii zwycięstwo w Pucharze UEFA. Skubańcom udało się poprzednio w siedemdziesiątym trzecim.

– Należysz do niebieskich², Stanley? – pytam.

2 Liverpool dzieli się na „niebieskich” kibiców, popierających drużynę Everton FC, oraz „czerwonych”, wiernych klubowi FC Liverpool (przyp. tłum.).

Sprzątacarz wzdycha, kiwa głową, a potem odchodzi i kontynuuje zamiatanie wokół nóg podróżnych, co niezłe się sprawdza, kiedy ludzie skupiają się w neru-chome grupy, ale może się okazać zdradliwe, gdy się przemieszczają.

Podoba mi się, że Stanley jest niebieski; większość osób, które pytam, to czerwoni. Wyznałam kiedyś Elisabeth, że nie rozumiem, dlaczego tutejsi nie mogą wspierać obu drużyn – Everton i Liverpoolu. Ona westchnęła tylko i skomen-

towała, że chyba pochodzę z innej planety.

Przechodzę przez przesmyk w ladzie i otwieram drzwi do mieszkania Matki.

– Matko! – krzyczę do góry.

– Co?!

– FC Liverpool zdobył Puchar UEFA! Pokonali w finale Klub Brudzio cztery do trzech w punktacji łącznej. Finał składał się z dwóch meczów, tym razem ci z Brudzia byli gospodarzami – relacjonuję głośno. – Ma się tu dziś zjawić drużyna w pełnym składzie i jakieś tysiące kibiców. Lepiej znieś sobie na dół rondel ze święconą wodą!

Matka nie odpowiada.

– Słyszałaś?! – wołam.

– Co, u licha, znaczy w punktacji łącznej?!

– Że wygrali. W sumie zdobyli największą liczbę goli – wyjaśniam.

– Szatan lubi piłkę nożną! – drze się z piętra Matka

Słyszę, jak ciężko stąpa po pokoju. Pewnie leje do rondla wodę święconą ze specjalnego kurka.

Dopiero po dziesięciu minutach zjawia się na dole.

– Zrób mi herbaty – rzuca, sadowiąc się ciężko na taborecie stojącym przy drzwiach do mieszkania. Wsuwa pod spód rondel z wodą święconą.

Matka wygląda jak wielka, napęczniała śliwka. Może i kiedyś była wysoka, ale skurczyła się, zrobiła się pulchna i pomarszczona. Ma żółte zęby i mlecznobiałe włosy, ścięte na boba tępyimi nożyczkami. Siedzi z szeroko rozłożonymi nogami, ukazując workowate reformy do kolan. Nie może złapać oddechu po zejściu ze schodów i sapie, jakby paliła pięćdziesiąt fajek dziennie, choć naprawdę wypala tylko dziesięć, bo – jak twierdzi – zarobki w biurze rzeczy znalezionych nie pozwalają na więcej. W prawej dłoni trzyma skórzany pas.

– Przydałby mi się tu fotel – marudzi, a potem zapada cisza.

Matka obserwuje, jak nastawiam wodę w czajniku.

– Masz tusz na rzęsach? – Robi zamach pasem, celując w moje łydki, ale nie trafia. – Szczury Diabła noszą tusz na rzęsach.

Kręcę głową. Staję tak, żeby na pewno nie mogła dosięgnąć mnie pasem.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tym, jak się znalazłam – mówię.

– Och, do czorta, Marto Zgubo, moja droga, musimy to znowu wałkować? – irytuje się.

– Już ostatni raz, obiecuję.

Wzdycha ciężko i cmoka, ale potem mówi:

– Twoja historia zaczęła się od podmuchu wiatru, Marto Zgubo, moja droga.

Kłamstwo.

– Mogłabyś dodać jakieś szczegóły? – pytam.

– W pociągu sypialnym relacji Paris Gare du Nord, jadącym jednaście go-

dzin do stacji Liverpool Lime Street.

Kolejne kłamstwo.

Ściskam w rękach książkę i chyba po prostu mam nadzieję, że kobieta otworzy się nagle i powie mi całą prawdę.

– Usiądź sobie wygodnie – proponuje Matka.

Wiem, że chodzi jej o to, żebym znalazła się w zasięgu jej pasa, siadam więc po turecku na zimnej podłodze biura rzeczy znalezionych. Czekam na dalszy ciąg opowieści.

– To skomplikowane – mówi.

Wreszcie coś innego niż kłamstwa.

– Był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Pasażerowie siedzieli nad swoimi oeufs sur le plat³ i szynką. Podczas gdy zajadali płatki śniadaniowe i opróżniali koszyki gorących tostów, croissantów, brioszek⁴ i świeżych owoców... – Zawiesza głos. – Kiedy tak spożywali poranny posiłek, a konduktor wagonu sypialnego ściągał pościel z łóżek... Wydarzyło się coś niewiarygodnego.

3 Oeufs sur le plat (fr.) – jajka sadzone (przyp. red.).

4 Brioche, brioszka – drożdżowe bułeczki z charakterystycznym czopkiem (przyp. red.).

Trzyma się swojej wersji. Słyszałam ją już milion razy. Matka używa tego swojego głosu rodem z zamożnego Blundellsands. Tym samym tonem mówi, kiedy dzwoni do Zarządu.

– I właśnie wtedy, kiedy pasażerowie jedli sobie śniadanie, stylowo i w komforcie, z półki na bagaże spadła walizka. Była stara, zniszczona, podrapana i miała na wieku dwie naklejki. Jedna z hotelu Adelphi w Liverpoolu, okrągła, czarno-pomarańczowa. Druga pochodziła z paryskiego Scribe Hôtel. Była owalna, czarno-zielona. Walizka łupnęła o podłogę przejścia ze straszliwym hukiem...

Uderza klamerką paska o metalowy regał. Aż podskakuję. Matka się uśmiecha.

– Jedna pani, Francuzka w średnim wieku, delikatniutka, taka, co tylko popijała sok pomarańczowy, podobno wrzasnęła.

Matka wyrzuca ramiona w powietrze, pas rozwija się nad jej głową. Śmieje się ze swojej sztuki aktorskiej. Ma się za mistrzynię gry. Dziś jest Lady Szmirą ze Szmirowego Dworu.

– Inna kobieta, Brytyjka, też w średnim wieku, prostaczka – wypluwa słowo „prostaczka”, jakby była panią na włościach z Blundellsands w posiadaniu miliona perłowych naszyjników – zaczęła się podobno wydierać z oburzeniem, że to był zamach na jej życie. Ale to nie ona zemdląca prosto w przejściu, tylko ta paryżanka. To na tę Francuzkę gapili się wszyscy pasażerowie; to jej widok uciszył wrzaski i przytłumił krzyki.

– Matko... – przerywam jej, ale przynosi tylko wzrok na skórzany pas, że-

bym zamilkła.

– Wreszcie uwagę wszystkich przyciągnęła przyczyna omdlenia żabojadki. I wszyscy wsłuchali się w cichutkie gaworzenie dochodzące ze starej, zniszczonej, podrapanej walizy o dwóch łuszczących się naklejkach na wieku. Bo w tej otwartej walizce, leżącej w przejściu wagonu jadalnego Nocnego Promu, międzynarodowego pociągu sypialnego relacji Paryż–Liverpool, siedziała, śmiejąc się i gaworząc... maleńka dziewczynka.

– To byłam ja? – Nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Ty, Marto Zgubo. Tą maleńką dziewczynką byłaś właśnie ty.

Kolejne kłamstwa.

– Byłaś naprawdę ślicznym maleństwem, istnym cudёнkiem. Trudno było jednak stwierdzić, w jakim jesteś wieku. Jedni twierdzili, że masz sześć miesięcy, inni upierali się, że prawie rok.

– Ale Matko... – próbuję znowu.

Matka nie pozwala sobie przerwać.

– Przywiozłam cię tu, do tego biura rzeczy znalezionych. – Rozkłada ramiona, jakby witała mnie po raz pierwszy, a ja odchyłam się w tył, żeby uniknąć metalowej klamry. – I tu czekałaś przez dziewięćdziesiąt dni.

– Ale Matko... – nie daję za wygraną.

– Ale nic. Byłam kierowniczką. Opiekowałam się tobą najlepiej, jak się dało, i tak czekałyśmy.

– Czekaliśmy?

– Przez dziewięćdziesiąt dni. Codziennie zastanawiałam się, czy ktoś się po ciebie zgłosi. Tam czekałaś, na tamtej półce. – Matka pochyla się lekko i wskazuje metalowy regał w pobliżu oszklonego frontu biura. – Nikt cię jednak nie chciał, więc cię przygarnęłam. Wniosłam stosowną opłatę. Byłaś moim darem od Boga. – Matka wykonuje na piersi znak krzyża.

Wzdycham.

– Ale jak to? – dociekam.

– Co „jak”?

Spostrzegam złowrogi błysk w jej oczach. Widzę rodzący się w Matce gniew. Odsuwam się.

– Pyskujesz? – syczy, a jej akcent z Blundellsands wyparowuje w jednej chwili.

Dziś jednak czuję przyływ odwagi.

– Widzisz, Matko, ktoś przysłał mi to.

Pochylam się i podaję jej książkę. Przeczytałam ją piętnaście razy. Moja wyciągnięta ręka drży w oczekiwaniu. Matka milczy. Wbija wzrok w okładkę, w lśniący złotymi literami tytuł. Nie chce dotknąć książki. Spodziewam się uderzenia pasem, ale chyba zapomniała, że zaciska na nim palce.

– Na wewnętrznej stronie jest coś napisane.

Matka patrzy na mnie. Kiedy się odzywa, jej głos jest ostry jak brzytwa.

– Grasz mi dziś na nerwach, mała. Co tam jest?

– Napis: MARTO, TWOJA MATKA KŁAMIE.

Matka nie odzywa się ani słowem. Czekam, kiedy zacznie mnie okładać pasem. Dopiero po chwili się porusza, wzrusza ramionami i stwierdza:

– Czasem trzeba wierzyć w opowieści, Marto Zgubo, moja droga. Za dużo myślisz i tyle.

– Książka podaje, że Nocny Prom nigdy nie docierał do Liverpoolu. A KSIĄŻKI NIE KŁAMIA!

Na to kobieta próbuje wstać. Chwieje się na nogach i chwyta się półki, żeby nie stracić równowagi. Robi kilka kroków i odwraca się ku regałom biura. Sięga w górę. W prawej dłoni wciąż ściska pasek; cały czas dyszy i sapie. Zdejmuje z najwyższej półki zniszczoną, brązową walizkę i szurając stopami, zbliża się do mnie.

– Masz – mówi. – To twoje.

Wyciąga walizę w moją stronę. Odkładam książkę na jej taboret.

Tę walizkę widziałam już wcześniej. Była tam, na górze, odkąd sięgam pamięcią. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że może należeć do mnie. Matka zawsze twierdziła, że puściła z dymem walizę, w której mnie znalazła – tak na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że Diabeł narobił do niej siku. Przejmuję teraz od niej walizkę, zniszczoną i podrapaną; tę z dwiema łuszczącymi się naklejkami zdobiaczami jej wieko.

– Byłaś naprawdę śliczna, istne cudeńko – powtarza Matka. – Sądziłam, że ktoś się po ciebie zgłosi. Trzymałam cię tutaj, na tamtej półce. – Jeszcze raz wskazuje miejsce, metalową półkę, wyraźnie widoczną dla każdego, kogo nogi przyniosłyby w okolice biura rzeczy znalezionych. – Czekalaś tu przez dziewięćdziesiąt dni i nikt o ciebie nie spytał, ani jedna osoba. A byłaś wtedy słodka jak cukiereczek.

– Ale Matko, przecież nie mogłam...

– Durnaś jak nie wiem – oznajmia Matka lekko drżącym głosem.

Stoi nade mną i gotuje się z wściekłości. A może z czegoś innego, czegoś nowego, od czego cała się trzęsie.

– Śmiesz mi zarzucać łgarstwo? – pyta. – To twoja historia, nikczemne dziecko, i żadnej innej ode mnie nie usłyszysz.

– JESTEŚ WCIELENIEM DIABŁA! – wrzeszczy jej w twarz.

Wbijam w nią spojrzenie i widzę w jej oczach dziwną iskrę. Dźwięk wyrzuczonego przeze mnie słowa otrzeźwia Matkę. Gadka o Diabie to język, który Matka rozumie. Omiata wzrokiem taboret. Ciska we mnie książeczką. Nie trafia i prezent ląduje na ziemi. Zbliża się i uderza mnie pasem w twarz. Nauczyłam się już, żeby

nie wydawać z siebie żadnego dźwięku i nie krzyczeć z bólu. Matka dawno przestała się przejmować, że ktoś zobaczy moje siniaki. Chłaśnięcie skórzanego pasa o ciało odbija się echem od ścian biura rzeczy znalezionych.

Matka odwraca się i odchodzi, kołysząc się jak kaczką, ku schodom prowadzącym do jej mieszkania nad biurem. Słyszę, jak ciężko wchodzi na górę i strzela drzwiami, łup.

Reportaż z „Liverpool Daily Post”

WALIZKA Z PAMIĄTKAMI ZWIĄZANYMI Z ZESPOŁEM THE BEATLES ODKRYTA NA PCHLIM TARGU W AUSTRALII

W tym tygodniu pewien mężczyzna w Australii trafił podobno na pchlim targu na walizkę z bezcennymi pamiątkami związanymi z zespołem The Beatles.

Istny skarbiec pamiątek, łącznie z nigdy nieopublikowanymi nagraniami, musi jeszcze zostać poddany badaniom, ale niektórzy eksperci podejrzewają, że zestaw może stanowić zaginione „Archiwum Mala Evansa”. Od śmierci Evansa przed kilkoma miesiącami, fani poszukiwali „archiwum”, czyli sporej kolekcji pamiątek z czasów, kiedy Evans towarzyszył zespołowi.

Mal Evans, były współpracownik, a także przyjaciel Beatlesów, został w styczniu zastrzelony przez funkcjonariusza policji w Los Angeles. Nie dość, że jego dobytek zagubiono podczas policyjnego śledztwa, to zapodziało również urnę zawierającą prochy Evansa, kiedy transportowano ją do Zjednoczonego Królestwa.

Max Cole, lat 37, mieszkaniec Melbourne w Australii, zakupił walizkę na niewielkim pchlim targu w pobliżu Melbourne za około \$50, czyli niecałe £20.

„Nie wierzę we własne szczęście! – komentuje Cole. – Wpadła mi w oko ta stara, potargana walizka, a na widok zawartości doznałem prawdziwego szoku. Jestem pisarzem, więc, rzecz jasna, natychmiast pojąłem, że oto odkrywa się przede mną niezwykła historia”.

Obecnie pan Cole, z zawodu sprzedawca, a po godzinach pisarz literatury popularnej, bada życie Evansa z zamysłem napisania książki na temat zawartości walizki i związku Mala z Beatlesami. Niestety prochy Evansa nie stanowiły elementu znaleziska.

O dziewiątej rano wkracza Elisabeth. Niesie gazetę. Zagląda za ladę, gdzie wciąż siedzę na podłodze. Nie poruszyłam się, odkąd Matka rzuciła we mnie książką i potupała na górę.

Jakiś mężczyzna wstąpił do biura rzeczy znalezionych i podszedł do kontuaru. Patrzyliśmy się na siebie przez pięć minut, po czym wyszedł z powrotem przez otwarte na oścież drzwi. Poza tym jednym przypadkiem ludzie trzymają się hali.

Odkąd powiedziałam Matce, że jest Diabłem, nie wydusiłam z siebie ani słowa. Muszę przyznać, że spędziłam kilka minut, martwiąc się, że zaczynam brzmieć jak ona, ale odepchnęłam te myśli i zajęłam się ćwiczeniem gwizdania. Wciąż nie najlepiej mi wychodzi.

– Widziałas wczorajszy „Post”? – Elisabeth rozwija dziennik i wskazuje na stronę. W jej głosie dźwięczy podniecenie.

Kręcę głową przecząco.

– Laleczko, no popatrz, ktoś znalazł walizkę Mala Evansa – mówi. – Gość, który na nią trafił, pisze książkę o naszym Malu. Niech lepiej nie zapomni, że Evans był jak piąty członek zespołu. Stanowił klej, który trzymał razem tamtą czwórkę; dla tych chłopców był gotów na wszystko. – Słowa leją się z ust Elisabeth wartkim potokiem. Zwraca się bardziej do gazety niż do mnie. – Kupował im nawet skarpetki i gacie! Słyszałam plotki, że pomagał przy pisaniu niektórych piosenek. Nie przyniosło mu to jednak fortuny ani sławy. Nie, maleńka, był Kopciuszkiem tej bajki, w dodatku bez „żyli długo i szczęśliwie” na końcu, oj, biedaczysko. To tylko kwestia czasu, kiedy ktoś znajdzie wreszcie jego zagubione prochy i nasz Mal wróci do domu. Idę o zakład, że jego matka...

Milknie, patrzy na mnie i odkłada gazetę na ladę. W jej oczach maluje się smutek.

– Trudno jest być kormoranem stacji Lime Street – mówię i patrzę na betonową posadzkę.

– Posłuchaj, laleczko, dworzec naprawdę nie...

– Cała ta odpowiedzialność na moich barkach... – wpadam jej w słowo. Już milion razy serwowała mi te same argumenty. – Jeden krok poza stację i to wszystko – szeroko rozkładam ramiona – zapadnie się pod ziemię. Czasem marzę, żeby po prostu odwirować w dal.

– Szykowałam kawiarnię – mówi Elisabeth, próbując delikatnie dać mi do zrozumienia, że słyszała, jak przekrzykuję się z Matką. – Piekę dodatkowe ciasto dla tłumów. Chcesz pomóc?

Kiwam głową, podnoszę na nią wzrok i posyłam jej uśmiech. Bardzo chcę pomóc.

– Byłaś u fryzjera? – pytam.

Elisabeth przytakuje.

– Ładnie ci.

Blond włosy ma ścięte na pazia, z grzywką równiutką jak od linijki. Zastanawiam się czasem, ile może mieć lat. Matka twierdzi, że to niegrzecznie dopytywać kogoś o wiek. Nieraz muszę sobie zasłaniać usta dłonią, żeby powstrzymać wszystkie tłoczące się pytania, których według Matki nie wolno zadawać.

– Dzięki, lalczko – odpowiada Elisabeth, podrzucając włosy prawą ręką. – Podnieś się i chodź mi pomóc, co?

Dlatego że jestem skołowana i dlatego że tęsknię za uśmiechaniem się, a w dodatku mam już po uszy zagadek, wstaję. Dobrze wiem, że kiedy Matka odkryje, że biuro rzeczy znalezionych jest zamknięte, a ja siedzę u sąsiadki, słucham muzyki z piekła rodem i zajadam się diabelską tartą cytrynową, przyjdzie po mnie, ciężko tupiąc. Tymczasem odpowiadam Elisabeth skinieniem głowy i podnoszę moją książeczkę. Sięgam po klucz i zamykam biuro, a potem idę za przyjaciółką drzwi obok, do kawiarni.

Nigdy dotąd nie zachowałam się tak buntowniczo. Nie zdarzyło mi się jawnie przeciwstawić Matce i opuścić posterunku w godzinach otwarcia biura. Elisabeth zna zasady. Odwiedza mnie w biurze rzeczy znalezionych w godzinach pracy, ale tylko kiedy Matki nie ma, a ja nie jestem zajęta. Ja nigdy nie zapuszczam się do jej lokalu.

A jednak oto jestem, w kawiarni („salonie Diabła”), w towarzystwie Elisabeth („tej ladaczniczki z sąsiedztwa”), i to podczas godzin pracy w biurze rzeczy znalezionych („dzięki któremu masz co do garnka wrzucić”). Przyjaciółka robi babeczki z serem i owocami, placek wiśniowy, szarlotkę i kilka biszkoptów królowej Wiktorii („przysmaków Szatana”). Matka woli napełniać brzuch ziemniaczano-mięsną zapiekanką i frytkami o każdej porze dnia (również na śniadanie). Twierdzi, że to ulubione potrawy Pana Boga i że spożywając je, robi się jeszcze bardziej święta. Dla mnie nigdy nie gotuje, ale rzadko kiedy mam apetyt, zresztą Elisabeth bardzo sprytnie przemycza mi jedzenie.

– Nie wiadomo, czy chłopcy zjawią się dzisiaj, ale kibice będą z pewnością głodni, więc może coś uszczkniemy z ich pieniędzy przeznaczonych na piwo – mówi.

Kiwam głową. Siedzę na wysokim stołku przy ladzie. Mój egzemplarz *Historii Nocnego Promu Londyn–Paryż* leży na blacie, ukryty pod serwetką obok największego worka mąki, jaki w życiu widziałam.

– Diabeł kazał ci pomalować ściany na czerwono? – pytam z uśmiechem.

– Powiedz Matce, że stoliki lśnią dziewczęcą bielą. – Elisabeth odwzajemnia mój uśmiech.

Przyjaciółka stoi za ladą. Z ekspresu do kawy bucha para; za szklanymi drzwiczkami szafek i pod siatkowanymi przykryciami piętczą się słodocze. Elisabeth wyrabia ogromną kulę ciasta. Zaciska dłonie w pięści; całe ręce aż po łokcie ma białe od mąki.

– Spójrz na mnie! – mówi.

Patrzę na nią. Jej twarz i nową fryzurę też pokryła warstewka mąki. Uśmiecham się do niej. Wygląda pięknie.

– Ale robisz bałagan. Nie powinnaś piec w kuchni? – Mierzę wzrokiem długi blat. Nieporządek jest fenomenalny. Na ladzie panoszą się foremki, miarki, wałki, łopatki, sitka i zapas mąki dla całego Liverpoolu.

– Jaką miałabym wtedy przyjemność z pracy? – pyta Elisabeth. – Teraz do-
trzymujesz mi towarzystwa. Chcesz pogadać?

Przenosi wzrok na serwetkę, a potem na mój policzek. Na pewno widać ślad. Potrząsam głową i zdobywam się na uśmiech.

– Gdyby nasza cię ochota, jestem do dyspozycji, laleczko – zapewnia.

– Nie mogę uwierzyć, że powiedziałam Matce, że jest Diabłem – wzdycham. – Myślisz, że zaczynam brzmieć jak ona?

– Nie, laleczko, nie jesteś do niej ani trochę podobna. Ale nie wydaje mi się, żeby była Diabłem. No wiesz, przyjrzałeś się jej dobrze? Wystają jej gdzieś rogi albo ogon?

Elisabeth odwróciła się do mnie plecami, żeby umyć ręce, ale słyszę, jak próbuje stłumić chichot.

– To nie jest zabawne – mówię, ale przecież jest.

Wybucham śmiechem i już nie mogę przestać rechotać.

W oczekiwaniu, aż ciasta i babeczki wyrosną w piekarniku, siedzę z Elisabeth, siorbiąc herbatę i jemy tartę cytrynową. Ludzie tłoczą się wokół białych stolików, zapadają się w miękkich, czerwonych fotelach, zadowoleni z chwili odpoczynku; wokół nich na podłodze piętują się torby z zakupami.

W przerwach pomiędzy obsługiwaniem klientów i szykowaniem wypieków Elisabeth gawędzi ze mną. Jej ulubionym tematem są uda Kevina Keegana. Nie mówię jej o książce, którą dostałam. Przez ostatnie dziesięć lat Elisabeth wyciągała mnie na powierzchnię, ilekroć Matka strącała mnie na dno. Nauczyła mnie łowić dobro z każdego dnia, ale nigdy nie wyznałam jej, że jestem znajdą. Matka zaszczerpiła we mnie poczucie wstydu. Powiedziała, że to nasza tajemnica, więc w pobliżu Elisabeth z całych sił staram się nie myśleć o pierwszym i drugim Rozdziale mojego życia.

Elisabeth opowiada mi o sukience, którą sobie szyje, o dniu, kiedy John Lennon o mało jej nie pocałował, i o swoich planach na rozbudowę kawiarni. Ma taki dar, że wszystko, o czym mówi, wydaje się ekscytujące. Podoba mi się, że nie próbuje wściubić nosa w moje sprawy i że nie krzywi się, kiedy nie mam ochoty się wywnętrzać. Dzisiaj, w tym momencie, potrzebuję tylko wsłuchać się w entuzjazm, z jakim Elisabeth myśli o przyszłości, i w szczegółowy opis części ciała Kevina Keegana, nad którymi nigdy dotąd się nie zastanawiałam.

A jednak co chwilę kłuje mnie sumienie. Każdemu ukłuciu towarzyszy

dreszcz i nerwowo zerkam w stronę drzwi kawiarni. Spodziewam się, że lada chwila wparuje tu Matka ze skórzanym pasem i potokiem wyzwisk na ustach.

– Pens za twoje myśli? – pyta łagodnie Elisabeth.

Odwracam wzrok od wejścia i patrzę na nią.

– Powinnam być w pracy. Co będzie, jeśli zjawi się ktoś z Zarządu i wyleją Matkę? – martwię się.

– Jeśli faktycznie przyjedzie szef, zobaczy, jaki młyn panuje w hali, i stwierdzi, że postąpiłaś słusznie.

– A jeśli moje Leserstwo sprawi, że wyrzucą Matkę na bruk? Musiałaby zamieszkać na dworze w olbrzymim kartonowym pudle, tam, obok lalkarza, a ja zostałabym na stacji Lime Street, starając się nauczyć języka migowego od zagubionych głuchoniemych.

– Języka migowego? – nie nadąza Elisabeth.

– Żeby porozumiewać się z Matką przez szybę – wyjaśniam.

– Masz na karku głowę staruszki, laleczko. Czasem, jak się odezwiesz, mogłabym przysiąc, że żyjesz na tym świecie już z sześćdziesiąt lat.

– Obowiązki... – zaczynam.

– Dupa, nie obowiązki – ucina Elisabeth. – Ten leniwy babsztyl powinien sam wykonywać swoją pracę, zamiast zmuszać szesnastoletnie dziecko do harowania za darmo.

– Nie przeszkadza mi, że pomagam. Jestem jej dłużna...

– Pomogasz? Prowadzisz cały interes, podczas gdy ona cały dzień siedzi na tyłku – unosi się Elisabeth.

– Usłyszysz cię – szepczę. – Lepiej ją przeprosić, tak na wszelki wypadek. Krzyknij, że przepraszasz.

– Mam ją gdzieś, jestem ognioodporna – zaperza się przyjaciółka, po czym zawiesza głos. Po chwili ciągnie dalej: – Powinnaś przestać z tymi: „lepiej to, lepiej tamto”. W obecności Matki nic tylko przepraszasz za coś, czego nie zrobiłaś, albo żałujesz, że nie dorosłaś do jej oczekiwań. Mówię ci szczerze, że aż mi od tego niedobrze.

– Gdybym się bardziej starała... – próbuję dojsć do głosu.

– I tak nasłuchałabyś się na górze od Wielkiej Jaśnie Pani – wzdycha Elisabeth, wywracając oczami.

– Ale spójrz na mnie – upieram się. – Siedzę tu sobie w środku dnia i zajadam się ciastem. – Podnoszę się ze stołka i dygam. – Poznaj nową, udoskonaloną, buntowniczą mnie.

Elisabeth patrzy na mnie z uśmiechem. Też się uśmiecham.

– W takim razie – mówi – włącz mi w szafie grającej *Save Your Sweet Kisses For Me* i powirujmy trochę. Piosenka zdobyła mnóstwo głosów na Eurowizji, pobiła nawet Francuzów, no i trzeba ją puścić naprawdę głośno, żeby dotarła do uszu

Keegana. To jak? Co powiesz na babeczkę z bitą śmietaną i porcją placka z wiśniami?

– Nie wzięłam portmonetki.

– Dam ci na kreskę, laleczko. – Elisabeth puszcza do mnie oko.

Przez cały dzień ludzie pojawiają się w kawiarni i znikają. Niektórzy przyłączają się do naszych piasów, bo dziś w Liverpoolu jest taki właśnie dzień; inni zagłuszają szafę grającą, skandując hasła wspierające ich ukochaną drużynę piłkarską. Uczę się nowych kroków. Elisabeth mówi, że mam własny, wyjątkowy styl. Czasem, kiedy tańczę, zapominam, że ktoś na mnie patrzy. Tańczę dla siebie, a ludzie pokazują mnie palcami, śmiejąc się wesoło. Podoba mi się to.

Dzień upłynął Elisabeth na uwijaniu się za kontuarem i tańcach ze mną. Co chwilę wpadał mi w oko jej uśmiech, taki prawdziwy, rozświetlający jej oczy. Wiem, że muzyka płynęła głośniejsz niż zwykle. Wiem o tym, bo sama ją podkreślałam (choć przyjaciółka zauważyła, że Matka może eksplodować ze złości), i jestem przekonana, że Matka słyszała śmiechy i chichoty włączających się do zabawy klientów.

Ale dziś jest mi wszystko jedno; dziś jestem nowa i udoskonalona. Dziś pragnę rozpocząć Rozdział szósty historii mojego życia. Chcę uświadomić Matce, że jej kłamstwa nie zdadzą się na nic i że muszę poznać prawdę. Jednak nawet kiedy te myśli wypełniają moją głowę, przeszywa mnie mieszanka stresu i przerażenia. Dobrze wiem, do czego Matka jest zdolna i co może mi zrobić. Już czuję czekające mnie lanie. Mimo to zamierzam kontynuować wieczorem konfrontację z Matką. Potrzebuję odpowiedzi. Jestem na nie gotowa.

Z wybiciem siedemnastej staje się jasne, że chłopcy z Liverpoolu się nie zjawiają. Nie wiem, kto pierwszy puścił tę plotkę, ale przygnała na stację Lime Street tysiące kibiców i w hali wciąż kłębią się tłumy. Staję w progu kawiarni i widzę Stanleya, który spokojnie sobie z kimś gawędzi. Nie pracuje; porzucił wszelkie próby zamiatania, bo w hali jest po prostu za dużo ludzi.

– Stanley! – wołam i macham do niego obiema rękami.

Podchodzi bliżej.

– Wszystko w porządku, Marto Zgubo? – pyta sprzątac. – Słyszałaś o tych wszystkich gościach na zewnątrz? Tych łobuziakach?

– Łobuziakach? – powtarzam po nim, oczami wyobraźni widząc tłum Oliverów Twistów z szalikami w barwach Liverpoolu na szyjach.

– Kibole, mówię ci, wszyscy skinheadzi przyleźli, żeby bić i chlać.

Wskazuje palcem mężczyznę siedzącego na ławce naprzeciwko biura rzeczy znalezionych. Jest goły od pasa w górę, a z nad oka i z nosa cieknie mu krew. Policjanci próbują mu jednocześnie pomóc i skrępować jego ruchy.

– Coś mi się nie wydaje, żeby te czerwone sukinkoty miały się zjawić – prokuje Stanley z uśmiechem, po czym macha mi na pożegnanie i wraca do kole-

gów.

Stoję w progu, obserwując mijających kawiarnię mężczyzn. Większość ma na szyjach szaliki w barwach ukochanego klubu z drukowanymi literami układającymi się w napisy: SIŁA LIVERPOOLU i FC LIVERPOOL. Jakoś nie jest im w tych szalikach za ciepło, choć Elisabeth mówiła, że dzień jest słoneczny.

Wszyscy śpiewają. Uśmiecham się. Te zaśpiewki i jowialna atmosfera to dla mnie nowość. Nikt nie zwraca na mnie uwagi; panowie ściskają się, skandują i kiwają się w rytm znanych im wszystkim piosenek. Kibice przybyli, żeby powitać swoich bohaterów i choć nic nie wskazuje, żeby bohaterowie mieli przybyć, fani i tak są w nastroju do świętowania.

– Jeszcze jeden pens za twoje myśli – odzywa się Elisabeth.

Podeszła do mnie i staje obok, podaje mi kubek gorącej herbaty i wyjmuje mi z ręki na wpół pełną filiżankę zimnej.

– Cieszę się, że mieli miły dzień – mówię, wskazując podbródkiem ostatnią grupkę ściskających się kibiców.

– Wyglądasz, jakby kłębiły ci się w głowie setki myśli.

– Marzy mi się, żeby wyjść i obejrzeć Liverpool. Chcę poznać ludzi i miasto – wyznaję. – Tak się zastanawiałam. Matka powiedziała, że jeśli opuszczę dworzec, wszystko runie, ale co by było, gdybym wzięła stację ze sobą?

– Wiesz co, Matka bredzi... – zaczyna Elisabeth, ale wchodzi jej w słowo:

– Nie zamierzam ryzykować. Chcesz, żeby ze stacji Lime Street została sterata gruzu?

– Nie, pewnie, że nie, ale...

– Jestem kormoranem stacji Lime Street, mam...

– ...obowiązki, tak, wiem – poddaje się Elisabeth.

– Ale dużo o tym myślałam i wydaje mi się, że może istnieje pewne wyjście – mówię, na co przyjaciółka wybucha śmiechem. Wtóruję jej.

– Cóż, kiedy już opracujesz plan, zgłaszam się na twoją przewodniczkę po Liverpoolu. Zaprowadzę cię w najciekawsze miejsca. Szkoda, że Keegan się nie zjawił.

Znów się śmieję.

– Lepiej już pójść do siebie – mówię.

– Dasz sobie radę? – Jej wzrok mimowolnie prześlizguje się po moim policzku.

– Nie mogę się wiecznie ukrywać przed Matką.

Uśmiecham się, ale moja odwaga gdzieś wyparowała. To wszystko aktorstwo. Cała się trzęsę.

Ten dzień był wspólny. Wiruję z powrotem do kontuaru, odstawiam kubek, porywam moją książkę i wracam do drzwi.

– Na razie – szepcze Elisabeth, wyglądając zza progu kawiarni, gdy otwie-

ram kluczem drzwi do biura rzeczy znalezionych.

Wchodzę do środka. Przechodzę przez biuro i skradam się po schodach do mieszkania na piętrze. Idę na palcach jak niezdarna baletnica, wciąż nie mogąc opanować drżenia. Skupiam myśli na przeprosinach, jak od razu szybko je z siebie wyrzucę, a potem jak powiem Matce, że należą mi się odpowiedzi. Może zdążę, zanim zacznie wrzeszczeć i wywijać pasem.

Wchodzę ukradkiem do salonu. Matka zaciągnęła ciężkie zasłony. Pokój spowija całun mroku, od którego robi mi się jakoś nieswojo. W rogu wisi ogromny drewniany krucyfiks – natychmiast przykuwa wzrok każdego, kto przekroczy próg. Chwiejnie dygam przed krzyżem, ale kolana trzęsą się pode mną, kiedy próbuję stanąć prosto.

Zaczynam szczekać zębami, a ręce ciążą mi, jakby były z ołowiu. Jestem zamrznięta w środku. Zgaduję, że Matkę dopadła migrena, wywołana najpewniej przez moje brednie o Diable. Stoję nieruchomo, pozwalając oczom przyzwyczać się do ciemności. Wstrzymuję oddech, starając się nie wydawać dźwięków, ale mam wrażenie, że szczekanie zębów niesie się echem po pokoju. Przygryzam wargę, żeby powstrzymać hałas, aż boli.

Czekam na atak Matki. Przygotowuję się na lawinę słów, która porwie mnie lada chwila. Spinam się w oczekiwaniu na dotyk pasa. Cała drzę. Wzrok już przywykł do ciemności. Widzę, że Matka śpi na kanapie. Budgie przycupnął jej na czole.

– Budgie – szepczę.

Gwiżdżę w nowy sposób, który ostatnio ćwiczyłam. To z pewnością go poderwie i zbudzi Matkę, ale tak się nie dzieje.

– John – wołam szeptem, uznając, że może Matce udało się go wreszcie przekonać, że nie jest Budgiem.

Matce nigdy się nie podobało, że tak go nazywam. Stwierdziła, że jeśli jakiegogoś imienia nie ma w Biblii, to nie jest imieniem.

Nadal żadnego ruchu. Kusi mnie, żeby iść spać, zostawiając Budgiego w spokoju, niech narobi Matce na głowę, a mnie może się upiecze i uniknę lania. Przychodzi mi na myśl, że przecież równie dobrze mogę jutro powiedzieć, co mam do powiedzenia. Najwyraźniej Matce naprawdę potrzeba snu dla urody; ostatnio przybyło jej na twarzy nieszczęśliwych zmarszczek, a kąciki ust wciąż ciągną ku dołowi. Budzenie jej byłoby jak podpalenie lontu dynamitu.

Kotara przy uchylonym oknie, wyglądającym na perony stacji Lime Street, porusza się lekko. Promień pomarańczowego światła sączy się przez szczelinę pomiędzy zasłonami, nadając upiorny wygląd twarzy Matki i oczom Budgiego.

Przechodzi mnie kolejny dreszcz. Podchodzę, by zaciągnąć storę. Już nie idę na paluszkach, ale też nie wiruję. Zamieram, gdy moja dłoń dotyka tkaniny. Z tego miejsca rozciąga się widok na cały mój świat. Pojedynczy falisty dach kryje wznie-

siony ze szkła i metalu budynek dworca. Czytałam, że budowę ukończono w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. To powstrzymuje mnie, kormorana stacji Lime Street, przed odlotem. Widok z salonu Matki jest moim ulubionym. Tuż przy oknie wisi zegar liverpoolskiej stacji.

Raz, kiedy byłam młodsza, próbowałam dosięgnąć zegara, ale miałam zbyt krótkie ręce. Siedziałam więc na parapecie, dyndając nogami nad halą, żeby nachylić się choć troszkę bliżej do zegara, ale wtedy wpadła z wrzaskiem Matka.

Wciągnęła mnie z powrotem do pokoju i pchnęła na dywan. Najpierw przycisnęła mnie do siebie i trzymała tak przez minutę, aż zaczęło mnie gnieść w płucach i zrobiłam się cała czerwona na buzi. Potem pociągnęła mnie za włosy, zmuszając, żebym spojrzała jej prosto w oczy, i trzykrotnie uderzyła mnie w twarz. Powiedziała, że siedzący we mnie Diabeł próbował się wydostać i zamienić stację Lime Street w ruinę. Dwa dni później Matka zleciła wymianę okien. Teraz można tylko uchylić lufcik.

Czasami ludzie podnoszą głowę, by spojrzeć na zegar, i zauważają, jak do nich macham; zdarza się, że odpowiedzą. Bywa, że ktoś patrzy w okno i aż podskakuje, gdy widzi, że go obserwuję. Lubię tak zaskakiwać ludzi. Wtedy też się podrywam i wymachuję rękami. Elisabeth mówi, że kiedyś dostanę Oscara za najlepsze miny i teatralne gesty.

Gdy wyciągam palce, by domknąć okno, spostrzegam ruch na jednym z peronów. Perony tworzą kamiennie-metalowe zawijasy. Zakręcają, znikając mi z oczu, ginąc w innych światłach. W oddali, na końcu peronu siódmego, dostrzegam przemykający cień. Na peronie pusto, ale wyraźnie widzę sylwetkę mężczyzny w meloniku na głowie. Robi mi się nieswojo; czuję ucisk w żołądku. Wszystko wydaje się wytrącone z równowagi. Mrugam i tajemnicza postać znika. Rozsuwam zasłony, żeby wpuścić do środka trochę światła z dworca. Odwracam się, by spojrzeć na Matkę.

Budgie pozostaje w bezruchu. Matka leży z zamkniętymi oczami. Biblia zsunęła się na podłogę w pobliżu jej stóp, a skórzany pas spoczywa na jej kolanach.

– Matko – szepczę.

Żadnej reakcji.

– Matko – mówię.

Żadnej reakcji.

– Matko! – krzyczę.

Żadnej reakcji.

Podchodzę do niej. Jej twarz jest szara, usta lekko rozchylone. Nie ślini się, co jest czymś nowym, bo zwykle podczas drzemki z ust wycieka jej strużka śliny.

– Matko! – krzyczę znów.

Nadal się nie porusza. Mam nadzieję, że zaraz podniesie powieki, choć wiem, że potem się na mnie rzuci. Czekam, by otworzyła oczy, mimo że gdy tylko

to nastąpi, obrzuci mnie straszliwymi wyzwiskami. Pragnę hałasu, bólu, czegokolwiek, byle zabiło tę ciszę. Z trudem łapię oddech. Budgie ćwierka nieśmiało, raz, drugi. Wzdrygam się, aż moczę trochę majtki.

Budgie znów się odzywa. I znów. A Matka nadal się nie ślini. I nie przestaje być szara.

Tracę kontrolę nad swoim ciałem. Szczękam zębami, zalewają mnie fale zimna i trzęsę się cała jak w febrze. Osuwam się na kolana, ale nie wydaję żadnego dźwięku. Łzy leją mi się po policzkach, z nosa cieknie. Opuszczam mieszkanie na czworakach, zostawiając za sobą ślady smarków, i zsuwam się ze schodów na pupie. Czolgam się, żeby pokonać ostatni stopień i dostaję się do biura rzeczy znalezionych. Zwijam się w ciasny kłębek na zimnej podłodze za ladą. Nie potrafię opanować łkania; wydobywające się ze mnie dźwięki nie są moje.

Znów zostałam zgubiona.

Już do nikogo nie należę.

– Jestem Diabłem – szepczę.

– Nie, lalczko, nie jesteś – odzywa się Elisabeth.

Nie zauważyłam, kiedy weszła do biura. Pewnie nie domknęłam drzwi.

– Zbiła cię? – pyta.

Nie patrzę na nią. Pozostaję w pozycji embrionalnej na ziemi i tylko kręcę głową, że „nie”.

– Gdzie teraz jest?

– Na górze – szepczę.

– Co ci zrobiła, lalczko?

– Nic – mówię cichutko. – Nie ślini się i skóra jej poszarzała.

– Daj mi dwie minuty. Zaraz wracam.

Widzę, jak jej stopy zbliżają się do drzwi i wstępują na schody prowadzące do mieszkania Matki. Zaczynam liczyć w głowie do stu dwudziestu, ale już przy dwudziestu czterech zaczynam się zastanawiać, co będzie gorsze – potwierdzenie, że Matka umarła, czy to, że cudownie ożyje i odkryje Elisabeth w mieszkaniu na piętrze.

Nie przesunęłam się ani o centymetr. Łzy przestały płynąć. Wróciła Elisabeth i usiadła przy mnie na zimnej podłodze biura rzeczy znalezionych. Zna mnie na tyle, że nie przytula mnie na siłę, nie przyciąga do siebie, choć w tej chwili jedyne, czego pragnę, to poczucie bezpieczeństwa, pewności i miłości. Żadna z nas nie patrzy na drugą; wypuszczamy słowa w przestrzeń.

– Sprawię, że wszystko będzie dobrze. Obiecuję – mówi Elisabeth.

Kładzie mi rękę na głowie i gładzi mnie po włosach.

– Czy Matka umarła za moje grzechy? – pytam. – Bo moje istnienie było najstraszniejszym możliwym grzechem.

– Skąd ci to przyszło do głowy, lalczko?

- Matka mi powiedziała. A jeśli miała rację?
- Ta to by z umarłego ściągnęła buty. – Elisabeth marszczy brwi.
- Mówi, jakby Matka wciąż była wśród żywych, ale jej już nie ma. Jest na górze. Będę musiała dokonać oficjalnego zgłoszenia.
- Jak mam się zająć organizacją pogrzebu i wszystkimi formalnościami? Nigdy nie byłam poza stacją Lime Street. Nigdy nie szłam ulicami Liverpoolu – martwię się.
- Miała głębę jak tunel Mersey – mówi do siebie Elisabeth.
- Czasem podchodziłam do wyjścia. Tak jakby istniała tam niewidzialna linia, którą pragnęłam przekroczyć. Wyglądałam w dal, na Liverpool i marzyłam, by być kimś innym...
- Ależ możesz... – zaczyna Elisabeth, do której wreszcie dotarło, co mówię.
- Chciałam odkrywać świat, ale moje poczucie odpowiedzialności wobec mieszkańców Liverpoolu powstrzymało mnie od przekroczenia tej granicy. Matka zapewniała, że powinnam się czuć zaszczycona, że właśnie mnie wybrano na kormorana stacji Lime Street. Mówiła, że dzień, w którym otrzymała list, był jednym z najwspanialszych w jej życiu. Rozumiem, że czyni to ze mnie wyjątkową osobę, ale...
- Widziałaś ten list na własne oczy? – pyta Elisabeth, na co powoli kręcę głową.
- Teraz sprawa staje się jeszcze poważniejsza. Jeśli wyjdę na zewnątrz i coś złego stanie się tobie, Stanleyowi albo Jenny Jones, to zostanę seryjną zabójczynią. Wystarczy, że mam już Matkę na sumieniu.
- Laleczko, to nie twoja wina.
- To przeze mnie Matka stała się taka – upieram się. Przeze mnie całkiem osiwiła. To z mojego powodu nie znikał jej z twarzy paskudny grymas.
- Wykrzywiam usta. Zagryzam wewnątrz policzków, żeby utrzymać kwaśną minę. Nie jest to mój ulubiony wyraz twarzy, ale kilka miesięcy temu doprowadziłam go do perfekcji.
- Nawet cienie pod jej niebieskimi oczami – mówię – te od niezliczonych nieprzespanych nocy to moja wina. Nigdy nie byłam dość dobra. Żałowała, że poświęciła mi swoje życie... Zniszczyłam ją.
- Bzdury opowiadasz. Ta kobieta była zniszczona, na długo zanim się pojawiłaś. Moim zdaniem byłaś jej wybawieniem – mówi Elisabeth, ale ja nie jestem tego taka pewna.
- Zawsze będę jej wdzięczna.
- Za to, że była twoją mamą? – pyta Elisabeth, na co stanowczo kręcę głową, że „nie”.
- Bo dzięki niej przestałam zadawać pytania. To było w Rozdziale trzecim, miałam może sześć lat. Nauczyłam się milczeć dla bezpieczeństwa. Staralam się

nie wchodzić jej w drogę, kryłam się po kątach. Zanim otworzyłaś tu kawiarnię. Poddałam się, Matka zwyciężyła, przejęła pełną kontrolę nad tym, co robię. Ale wtedy właśnie pokochałam opowieści i napisy w książkach. Nie umiałam im się oprzeć – wspominałam. – Matce należą się dzięki za moje ostatnie książki, a przede wszystkim za to, że nauczyła mnie czytać.

– Ty i te twoje książki – wzdycha Elisabeth, ale mam wrażenie, że słyszę w jej głosie uśmiech.

Prostuję się na podłodze. Siadam i sięgam po leżący pod ladą śrubokręt. Pod spodem blatu znajduje się drewniany panel. Odkręcam cztery śrubki i pozwalam deseczce upaść na podłogę. Ukazuje się skrytka, w której chowałam książki przed Matką, aż nadchodziła bezpieczna chwila, by przenieść je do piwnicy. Za panelem ukrywałam też eleganckie ubrania i buty. Dziś w schowku znajduje się pięć książek, trzy pary pantofelków na obcasie i sześć fikuśnych sukienek.

– Spójrz na tę. – Otwieram jeden z tomów i wskazuję na słowa widniejące na wewnętrznej stronie okładki. – Ktoś dopisał „Będziesz tatusiem!” w opowieści *Worzel Gummidge i Zuchwała Nancy*.

Zamykam książkę. Przyglądam się cienkiej książeczce w lichej oprawce – niebieska okładka, niebieski grzbiet z podwiniętymi końcami.

– To miło – mówi Elisabeth.

Widzę, że nie wie, do czego zmierzam.

– Nie rozumiesz? – pytam. – Ten wpis opowiada inną historię niż ta zawarta w treści książki. Dzięki niemu książka staje się czymś o wiele wspanialszym... To nie ja byłam adresatem tych słów; czuję się, jakbym przypadkiem odkryła czyjś sekret.

– Ale ta osoba zgubiła książkę. I nigdy się po nią nie zgłosiła, więc nie mogła stanowić dla niej aż takiej wartości. Może właściciel nawet się nie zorientował, że jej nie ma – rozmyśla Elisabeth.

Przesuwam palcem po okładce, pocieram ją pieszczotliwie. Posiadam pewien dar – czasem myślę, że to prezent od bogów liverpoolskich kormoranów, a może nawet czarodziejskie przeprosiny za uwięzienie mnie tutaj z Matką. Kiedy pocieram palcem zagubiony przedmiot, potrafię opowiedzieć, jak doszło do jego zaginięcia. Nie umiem wyjaśnić, jak to się dzieje. Czary działają tylko w przypadku, gdy rzecz naprawdę zginęła właścicielowi.

Dotykam miękkiej, niebieskiej okładki i nagle widzę przed oczami podróżującego pociągiem mężczyznę; wyjmuję z walizki właśnie tę książkę. Czuję przepętniający człowieka smutek. Patrzę, jak otwiera książeczkę. Jego wzrok pada na wpis. Mężczyzna podrywa się, jakby strony nagle stanęły w płomieniach. Ciska książkę na podłogę i depcze po niej zawzięcie. Nie został tatusiem, przynajmniej nie wtedy.

Doszło do poronienia – około dziesiątego tygodnia ich dzidzius zmarł. Po-

dróżny wcale nie zamierzał zostawić książki na ziemi; po prostu odreagowywał. Odręczny dopisek przypominał o tym, co nie mogło się zdarzyć. Tak właśnie książka trafiła tutaj, do biura rzeczy znalezionych.

Wzdycham ciężko. Podnoszę palce znad okładki.

– Odręczne wpisy pozwalają mi zajrzeć w historie innych ludzi. Ta książka zginęła, bo jej właściciel pragnął zapomnieć.

– Niemożliwe, żebyś wiedziała takie rzeczy, laleczko – protestuje Elisabeth. – To tylko zgubiona rzecz. Ludziom bez przerwy coś się zapodziewa.

– To znaleziona rzecz. Ta książka była prezentem dla mężczyzny. Miał na imię Justin.

– Ty i ta twoja wyobraźnia. – Elisabeth kręci głową, a ja się uśmiecham.

– W książkach jest zaklęta magia. Podoba mi się, że za niektórymi książkami kryje się jeszcze jedna historia, o tym, dlaczego ktoś je podarował drugiej osobie.

– Nie spotkałam nikogo, kto czytałby tyle co ty.

– Jeśli książka zostanie znaleziona, można ją przynajmniej przeczytać. Wtedy nie czuje się już taka zagubiona.

Najbardziej cieszy mnie znajdowanie w tekście słów, których nie rozumiem, lub nie wiem, jak je poprawnie wymówić. Zapisuję je sobie. A kiedy następnym razem spotykam sprzątacza Stanleya, pokazuję mu wyrazy i on mi pomaga. Ma bardzo bogate słownictwo.

– Chyba nawet wolę książki od wirowania – oznajmiam.

– W życiu nie poznałam drugiej takiej osoby jak ty. – Elisabeth ze śmiechem wyciąga rękę po niebieską książeczkę, po czym odkłada ją na blat. – Nie musisz się już więcej z tym kryć.

Milknę. Jestem wdzięczna nie tylko za książki. Myślę o tych wszystkich godzinach w biurze rzeczy znalezionych, przepracowanych za darmo, podczas których uczyłam się słuchać i poznawałam swój dar. Ponownie wąż w głowie ciężar odpowiedzialności bycia kormoranem stacji Lime Street. Z powodu mojej wyjątkowej umiejętności jestem naprawdę świetna w odnajdowaniu właścicieli przedmiotów, które pragną do nich wrócić. Nie mogę opuścić dworca, więc codziennie przeżywam tu własne przygody.

– Dzięki ignorancji Matki odkryłam, w czym jestem dobra i co mnie uszczęśliwia.

– Mały odkrywca z ciebie – mówi Elisabeth. – Tylko pamiętaj, że to twoja zasługa, nie Matki.

– Jestem bardzo potrzebna w biurze rzeczy znalezionych – oznajmiam.

– Dlaczego tak myślisz, laleczko?

– Ludzie wciąż się spieszą – mówię, a Elisabeth przytakuje. – Zdają sobie sprawę z wartości tego, co mają, dopiero gdy to tracą.

A oto wielka mądrość zawarta w baśni Piękna i Bestia: trzeba umieć pokochać istotę, zanim będzie wzbudzać oczywistą miłość.

G.K. Chesterton

I tak toczy się moja baśń. Rozdział szósty ma swój początek pod koniec lipca, wciąż w roku 1976, w czasach, kiedy marzenia nie były bez znaczenia i istniała magia.

Chwilowo jednak stoję za ladą biura. Segreguję przedmioty z najświeższej dostawy rzeczy znalezionych i układam je na metalowych półkach. Notuję datę ich pojawienia się w biurze i obliczam, kiedy upłynie dziewięćdziesiąt dni ich dopuszczalnego pobytu. Zapisy i kalkulacje wykonuję na specjalnym arkuszu, nowym na każdy tydzień. Kiedy ktoś zjawia się, by odebrać zagubioną rzecz, wnosi drobną opłatę (o wysokości zależnej od rozmiaru i wartości przedmiotu), po czym następuje zjednoczenie właściciela ze zgubą.

Zdarza mi się zapomnieć pobrać pieniądze. Prowadzę rejestr przeoczonych sum i raz w miesiącu wypisuję czek, na mocy którego odpowiednia kwota jest odprowadzana z konta Matki, by pokryć braki. Matka za życia nigdy nie zauważała moich finansowych poczynań; teraz tym bardziej nie mają one znaczenia.

Po upływie dziewięćdziesięciu dni nieodebrane przedmioty lądują w kartonowych pudłach z innymi sobie podobnymi rzeczami. Co kilka miesięcy wybieram kilka elementów z tych kartonów – zawsze biorę te pozbawione historii – pakuję je do worków na śmieci i zanoszę na dół, do piwnicy.

Znajduje się tam pomieszczenie pełne czarnych worków na śmieci wypchniętych zgubami. Matka zdradziła mi kiedyś, że od czasu do czasu, zwykle pod osłoną nocy, zjawia się przybysz z Londynu, by zabrać kilka worów i zawieźć je pociągiem z powrotem do stolicy. Nigdy nie zauważyłam obecności tego jegomościa. Lubię sobie wyobrażać, że ów tajemniczy ktoś pochodzi z Lumpalandii i że wcale nie podróżuje koleją, ale przy pomocy zgniciołów plaźmiaków⁵.

5 Tłumaczenie na podstawie: Roald Dahl, *Charlie i Wielka Szklana Winda* w przekładzie Magdaleny Heydel, Znak Emotikon, Kraków 2015 (przyp. tłum.).

Przedstawiłam Matce moją teorię, za co dostałam lanie pasem; opowiedziałam ją Elisabeth i nałożyła mi dodatkową porcję tarty cytrynowej.

Dziś, układając znalezione przedmioty na metalowych półkach, nie potrafię się oprzeć pokusie przesuwania po nich palcami. Przez dwa miesiące i trzy dni, które minęły od śmierci Matki, zakładałam do pracy rękawiczki, głównie dlatego, że miałam głowę pełną własnych spraw i zmartwień i nie chciałam obarczać się historiami ludzi, którzy gubili coś, co kochali.

Jeśli mam być zupełnie szczerą, to nie wiem, czy kiedykolwiek darzyłam Matkę miłością. Może w którymś momencie ją kochałam; być może. Skupiałam się na tym, że przygarnęła mnie, kiedy nikt inny mnie nie chciał, i opiekowała się mną, kiedy byłam maleńką i nie potrafiłam chodzić, mówić i sama o siebie zadbać.

Nie wydaje mi się jednak, aby mój żal był związany z jej odejściem. Bardziej chodzi o to, że Matka znała odpowiedzi – odpowiedzi, które miałam nadzieję z niej wydobyć. Chyba nie ma nic złego w tym, że chciałabym poznać prawdziwą datę

swoich urodzin? Czy to źle, że jestem ciekawa, jak się naprawdę nazywam? To chyba normalne, że pragnę odkryć, co kryje Rozdział pierwszy mojej baśni. Zdaje się, że wszystkie odpowiedzi zostały pogrzebane wraz z Matką.

Jednak dziś czuję przyływ odwagi, a może wreszcie zaczynam się czuć lepiej. Nie założyłam rękawiczek i pozwalam palcom tańczyć po wierzchu przedmiotów. Dotykam zagubionej przez kogoś obrączki ślubnej, przesuwam koniuszkiem palca wokół pierścionka, przed moimi oczami staje kobieta i mężczyzna. Widzę, jak siedzą w kawiarni, odliczają monety w desperackiej próbie zakupu tej obrączki. Uśmiechają się do siebie nad wspólną filiżanką kawy. W kolejnej odsłonie stoją w sklepie, podają sprzedawcy dźwięczącą monetami papierową torbę. Wezwany zostaje właściciel sklepiku...

– Marta? – dobiega mnie głos Elisabeth. Nie zauważyłam, kiedy weszła do biura. – Znowu pogrążona w marzeniach?

– Zastanawiałam się tylko, do kogo należała – odpowiadam, podnosząc złotą obrączkę, po czym odwracam się, by odłożyć ją na półkę obok czajnika.

– Bez rękawiczek, laleczko?

Kiwam głową.

– Myślisz, że wyglądam jak brzydka wersja Audrey Hepburn? – pytam.

– Co takiego? Skąd ci to przyszło do głowy? Ty to masz pomysły.

– Jeden facet mi tak powiedział.

– Co? Dołożę mu... – zaperza się Elisabeth.

– Już kilka razy patrzyłam w lustro i nie mogłam się zdecydować, czy uznać to za komplement, czy jednak nie.

– Czekaj, czy to nie był ten młody rzymski żołnierz, który się tu ostatnio kręcił?

– Nie. Tak czy inaczej, wcale się tu nie kręci; gapi się tylko na mnie, kiedy tam siedzi – mówię, wskazując ławkę naprzeciw biura rzeczy znalezionych.

– Więc do jakiego wniosku doszłaś odnośnie do Hepburn? – pyta, a jej głos się uspokaja. Najwyraźniej mam niepewną minę, bo dodaje z uśmiechem: – Uznasz to za komplement?

– Chyba tak. Nawet brzydka Audrey Hepburn nadal musi być piękna.

Elisabeth wzrusza ramionami.

– Przyniosłam ci lunch – mówi, stawiając na ladzie talerz z kanapkami i kładąc obok paczkę solonych chipsów. – Wcinaj. Musisz skądś czerpać siły.

– Nadal nie jestem sobą, prawda? Wiesz, że od wieków już nie gwizdałam?

– Może dziś będzie ten dzień, laleczko – podsuwa Elisabeth, a ja kiwam głową. – I może już czas przestać nosić do pracy fartuchy Matki.

Kwituję to wzruszeniem ramion. Przyjaciółka podrzucała mi ostatnio różne ubrania, ale ja oddawałam hołd Matce.

– Fala upałów szaleje, a ty wirujesz w tych obszernych czarnych worach –

karci mnie Elisabeth.

– Już nie wiruję tyle, co dawniej.

Fartuchy Matki nie nadają się do obrotów.

– Drak znowu wspominał o pogrzebie Zmarłej Matki. – Wgryzam się w jedną z kanapek.

– Powiedziałaś mu, żeby pilnował własnego nosa? – pyta Elisabeth.

Kręcę głową i przetykam kęs.

– Co to za córka, co nie pojawia się nawet na pogrzebie własnej matki? – wzdycham.

– Taka, która przez lata była więziona jak niewolnica. Coś takiego nie spływa po człowieku jak po kacze.

– Drak twierdzi, że wypadło, żebym pożegnała zmarłą.

– Drak to dureń, który nie powinien się mieszać w nie swoje sprawy. Rzeczywiście ludzi nie było wiele, ale stawilo się dość osób z dworca. Wszyscy znali Matkę, wiedzieli, jaka była. Nikt nie ma ci tego za złe.

– Myślisz, że moja nieobecność na pogrzebie oznacza, że jestem najgorszą córką świata i jestem podobna do Diabła? – martwię się. – Naprawdę chciałam iść, ale nie mogłam ryzykować ruiny stacji Lime Street. Matka byłaby wściekła.

– Nie musisz się przed nikim tłumaczyć – zapewnia Elisabeth.

– Gdyby pogrzeb odbywał się na terenie stacji Lime Street, na pewno bym przyszła. Tylko że moje obowiązki...

– Nie zaprzataj tym sobie głowy, lalczko. Matka nie chciałaby, żebyś opuściła stację. Poza tym mieliśmy naszą małą stypę na piętrze. – Wskazuje na sufit. – Jedz kanapkę, nie myśl tyle o przeszłości.

Kiwam głową.

– Nie chodzi tylko o mnie – mówię. – Budgie też chciał złożyć wyrazy szacunku.

– Jasne, zanim się ulotnił – prycha Elisabeth, na co wybucham śmiechem.

Ceremonia pogrzebowa Zmarłej Matki odbyła się w kościele. Po niej nastąpiła kremacja. Elisabeth przekonała kilkoro pracowników dworca, żeby zjawili się na uroczystości, przekupując ich obietnicą przekąsek na stypie. Matka optowałaby pewnie za pochówkiem, ale nie stać nas było na nic eleganckiego, więc Elisabeth załatwiła kremację i wróciła ze Zmarłą Matką w posrebrzanej urnie.

W małym gronie urządziliśmy na piętrze stypę, z nieboszczką w urnie na kominku. Wykonałam nawet ulubioną pieśń Matki, *Raduj się, Pan jest Królem*, zmyślając tylko połowę słów. Potem zostawiliśmy Zmarłą Matkę na kominku, zamknęłam biuro rzeczy znalezionych na klucz i przenieśliśmy się drzwi obok do kawiarni Elisabeth, żeby tam oddać hołd życiu Matki.

Zabrałam ze sobą Budgiego, przycupniętego na moim palcu, ale kiedy wyszłam z biura i ptaszek ujrzał metalowe żelazne wsporniki hali, pofrunął najwyżej,

jak się dało. Całe wieki stałam, wpatrując się w niego. Elisabeth zauważyła, że skoro Matki już nie ma, można Budgiego, uwolnić. Powiedziała, że i ja mogłabym być wolna.

Elisabeth uznała, że Matka życzyłaby sobie na stypie głośną muzykę i ciasto. Tak żeby odciągnąć uwagę Diabła, kiedy będzie się przemykała do nieba. Nie byłam przekonana, czy rzeczywiście byłaby zadowolona, ale w końcu tańce przy akompaniamencie aksamitnego głosu Elvisa i widok Elisabeth wirującej w rytm słynnych hitów podziałały na mnie kojąco.

Pewnie, żałowałam, że Matka nie była bardziej serdeczna, ale miałam czas to przemyśleć i omówić z Elisabeth. Domyślałam się, że Matka miała swoje własne popaprane „dawno, dawno temu”, z którym się zmagala, i naprawdę starała się jak mogła, żeby wyprowadzić mnie na ludzi. Z tym że ja nie mam ochoty skończyć jak ona. Nie chcę kisić w sobie wszystkich złych „dawno, dawno temu”, aż gorycz i smutek przeorają mi twarz zmarszczkami. Życie jest zbyt krótkie, by być niešťczęśliwym.

– Od jutra żadnych fartuchów – obiecuję, co Elisabeth przyjmuje z uśmiechem.

Przez ostatnie dwa miesiące i trzy dni przyjaciółka bardzo się o mnie troszczyła. Jest wspaniała. Czasami, kiedy obserwuję, jak krząta się po kawiarni, nie mogę się powstrzymać i wołam ją po imieniu. Kiedy się do mnie odwraca, wstaję i wykonuję najśmieszniejszy w świecie taniec. Sama go wymyśliłam, specjalnie dla Elisabeth. Inaczej nie umiem wyrazić wdzięczności.

Nadchodzi kolejny dzień, pijemy z Elisabeth herbatę. Nie smakuje jej, więc prosi o trzy kopiaste łyżeczki białego cukru. Stoimy w progu biura rzeczy znalezionych. Gwiźdżę pięć nut wybranej melodii, a ona stara się rozpoznać utwór. Jak na razie zgadła trzy z siedmiu piosenek. Już prawie czas zamykać biuro.

Jenny Jones z kiosku pracuje dziś w kawiarni razem z moją przyjaciółką. Nie ma ruchu, więc Elisabeth dotrzymuje mi towarzystwa. Obserwujemy zatłoczoną halę. Patrzymy, jak ludzie robią manewry i uniki; podziwiamy, jak wpasowują się w luki między zbitymi grupami podróżnych. Podoba mi się ich taniec.

– Zanim przyszaś, wpadł tu znowu tamten mężczyzna – mówię.

– Ten od Audrey Hepburn? Przystojny, laleczko? – dopytuje Elisabeth, a ja się śmieję.

– Wstąpił po drodze na pociąg do Preston odchodzący z peronu trzeciego. Powiedział, że już od wieków ma na mnie oko.

Wpatruję się w tablicę odjazdów. Lubię patrzeć, jak mruga, kiedy jakiś pociąg odjeżdża, i na ekranie wyświetla się nowa wiadomość. Mrugam do niej w odpowiedzi. To znaczy próbuję puścić jej oczko, choć nigdy mi to za dobrze nie wychodziło. Zamykam więc i otwieram oboje oczu, po czym wykrzywiam twarz i robię śmieszna minę.

– Ma na ciebie oko? Brzmi jakoś oślizgle, co? – pyta Elisabeth.

– Sama nie wiem. Chyba jest dość stary. Tym razem powiedział, że podoba mu się moja twarz i że mogłabym być brzydszą siostrą Audrey Hepburn. Stwierdził, że nigdy nie widział tak oryginalnej twarzy jak moja.

– I co ty na to?

Elisabeth nie patrzy na mnie; obie obserwujemy, jak życie mija nas wartkim nurtem.

– Podziękowałam mu, choć w zasadzie nie byłam pewna, czy udał mu się komplement – relacjonuję. – Wtedy zaprosił mnie na wspólny spacer po parku, ale powiedziałam, że muszę posortować sztuczne szczęki.

– O nie, ty wariatko! – Elisabeth łapie się za głowę.

– Wyszedł bez „do widzenia” i miał bardzo czerwone policzki.

– Byłabym szczęśliwa, gdybyś spojrzała łaskawiej chociaż na jednego z facetów, którzy walą tu do ciebie drzwiami i oknami – wzdycha przyjaciółka.

Odwracam się do niej. Uśmiecha się.

– Obowiązki – mówię, zwracając się z powrotem ku tablicy odjazdów i starając się zamrużyć.

– Ale laleczko... – zaczyna Elisabeth.

– A teraz jeszcze to.

Wyjmuję list z tylnej kieszeni dżinsowej spódniczki i wręczam go właścicielce kawiarni.

– Od kogo? – chce wiedzieć.

– Od Zarządu. Chyba wywałą mnie na bruk. Najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, że nie wolno mi opuścić stacji Lime Street.

Elisabeth odchodzi od drzwi. Stawia filiżankę na blacie i wraca do mnie, by przejąć kopertę. Patrzę, jak wyciąga dokument i przebiega wzrokiem linijki druku. Marszczy czoło.

Minuty mijają.

– Nie mogą cię wyrzucić!

Wzruszam ramionami, podchodząc do niej.

– Jaja sobie robią! Przecież to twój dom. I twoje miejsce pracy! – krzyczy Elisabeth.

– Tak naprawdę nigdy tu nie pracowałam, to znaczy nie oficjalnie. Wykonywałam obowiązki Matki, ale nie byłam zatrudniona. Nie istniałam w żadnej dokumentacji, a teraz, kiedy Matka odeszła... – zawieszam głos. – I tak nie jest najgorzej. Przynajmniej uznają, że sprawdzam się na tym stanowisku. – Wskazuję palcem ostatni akapit pisma. – Dają mi szansę kontynuowania pracy...

– Pewnie, że tak! Cóż, ich też trzeba zrozumieć. Wszystkie papiery muszą być w porządku. Nie mogą sobie pozwolić, żeby pracował tu byle kto. Poza tym musisz odprowadzać podatek.

– Odprowadzałam, tylko pod nazwiskiem Matki, a nie swoim...

– Laleczko – wchodzi mi w słowo Elisabeth – jesteś najlepszym pracownikiem, jaki kiedykolwiek zajmował się biurem. Jesteś urodzonym małym znalazcą. Wciąż wyciągam palec ku listowi.

– Napisali, że muszę tylko dostarczyć akt urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego, a pozwolą mi zachować mieszkanie i pracę. Dają mi sześć tygodni.

– W takim razie... – mówi Elisabeth, oddaje mi list i sięga po filiżankę przesłodzonej herbaty. Bierze maleńki łyżeczek. – ... to żaden problem.

– Dla mnie tak.

I nagle z oczu tryskają mi łzy.

– Jak to? – nie rozumie Elisabeth. – Zapodziałaś gdzieś dokumenty? Pomogę ci złożyć wniosek o wydanie odpisów.

– Ja... wcale... nie istnieję – wyznaję. Nie mogę powstrzymać łkania. – Nie wiem, kim jestem.

– Nie wiesz, kim...

– Zostałam znaleziona w pociągu, ale potem dostałam książkę, która wyraźnie dowodzi, że nie mogłam zostać znaleziona w pociągu, w którym podobno mnie znaleziono – płaczę się. W dodatku mówię bardzo szybko.

– Pomału – uspokaja Elisabeth. – Zaczynij od początku.

Opowiadam jej o książce i wpisie na okładce. I o tym, jak bardzo się boję, że teraz, kiedy Matka zmarła, już nigdy nie dowiem się, kim jestem. Przyjaciółka słucha, kiwa głową i łagodnie się uśmiecha.

– I nosiłaś tę zgryzotę w sobie przez ostatnie dwa miesiące? – pyta.

– Dwa miesiące i cztery dni – precyzuję.

– Ależ, laleczko, na wszystko znajdzie się rada.

– Nawet nie mam urodzin! – skarżę się.

– Na pewno masz. Każdy ma.

– Ja nigdy nie miałam. Matka nie wierzyła w nic, czego nie można było poprzeć dokumentem. Poza tym stwierdziła, że moje narodziny to żaden powód do świętowania. – Łzy znów płyną mi po policzkach. – I nie mam żadnego nazwiska.

– Jak to nie? Nosisz nazwisko Matki.

– Wcale nie! – Kręcę głową. – Matka powiedziała, że absolutnie sobie nie życzy, aby ktoś pomyślał, że mogła wydać na świat kogoś takiego jak ja. Mówiła, że nie zasługuję na jej nazwisko i że w ogóle żadnej znajdzie się ono nie należy. Uznała, że jedyne, co nadaje się dla mnie, to Zguba.

– Och, laleczko! Zawsze myślałam, że Zguba to przezwisko, taki żart związany z twoją pracą w biurze.

– Matka tłumaczyła, że po tym poznać znajde. Po nazwisku Zguba. Tłumaczyła, że to z miejsca gasi plotki i daje jasno do zrozumienia, że jesteś niechciana,

ale tak naprawdę nigdy nie poznałam nikogo, kto też by się tak nazywał. – Z trudem łapię oddech, słowa wylewają się ze mnie zbyt szybko. – Czy urodzinowe świece wytopią się z wosku z uszu Diabła?

– Och, kochanie! – Elisabeth załamuje ręce.

– Już sama nie wiem, w co wierzyć.

Kapie mi z nosa. Wycieram smarki rękawem bluzki.

Przyjaciółka już rozkłada ramiona, żeby mnie przytulić, ale przypomina sobie, że nie lubię być dotykana, więc cofa się lekko. Słyszę, jak bierze głęboki wdech. Sięga w głąb własnego rękawa, wyciąga kilka listków papieru toaletowego, kładzie je na blacie i kiwa w ich stronę podbródkiem.

– Kwestie praktyczne – mówi – zobaczmy, co możemy zdołać. Po pierwsze, wydmuchaj nos... Czy wszystko w porządku z kontem bankowym? Masz dostęp do środków?

– Nie były mi potrzebne. Matka za wszystko płaciła. – Chciwie łykam powietrze, żeby powstrzymać łkanie.

– A odkąd zostałaś sama?

– Trzymałam otwarty rachunek Matki i podrabiałam jej podpis na czekach. Matka odłożyła też trochę gotówki w pudełku na czarną godzinę. Boję się pomyśleć, jaki dług mam w twojej kawiarni.

– Och, lalczko, napytasz sobie biedy. Nie u mnie, tylko w banku. Konto u mnie masz czyste, nic się nie martw, ale lepiej pomyślmy o założeniu ci własnego konta w banku.

– Ale ja nie istnieję. – Znowu wybucham płaczem.

– No, nie, sama pomyśl. Przecież ktoś wysłał ci książkę, w której zamieścił wpis specjalnie dla ciebie.

Powoli kiwam głową.

– Właśnie! To wspaniale! – mówi.

Nie nadażam. A ona woła z przejęciem:

– Czyli ktoś wie, kim jesteś. Musimy tylko odszukać tajemniczego ktosia!

– Ale ja nie... – zaczynam.

– Jesteś małym znalazcą. Nie umiem sobie wyobrazić nikogo w całym Liverpoolu, kto miałby lepsze kwalifikacje do wykonania tego zadania!

Kiwam głową z uśmiechem. Tym razem wycieram nos w rękaw swetra.

– Weź papier – rzuca Elisabeth. – Wchodziłaś już do sypialni Matki?

– Jeszcze za wcześnie – wykręcam się. Podnoszę z blatu listki papieru toaletowego.

– Dobrze. Zaczynaj od napisania listu do kogoś ważnego w jakimś urzędzie i spytaj, czy może ci pomóc.

– Ale nie znam żadnych swoich danych.

– Nie szkodzi. Zamieść w piśmie wszystko, co wiesz. Na pewno uzyskasz

pomoc.

– Zgoda.

– Na pewno?

– A jeśli okaże się, że mam jakieś dziwaczne imię i nazwisko?

Po twarzy Elisabeth przemyka uśmiech.

– Na przykład jakie?

– Na przykład Brian Baranityłek. Co jeśli naprawdę nazywam się Brian Baranityłek? – pytam z poważną miną.

– Och, laleczko. – Elisabeth kręci głową. – Jak ty już coś powiesz...

Marta Zguba

Stacja Lime Street

Liverpool

Królowa Anglii

Pałac Buckingham

Londyn

Szanowna Królowo Anglii,

*nazywam się Marta Zguba i moja przyjaciółka Elisabeth zasugerowała, że-
bym do Pani napisała, w nadziei, że pomoże mi Pani odszukać mój akt urodzenia.*

*Widzi Pani, muszę zdobyć mój akt urodzenia albo znajdę się na ulicy bez da-
chu nad głową, a jeśli ja znajdę się na ulicy, stacja Lime Street zniknie z po-
wierzchni Ziemi. Sprawa jest bardzo skomplikowana, ale jeśli mi Pani odpowie,
to napiszę Pani o tym, jak to się stało, że jestem kormoranem stacji Lime Street
i dlatego Elisabeth uważa, że powinna Pani wziąć moją kandydaturę pod rozwagę
przy rozdawaniu orderów za specjalne zasługi.*

*W każdym razie teraz, kiedy już Pani wie, że uzyskanie przeze mnie aktu uro-
dzenia to sprawa wagi państwowej, i ponieważ zna Pani ludzi, którzy wiedzą
wszystko o wszystkich w całej Anglii, jestem przekonana, że będzie mi Pani w stanie
pomóc.*

*Jak już wspomniałam, nazywam się Marta Zguba, ale nie jest to moje praw-
dziwe nazwisko. Matka, która już nie żyje, powiedziała, że jako najda muszę nosić
nazwisko Zguba. A że jestem najdą, nie znam swojej daty urodzenia, nie wiem, kim
byli moi rodzice ani gdzie przyszłam na świat, więc przepraszam, ale tych informa-
cji nie podam. Matka nie żyje, więc nie mam się nawet skąd dowiedzieć, kiedy do-
kładnie zostałam znaleziona ani gdzie to było. Wydaje mi się, że mam trochę ponad
szesnaście lat i przypuszczam, że mogłam się urodzić w 1960 roku.*

Zdaję sobie sprawę, że nie mam do zaoferowania zbyt wielu faktów, ale jestem pewna, że będzie mi Pani w stanie pomóc. Będę naprawdę bardzo wdzięczna za szybką odpowiedź.

Mam nadzieję, że podczas następnego pobytu w Liverpoolu odwiedzi Pani biuro rzeczy znalezionych. Moja przyjaciółka Elisabeth obiecała, że zrobi dwuwarstwową tartę cytrynową specjalnie dla Pani.

Z serdecznymi pozdrowieniami, szanowna Królowo Anglii,

Marta Zguba

Ucałowania

Rubryka „O mieście” w dzienniku „Liverpool Daily Post”

AUSTRALIJSKI AUTOR POWIEŚCI POPULARNYCH TRAFIA NA BILET DO SZCZĘŚCIA

Rozniosła się wieść, że Australijczyk Max Cole, lat 36, prowadzi obecnie rozmowy z naszym ekspertem w dziedzinie Beatlesów, Grahamem Kempem, a tajemnica archiwum Mالا Evansa zaczyna się wyjaśniać. Anonimowe źródło donosi, że Australijczyk wraz z zawartością skrzyni skarbów z pchlego targu wkrótce wyruszy w podróż do Liverpoolu.

Aż huczy od spekulacji na temat potencjalnej zawartości walizki. Cole utrzymuje, że rozpoczął pracę nad książką na podstawie niezwykłego znaleziska. Jednakże pewne źródła donoszą, że Cole stwierdził niegdyś, że „nie ma pojęcia o Beatlesach” i „nie przepada za ich muzyką”. Te rzekome wypowiedzi zdenerwowały sporą liczbę mieszkańców Liverpoolu i stały się podobno przyczyną powstania petycji pod tytułem ODDAJCIE Mالا. W ciągu tygodnia zebrano ponad sześć tysięcy podpisów; jeden z nich złożył nawet Graham Kemp.

W związku z faktem, że nigdy nie odnaleziono prochów Evansa, wielu liverpoolczyków nalega, by Australijczyk „zachował się, jak należy”, w nadziei, że zagrożona w żalu rodzina Mالا będzie miała szansę uzyskać dostęp do zbioru, będącego prawdopodobnie najcenniejszym archiwum Beatlesów w historii.

Nikogo nie dziwi, że Cole nie spieszy się z komentarzem na temat zawartości walizki czy powstałej petycji, ale nie tracimy nadziei, że wykaże się większą otwartością, gdy zawita do naszego miasta. Rzecznik zespołu The Beatles również odmówił komentarza.

– Czytałaś piątkowy „Post”? – pyta Elisabeth. – O tym Australijczyku, który chce zagrabić dla siebie rzeczy Mala? Jakim prawem zabiera się za pisanie...

– Ilekroć pytałam Matkę o moje „dawno, dawno temu”, opowiadała mi o Nocnym Promie z Paryża, o pasażerach spożywających swoje oeufs sur le plat z szynką w wagonie restauracyjnym. Całe to obcojęzyczne menu nic mi nie mówiło. Kiedy dopytywałam o jakiś dodatkowy szczegół, podnosiła głos i karciła, że taka ciekawość to grzech – mówię.

Wpadłam przyjaciółce w słowo. Wiem, że to niegrzecznie, ale czuję, że zaraz pęknie mi głowa.

– Laleczko, może powinnaś mniej myśleć, a więcej działać – ofukuje mnie Elisabeth.

„Frustruję ją” – tak mówi. Jest niedziela i ma ochotę złapać pociąg do New Brighton, urządzić piknik na plaży i zajadać się lodami w letnim skwarze, a zamiast tego siedzimy w kawiarni. Dziś zamknięte. Światła są pogaszone, muzyka nie gra, ale i tak lepiej siedzieć tu niż w salonie mieszkania Matki. Mam przed sobą filiżankę zimnej herbaty. Nie nadaję się dziś do rozmowy, a z lady wyczekująco spogląda kosz piknikowy. Jestem ubrana w jedną z moich eleganckich sukienek uszytych przez Elisabeth – wizytową, czerwoną w białe ptaszki. Gwiżdżę do ptaszków zaczepnie, ale żaden nie odpowiada.

– Po co ktoś miałby brodzić w morzu? Przecież można się utopić – bąkam.

– Jest płytko. Wiem, że nie umiesz pływać, ale to nie powód, żeby... – zaczyna Elisabeth.

– Chyba wymyśliłam, jak rozwiązać problem bycia liverpoolskim kormoranem. Muszę zabrać Lime Street ze sobą. Jeśli fragment stacji byłby przy mnie, to wydaje mi się, że mogłabym ją opuścić. Najpierw spróbowałabym się oddalić o kilka kroków, potem jeszcze trochę. Jeśli usłyszę, że stacja zaczyna się walić, wbiegnę z powrotem do hali i zatrzymam destrukcję. Jak sądzisz?

– Doskonały plan. Musi się udać – mówi, a ja się uśmiecham. – A teraz...

– Pewnie kilka tygodni zajmie mi znalezienie elementu, który zabiorę; to musi być coś kluczowego dla Lime... – snuję swoje rozważania.

– Laleczko, powinnaś się skupić na zdobyciu aktu urodzenia i numeru ubezpieczenia społecznego! – przerywa mi Elisabeth.

– Napisałam już do królowej. Wyślesz za mnie?

– Do królowej?

Przytakuję i wręczam jej list. Obserwuję ją, gdy czyta wiadomość. Ogromny uśmiech rozświetla jej twarz, po czym Elisabeth wybucha śmiechem.

– Świetnie – mówi. – Jestem pewna, że odpisze. Ale póki co...

– Mam plan B – zdradzam.

Patrzę na moją zimną herbatę i wyobrażam sobie dotyk promieni słońca na skórze w New Brighton. Czasem zastanawiam się, jak to możliwe, że od tylu lat

mieszkam na dworcu kolejowym, a w życiu nie wsiadłam do pociągu. Matka twierdziła, że wsiadanie do pociągu to grzech.

– Czas na nas, laleczko. Dołączmy do rzeszy tych, którzy podszywają się pod liverpoolczyków, i zanurzymy stopy w falach – zarządza Elisabeth.

Wiem, że chce dobrze, ale na myśl o zatłoczonym pociągu i tłumie na plaży cała się pocę.

– W biurze rzeczy znalezionych jest mnóstwo półek...

– Uciekasz od moich propozycji.

– ...mnóstwo półek załadowanych przedmiotami, które czekają, by je odnaleźć. Wiesz, na tej pierwszej półce, tam, na regale stojącym najbliżej witryny... Matka opowiadała, że czekałam tam dziewięćdziesiąt dni.

– Kochanie, daj spokój, nie mogła cię tam trzymać przez trzy miesiące.

– Tak mi mówiła – upieram się. – To Rozdział drugi mojej historii. Czasem tak sobie siedzę i się zastanawiam, ile osób zatrzymało się, żeby mi się przyjrzeć. Ciekawe, czy moja biologiczna matka wróciła tu kiedyś i czy rozważyła wejście do biura i zgłoszenie, że jednak nie jestem niczyja. – Zawieszam głos. – Podejrzewam, że bycie porzuconą sprawia, że inaczej patrzę na świat.

– Jak to?

– Cóż, codziennie staję przy tym regale i wyglądam na stację Lime Street. Obserwuję mijających mnie w pośpiechu ludzi i myślę sobie, że może ktoś z nich jest moją matką, ojcem, a może bratem czy chociaż kuzynką. Przyglądam się kostkom i nadgarstkom. Kształtom brwi i sposobowi chodzenia. Próbuję rozpoznać osobę, którą zgubiłam – mówię, po czym dodaję szybko: – Matka zdradziła mi kiedyś, że sama też nie знаła dokładnej daty swojego urodzenia i że ten fakt łączył nas w pewien wyjątkowy sposób, jakby Bóg chciał, żebyśmy na siebie trafiły.

Zawsze sobie myślałam, że jeśli to faktycznie znak, to jest on wyjątkowo subtelny, i że może Bóg mógł się trochę bardziej postarać, na przykład dając nam obu francuski akcent lub sprawiając, że Matka też była znajda.

– Chyba nigdy nie rozumiała, jaka panuje tu pustka – mówię i wskazuję na swoje zębra, bo nie jestem pewna, z której strony mam serce.

Elisabeth kiwa głową bez słowa. Chyba chce, żebym mówiła dalej.

– Nawet nie wiem, jak to jest być dzieckiem – skarżę się. – Takim prawdziwym, bez pracy i całej tej wody święconej. Choć może właśnie marzenia i pustka niewiedzy o tym, kim jestem, nadają mojemu darowi jeszcze większą wyjątkowość.

– Nie, teraz już naprawdę się pogubiłam – stwierdza przyjaciółka. – Pomóż mi, laleczko. Postaraj się to lepiej wytłumaczyć.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że jestem pełna magii – przypominam jej. Przytakuje. – Widzisz, mam pewien talent. Pozwala mi nawiązać kontakt z przedmiotami, które zostały porzucone i zagubione. Działa jednak tylko w przypadku rzeczy, któ-

re naprawdę komuś zginęły.

– Wszyscy wiemy, że jesteś czarodziejką, jeśli chodzi o znajdowanie właścicieli zgubionych rzeczy – przyznaje Elisabeth. – Jesteś takim naszym małym znalazcą.

– To coś więcej. Moje palce są zaczarowane. – Poruszam nimi w powietrzu. – To dlatego zakładam czasem rękawiczki. Jeśli jakiś przedmiot faktycznie zaginął, a ja przesunę po nim dłonią, widzę gdzie i w jakich okolicznościach został zgubiony.

Podnoszę filiżankę do ust i siorbię. Zimna herbata nie jest moim ulubionym napojem, ale nie przestaję pić. Boję się spojrzeć na Elisabeth. Mam nadzieję, że nie uzna mnie za wariatkę, więc skupiam się na rozmowie z własnymi magicznymi palcami.

– To dlatego nie lubisz dotykać ludzi? – pyta Elisabeth, a ja potwierdzam skinieniem głowy. – Czyli nie chodzi o jakieś fobie? – upewnia się, a ja ponownie przytakuję.

– Nigdy nie mówiłam Matce o mojej umiejętności. Domyślam się, że taka wiadomość byłaby dla niej ostatecznym dowodem, że jestem córką Diabła. Nie mogłam ryzykować, bo przecież gdyby się dowiedziała, utopiłaby mnie w rzece Mersey, tak jak pozbywają się tych wszystkich szczurów, które tu wyłapują. Matka знаła różnych typów spod ciemnej gwiazdy, którzy z kolei znali innych typów, co to za garść drobniaków bez mrugnięcia okiem utopiliby, co zechcesz.

– Fakt, że była o krok od wytatuowania ci na czole znaku Diabła. – Elisabeth kiwa głową. – Ale, laleczko, nie wszyscy są zgubieni. Od czasu do czasu mogłabyś dać się przytulić.

– A ty należysz do osób zagubionych? – pytam, a przyjaciółka odpowiada śmiechem.

– Nie wolno rozpamiętywać przeszłości, robią się od tego paskudne zmarszczki.

Robię najokropniejszą minę, jaką potrafię, wywołując u Elisabeth kolejny wybuch śmiechu.

– Od jakiegoś czasu dopracowuję bardzo wyszukany wyraz twarzy – zdradzam, po czym proponuję: – Chcesz zobaczyć go jako pierwsza?

Prawie godzina została mi jeszcze do otwarcia biura. Odbyłam już poranne wirowanie, ale jest coś, co chcę zrobić, zanim zacznę pracę. Elisabeth powiedziała mi, że przez całe Zjednoczone Królestwo przetacza się obecnie fala upałów, ale mnie jest zimno. Sięgam więc pod ladę, skąd wydaję czapkę i szalik zrobione na drutach przez właścicielkę kawiarni.

Śmiała się, kiedy powiedziałam, że marznę; zdaje się, że był to akurat dzień, w który padł rekord ciepła, jakieś trzydzieści dwa stopnie. Poprosiłam Elisabeth, żeby opisała dotyk gorąca na skórze, ale odparła tylko, żebym lepiej skupiła się

na określeniu, czego potrzebuję, żeby opuścić stację Lime Street, zanim upał ustanie.

Zrobiła mi czapkę i szalik. Mimo że – jak mnie poinformowała – tak gorącego i słonecznego lata najstarsi ludzie nie pamiętają, a rząd wprowadził zakaz podlewania ogródków połączony z dalszymi restrykcjami w kwestii korzystania z wody. Polecono wszystkim, by do spuszczenia toalety używać wody po myciu naczyń, w szpitalach padają rekordy przyjęć pacjentów z udarem cieplnym i zawałem serca, na niektórych drogach topi się asfalt, a wiele lasów zniszczyły pożary. A ja i tak marznę. Dlatego – podczas gdy każda żywa istota w Liverpoolu walczyła, by nie rozpuścić się z gorąca – Elisabeth siedziała w swojej kawiarni jak w piekarniku, robiąc mi na drutach czapkę i szalik.

Wsuwam palec wskazujący do jednej z dziurek w szalu. Wełna jest jaskrawoczerwona, odcienie są niedobre, a splot pozostawia wiele do życzenia. Kocham Elisabeth i jestem zachwycona moją czapeczką i szalikiem. Jeszcze nikt nie zrobił czegoś takiego specjalnie dla mnie, co sprawia, że obie te rzeczy są wyjątkowe. Przyjaciółka obiecała, że wydzierga mi też mitenki, jak tylko znajdzie wzór.

Przebiega mnie dreszcz. W biurze naprawdę panuje chłód, choć mam na sobie jedną z moich fikuśnych sukienek, dwa swetry na guziki, czapkę i szalik. Biuro jest jak pudełko, do którego wpadają wzniecane przez pociągi podmuchy, w dodatku nigdy nie zagląda tu słońce. Kiedy rządziła tu Matka, zwykle zamykała drzwi, ale nie jestem jak ona. Lubię, żeby zawsze były otwarte. Czasem powątpiewam w te doniesienia o fali upałów. Chyba żyję we własnej bańce. Bycie zagubioną w biurze rzeczy znalezionych bywa nieraz bardzo dziwne.

Kiedy sięgam po czapkę i szalik, mój wzrok pada na odręczne pismo Matki. Łudzę się, że uda mi się je zignorować, ale serce wali mi jak młotem. Sięgam więc pod ladę i wyciągam kartkę z napisem. To żadna zguba, więc nie pojawiają mi się przed oczami obrazy Matki. Kładę papier na blacie. Pojedyncza biała strona A4, z której czarne drukowane litery krzyczą: NIE, NIE WIEMY, O KTÓREJ PRZYJEŻDŻA TWÓJ POCIĄG, WIĘC IDŹ STĄD!

Przesuwam palce po napisie; uśmiecham się.

– Dużo pracy, lalczko?

Podnoszę wzrok. W progu stoi Elisabeth, uzbrojona w filiżankę herbaty i kilka grzanek.

– Śniadanko? – Podchodzi, by postawić na ladzie jedzenie i napój.

– Jesteś za dobra. Dziękuję. Gdyby nie ty, całkiem zapomniałabym, żeby jeść.

– Masz dużo na głowie. – Przyjaciółka wzrusza ramionami. – Wcinaj.

Ze śmiechem sięgam po grzanekę.

– Przylepisz to na drzwiach? – pyta Elisabeth, podnosząc kartkę.

– Jedno z dzieł Matki. Myślisz, że mogę wyrzucić do śmieci? Matka nie zno-

siła, kiedy podróżni zaglądali do nas z pytaniami o pociągi.

– Rób, co tylko chcesz. Teraz to twoje biuro rzeczy znalezionych. To znaczy będzie twoje, kiedy...

– Pomagam zgubionym rzeczom odnaleźć drogę – wchodzę jej w słowo. – Zagubionym ludziom szukającym pociągu też bym mogła.

– Mnie też pytają. Wczoraj w pierwszej godzinie od otwarcia kawiarni zajrzało chyba z dwanaście osób. Przynajmniej kilkoro z nich udało mi się namówić na kupno kanapki na drogę – śmieje się.

– Czasem, kiedy przychodzi jakaś kobieta, pytam, czy nie jest moją biologiczną matką – wyznaję. – Zagaduję je, nawet zanim powiedzą, co zgubiły.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł zaczepiać tak nieznajome, laleczko – mówi poważnie Elisabeth, a ja kiwam głową.

– Ciekawe, jak długo zajęło jej zrobienie tego – zastanawiam się, patrząc na napis Matki.

– Lepiej się nad tym nie głowić. O wiele ciekawiej jest myśleć o wesołych sprawach, jak ten twój rzymski żołnierz – mówi ze śmiechem.

– To nie mój... – zaczynam.

– Ciągłe go widzę na tamtej ławce, jak siedzi i gapi się na ciebie. Na razie!

Moje dziesięć minut dobiegło końca. Elisabeth posyła mi jeszcze całusa i pędzi do kawiarni, by obsłużyć poranny tłum.

Gwizdzę, chowając kartkę z powrotem pod blat. Może później trafi do śmietnika; nie muszę decydować teraz. Chwile, kiedy ludzie o coś mnie pytają, należą do moich ulubionych punktów dnia. Drzwi do biura rzeczy znalezionych zawsze stoją otworem i ludzie traktują to jak zaproszenie, by wejść do środka, zapytać o połączenie czy o najbliższą toaletę, skorzystać z długopisu, ponarzekać na stan kolei, szepnąć sekret lub dwa.

Wszystkie te pytania, uwagi i tajemnice sprawiają mi przyjemność. Może sporządzę napis: LUBIĘ PYTANIA! Czuję nawet sympatię do mężczyzny, który z dzikim wrzaskiem ciska neseserem o posadzkę w moim biurze i podskakuje w miejscu. Co najmniej raz na parę miesięcy ucieka mu pociąg na ważne spotkanie. Chyba powoli zdaje sobie sprawę, że nie jestem w stanie zawrócić dla niego pociągu. Nie stara się też być zabawny.

W oczekiwaniu na ludzi, którym będę potrzebna, przeglądam rejestr, szukając przedmiotów, których termin dziewięćdziesięciu dni wkrótce upłynie. Mam sporo pracy, ale dziś nie jestem sercem w biurze – myśli również odpływają mi w dal. Patrzę na podłogę, gdzie leży moja zniszczona brązowa walizka – nie za duża, nie za mała. Towarzyszy mi co dzień w porannym wirowaniu po dworcu w roli podręcznej torebki.

Wyobrażam sobie, że inni myślą, że wybieram się na wakacje. Może się nawet zastanawiają, gdzie pojedę. Chciałabym wyglądać jak dama, która zmierza

do Paryża, może w celu studiowania sztuki lub pozowania malarzowi pod wieżą Eiffla. Czasem lubię mówić z francuskim akcentem, ale tylko gdy nikt nie słyszy. Zdarza się, że do biura trafiają zagubieni Francuzi, proszący o wskazanie im drogi. Wsłuchuję się w sposób, w jaki wypowiadają słowa, po czym ćwiczę swój akcent, mówiąc im, żeby przeszli do kawiarni i spytali Elisabeth. Rzadko dziękują. Podejrzewam, że Francuzi nie są zbyt dobrze wychowani.

Matka zawsze podejrzewała, że wyszłam z łona nieczystej Francuzki. Twierdziła, że francusko wyglądam. W jej ustach brzmiało to jak obelga. Włosy mam ścięte jak sierpem – głównie dlatego, że zawsze strzygła mnie Matka, ale Elisabeth mówi, że mam „cudowne rysy twarzy” i „oczy niczym łania”. Czuję wręcz fizyczny ból na dźwięk tych słów. Zastanawiam się, do którego z rodziców jestem podobna. Ciekawe, czy ojciec rozpoznałby mnie, gdybym stanęła przed nim i zagwizdała?

Wirowanie to przygoda, którą rozpoczęłam, żeby odkrywać dworzec. Każdego ranka przed pracą przez ostatnie dwa lata (z wyjątkiem dwóch miesięcy po śmierci Matki), wczuwałam się w bycie zwyczajnym podróżnym. Wkładałam jeden z moich kostiumów – ulubioną elegancką czarną sukienkę w grochy i czarne szpilki od Mary Jane, które ktoś kiedyś znalazł w pociągu i które nigdy nie doczekały się odbioru. Idealnie na mnie pasują, jakby były zrobione na miarę.

Palce pokazały mi dziewczynę, która je zgubiła. Ujrzałam, jak przebiera się w przedziale w białą suknię. Widziałam, jak narzeczony zasłania ją prześcieradłem, kiedy zmienia strój – uciekali, by wziąć potajemny ślub. Śmiali się; w całym wagonie było prawie pusto. Zauważyłam, jak wsuwa pod siedzenie zdjętą sukienkę i buty.

Kiedy już jestem ubrana, chwytam moją zniszczoną brązową walizkę – nowy dodatek do przygody – i wiruję po stacji. Czasem przystaję, by poczytać tablicę odjazdów, i zastanawiam się, dokąd bym chciała pojechać. W wyobraźni kupuję bilet i na zawsze zostawiam za sobą stację Lime Street. Warrington brzmi jak miejsce zaczarowane. Słyszałam, jak kilka złośliwszych dziewczyn z kas biletowych się ze mnie śmieje, ale zupełnie mi to nie przeszkadza. Kiedyś przyjdzie taki dzień, że walizka naprawdę będzie spakowana, a ja wyjadę na prawdziwe wakacje; jak tylko znajdę sposób uporania się ze spoczywającą na mnie odpowiedzialnością liverpoolskiego kormorana.

Od śmierci Matki, jeśli Elisabeth jest u siebie, po jakichś dwudziestu minutach w świecie marzeń wiruję do kawiarni zamiast od razu wracać za ladę i przyjaściółka parzy dla mnie herbatę. Czasem opowiadam jej, dokąd zaniósł mnie fantazja. Bywają to miejsca, o których czytałam, a potem zastanawiałam się, do którego pociągu musiałabym wskoczyć, by do nich dotrzeć.

Snuję historie, w których muszę udać się do Czarnoksiężnika z Krainy Oz, by dowiedzieć się, kim naprawdę jestem, albo mam za zadanie doglądać królicz-

ków w kalifornijskim słońcu, albo przenoszę się do drewnianej chatki w sercu wielkich lasów stanu Wisconsin, albo wyruszam do Paryża, by pracować na zmywaku w luksusowej restauracji, innym razem wybieram się w odwiedziny do komiksowych ponuraków z farmy Wątpliwej Wygody. Ale kiedy siadam z filiżanką herbaty w dłoniach ze zniszczoną brązową walizką u stóp, Elisabeth zadaje zawsze to samo pytanie.

– Znowu zapomniałaś wysłać mi pocztówki, prawda, laleczko?

Obie wybuchamy śmiechem, a potem opowiadam jej o następnej przygodzie, jaką zaplanowałam, i książce, którą ostatnio pochłonęłam. Mówię, czy jest w niej jakiś napis, sięgam w głąb zniszczonej brązowej walizki i podaję książkę przyjaciółce. Konsekwentnie odmawia lektury; twierdzi, że czytanie to nie jej bajka. Jej bajką jest muzyka – wypełnia jej umysł przygodą i entuzjazmem.

Schylam się pod ladę i przeciągam dłoń po wieku mojej walizki. W głowie pojawia mi się obraz siedzącego w walizce dzidziusia, ale nic poza tym. Staram się z całych sił, ale nie umiem przekształcić obrazu w opowieść. Jedyna skaza, jedyny widniejący na pokrywie trop, to inicjały E.M.G. wygrawerowane tuż poniżej wykonanej z brązowej skóry rączki. Ciekawe, czy to inicjały mojego ojca? Przesuwam metalowy zaczep i zatrask odskakuje. Wnętrze wyłożone jest jedwabistym czerwonym materiałem bez najmniejszego rozdarcia, przez który biegną idealnie równe zygzaki szwów. W środku znajduje się mój plakat.

Widnieje na nim napis: ZGUBA.

Chciałam, żeby plakat był bardzo prosty – nie zawiera żadnych zdjęć. Mam niecałe sześć tygodni na znalezienie odpowiedzi. Treść plakatu jest następująca: MAM NA IMIĘ MARTA. CZY ZNASZ MOJĄ MATKĘ LUB MOJEGO OJCA?

Pod spodem numer telefonu i adres biura rzeczy znalezionych.

Mam nadzieję, że osoba, która mnie zna, tajemniczy ktoś, kto wysłał mi książkę, trafi na plakat i udzieli mi kolejnej wskazówki.

Ściągam czapkę i szalik, po czym wychodzę z biura, uzbrojona w przezroczystą taśmę klejącą.

– Co robisz, laleczko? – pyta Elisabeth.

Stoi w otwartych drzwiach kawiarni, gawędząc z dwoma stałymi klientami. Jeden z nich ma na imię Clive. Dłubie w nosie, robi kuleczki ze smarków i rzuca je na podłogę kawiarni. Już mnóstwo razy widział, że na niego patrzę; pewnie dlatego nigdy się ze mną nie wita.

– Biorę sprawy w swoje ręce – odpowiadam. Podnoszę plakat, żeby dwaj bawalcy też mogli mu się dobrze przyjrzeć. – Zostało mi mniej niż sześć tygodni, żeby zachować posadę i dach nad głową.

– Dalej, do dzieła! – kibicuje mi przyjaciółka, a uśmiech na jej twarzy jest tak szeroki, że mam wrażenie, że zaraz pękną jej policzki.

Wiruję w stronę peronu szóstego. Przyklejam plakat na tablicy wiszącej tuż

przy wejściu do najbardziej zatłoczonego peronu stacji. To centralny punkt, miejsce pierwsza klasa. Teraz tylko trzymać kciuki, żeby ogłoszenie wpadło w oczy właściwej osobie.

Wracam do biura, całą drogę wirując; nie oglądam się za siebie.

Czekam.

Wrócił rzymski żołnierz.

Przyjeżdża w każdy dzień roboczy pociągiem o siedemnastej trzydzieści siedem z Chester. Wiem, bo Elisabeth przeprowadziła śledztwo. Jeszcze długo wołałam na nią Sherlock. Rozrysowała mi na serwetce wykres i wyjaśniła, że pod główną halą stacji Lime Street znajduje się podziemny dworzec. W zasadzie nie dworzec, a pojedynczy peron. Powiedziała, że pociągi zataczają pętlę, wioząc pasażerów z Liverpoolu przez Wirral aż do Chester i z powrotem.

Przyjaciółka opowiedziała mi, że rzymski legionista dostaje się z podziemnej stacji do hali głównej ruchomymi schodami. Marsz do ławek stojących naprzeciwko biura rzeczy znalezionych zajmuje mu jakieś cztery do sześciu minut. Nie sprawia wrażenia, żeby było mu wygodnie. Siada pod dziwnym kątem ze względu na chroniącą pierś zbroję oraz fakt, że jest najwyższym chłopakiem, jakiego w życiu widziałam.

Ręce i nogi wojaka wydają się zbyt długie w stosunku do ciała. Na oko jest w moim wieku, może odrobinę starszy. Przy pasku nosi sztylet – mam nadzieję, że prawdziwy – i ma nieco przykrótką czerwoną tunikę. Przy niektórych ruchach migają nam jego bokserki. Nosi skórzane sandały, do których nigdy nie zakłada skarpetek, nawet w deszczowe dni. Zawsze kładzie przy sobie hełm, a plecak leży na posadzce przy nogach. Nigdy się nie uśmiecha, je kanapki owinięte folią aluminiową i pije z wojskowej manierki. Gapi się na mnie, niezależnie od tego, czy jestem w biurze rzeczy znalezionych, czy w kawiarni.

Po burzliwych dyskusjach i długich rozważaniach doszliśmy z Elisabeth do trzech możliwych wyjaśnień. Pierwsze, że to podróżnik w czasie, przybyły z epoki, kiedy Rzymianie urzędowali w Chester, który nie zdążył jeszcze wymyślić, w co się przebrać, by skuteczniej wmieszać się w tłum dzisiejszego Liverpoolu. Drugie wytłumaczenie zakłada, że facet jest nieśmiertelny, urodził się w czasach Rzymian i po prostu nie ma współczesnych ubrań. Trzecia opcja jest taka, że to wariat żyjący w przekonaniu, że jest prawdziwym legionistą Imperium.

Rzymski żołnierz zaczął regularnie wcinać kanapki na ławce w dzień przed śmiercią Matki. Obserwuję go czasem, zastanawiając się, co zgubił. Nieraz przychodzi mi na myśl, że zakochał się w Elisabeth. Ciekawe, czy zmienia zawartość kanapek, czy też zawsze ma takie same? Ale przede wszystkim chciałabym wiedzieć, czy zna moją tożsamość, bo zdarza się, że patrzymy na siebie, dopóki nie zerwemy kontaktu wzrokowego. On nigdy nie odwraca wzroku pierwszy.

Dzisiaj do niego macham. Robi minę, jakby zobaczył ducha, i tak jakby od-

powiada machnięciem kanapką. Nadal się nie uśmiecha. Zastanawiam się, czy mu nie zimno. Ciekawe, dlaczego legioniści rzymscy nie noszą kurtek? Fakt, słyszałam, że w Rzymie zawsze świeci słońce, ale czytałam też, że Rzymianie budowali mnóstwo murów na północnych krańcach Anglii, a Elisabeth była tam kiedyś i mówiła, że przez większość czasu panuje tam przejmujący chłód.

– Dlaczego Rzymianie nie noszą kurtek? – wołam do przyjaciółki.

Nie odwracam głowy w jej kierunku. Krząta się za ladą, obsługując klienta, a ja stoję w drzwiach, wpatrzona w legionistę. Taki układ sprawia, że w zasadzie wykrzykuję pytanie w stronę wojaka, który jednak nie zaszczyca mnie odpowiedzią.

– A nie zarzucają na siebie takich pelerynek? – woła do mnie Elisabeth.

– Ten nie. – Wskazuję na naszego legionistę, który wlepia we mnie spojrzenie, dopóki nie odwracam wzroku. – Pomachał mi.

– Kto taki?

– Rzymski legionista – informuję, ponownie wyciągając ku niemu palec, na wypadek gdyby zapomniała, że dzień w dzień obrońca Cesarstwa zapuszcza żurawia do jej kawiarni. – A nie, patrz, idzie sobie.

Obserwuję, jak wstaje. Niemal się przewraca, sięgając po plecak, po czym przygląda czerwoną tunikę i opuszcza stację. Nie patrzy już na mnie; nie macha na do widzenia. Ma lekko buraczkowe uszy.

– Laleczko? – dobiega mnie głos Elisabeth. Chyba mówi do mnie od jakiejś chwili, ale nie rejestrowałam jej słów. – Co to za machanie?

– Kanapkowe.

Elisabeth się śmieje, a kiedy przestaje, zwracam się do niej z poważną miną:

– Myślisz, że to on wysłał mi książkę?

– Być może... – waha się Elisabeth. – Chyba jutro zadamy mu kilka pytań.

Wpadnij dotrzymać mi towarzystwa po pracy. Obmyślimy plan i upieczemy ciasto dla legionisty.

– Ciasto? – dziwię się.

– Tak, zwabimy go tu ciastem, na którego widok pocieknie mu ślinka. Wygląda mi na wielbiciela tarty cytrynowej.

– To moje ulubione!

Elisabeth puszcza do mnie oko. Zawsze postrzega ludzi w kategoriach wypieków. Stwierdziła kiedyś, że Matka jest tortem ananasowo-orzechowym z twarogowym lukrem. O mnie powiedziała, że jestem babeczką motylkiem, a siebie samą przedstawia jako Czarny Las.

Gwiżdżę, kiedy wychodzę z kawiarni i zmierzam z powrotem do biura rzeczy znalezionych.

Elisabeth całe popołudnie robi na drutach i nuci pod nosem. Dotrzymuję jej towarzystwa w kawiarni, czytając i gwiżdżąc. Jest cicho i spokojnie, ale uwielbiam

obserwować, jak zachowuje się wobec klientów. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, jak wiele się od niej uczę. Do mężczyzn zwraca się per „kolego”, do pań „królowo”, ale tylko do mnie mówi „laleczko”, bo jestem wyjątkowa. Delektuję się śmiechem, który odbija się echem od czerwonych ścian lokalu. To wewnątrz tak bardzo różni się od biura rzeczy znalezionych. Tam panuje wieczny chłód; stąd bije ciepło.

Dziś w pracy miałam dobry dzień. Stanley nauczył mnie słów „berylopodobny” i „wierzbowate”, uśmiechnęłam się dwieście razy, zanim straciłam rachubę, i udało mi się odnaleźć właścicieli dwóch sztucznych szczęk, jednego słomianego osiołka i bat, również sztuk jeden.

Nie pobrałam opłaty za żadną ze szczęk. Zgłosiła się po nie para staruszków, którzy weszli do biura, trzymając się za ręce. Wyjęli zęby w pociągu, zamierzając uciąć sobie drzemkę. Pani miała na imię Trisha Toler – imię i nazwisko śmiesznie toczyły się w jej bezzębnych ustach. Ładnie się uśmiechała. Podobało mi się, że chichotała i wypowiadała „sztuczna szczeka” sepleniącym szeptem. Podobało mi się, że mieli takie gumiane uśmiechy. I podobało mi się, że on pozwolił jej mówić, cały czas mocno ściskając jej dłoń. Powinni byli zapłacić po funcie za sztukę, ale dodam tę kwotę do sumy za ten miesiąc i wypiszę później czek z konta Matki.

Teraz czekam na pociąg o siedemnastej trzydzieści siedem z Chester. Czekam, żeby znów zobaczyć rzymskiego legionistę. Patrzę zza lady i przez otwarte drzwi. Słyszę rytmiczne klikanie drutów Elisabeth. Uśmiecham się. Tarta cytrynowa, owinięta przezroczystą folią, pyszni się na białym papierowym talerzu na blacie.

O siedemnastej czterdzieści dwie Rzymianin zajmuje miejsce na ławce naprzeciwko biura rzeczy znalezionych i kawiarni. Zdejmuje hełm, kładzie go przy sobie, a potem schyla się, szukając czegoś w czarnym plecaku. Obserwuję każdy jego ruch. Nie zauważam, kiedy Elisabeth zsuwa się ze swojego taboretu przy barze. Dopiero była przy mnie, a teraz już idzie w stronę wojaka. Wciąż ma w rękach druty i kłębek wełny.

Śledzę przyjaciółkę wzrokiem. Podziwiam jej pewność siebie. Idzie, lekko się kołysząc; jej żółte szpilki stuk-stukają o posadzkę, a żółty bob podskakuje przy każdym kroku. Jest w każdym calu doskonała. Podchodzi do rzymskiego legionisty i pochyla się, żeby do niego zagadać. Ciekawe, czy w tej chwili się w niej zakochuje? Nagle Elisabeth odwraca się i wyciąga rękę w kierunku kawiarni, po czym ogląda się z powrotem na niego.

Nie spuszczam wzroku z chłopaka; nadal ani cienia uśmiechu. Znów schyla się do plecaka, potem siada wyprostowany, sięga po hełm, wreszcie wstaje. Widzę, jak jedną ręką przygląda tył czerwonej tuniki. Elisabeth kołysze się przed nim. Spostrzegam, że kiedy uśmiecha się szeroko, cała jej twarz rozciąga się na boki. Rzymski legionista maszeruje w ślad za nią. Zmykam za ladę, chichocząc, podeksytowana i zdenerwowana; nie mogę się doczekać, żeby zadać wojakowi najlepsze

pytanie, jakie kiedykolwiek padło z moich ust. Przekraczają próg. W kilku krokach pokonują odległość od drzwi do blatu.

– Marto, oto George Harris – przedstawia chłopaka Elisabeth, po czym do-
rzuca: – Przepada za tartą cytrynową.

– *Bonjour, George 'arris.* – grucham. – Pana nazwisko! Zupełnie jak ten mu-
zyk z zespołu Ze Beatles. Podoba mi się pański ‘ełm – mówię z francuskim akcen-
tem.

George Harris zalewa się rumieńcem i kładzie hełm na kontuarze. Chyba za-
mierza podać mi rękę na powitanie, ale w końcu zmienia zdanie. Badam wzrokiem
jego twarz. Brwi ma zupełnie inne niż moje. Wpatruję się w niego i posyłam mój
najpiękniejszy uśmiech. Najwyraźniej go to peszy, bo pierwszy odwraca wzrok.

Przyglądam się jego strojowi. Podobają mi się szczegóły, jakbym miała
przed sobą figurkę żołnierzyka. Elisabeth krząta się, parzy angielską herbatę i nale-
wa ją do filiżanek z najprawdziwszej porcelany. Nalega, żeby George Harris wziął
spodeczek i dodatkowy talerzyk z kompletu na jej idealnie wilgotną tartę cytryno-
wą.

Rozpakowuje ciasto z folii. Sądzę, że miała w planie ofiarować legionście
cały wypiek na wynos, gdyby nie przyjął zaproszenia do kawiarni. Nie jestem pew-
na, czy George Harris zdaje sobie z tego sprawę. Wygląda, jakby czuł się dość nie-
swojo, może dlatego że ma na sobie strój rzymskiego legionisty, a z szafy grającej
ryczy muzyka idealna do jive’a. Powstrzymuję się przed pytaniem, czy ma ochotę
zatańczyć. Jestem ogromnie ciekawa, jak tańczą obrońcy Imperium. Nasz gość
opiera się o blat, wierząc się, by przyjąć wygodną pozycję. Już go lubię.

Robię inteligentną minę, zanim zaserwuję George’owi Harrisowi pierwsze
pytanie.

– Czy podróżujesz w czasie?

Mówię zwyczajnym tonem, starając się wypaść jak najbardziej normalnie.
Elisabeth parska śmiechem.

– No co? – próbuję zmrozić ją wzrokiem. Potem uprzejmie zwracam się
do George’a Harrisa: – To jedyne prawdopodobnie brzmiące wytłumaczenie.

– Jestem przewodnikiem dla uczniów szkół, pracuję w Chester.

– Ach! – wzdycha Elisabeth. – Na to nie wpadłyśmy, kolego. Myślałam,
że po prostu lubisz się przebierać albo że może masz lekkiego świra.

– Czuję się trochę zawiedziona – mówię. To szczerza prawda.

George Harris szczerze się śmieje; wtóruje mu ja, wtóruje Elisabeth.

W ciągu kolejnych pięciu minut informuje nas, że ma osiemnaście lat, że nie
ma żony ani dziewczyny, że wcielanie się w rzymskiego legionistę to jego pierwsza
praca i że nie znosi się spóźniać. Odnoszę wrażenie, że nie jest tak otwarty, jak
bym sobie życzyła. Zastanawiam się, czy wie, kim jestem.

Kiedy wychodzi, mam nadzieję, że jeszcze nas odwiedzi.

Później tego wieczoru wciąż jeszcze myślę o rzymskim legionście i ćwiczę gwizdanie. Rozważam, czy to on mógł być nadawcą książki i czy widział mój plakat. Stoję w oknie salonu Matki. Wyglądam na stację. Późno już, ale dworzec nie jest pusty. Patrę na przytulającą się parę. Mężczyzna podnosi kobietę w górę i wiruje z nią w miejscu. Zastanawiam się, jakie to uczucie być podniesioną i zawirowaną. Zdaję sobie sprawę, że za dużo się zastanawiam.

Nagle kątem oka coś dostrzegam. Coś na peronie siódmym. Wychylam się z okna, skupiając wzrok na odległym końcu peronu i próbując się powstrzymać od mrugania, bo mam wrażenie, że zaburza mi ono wizję. Siódemka to jeden z dłuższych peronów. Ruch o tej porze nie jest zaskoczeniem; ludzie pospiesznie łapią pociągi do domów, chcąc dotrzeć tam, gdzie ich miejsce. Rzesza plastikowych liverpoolczyków pędzi przez halę ku wejściu do metra w nadziei wskoczenia do którejś z ostatnich kolejek powrotnych na drugą stronę rzeki.

Ciekawe, jak wygląda Wirral? Nie mam zielonego pojęcia, ale jestem absolutnie pewna, że przy prowadzącej do metra bramce czeka elegancko ubrany biały królik, który rozdaje flaszeczki z etykietą WYPIJ MNIE wśród osób zmierzających na półwysep, a podróżnym w drodze powrotnej wręcza porzeczkowe ciasteczka z napisem ZJEDZ MNIE.

Zerkam na stojący na kominku Matki zegar, omijając spojrzeniem jej krucyfik. Zahaczam wzrokiem o Zmarłą Matkę w jej posrebrzanej urnie. W rozkładzie nie figuruje żaden odjazd z peronu siódmego, więc stojący przy nim pociąg musiał zostać odstawiony na noc. Wracam do punktu obserwacyjnego przy oknie.

Nie, wzrok mnie nie myli – coś wczołguje się z torów na peron siódmy. Z początku stworzenie porusza się powoli i niezdarnie. Przychodzi mi na myśl, że jest ranne. Zgaduję, że to niedźwiedź, nie, dinozaur, choć może jednak człowiek. Sylwetka, podświetlona jedynie przez odległe lampy, rzuca cień na peron, aż nagle sama zauważa, że jest widoczna i daje susa w mrok. Niezgrabny to sus.

Teraz nie mam już wątpliwości, że to ludzka postać; budowa i wzrost wskazują na mężczyznę. Patrę, jak przemyka między plamami cienia, wtapia się w uśpiony pociąg; sylwetka pojawia się i znika, gdy przesuwa się pod lampami. Zdaje się, że to pokaźnej postury jegomość w dziwnym ubraniu – długim, niedopasowanym surducie i meloniku przycupniętym na czubku głowy. Z tej odległości nie jestem w stanie ocenić jego wieku. Chyba ma długą brodę – spływa mu po piersi. Wydaje mi się, że jest brązowa i że na końcu zwija się w szpic. Wygląda na to, że człowiek ma przytroczoną do pleców wędkę.

Śledzę go wzrokiem, jak przeskakuje z cienia w cień. Patrę, jak przykuca i robi uniki. Wydaje mi się, że jedną nogę wlecze nieco za sobą, a od czasu do czasu chwytą ją nawet rękami, jakby chciał ją przyspieszyć. Nikt inny go nie dostrzeżga; pozostaje niewidzialny dla podróżnych, pospiesznie mijających wejście na peron siódmy.

Na peron wchodzi dwie dziewczyny. W pierwszym odruchu mam ochotę otworzyć okno na oścież i wrzasnąć do nich, żeby uciekały, że w mroku kryje się dziwak z wędką. Chyba jednak wstrzymuję oddech. Ani drgnę. Brakuje mi odwagi. Kucam na podłodze i zerkam zza parapetu. Obserwuję, jak panny zdają sobie sprawę, że zawędrowały na niewłaściwy peron. Jedna z nich ze śmiechem wskazuje wielką cyfrę siedem. Chyba piły alkohol. Z całą pewnością zajadają się czymś z brązowych papierowych torebek.

Patrzę, jak dziewczyny zawracają i z powrotem przemierzają peron. Chcę zawołać, żeby przyspieszyły, ale nie robię tego. Dostrzegam, jak mężczyzna wyłania się z cienia. Widzę, jak podróżne wrzucają papierowe torby z resztkami przekąsek do kosza. Mijają kubeł na śmieci, a tajemniczy jegomość cofa się w mrok. Czeka, aż dziewczyny pójdą dalej.

Dopiero wtedy spostrzegam, że jedna z brązowych papierowych torebek dryfuje w powietrzu. Unosi się nad koszem, kołysze się z boku na bok, po czym zostaje wciągnięta w ciemność. Wszystko odbywa się w okamgnieniu. Nie śmiem nawet mrugnąć. Nagle mężczyzna wypada z cienia, wlokąc za sobą niesprawną nogę, uzbrojony w papierową torbę oraz wędkę. Wiodę za nim wzrokiem, gdy przemyka z cienia w cień, kierując się na tyły peronu siódmego.

Zrywam się na równe nogi i wybiegam z pokoju, pędzę w dół po dwa stopnie i wpadam do biura rzeczy znalezionych. Otwieram drzwi kluczem i wyskakuję na halę. Opuuszczam wirowanie, nie ma czasu do stracenia.

– Dokąd tak lecisz, laleczko? Mam tu kawałek ciasta dla ciebie.

Aż podskakuję na dźwięk głosu Elisabeth, co przyhamowuje mój bieg. Przyjaciółka stoi w otwartych drzwiach kawiarni.

– Czy ty w ogóle bywasz w domu? – pytam.

– Jeszcze piekę – odpowiada, a ja wskazuję na peron siódmy.

– Nie ma już żadnych przyjazdów, prawda?

– Nie widzisz go? – denerwuję się. – Tam. O tam, na końcu peronu. Tamten dziwak w meloniku.

– Pewnie jakiś dzieciak się wygłupia. – Wzrusza ramionami. – To co, ciasta?

Podaje mi w serwetce porcję biszkoptu królowej Wiktorii, jak zwykle większą od standardowej. Na sam widok przysmaku cieknie mi ślinka. Chwytam ciasto i ruszam biegiem ku peronowi siódmemu.

– Dzięki. Przypilnujesz biura? – rzucam przez ramię, przekrzykując odgłos własnych pospiesznych kroków. – Za sekundę wracam.

W połowie peronu siódmego orientuję się, że jegomość zniknął. Nigdzie go nie widzę. To bez sensu! To znaczy tak, oczywiście, panuje noc, jest ciemno i strasznie, ale przecież nie mógł rozpląnąć się w powietrzu. Zatrzymuję się. Obracam się wkoło. Próbuje zajrzeć w mrok. Podchodzę do krawędzi peronu. Pochylam się, spoglądam w czeluść torów, w lewo, w prawo. Kątem oka dostrzegam drobny

ruch na samym końcu peronu siódmego; dobiega mnie szcęk metalu. Studzienka, na lewo od toru – drgnęła, brzęknęła.

Idę wzdłuż peronu drobnymi kroczkami, nie odrywając wzroku od studzienki. Dyszę głośno. Próbuję wstrzymać oddech, ale zamiast tego zaczynam kaszleć. Nie jestem szczególnie dobrym skradaczem. Mężczyzna wie, że się zbliżam.

– Dobry wieczór – rzucam w przestrzeń, po czym dodaję: – Proszę mnie nie zabijać.

Studzienka brzęczy. Podskakuję.

– Czy to znaczy, że jednak mnie pan zabije? Bo wie pan, zabicie mnie nie byłoby miłe. W zasadzie zabicie mnie oznaczałoby, że jest pan wredny.

Studzienka znów brzęczy. Ja znów podskakuję.

Schylam się, by uklęknąć na betonowym podłożu. Chłód przenika przez biały poliester jednej z koszul nocnych Matki. Tak, właśnie w tej chwili orientuję się, że jestem ubrana do spania, w odziedziczoną po Matce koszulę nocną. Jest o milion rozmiarów za duża. Patrzę w dół i dostrzegam prześwitujące przez cienką tkaninę sutki. Ale i tak się nachylam, przytrzymując dekolt, żeby nie ukazać zbyt wiele. Kłapa studzienki porusza się z brzękiem.

– Lubi pan ciasto? Elisabeth upiekła. W dodatku nałożyła ogromną porcję, ale mogę panu odstąpić... Musi pan tylko obiecać, że mnie pan nie zabije, zanim je panu oddam.

Studzienka pobrzękuje w odpowiedzi.

– Bo wie pan, zabicie mnie i kradzież ciasta byłyby naprawdę niesympatyczne. A pan sprawia wrażenie sympatycznego. Podoba mi się pański kapelusz.

Dopiero wtedy metalowe wieko się odsuwa. Nie śmiem nawet zaczerpnąć powietrza, gdy z dziury wyłaniają się dwie dłonie, które chwytają się krawędzi, a za nimi wyskakuje melonik, potem głowa, a wreszcie, z lekkim trudem, wyłazi reszta ciała. Wkrótce nieopodal toru stoi wysoki brodaty mężczyzna, ze zbyt małym melonikiem przycupniętym na czubku czaszki i wędką przytroczoną do pleców. Brodę ma matową, ubrudzoną grudkami czegoś brązowego. Mam nadzieję, że to nie kupa. Dziwak wbija wzrok w porcję ciasta, którą trzymam w dłoni.

– Proszę. – Wyciągam ku niemu deser.

Wyraźnie się waha, choć nie odrywa oczu od przysmaku. Nie cofam ręki; obserwuję, jak pożera ciasto wzrokiem. Przyglądam mu się uważnie. Jego strój nie jest najlepiej dopasowany i zauważam, że jegomość nie ma butów. Patrzę mu w twarz. Wydaje mi się, że jest opalony. Ciekawe, czy wrócił niedawno z wakacji. Prawdę mówiąc, nie widać za wiele skóry. Ciało mężczyzny tonie w zbyt obszernym ubraniu, a twarz i głowa są nieprawdopodobnie owłosione. Może mieć ze sto lat; oznaczałoby to, że mógłby być moim tatą.

– Jest pan ranny? Lubi pan gwizdać?

Nie odpowiada. W zamian podnosi rękę nad głowę. Powoli. Kwaśny zapach

wędruje do moich nozdrzy. Jest ostry i osłabiający. Przetykam ślinę. Staram się nie oddychać. Dziwak śmierdzi bardziej niż najbardziej śmierdzący śmierdziel, jakiego kiedykolwiek przyszło mi wąchać. Chyba nosi na sobie smród całego gówna Liverpoolu. Patrząc, jak rozprostowuje palce. Dostrzegam, że ma paznokcie pomalowane brudem.

Kładę ciasto blisko krawędzi peronu, zabezpieczając je białą serwetką przed pyłem posadzki. Mężczyzna powstrzymuje się jeszcze minutę, może dwie. Potem nachyla się troszkę, porywa biszkopt i podnosi go do ust.

Pożera ciasto wraz z serwetką tak zachłannie, że zastanawiam się, kiedy ostatnio coś jadł. Traktuje mnie jak powietrze, co nasuwa pytanie, kiedy po raz ostatni znajdował się w towarzystwie istoty ludzkiej. Cuchnący człowiek przypomina zwierzę, jest dziki i zagubiony. Już go lubię.

– Jestem Marta – przedstawiam się.

Po raz pierwszy patrzy mi w oczy. Ma oczy o niesamowitym odcieniu błękitu. Wydaje mi się, że pod gąszczem owłosienia na jego twarzy błysnął uśmiech. Potem unosi melonik, kładzie go na ziemi, odwraca się i opuszcza z powrotem w głąb studzienki. Porusza się sztywno; prawa noga zdaje się nie być zupełnie sprawna. Metaliczny brzęk niesie się echem, kiedy wieko wraca na swoje miejsce. Czekam tam minutę, może pięć, po czym podnoszę kapelusik z posadzki. Kręcę melonikiem na dwóch palcach, wirując z powrotem do biura rzeczy znalezionych.

Elisabeth jest na posterunku, usadowiona na moim taborecie za ladą. Pisze coś w rejestrze.

– Wpłynęło zgłoszenie o zagubionym kocie – składa raport.

– Przecież jest zamknięte.

Nie podnosi oczu znad wypełnianej kolumny.

– Choć do zaginięcia niekoniecznie doszło w okolicy stacji Lime Street. Może też chodzić o szczura. Myślę, że zgłaszający mógł być pod wpływem. Zano-towałam ci tu opis. – Wskazuje na górę strony.

– Dzięki – rzucam.

Nawet nie czytam wpisu. Odwracam się, by spojrzeć na peron siódmy. Kładę melonik na blacie, po czym obracam go do góry dnem i zaglądam do środka. Wewnątrz kapelusika znajduje się metka, a na niej napisane dziecięcym charakterem pisma: „Własność Williama”.

Przesuwam palcem wskazującym prawej ręki po literach. Przed oczami staje mi obraz rannego mężczyzny. Widzę, jak siedzi w fotelu, w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Płacze. Odrywam palec od metki.

– Ma na imię William – oznajmiam.

– Kto znowu? – pyta Elisabeth.

– Ranny mężczyzna.

Odwracam z powrotem melonik. Przesuwam palcem po gładkim filcu. Nagle

pojawia się przede mną ten sam kapelusik na głowie biznesmena pracującego w Londynie. Człowieka zadufanego w sobie, niziutkiego jak karzeł, takiego, któremu zależy, żeby dobrze wyglądać. Jechał pociągiem, który właśnie wtaczał się na liverpoolską stację Lime Street, ostatni przystanek, czas wysiadać. Nie przyjechał na długo. Ważne spotkanie w interesach. Melonik wykonano dla niego na specjalne zamówienie; dotąd miał go na głowie tylko raz. Mężczyzna miał na sobie świetnie skrojony garnitur, a melonik stanowił dopełnienie doskonałego stroju – był to, w pewnym sensie, mundur człowieka interesu. Każdy szczegół miał znaczenie.

Widzę, jak biznesmen rozgląda się, by sprawdzić, czy wszyscy wokół na pewno podziwiają jego ubranie. Poprawia melonik na głowie. Czeka, by wysiąść z pociągu. Obserwuję rozgrywającą się scenę. O, wysiadł na peron, ktoś strącił mu kapelusz na ziemię, padły przeprosiny, biznesmen podniósł krzyk protestu. Melonik powirował nad tłumem. Wytańczył sobie wolność. Dotarł do krawędzi peronu i pofrunął na tory. Przepadł.

Widzę, jak odsuwa się wieko studzienki. Z czeluści wyłania się chłopiec – ma brudne ubranie, wygląda szaro i smutno. Porwał melonik, włożył go na głowę i kapelusz opadł mu na błękitne oczy. Dziecko uśmiechnęło się i wskoczyło z powrotem w ciemny otwór. To nie z człowiekiem interesu podzieliłam się ciastem.

– Smakował ci biszkopt?

Elisabeth sprowadza mnie z powrotem na ziemię. Zdejmuję palec z melonika.

– Oddałam go – przyznaję się, po czym dodaję: – Williamowi.

Nadane przez Anonima, adresowane do Marty Zguby, przekazane w *Pieśni skowronka* Willi Cather, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja droga Marto,

ogromnie się cieszę, że zdecydowałaś się nawiązać ze mną kontakt. Muszę wyznać, że widok twojego plakatu nappełnił mnie dziś rano wielką radością. W ramach wyjawienia mojej tożsamości przyznam tylko, że to ode mnie wiele miesięcy temu otrzymałaś książkę. Ode mnie, nadawcy tchórza.

Dotarła do mnie wieść, że osoba, którą nazywałaś Matką, odeszła, co nasunęło mi myśl, by ponownie się z tobą skontaktować. Niestety odwaga nie spłynęła na mnie, tak jak powinna ani tak, jak można by na to liczyć. Zrodziła się też we mnie obawa, że ponowna próba kontaktu z Tobą przysporzyłaby Ci tylko więcej troski i zmartwień niż te, którymi i tak byłaś obarczona przez minione miesiące. Pokornie proszę, przyjmij ode mnie kondolencje i przeprosiny za brak wiadomości do tej pory.

W odpowiedzi na Twoje pytanie wyznam, że owszem, wiem co nieco o Twoim ojcu.

Ze smutkiem muszę Ci donieść, że Twój ojciec odszedł już z tego świata. Zmarł jakieś dziesięć lat temu. Z przykrością przyjmuję zadanie przekazania Ci tych wieści, szczególnie że smutek i żal już i tak od kilku miesięcy towarzyszą Ci w młodym życiu. Drżę na samą myśl, że to mi przypada w udziale wyjawienie Ci faktów dotyczących Twojego pochodzenia.

Muszę trzymać się prawdy i wyznać Ci, że Twoi rodzice byli kochankami i nigdy się nie pobrali; co więcej, Twój ojciec był już żonaty. Wyobrażam sobie, jaki to dla Ciebie musi być szok, ale to jeszcze nie koniec smutnej opowieści.

Twój ojciec był, zdaje się, nauczycielem gry na pianinie; niektórzy wspominali, że grał najlepiej w całej wsi i że jego palce śmigwały jak zaklęte po klawiszach z kości słoniowej. Przez lata chodziło mi po głowie, że może odziedziczyłaś po nim talent muzyczny albo talent do magii. Twoja matka była jedną z jego uczennic, dzieckiem zaledwie. Była bardzo zdolna i kochała książki tak jak Ty. Urodziła Cię, kiedy miała piętnaście lat.

Wybacz, że Cię tym obarczam, droga Marto. Czuję jednak, że musisz jeszcze

trochę zgłębić swoją historię rodzinną. Nie bez przyczyny w liście odnoszę się do Twojej biologicznej matki.

Będę wyczekiwać wieści od Ciebie.

Łączę pozdrowienia,

Anonim

Podnoszę wzrok znad książki, kiedy Elisabeth tanecznym krokiem wpada do biura z papierowym talerzykiem w prawej ręce.

– Zostało raptem trzydzieści sześć dni do twojej eksmisji, laleczko.

Kładzie talerzyk na ladzie. Tarta cytrynowa i babeczka z serem.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Odliczam – mówi, co przyjmuję skinieniem głowy.

– Drak przyniósł mi tę książkę.

Pokazuję Elisabeth prezent, ale nie podaję jej do ręki. Nie chcę, żeby ktokolwiek dotykał tej książki. Pragnę zachować ją tylko dla siebie.

– Ktoś użył jej, by napisać do mnie list. To naprawdę długi wpis.

Ubieram twarz w najpiękniejszy i najszerszy uśmiech, na jaki mnie stać, ale przyjaciółka wcale na mnie nie patrzy. Gapi się na książkę.

– Nie no, kto zrobiłby coś takiego? – mówi, jakby to był jakiś występki.

– Jest nowa, nikt jej nie zgubił. To najpiękniejsza książka, jaką w życiu widziałam.

Powoli przewracam kartki w obawie, że mogłabym zniszczyć słowa. Potem otwieram książkę na początku wpisu – zaczyna się już na wewnętrznej stronie okładki. Czytam na głos dla Elisabeth, po czym przechodzę do kolejnej strony – tam jest ciąg dalszy. Nadawca wykorzystał białe przestrzenie, marginesy, szczyty stron, końce rozdziałów. List jest rozsypany po całej książce, a ja go odkryłam. Ktoś zdradza mi sekrety. Książkę wzbogacono o nową historię.

Łzy spływają mi po policzkach, kiedy odczytuję dla Elisabeth słowa wewnątrz *Pieśni skowronka*. Płacę nad osobą, której nie będzie mi dane poznać. Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było zostać matką w moim wieku. Nie potrafię.

Elisabeth słucha i płacze ze mną. Mówi, że to beznadziejnie smutna historia, po czym fuka na mnie za wycieranie smarków w rękaw i obie wybuchamy śmiechem.

– Jutro wywieszę nowy plakat – oznajmiam.

– Zamieścisz na nim pytanie o numer ubezpieczenia społecznego albo akt urodzenia?

– E, chyba lepiej zacznę od czegoś banalniejszego – mówię i Elisabeth znów się śmieje.

Pełnimy z Elisabeth dyżury prowadzenia obserwacji peronu siódmego – czasem wspólnie, czasem oddzielnie. Mamy nadzieję, że zobaczymy Williama. Jeśli mam być szczerą, przez cały dzień co kilka minut zerkam ukradkiem w tamtą stronę. Dzisiejszego ranka zamknęłam biuro rzeczy znalezionych już dwa razy, żeby wbiec na górę do saloniku Matki i wyrzucić z porządnego punktu obserwacyjnego. Zacisnęłam powieki, przechodząc przez pokój, żeby nie widzieć przesadnie wielkiego drewnianego krucyfiks Matki; bałam się, że mógłby rzucić na mnie klątwę i posłać mnie do piekła za karę, że zamknęłam biuro w godzinach urzędowania.

Jednak z tego okna roztacza się najlepszy widok na perony.

Po pracy, zanim udałam się do Elisabeth na popołudniową pogawędkę przy filiżance herbaty, wzięłam walizkę, przywdziałam śmierdzący melonik Williama i powirowałam na peron siódmy. Nigdzie go jednak nie wypatrzyłam. Gdzieś w głębi obawiam się, że był on tylko wytworem mojej wyobraźni. Może tak się dzieje, kiedy człowiekowi brakuje Rozdziału pierwszego historii życia – może wtedy tworzy się niby-ludzi.

Ale kto wymyśliłby sobie przyjaciela, który chodzi bosy, cuchnie szambem i nosi wędkę na plecach?

Stwierdziwszy, że Elisabeth pracuje zawzięcie, a George Harris w rzymskim wdzianku już był i sobie poszedł, postanowiłam, że otworzę biuro rzeczy znalezionych na kilka dodatkowych godzin. Chyba liczyłam na to, że William zauważy, że biuro jest czynne i zgłosi sam siebie. Przydałoby się, bo przecież jest zagubiony – nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Mógłby posiedzieć na półce dziewięćdziesiąt dni – a nuż ktoś by go odebrał?

Ale oczywiście nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego wraca do mnie pluszowa małpka. Słowo daję, że nie mam pojęcia, gdzie ludzie ją znajdują, ale wiecznie ta sama bidusia ginie i odnajduje się niemal co tydzień czy dwa. Odbiera ją zawsze ten sam pan. Za każdym razem wzdycha z ulgą, z radością wnosi stosowną opłatę, a ja niezmiennie z uśmiechem zegniam pluszową małpkę. Może powinnam solidniej przepytac mężczyznę na okoliczność gubienia zwierzątka, ale ilekroć dotykam pluszaka, widzę, jak frunie z okna pociągu na peron przy akompaniamencie wulgaryzmów i wrzasków. Już na sam widok małpki wywraca mi się żołądek.

Wpisałam również w rejestrze trzy sztuczne szczęki i jeden biały but na wysokim obcasie. Nie jest źle. Siedzę przy blacie, odnotowując w zeszycie znaleziska i nucąc w takt muzyki płynącej przez otwarte drzwi i sączącej się przez ścianę, która oddziela biuro od kawiarni Elisabeth. Z szafy grającej dudnią Beatlesi, a ja wtóruję im, pogwizdując. Pokój co jakiś czas podskakuje do rytmu. Podoba mi się, że kiedy przyłożę dłoń do ściany, czuję, jak przepływa przeze mnie muzyka.

Kilka tygodni temu krążyły nawet plotki o reaktywacji zespołu The Beatles. Elisabeth mi mówiła. Czytała o tym w dzienniku „Daily Post”. Tamtej nocy nie zmrużyłam oka, taka byłam podekscytowana perspektywą doświadczenia na żywo muzyki, o której trąbili wszyscy wokół. Z powodu Matki nasz dom przespał Beatlesów i sama myśl o ich ponownym zjednoczeniu wywołała we mnie burzę nieznaną dotąd emocji. Oczywiście następnego ranka wszyscy na stacji rozmawiali tylko o tym, że reaktywacja zespołu to bujda. Płakałam przez trzy godziny, kiedy to usłyszałam. Elisabeth stwierdziła, że moja reakcja dowodzi, że jestem prawdziwą fanką, nie taką podszywaną.

Matka zawsze nazywała Beatlesów „malutkimi pomocnikami Diabła”.

– Butelsi to mroczna sfora – mawiała. – Szczury to dzieci Diabła, a Butelsi

to ich pupilki.

W świecie Matki wszystko było niezwykle skomplikowane. Słyszeć nie chciała, że nazwa zespołu nie ma w sobie litery „u” i że z butelką nie ma nic wspólnego.

– Diabeł nie zna się na literach – zaperzyłaby się i pewnie miałyby nawet trochę racji. – Słuchanie muzyki Butelsów to grzech. Każda nuta czy tekst, jaki wpadnie ci do głowy, przybliży cię o krok do smażenia się w piekle.

Głównie dlatego że nigdy nie opuszczałam biura rzeczy znalezionych – a gdy Beatlesi przejeżdżali przez stację Lime Street, byłam zamykana w swojej sypialni z surowym nakazem zatkania uszu palcami – unikałam jakoś ogólnej histerii. Byłam odsyłana na górę, do mieszkania, kiedy wiatr przywiewał najłżejszą plotkę o tym, że zespół może pojawić się w sąsiedztwie. (Jenny Jones z kiosku powiedziała kiedyś Matce, że raz doszło do sytuacji, w której George Harrison posadził jej mały palec. Po tym wyznaniu musiałam maszerować na górę, ilekroć Jenny Jones sprawiała wrażenie, że zmierza do biura rzeczy znalezionych).

Ale odkąd z Matki zrobiła się Zmarła Matka, Elisabeth udziela mi lekcji na temat wszystkiego, co ma związek z Litą Rożą, Frankiem Vaughanem, Gerrym and The Pacemakers, The Searchers, Cillą Black, The Scaffold i Beatlesami. Elisabeth uwielbia Ringo. W kawiarnianej kuchni wisi ogromny plakat z jego wizerunkiem. Teraz jest już spryskany tłuszczem, przez co muzyk wygląda, jakby miał chorobę skóry, ale ona i tak co dzień całuje go w zatłuszczony papierowy policzek. Dzięki Elisabeth znam teksty piosenek i kroki taneczne. Całymi godzinami uczyła mnie tańców: mashed potato, swima, twista, jive’a i wielu, wielu innych. Zależy jej, żebym nie czuła się jak wyrzutek.

Elisabeth powiedziała, że William wróci, jeśli będzie chciał się mi znów pokazać, a jeśli nie, to żebym tego nie brała do siebie.

– Niektórzy wolą pozostać zagubieni – westchnęła.

Pokiwałam głową, ale w duchu pomyślałam, że to największa bzdura, jaką w życiu od niej słyszałam. Kto chciałby być zgubą? Nikt. Przyjaciółka zauważyła, że bardzo się zmieniłam i że stałam się okropnie niecierpliwa. Powiedziała ze śmiechem, że to dobry znak, bo świadczy o tym, że pragnę żyć pełnią życia. Jednak jej śmiech brzmiał jakoś inaczej, a w oczach malował się smutek.

Za siedem ósma postanawiam pomyśleć o treści plakatu. Za trzy ósma martwię się, że już nigdy nie zobaczę Williama.

Jest dwudziesta trzydzieści, biuro rzeczy znalezionych zamknięte, pokój spowija mrok, a ja siedzę za ladą ze wzrokiem wbitym w peron siódmy. Próbowałam czytać, ale co kilka linii moje spojrzenie uciekało w stronę okna. Elisabeth kręci się pewnie w pobliżu szafy grającej za cienką jak papier ścianą. Leci *Hey Jude*, jej ulubiona piosenka. Słyszę, jak wtóruje wokaliście. Półka z laskami grzechocze lekko od mocnych rytmów płynących z wibrującej szafy grającej. Kawiarnia musi być

pełna ludzi. Dobiegają mnie rozmowy i śmiech. Później odbędzie się tam wieczorek poetycki. Elisabeth zapraszała mnie, ale dziś nie mam ochoty na tłumy.

Nagle przenoszę wzrok na peron siódmy i dostrzegam sylwetkę mężczyzny, który przeskakuje pomiędzy plamami cienia, a potem daje susa ku odstawionemu na noc pociągowi. Dopadam szklanych drzwi i przyklejam się do szyby, tak że nos rozpląszcza mi się na chłodnym szkłe, a dłonie zostawiają smugi. Wbijam wzrok w miejsce, gdzie – jak mi się zdawało – widziałam ruch, mając nadzieję, że nie było to tylko złudzenie. Wtedy wpada mi w oko brązowa papierowa torba unosząca się nad koszem na śmieci. Najwyraźniej William Wędkarz jest znów na łowach w okolicy.

Porywam zza lady przygotowane wcześniej pudełko. Otwieram kluczem drzwi i zamykam je za sobą. Zbliżam się do progu kawiarni.

– Elisabeth! – wołam raz, a potem drugi, trochę głośniej.

Przyjaciółka śpiewa w takt muzyki z szafy grającej i wykonuje staranne piruety po sali. Nie ma ani jednego wolnego stolika. Młodzi poeci i artyści sztuk wszelakich z trudem mieszczą się przy małych blatach i w boksach. Niektórzy siedzą na podłodze, inni stoją w grupkach pod ścianą. Dym papierosowy snuje się w powietrzu, nieznajomi ściskają sobie dłonie. Przeszywa mnie ukłucie żalu, że nie jestem taka jak oni, ale dreszcz przechodzi i znika. Nie mam czasu czekać do końca piosenki.

Jeszcze raz wykrzykuję jej imię, ale Elisabeth odpłynęła w inny świat. Jest księżniczką na własnym balu. Odwracam się więc i przyciskając do piersi kartonowe pudełko, wiruję ku peronowi siódmemu. Staram się nie potknąć o własne stopy, bo nie mam wprawy w wirowaniu z pudełkami.

Kiedy docieram do kosza na peronie siódmym, William zdążył się już przenieść w nową plamę cienia, ale w powietrzu unosi się jeszcze jego zapach. Staję w miejscu, przesuwając wzrok z lewa na prawo; odstawiam karton na ziemię. Schylam się i wydaję z niego paczkę chipsów bekonowych i tubkę lentilków. Kupiłam je wcześniej w kiosku Jenny Jones. To był pierwszy raz, kiedy dokonałam u niej jakiegokolwiek zakupu.

Kładę przekąski na posadzce obok pudełka. Następnie wyciągam trzy pary męskich butów i ustawiam je w równiutkim rzędzie. Wszystkie trafiły do biura rzeczy znalezionych i bezskutecznie czekały na odbiór przez ponad dziewięćdziesiąt dni, więc w końcu znalazły się w piwnicy, by zabrał je Zarząd. Jedną z par ktoś wyrzucił do kosza na śmieci na stacji Lime Street, ale sprzętacze Stanley przyniósł je do mnie przy okazji wyjaśniania, co znaczy słowo „bryczesy”.

Kiedy dotykam drugiej pary obuwia, widzę, że właściciel zsunął je z nóg w pociągu relacji Londyn–Liverpool i schował pod siedzeniem. Następnie włożył miękkie kapcie, a o butach całkiem zapomniał. Na trzecią parę ktoś trafił w toalecie na stacji Lime Street. To sztyblety, które na stopach właściciela pozostawiły odci-

ski i pęcherze wielkości kopców i były na niego co najmniej o rozmiar za małe. Kupił je na przecenie i bardzo mu się podobały, ale zamierzał dokonać zwrotu.

Wpadłam na świetny pomysł, że jedna z tych par butów mogłaby grzać nogi Williama. Przyniosłam różne rozmiary, więc mam nadzieję, że któreś będą pasować. Oby nie poczuł się urażony. Oby nie wybrał pary, która będzie na niego za mała. Obyśmy się zaprzyjaźnili.

Odsuwam się o kilka kroków od leżących na posadzce peronu przedmiotów, cofam się aż do uspiętego pociągu i zamieram bez ruchu. William nie każe mi długo czekać. Z ciemności wyfruwa żyłka z haczykiem. Obserwuję, jak haczyk walczy, by zaczepić się o ciężki but. Po kilku próbach wędkarz we własnej osobie wychodzi z cienia, po czym mknie ku wyłożonym przede mną prezentom.

Wstrzymuję oddech, gdy dolatuje mnie jego kwaśny smród. Zastanawiam się, czy byłoby niegrzecznie zaproponować obcemu mężczyźnie kąpiel w łazience Matki. Pamiętam, że czystość i pobożność powinny iść w parze, a potem szybko zerkam, żeby sprawdzić, czy William nie ma rogów albo ogona.

Nie ma, ale spostrzegam, że tym razem powłóczy lewą nogą. Czy to możliwe, że obie są niesprawne? Z początku miał groźną minę, ale widzę, jak wyraz jego twarzy się zmienia. Pojawia się na niej łagodność. Delikatnie głaszcze każdy but. Na łakocie spogląda z wyraźnym wahaniem.

– Proszę, wszystko dla ciebie! – mówię.

Nie ruszam się z miejsca. Staram się nie oddychać przez nos.

– Nie wiedziałam, jaki nosisz rozmiar.

William odwraca się, by na mnie spojrzeć, z brodatej twarzy wyglądają błyszczące błękitne oczy. Czuję jego wdzięczność. Milczy. Podnosi drugą parę butów, brązowe mokasyny. To te, które zostały w pociągu. Patrzę, jak przeciąga po noskach brudnymi palcami. Z ust wyrывa mu się chichot. Uśmiecham się, kiedy ten chichot wpada we mnie.

Potem odstawia mokasyny na peron i sięga po sztyblety – proste buty za kostkę na niskim kubańskim obcasie i z noskiem w szpic. To te sztyblety były przyczyną pęcherzy wielkich jak kopce. Elisabeth powiedziała, że takie obuwie cieszyło się wielką popularnością wśród elegantów w latach sześćdziesiątych. Patrzę, jak William siedzi na peronie, powoli poruszając nogą i wijąc się z bólu; wydaje mi się, że jest zraniony w lewe udo.

– Powinieneś iść do lekarza.

Błyskawicznie kieruje na mnie wzrok. W jego oczach maluje się paniczny strach, spojrzenie krzyczy: „Nie!”

– Dobrze, już dobrze – uspokajam. – Ja też nigdy nie byłam u lekarza. Nigdy nawet nie wyszłam poza stację Lime Street.

William nie odrywa oczu od moich, rodzi się między nami krucha więź. Widzę, jak opada lęk, a budzi się rozpoznanie i zrozumienie. Ja i William – jesteśmy

tacy sami.

Przenosi uwagę na but, kręci w nim stopą. Skóra na jego stopach jest czarna – lata kurzu i brudu wtarły się w podeszwę. Potem druga noga i drugi but.

Patrzę, jak wstaje. Podnosi stopę z ziemi i odstawia z powrotem na posadzkę. Klik-klak podeszwy wywołuje kolejny chichot. Zakrywa usta dłonią, starając się zatrzymać dźwięki w środku. Odgłos jest pełen dobra; to chyba brzmienie czystego szczęścia. Obserwuję Williama i sama się uśmiecham. Rozumiem go. Mam nadzieję, że buty go nie obetrą. Potem dziwak odwraca się, gotów z powrotem zanurzyć się w mroku.

– Nie zapomnij smakołyków! Jeśli przyjdiesz jutro o tej samej porze, przyniosę ci kanapkę.

William obraca się ku mnie i znów nawiązuje kontakt wzrokowy. Nie pada żadne słowo. Widzę, jak przeszukuje kieszenie, a potem schyla się i kładzie coś na ziemi. Zabiera chipsy i lentilki, po czym klik-klakuje z powrotem w mrok.

Czekam – czekam, aż wróci do swojej strefy bezpieczeństwa. Po chwili kucam. Na peronie, dumnie wyprostowany, siedzi na koniu cynowy żołnierz, wysoki na jakieś siedem centymetrów. Kawalerzysta starej daty – prezent od Williama. Dotykam figurki palcami i przed moimi oczami wyświetla się obraz.

Głośny dźwięk, ryk syren. Widzę rodzinę, która lekceważy alarm. Jedzą posiłek, siedzą razem przy dużym stole w salonie. Trwa przyjęcie, urodziny Williama, uroczystość, elegancki obiad. Tego dnia kończy sześć lat. Jest i tort. Ale będzie pycha! Takich przysmaków nie było w tym domu od dawna. Czuję, że matka i ojciec nie są zrelaksowani – czegoś się boją. William płacze.

Stół jest odświętnie nakryty – porcelanowe talerze, szklanki z kryształu. Chłopiec nie jest w stanie przełknąć ani kęsa. Ojciec mówi mu, żeby był dzielny. Że w ich rodzinie mężczyźni nie płaczą. Czuję rosnącą w matce panikę; już wie, że są blisko. Bomby. Są tuż. Ściany budynku drżą, lampy się kołyszają.

Gładzę żołnierzyka palcami i widzę, jak matka zrywa się z krzesła i krzyczy do synka. Woła, żeby biegł na dół, do piwnicy, żeby się ukrył w korytarzach pod domem. William nie chce iść bez niej. Matka znów na niego krzyczy. Chłopczyk chce wziąć ze stołu pudełko żołnierzów, prezent urodzinowy. Wypada z pokoju, do holu, potem do podziemi. Po raz pierwszy w życiu William czuje smak samotności; jeszcze nigdy nie rozstawał się z mamą. Nie umie powstrzymać siusiu, wymykającego się w krótkie spodenki.

Odrywam palce od zabawki. Wartość podarunku uderza mnie z ogromną mocą i łzy tryskają mi z oczu gorącym strumieniem.

===LUIgTCVLI5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGIiTT1SMUs/XnAAbA==

Pytanie zamieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który przykleiła na tablicy przy peronie szóstym:

Czy słusznie sędzę, że Matka nie była moją biologiczną matką?

Dokładnie o siedemnastej czterdzieści dwie George Harris wkracza do kawiarni. Cieszę się, że go widzę. Od godziny stoję w otwartych drzwiach, wpatrując się w tablicę przy budce telefonicznej przed peronem szóstym. Miałam nadzieję dostrzec tajemniczego nadawcę *Pieśni skowronka*. Pieką mnie oczy – możliwe, że zapomniałam mrugać.

– Znalazłem to. – George Harris w ręce trzyma książkę.

– *Bonjour* i tobie – witam go z uśmiechem.

Mija mnie, wpadając po drodze na plastikowe krzesło. Kładzie książkę na stoliku w połowie odległości pomiędzy ladą, za którą krząta się Elisabeth, i progiem, gdzie stoję ja. Idę tam. Podchodzę do książki i przesuвам palcem po okładce. Białe linie na pomarańczowym grzbiecie świadczą o wielokrotnym czytaniu; linie opowiadają o chwilach. Żaden obraz nie staje mi przed oczami. Tytuł nadrukowany jest na czarno, wypełnia pomarańczową oprawę. Zaglądam do środka – jest wpis: „Byłem wygnańcem, ty – moim powitaniem”. Wraca mi mowa.

– Nie znam.

– To moja ulubiona, powinnaś przeczytać. Jest o nadziei, nadziei dla natury ludzkiej.

Na stoliku kładzie hełm, który kolebie się nieco zbyt blisko krawędzi. Nie odrywając oczu od okładki, mówię:

– Dziękuję, że ją przyniosłeś.

Zerkam na George’a Harrisa i widzę, że ma zaróżowione policzki. Kiedy się uśmiecha, robią się w nich dołeczki.

– Czytałem ją codziennie, kiedy byłem nastolatkiem – oznajmia.

– Masz dopiero osiemnaście lat. Nadal jesteś nastolatkiem.

– Jestem pracującym mężczyzną – oświadcza George Harris, już bez uśmiechu. – Lubiałem sobie wyobrazać tatę, wiesz, takiego prawdziwego tatę. Marzyłem, że pewnego dnia zjawi się, żeby skopać tyłek gościowi, który udawał mojego tatę.

Milczę. Siadam w plastikowym krześle. Rzymianin poprawia na sobie zbroję, starając się osiągnąć jakiś stopień wygody na swoim siedzisku. Jest taki wysoki i szeroki! Krzesło chyba trochę się pod nim chwieje. Jest nieco ciamajdowaty. Podoba mi się to słowo. I podoba mi się George Harris.

– Elisabeth jest zajęta, ale na pewno później do nas dołączy – mówię.

Nie wiem, czy legionista mnie słyszy, bo nie reaguje, ale za to przyłapuję przyjaciółkę na tym, że nas obserwuje. Pokazuje mi gestem filiżankę herbaty, więc kiwam głową. Wiem, że dla George’a Harrisa też przyniesie.

– Wydaje mi się, że jesteś olbrzymem – mówię. – Czy twoja mama też jest olbrzymką?

– Nie mam mamy. Miałem tylko tatę. A on lubił zaglądać do butelki i okradać domy. – Kieruje słowa do swojego napierśnika, splatając dłonie na podołku.

– Co się stało z twoją mamą?

– Miała dość mojego taty. Odeszła, zanim zdążyłem zapamiętać, jak wygląda.

– Nie wiem, co powiedzieć. Czuję, że powinnam cię przeprosić, że miałeś takich beznadziejnych rodziców. Czy to wypada?

Chłopak wybucha śmiechem. Patrzy na mnie, więc posyłam mu mój najpiękniejszy uśmiech.

– Chyba nie znam nikogo, kto nie miałby rodziców do bani – odpowiada.

– A dużo znasz ludzi? – pytam.

– W sumie nie – przyznaje. – Ale słyszałem o twojej matce, czy to prawda, że była...?

Nie może znaleźć słowa. Kładzie dłonie na stoliku, strącając z niego hełm. Sięgamy po niego jednocześnie, chwytając go, by nie spadł na podłogę. Uśmiecham się, po czym mówię:

– Nigdy nie wyszłam poza stację Lime Street.

– Ale... – dziwi się George Harris. – Dlaczego?

– Wieki temu Matka dostała list. Napisano w nim, że zostałam wybrana na kormorana stacji Lime Street.

– Czyli jesteś więźniem.

– To zaszczyt, ale jeśli mam być szczerą, całe to brzemie odpowiedzialności czasem za bardzo mi ciąży. Chyba jednak mam plan, jak się stąd wydostać. Wystarczy, że znajdę coś naprawdę ważnego dla dworca i wezmę to ze sobą. – Zawieszam głos, po czym wyrzucam z siebie: – Matka twierdziła, że Liverpool to strasznie grzeszne miasto. To prawda?

– Coś mi się zdaje, że miała nierówno pod sufitem.

– Generalnie grzechem było wszystko, czego nie robiła Matka. Jedni żyli razem na kocią łapę, inni byli chorobliwie skąpi. Ja, rzecz jasna, osobiście nie byłam w mieście, ale podejrzewam, że Matka po prostu nie potrafiła dostrzec dobra w drugim człowieku.

George Harris się śmieje.

– Myślisz czasem o swojej mamie? – pytam.

– Nigdy jej nie wybaczę. Powinna była wziąć mnie ze sobą – poważnieje.

– Elisabeth powiedziała, że pewnie miała swoje powody.

– Zostawiła mnie ze stosującym przemoc pijakiem. Zostawiła mnie z przestępcą – oznajmia George Harris, a ja kiwam głową.

– Przemoc objawia się pod wieloma różnymi postaciami – wzdycham.

– Jesteś mądra jak na swoje szesnaście lat, Marto – uśmiecha się, aż robią mu się dołeczki.

Odwzajemniam uśmiech.

– A po śmierci twojej Matki? – dopytuje chłopak. – Musiałaś się zorientować, że z twoim wyjściem z dworca nie wiąże się żadne zagrożenie?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odpowiadam.
– No na pewno zdajesz sobie sprawę, że Matka była...
– Bywały chwile, kiedy byłam niegrzeczna, że Matka zapowiadała, że sama wyrzuci mnie na bruk bez grosza. To mnie przerażało: nie życie na ulicy, ale perspektywa opuszczenia stacji i patrzenia, jak na moich oczach wali się, zapadając w podziemne tunele. Tylu ludzi straciłoby życie, a Liverpool znienawidziłby mnie na wieki.

– Nie sądzę, by... – zaczyna znów George Harris, lecz zaraz się rozmyśla. Policzki mu płoną. Nie jestem pewna, czy go nie zdenerwowałam.

– To, jaka była Matka... cóż, nie była temu winna. Starła się, jak mogła – tłumaczę. – Pewnej nocy, wieki temu, Matka wypła o kilka szklaneczek sherry za dużo i opowiedziała, jak mając dziesięć lat, trafiła do sierocińca. Jej własna matka powyrywała kartki z Biblii i wepchnęła je do buzi jej siostrzyczce, kiedy ta jeszcze była niemowlęciem. Malutka zadławiła się na śmierć, miała dopiero sześć tygodni. Matka ją znalazła. – Zawieszam głos. – Powiedziała, że to zmotywowało ją do jeszcze staranniejszego studiowania Biblii...

Czekam, by George Harris się odezwał, ale milczy.

– Powiedziała wtedy, że Bóg zesłał jej mnie jako drugą szansę – ciągnę. – Żeby ulżyć jej w cierpieniu i poczuciu winy za to, że zawiodła swoją siostrzyczkę i aby mogła dowieść Bogu, że jest silna.

– Nie potrafię wzbudzić w sobie współczucia dla niej. Skrzywdziła cię...

– Musisz – przerywam mu. – Rozmawiałam z Elisabeth i pomogła mi ułożyć to sobie w głowie. Matka była skutkiem bólu jej własnej matki. Poza tym, George'u Harrisie, kiedy buzuje w tobie złość, masz twarz jak ziemniak.

Wyraz zmieszania na jego obliczu ustępuje uśmiechowi. Ja też się uśmiecham, a potem robię groźną minę, na co on wesoło się śmieje.

– Ale wiesz, każda matka powinna kochać swoje dziecko. To naturalna sprawa – upiera się George Harris.

– Nigdy nie byłam jej dzieckiem – zauważam i zmieniam temat: – Mieszkasz teraz ze swoim tatą?

– Nie, zmarł rok temu. Wóda go zabiła. Zostałem sam.

Dobrze się rozumiemy. Oboje kiwamy głowami.

– Myślę, że ta książka zasługuje na wyjątkowy dom. Chodź ze mną.

– Mam kanapkę do zjedzenia... – oponuje Rzymianin.

Zmierzają ku nam Elisabeth, balansując tacą z imbryczkiem herbaty i dwiema porcjami ciasta. Podnoszę rękę, dając jej znać, że wracam za pięć minut.

– Zjesz kanapki później. Ten jeden raz, George'u Harrisie – proszę.

Widzę, że zamierza protestować – jest uzależniony od rutyny – więc mówię szybko:

– Błagam. Dotąd wtajemniczyłam jedynie Elisabeth.

Na tylnej ścianie biura rzeczy znalezionych, po prawej stronie, znajdują się jeszcze jedne drzwi. Kiedy się je otworzy, ukazują się trzy stopnie prowadzące w dół na nieduże półpiętro, gdzie mieści się troje kolejnych drzwi, za którymi schody wiodą do trzech pomieszczeń piwnicy. Pierwszym wejściem przechodzi się do przechowalni czarnych worów na śmieci oczekujących na transport do Londynu. Środkowe drzwi dają dostęp do rur, bojlerów i przeróżnej elektroniki niezbędnej do funkcjonowania hali dworca. Są opatrzone tabliczką WSTĘP WZBRONIONY i obwieszane kłódkami.

Otwieram wejście do trzeciej piwnicznej klatki. Wstępuję na szczyt krętych metalowych schodów, wijących się do pomieszczenia zastawionego od podłogi po sufit metalowymi regałami, oświetlonego pojedynczą, wiszącą na drucie żarówką. Wchodzę na stopnie. Moje obcasy brzęczą o metal, dźwięk odbija się echem od ścian. W połowie spirali wychylam się przez metalową barierkę i pociągam za cienki sznurek, żeby zapalić światło.

George Harris tkwi na pierwszym schodku metalowego ślimaka. Słyszę, jak głośno wciąga powietrze, ach. To najwspanialszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam. Odwracam się i spoglądam na chłopaka. Ma szeroko otwarte usta i oczy jak spodki.

- Kolekcjonuję zagubione słowa – oznajmiam. – Pozwalam im rozbrzmieć.
- Wszystkie zostały zgubione? – nie dowierza.
- Wszystkie zostały znalezione.

Prześlizguje wzrokiem po setkach wypełniających półki tomów i tomików. Mam tu nawet schodki biblioteczne. Elisabeth znalazła je na chodniku, gdzie czekały wraz z kubłami na przyjazd śmieciarki. Sprawdzają się doskonale, bo nawet stojąc na palcach, nie dosięgam najwyższych półek. Pokój jest pozbawionym okien sześcianem, z każdą ścianą od góry do dołu wypełnioną książkami.

- Wszystkie regały są pełne? – pyta.
- Zmieści się jeszcze jednaście pozycji, ale to zależy od koloru. Nie wiem, co zrobię, jak zabraknie miejsca.
- Od jak dawna je zbierasz?
- Trochę ponad osiem lat. Jesteś drugą osobą na świecie, która wie o mojej sekretnej komnacie.
- Jesteś niezwykła. Jak tego dokonałaś? Jak ukryłaś to wszystko przed Matką?
- Matka panicznie bała się wszelkich podziemi; twierdziła, że Diabeł w nich mieszka.

Nie zdradzam mu, że Matka wierzyła, że szczury, diabelski pomiot, mieszkają w piwnicy ze swoim panem i władcą oraz wszystkimi jego pupilami. Ledwo Matka dostrzegła w naszym mieszkaniu pająka, chlustała na niego wodą święconą z rondla, przynosząc nieszczęsnemu zwierzątku natychmiastową śmierć. Matka lubiła, żeby wszystko było na swoim miejscu, a piwnica była miejscem dla Diabła

i wszystkiego, co z nim związane.

Twarz George'a Harrisa rozświetla uśmiech. Patrząc, jak jego wzrok tańczy po salce. Cieszy się moją książkową tęczę.

Nie wyznaję chłopakowi, że Matka zapowiedziała, że to właśnie w tej piwnicy z całą pewnością Diabeł pochłonie mnie żywcem. Prorokowała, że podgryza mi części ciała, odessie mięso od kości, a kości wypluje na halę stacji Lime Street, żeby wszyscy widzieli.

Piwniczną fobię Matki potęgował fakt, że podziemia biura rzeczy znalezionych mieściły trzy pomieszczenia. Matka, której nic nie skusiłoby do wejścia do piwnicy, z całą pewnością przenigdy nie zapuściłaby się do trzech piwnic. Nie zamierzała podejmować podobnego ryzyka. Po prostu nigdy nie schodziła pod ziemię, tak na wszelki wypadek. Przez lata i mnie obowiązywał zakaz – tak na wszelki wypadek.

– Ale jak te książki w ogóle się tu znalazły? – dziwi się George Harris. Rozpóściera ramiona, jakby witał się z każdą z nich.

– Zaraz na początku Rozdziału czwartego Zarząd wdrożył nowy system...

– Rozdziału czwartego?

– Mojej baśni. Tej części związanej z książkami. Zarządzili, że wszystkie zguby, które pozostawały w biurze rzeczy znalezionych dłużej niż dziewięćdziesiąt dni, mają być pakowane do pudeł, następnie do wielkich czarnych worków na śmieci, a na koniec należy umieścić je w jednym z pokoi w piwnicy. I...

– Ktoś musiał znosić wszystko na dół – kończy za mnie George Harris, a ja kiwam głową.

– Matka oznajmiła: „Ty i tak jesteś już pół-Diabolicą”. Przypadło mi więc zadanie sortowania znalezionych przedmiotów, ładowania ich w worki i znoszenia do piwnicy.

– Bałaś się? – pyta, zaglądając mi w oczy.

– Z początku tak; wrzucanie toreb do jednego z piwnicznych pomieszczeń było straszne. Matka wyśpiewywała hymny na hali dworca, a ja, ociekająca wodą święconą, wykonywałam błyskawiczną akcję otwórz-wrzuc-zamknij-drzwi.

Uśmiecham się, a George Harris parska śmiechem.

– Jednak Matce wkrótce się znudziło, szczególnie że większość czasu spędzała w mieszkaniu na górze, unikając biura. Przestałam więc tak bardzo się spieszyć z zamykaniem drzwi, a kiedy zdałam sobie sprawę, że Diabeł wcale tam nie mieszka, kusiło mnie, żeby tu trochę poszperać.

– I wtedy piwnica przekształciła się w twoją kryjówkę?

– Stała się miejscem, gdzie mogłam się schować przed Matką pod pretekstem pracy – precyzuję.

– Ale jak trafiły tu te wszystkie książki? – nie może pojąć George Harris, który dotarł już na sam dół.

Przesuwa palcami wzdłuż półek. Jego palce śmiesznie podskakują – są jak smukłe gałązki. Mam w bibliotece rzymskiego legionistę.

– Przyprowadziłam Elisabeth do wszystkich trzech piwnicznych pomieszczeń, ale to właśnie ten pokój, komnata półek i spiralnych schodków, najbardziej ją zachwyił.

– Mógłbym tu zamieszkać.

Uśmiecham się.

– Elisabeth powiedziała: „Tyle niezagospodarowanej przestrzeni, laleczko”. Odparłam, że nie mogę jej wykorzystać przez tego Diabła, a ona na to: „Ty głuptasie, przecież to niepowtarzalne miejsce, pełne pustych półek, które aż krzyczą, żeby je zapełnić!” – próbuję naśladować liverpoolski dialekt przyjaciółki.

– To miał być indyjski akcent? – pyta George Harris, na co wybucham śmiechem.

– O mało się o ten pokój nie pokłóciłyśmy – kontynuuję. – Spytałam ją, czy to przypadkiem nie Diabeł posługuje się nią, by mnie skusić, ale wyśmiała moje obawy. Prosiłam ją nawet, żeby przemyślała, czy przypadkiem Diabeł nie próbuje jej zrobić, żeby pozwoliła mu mnie zjeść. – Aż się wzdrygam. To nie była moja najprzyjemniejsza rozmowa z Elisabeth. – Ale z czasem pomogła mi zejść tu, do piwnicy pełnej pustych regałów, i w końcu rzeczywiście powstało tu moje tajemne królestwo. Trochę to zajęło, ale dzięki Elisabeth zaczęłam kwestionować wiarę Matki w Diabła.

George Harris przygląda mi się uważnie. Uśmiech błąka mu się po ustach, ale nic nie mówi. Od jego spojrzenia pąsowieją mi policzki. Zrywam kontakt wzrokowy.

– Tu mieszkają wszystkie znalezione książki; to moja biblioteka książek znalezionych – objaśniam.

Patrzę na zbiory. Metalowe półki uginają się od ustawionych pionowo tomów; każda książka zasługuje na szansę, by dumnie się wyprostować. Przez całe pomieszczenie ciągną się półki za półkami wspaniałych znalezisk. Każdy regał na każdej z czterech ścian pokoju jest po brzegi wypełniony książkami. Ślimak schodów kręci się w górę pośrodku salki.

Zwykle siadam na trzecim stopniu od dołu, żeby poczytać – wtedy żarówka świeci prosto na strony. Czuję się dzięki temu ważna – mam reflektor skierowany tylko na mnie. Ale tym, co sprawia, że w tej bibliotece czuję się na swoim miejscu, jest fakt, że każda z tych książek, co do jednej, została zgubiona.

Niektóre są prawie nowe, inne mają dziesiątki lat, ale pod moimi palcami każda opowiada inną, własną historię. Grzbiety wielu z nich są popękane, inne mają ośle uszy. W jednych książkach można przeczytać wpisy ołówkiem lub piórem, w inne powkładano pocztówki albo listy, żeby zaznaczyć strony. Książki opowiadają o podróży, o chwili wyjętej z czyjegoś życia. W jednej z książek znalazłam

receptę na lek, a jest też taka, w której ktoś wpisał: „Fi, nienawidzę cię. Życzę ci śmierci. Przeczytaj to i zgiń. Stu”. Odręczne dopiski zawsze czytam w pierwszej kolejności.

A jednak nikt nie zgłosił się po odbiór tych książek. Próbowałam wymyślić, dlaczego ludzie nie włożyli więcej wysiłku w zatrzymanie tych chwil z własnego życia przy sobie. Spędziłam całe godziny, zastanawiając się, ile z tych tekstów przeczytano do ostatniej litery, zanim trafiły w moje ręce. Staralam się pojąć, dlaczego ludzie nie postarali się bardziej, by znaleźć swoją zgubę. Pewnie czasem zgubienie czegoś oznacza, że ludzie potrafią udawać, że zapominają.

– Każda z tych książek kryje w sobie cztery opowieści – mówię.

– Cztery? – dziwi się George Harris.

Kiwam głową.

– Pierwsza opowieść dotyczy stworzenia tekstu, ta należy do autora. Druga biegnie przez zapisane słowa, to ta oczywista opowieść. – Podnoszę w górę dwa palce. – Trzecia opowieść to historia tego, który wybrał książkę dla siebie albo dla kogoś innego, można to czasem wywnioskować z dedykacji. A na koniec – pokazuję cztery palce – opowieść o tym, jak książka została zgubiona.

George Harris uśmiecha się szeroko.

– Każda z tych książek jest moim skarbem. Wiele z nich czekało już w czarnych worach na śmieci, gotowe, by jechać do Londynu. Uratowałam je. Odnalazłam je – mówię. – Za wszystkie zapłaciłam, rzecz jasna. Niczego bym nie ukradła.

– Nie przeszło mi to przez myśl – zapewnia Rzymianin.

– Ale za każdym razem kłamałam, oświadczając, że ktoś je odebrał, kiedy wносиłam za nie opłatę – wyznaję.

Wbijam wzrok w stopy zawstydzona, że jestem taką kłamczuchą. Myślę o Matce.

– To zupełnie co innego niż łgarstwa Matki. Niektóre kłamstwa nie są okrutne.

Patrzę na niego i od jego uśmiechu aż skręca mi się żołądek.

– Zabierałam je i układałam tutaj. Ich miejsce na półce zależało od koloru grzbietu – wyjaśniam. – Moja biblioteka książek znalezionych to tęcza tajemnic. Do dziś tylko Elisabeth wiedziała o jej istnieniu.

– Jestem zaszczycony, że mogę tu być – oznajmia George Harris.

Próbuje się uklonić, ale jego rzymska zbroja okropnie brzęczy, hamuje jego ruchy i burzy równowagę. Chwyta się półki, by się wyprostować. Chichoczę, po czym z westchnieniem spoglądam na mój zbiór.

– Zbyt wiele chwil ulega zagubieniu. Czasem żałuję, że inni nie mogą wysłuchać opowieści każdej z tych książek. Nie chodzi mi o wydrukowaną w nich treść, ale o podróż, jaką odbyły, żeby tu trafić.

– Jak to?

– Nie zawsze się udaje – przyznaję. – Ale dedykacje, wpisy stanowią sekret pomiędzy osobą, która podarowała książkę, i odbiorcą prezentu. Liczy się podróż.

– Bo każda podróż jest pewną opowieścią?

Kiwam głową.

– Ale nie każda historia ma swoje „dawno, dawno temu” – mówię.

– Moja tak.

– Szczęściarz z ciebie.

– Jak to możliwe, że masz dopiero szesnaście lat?

– Elisabeth twierdzi, że mam starą głowę na młodym karku. Ale bez zmarszczek – zastrzegam, po czym podchodzę do półek i zaczynam wyciągać książki z wpisami, by podzielić się nimi z George’em Harrisem.

Dwudziesta dziesiątka. Z pomocą Elisabeth zdołałam przygotować dla Williama mały piknik. Kanapki z peklowaną wołowiną z puszki, bułka z kielbasą, plaster wieprzowiny zapiekanej w cieście i pół sznycla. Przyjaciółka przyrządziła też śmietankową babeczkę z wieżyczką śmietany, tak wysoką, że aż się chwieje. Umieściła ją na papierowym talerzyku z rusztowaniem z przezroczystej folii, żeby ciastko się nie przewróciło. Wręczyła mi też termos swojej włoskiej kawy.

– Nic się nie stanie, jak nie odzyskam termosu. – Macha ręką.

– Matka mówiła, że kanapki z peklowaną wołowiną to psie kanapki.

Elisabeth kiwa głową. Wtedy podejmuję decyzję.

– Chodź ze mną. Chcę, żebyś się przekonała, że go sobie nie wymyśliłam.

– Przyjaciele na niby są zupełnie normalni, biorąc pod uwagę, ile przeszłaś, laleczko – zapewnia Elisabeth.

Śmieje się, ale słyszę, że ten śmiech pozbawiony jest wesołości. *Yesterday* sączy się przez ścianę z kawiarni. Elisabeth nuci melodię, wypełniając ciszę, w której pakujemy produkty do kartonowego pudełka.

– Proszę, chodź ze mną – nie odpuszczam.

Nie muszę mówić nic więcej. Wie, jakie to dla mnie ważne. Rozumie, że potrzebuję jej udowodnić, że nie zwariowałam.

– Sekundkę – rzuca i szybkim krokiem opuszcza biuro, po czym znika w drzwiach kawiarni.

Ja dalej układam jedzenie, gwizdząc do finałowych taktów *Yesterday*. Po minucie, dwóch Elisabeth jest już z powrotem.

– Jenny Jones stanęła za barem. Chodźmy poznać tego twojego dżentelmena.

– Widziałas, że wywiesiłam nowy plakat? – pytam, a ona potwierdza skinieniem głowy.

– Już wczoraj zauważyłam. Wpada w oko, ale wiesz, „Czy słusznie sędzę, że Matka nie była moją biologiczną matką?” nie powstrzyma eksmisji. Zostało trzydzieści pięć dni.

– Powstrzyma. Nawiązuję stosunki dyplomatyczne – wypowiadam „stosunki

dypłomatyczne” moim najlepszym akcentem z Blundellsands.

Moja przyjaciółka nie potrafi powstrzymać śmiechu.

Podnoszę karton i wiruję z biura rzeczy znalezionych ku peronowi siódmemu. Nie spieszę się jednak; moje obroty są powolne i powściągliwe. Staram się nie przyciągać uwagi. Elisabeth stuk-stuka przy mnie swoimi żółtymi szpilkami. W granatowych spodniach o szerokich nogawkach i białej bluzce z perłowymi guzikami właścicielka kawiarni wygląda naprawdę elegancko. Ludzie patrzą za nią, kiedy przechodzi, mężczyźni odwracają głowy, by spojrzeć jeszcze raz. Przez chwilę martwię się, że gapiąc się na Elisabeth, ktoś przypadkiem spostrzeże Williama. Kiedy ostatnio szłam na peron siódmy, było inaczej. Ja nie mam problemu z byciem niewidzialną – nie przyciągam spojrzeń.

– Mogłabyś przestać kręcić pupą, kiedy idziesz? – pytam, na co Elisabeth wybucha śmiechem. – Ludzie nie powinni nam się przyglądać. William jest nieśmiały.

– Och, laleczko... – zaczyna Elisabeth.

– Nie nadajesz się na niewidzialną, jesteś zbyt piękna.

– W takim razie ty przestań wirować. Wyglądasz ślicznie, kiedy wirujesz.

Zatrzymuje się. Kuca, by zdjąć żółte buty, po czym porywa je i biegnie boso przez peron. Śmieję się.

Gdy docieramy do końca peronu, jest dwudziesta trzydzieści. Stawiam pudełko na zimnym betonie.

– Cofnij się – nakazuję, kryjąc się w cieniu i przywierając płasko do uspiętego pociągu.

Elisabeth idzie w moje ślady. Przewraca oczami, ale nie przestaje się uśmiechać, więc wiem, że nie jest naprawdę zła.

Nie mija minuta, kiedy naszym oczom ukazują się żyłka i haczyk próbujący podnieść karton, ale pakunek jest za ciężki i wszystkie próby spelzają na niczym. Elisabeth chichocze. Uciszam ją stanowczym spojrzeniem.

– To reakcja na stres – tłumaczy się, podnosząc dłoń do ust, by powstrzymać śmiech. – Co tak cuchnie?

Gromię ją spojrzeniem, by się więcej nie odzywała. Robię krok naprzód.

– Williamie, przyprowadziłam dziś moją przyjaciółkę, Elisabeth. Zrobiła specjalnie dla ciebie babeczkę ze śmietaną. Mamy nadzieję, że spodoba ci się piknik.

Podchodzę do tekturowego pudełka i po kolei wykładam produkty, unoszę je i tłumaczę co to. Płynący od Williama kwaśny odór świdruje mi w nosie. Musi być blisko. Co parę chwilę z mroku dobiega chichot. Nie jestem pewna, czy to William, czy Elisabeth. Kiedy moja prezentacja dobiega końca, odkładam jedzenie z powrotem do pudła i się prostuję.

– Możesz zachować termos, kolego – rzuca w przestrzeń Elisabeth.

Wychodzi z cienia. Splata ramiona na piersi, ciekawe, czy z zimna, czy ze strachu?

– Chodźmy już do domu – mówi.

Nagle pojawia się William. Przenosi niespokojny wzrok ze mnie na Elisabeth i z powrotem. Przesłupuje z jednego sztybletu na drugi, jakby stepował nerwowo. Obie dłonie kurczowo zaciska na wędce. Patrzę na Elisabeth. Jej wzrok go bada, ale usta nie układają się w uśmiech. Nie umiem stwierdzić, czy się złości, czy nie.

Ale po chwili się odzywa:

– Williamie, możesz mi mówić Elisabeth. – Po czym wykonuje zgrabne dygnięcie i piruet.

William chichocze. Z miejsca ją polubił, jak zresztą każdy, ale ma jeszcze opory, by się zbliżyć.

– Miłego pikniku, Williamie – życzy mu jeszcze przyjaciółka. – Jutro o tej samej porze przyniesiemy ci dokładkę.

To rzekłszy, zaczyna odchodzić, niosąc buty w ręce i kręcąc pupą w komicznie przesadny sposób. Wybucham śmiechem, macham do Williama i wiruję za nią. Ledwie oddaliśmy się o kilka kroków, a dobiega nas tupanie stepujących na peronie sztybletów. Odwracamy się i spoglądamy na naszego dziwołaga. Kiedy widzi, że na niego patrzymy, schyla się, walcząc tym razem z prawą nogą, która nie chce właściwie się zgiąć, i stawia na peronie kolejnego żołnierzyka.

– Nie, Williamie – mówię. – Są zbyt cenne. To prezent od twoich rodziców.

W tej chwili William zatyka dłońmi uszy i zaczyna rzucać głową na boki. Z jego gardła wyrywa się przeszywające wycie. Płynie z głębi duszy; rozbrzmiewa w nim najstraszliwsza strata, jakiej doświadczyć może dziecko. Zanim zdołam zareagować, zanim Elisabeth zdąży się odezwać, William podnosi karton i rozpływa się w ciemności.

Małutki kawalerzysta stoi na straży peronu. Elisabeth podchodzi do niego, podnosi do góry. Milczy. Odeszła mi ochota na wirowanie. Wracamy do kawiarni zwyczajnym krokiem.

Kolumna „O mieście” w „Liverpool Daily Post”

KOLEJNY PRZYPADEK ZNALEZIONEJ WALIZKI

Na mieście wrze od plotek na temat przyjazdu Australijczyka Maxa Cole'a z bagażem Mala Evansa. Pewne źródła donoszą, że walizka zawierająca najcenniejszą i najistotniejszą w historii kolekcję pamiątek związanych z zespołem The Beatles już w tym tygodniu wraca do Liverpoolu.

Znalezisko zawiera podobno setki nigdy nieopublikowanych zdjęć członków grupy, zbierane przez Mala programy koncertów opatrzone autografami muzyków oraz arkusze nagrań, na których widnieje nazwisko Mala Evansa. Autorce artykułu aż miękną kolana na myśl o okazałości tego archiwum.

Cole, lat 35, twierdzi, że odkryte w walizce nagrania zawierają między innymi alternatywne wersje utworów *We Can Work It Out* i *Hey Jude*, niezaprezentowane dotąd publiczności. Jednakże najwięcej emocji budzi rzekome odnalezienie w archiwum Mala Evansa szpulowych nagrań rozmów Johna Lennona z Pauliem McCartneyem oraz nagrań Beatlesów zabezpieczonych w skrzynkach na szpule z Abbey Road. Prawdopodobieństwo dokonania takiego znaleziska stanowi nieustające źródło spekulacji w kręgach fanów Beatlesów.

Nie dajmy się jednak ponieść emocjom. Mamy obecnie do czynienia z czwartym w ciągu tyłuż miesięcy „przypadkiem odnalezionej walizki”. Krążąca po Liverpoolu plotka niesie, że duch Agaty Christie szykuje już nową tajemnicę z panną Marple w oparciu o bieżące wydarzenia.

Wiarygodności sprawie dodaje jednak fakt, że Australijczyk Max Cole inwestuje własne ciężko zarobione pieniądze w ustalenie autentyczności znaleziska. Bohater ostatnich dni wziął podobno osiem tygodni bezpłatnego urlopu z pracy, pobrał z banku oszczędności i leci do Liverpoolu w magiczną, osnutą tajemnicą podróż w celu zdobycia potwierdzenia autentyczności posiadanych przedmiotów przez naszego lokalnego eksperta do spraw zespołu The Beatles, Grahama Kempa.

Podczas gdy całe Zjednoczone Królestwo poci się w skwarze tegorocznej fali upałów, zagorzali fani Beatlesów dolewają oliwy do ognia, ponieważ święcie wierzą, że walizka wraz z jej cudowną zawartością rzeczywiście stanowiła niegdyś własność Mala Evansa, współpracownika i zaufanego przyjaciela Beatlesów.

Evans przedwcześnie pożegnał się z życiem pod koniec stycznia tego roku, kiedy to został śmiertelnie postrzelony przez funkcjonariuszy policji w Los Angeles. Po kremacji jego bliski przyjaciel, piosenkarz i autor tekstów, Harry Nilsson, zgodził się wysłać prochy Mala rodzinie, zamieszkałej w Zjednoczonym Królestwie. Od tamtej pory pojawiają się w prasie raporty, że szef firmy Apple, Neil Aspinall, podejmuje rozpaczliwe próby kontaktu z Nilssonem, ponieważ prochy nie

dotarli z powrotem na Wyspy. Biura rzeczy znalezionych na terenie całego kraju prowadzą gorączkowe poszukiwania zaginionych prochów, chcąc zwrócić skremowanego Maa jego rodzinie.

Wypłynięcie walizki w połączeniu z zaginięciem prochów Evansa dodaje kolejny supeł do i tak już mocno zagmatwanej zagadki.

Co o tym sądzić? Dziwny zwrot akcji w tej sprawie? Czy to możliwe, że Harry nadał zarówno walizkę, jak i urnę z prochami i oba przedmioty zaginęły w drodze? Czy dojdzie do tego, że i prochy Maa znajdą się na pchlim targu w Australii? Czy Max Cole naprawdę ma w rękach najcenniejszą i najważniejszą w historii kolekcję przedmiotów związanych z Beatlesami? Co zrobi, kiedy uzyska potwierdzenie, że wszedł w posiadanie autentycznych skarbów?

Fałszywy alarm czy błyskawiczny bilet do sławy? Dalej, Maksie Cole'u, publika wstrzymuje oddech.

Moje dni układają się wedle pewnej rutyny. Podoba mi się to.

Pracuję od ósmej rano do trzynastej, potem idę na lunch z Elisabeth drzwi obok. Następnie wracam do biura rzeczy znalezionych – czasem wykonuję robotę papierkową, innym razem układam rzeczy, czytam w mojej bibliotece, sprzątam mieszkanie i spisuję listy zakupów, o które proszę Elisabeth. Zdarza się, że wyskakuję do kiosku Jenny Jones, która częstuje mnie najświeższymi ploteczkami ze świata. Mam w tym względzie ogromne zaległości do nadrobienia. Potem wpadam do kawiarni na pogawędkę z George'em Harrisem, przybywającym pociągiem o siedemnastej trzydzieści siedem z Chester. Zjadam mu czasem jedną z kanapek. Po jego wyjściu przyrządzam piknik dla Williama.

Przez ostatni tydzień, codziennie o dwudziestej trzydzieści, zostawialiśmy dla Williama przysmaki i za każdym razem podchodził troszkę bliżej. Odrobinę dłużej pozostawał też w kręgu światła. Widać, że lubi Elisabeth i mnie też. Każdego wieczora zostawia nam podarunek w podzięce za jedzenie – odłamki porcelanowych talerzy, kulki do gry, grzebienie do włosów i tym podobne skarby.

Elisabeth uważa, że każdy prezent od Williama to znak wdzięczności za jedzenie, ale również znak, że traktuje naszą życzliwość jak coś nadzwyczajnego. Twierdzi, że tak mają ludzie, którzy zostali odarci ze wszystkiego, że dla kogoś takiego każdy drobiazg ma ogromne znaczenie. W tym tygodniu wyrywający się z ust Williama chichot miał dźwięk; biedak przestał próbować wpychać śmiech z powrotem do środka.

Lubię Williama. Lubię go, choć Elisabeth oświadczyła, że to najbardziej cuchnący człowiek w calutkim Liverpoolu.

– Jesteś dzieckiem uwięzionym w dorosłym ciele – powiedziała mu wczoraj Elisabeth. – A Marta jest dorosłym w ciele dziecka.

– A ty? – zapytałam.

– Ja? Podejrzewam, zupełnie poważnie, że możesz być starsza, niż ja kiedykolwiek się czułam.

Przemyślałam jej słowa, po czym, zanim zdążyłam głębiej się zastanowić, wyrwało mi się:

– A w jakim czujesz się wieku?

– Przestało mi przybywać lat tak gdzieś od piętnastych urodzin.

Spojrzałam na Williama i wywróciłam oczami. William zachichotał. Zawtórowałam mu.

– Nie ma na mnie rady. – Elisabeth wzruszyła ramionami, robiąc piruet, z którego natychmiast przeszła w mashed potato.

Tak więc zeszłego wieczoru urządzaliśmy sobie piknik na peronie siódmym. Nigdy nie przyszło mi na myśl się zastanowić, co myślą o nas pracownicy kolei. Nigdy nie zwrócili nam uwagi, nie kazali się przenosić czy przestać tu przychodzić. Czasem mi się wydaje, że naprawdę jesteśmy niewidzialni. Może William przeka-

zał nam trochę swoich magicznych mocy; może widzą nas tylko ci, którzy noszą w sercu wiarę w „i żyli długo i szczęśliwie”. Kto wie, może poza nami nikt nie wierzy w szczęśliwe zakończenia? Może tylko im się zdaje, że wierzą?

Noszę w kieszeni świstek papieru, na którym wypisałam dni pozostałe do eksmisji. Dziś skreśliłam numer trzydzieści jeden, czyli zostało jeszcze trzydzieści dni. Poza karteluszką, zawsze mam jeszcze w kieszeni cynowego kawalerzystę od Williama. To najcenniejsza rzecz, jaką posiadam, choć ilekroć zawadzę o figurkę palcem, widzę mrok, spowijający Williama jak całun. Tak bardzo chciałybym mu pomóc.

– Jesteście spokrewnione? – pyta George Harris. – Bo wydajecie się nierozłączne.

Patrzę na Elisabeth. Stoi za ladą. Ekspres do kawy wypuszcza kłęby pary, a właścicielka lokalu układa słodkie pyszności pod siatkowymi przykrywkami.

– Jest moją najlepszą przyjaciółką – wyjaśniam. – Matka nie zносиła jej od chwili, kiedy Stanley doniósł jej o otwarciu kawiarni.

– Stanley? Jej chłopak? – dopytuje George Harris, na co prychem ze śmiechu.

– Dworcowy sprzątac – prostuję. – Matka była przerażona. Urządziła nam trwający siedemdziesiąt dwie godziny post i kazała się modlić cztery minuty po każdej godzinie, żeby mieć pewność, że Panu Bogu nie umkną nasze jakże ważne nowiny.

Teraz George Harris rechocze.

– Chyba jej nie wysłuchał, co?

Kokosi się w plastikowym krześle, próbując znaleźć wygodną pozycję. Ciągle obija się o stół ręką lub nogą, a ja czekam, aż się usadowi.

– Matka wysmarowała kilka skarg, a nawet usiłowała dodzwonić się do Harolda Wilsona, by od niego uzyskać wsparcie. Wszystko bez skutku, co doprowadziło ją do przekonania, że Diabeł osobiście przechwytyje jej nader ważne listy, zarówno te do premiera, jak i do Boga!

Wspominam, że kiedy Stanley przekazał Matce „bezbożne wieści”, wszystkie okna kawiarni były zaklejone gazetami. W Matce narastał niepokój, że tuż obok zostanie otwarta „jaskinia rozpusty”, a kiedy nad lokalem zawisł neon Kawiarnia Lime Street, omal nie pękła. Mruczała pod nosem, że to w takich lokalach powstaje muzyka Diabła i że to miejsca, gdzie nastolatki spotykają się, by spółkować na stołach. Pamiętam, że nie miałam zielonego pojęcia, o czym w ogóle mówi. Szczerze mówiąc, często nie miałam pojęcia.

– Mnie natomiast ekscytowała myśl, że tuż za ścianą będą nowi ludzie – zwierzam się.

– Bo Matka nie pozwalała ci z nikim rozmawiać? – dopytuje George Harris.

– Właśnie! Ale jak mogła mnie powstrzymać, skoro ludzie byli na wycią-

gnięcie ręki przez cały czas?

Nigdy nie zapomnę, kiedy zaczął się Rozdział czwarty – to był dzień otwarcia kawiarni. Klęczałam na kamiennej posadzce biura rzeczy znalezionych, pogrążona w modlitwie w intencji duszyczek dzieci z miasteczka Aberfan, jednocześnie starając się nie myśleć o szkole i domach zagrzebanych pod węglowym szlamem. Matka opowiedziała mi o katastrofie, nie szczędząc szczegółów, po czym przypomniała, że gdybym okazała się nieposłuszna i choć na krok wyszła ze stacji Lime Street, dworzec runąłby, grzebiąc wszystkich żywcem pod gruzami. Jednak moją modlitwę i niemyślenie zakłócił nagły wybuch muzyki. Pamiętam, jak półki zadrzały. Wciąż mam przed oczami podrygujące do rytmu laski. Czułam mrowienie w całym ciele. W mieszkaniu Matki muzyka była niedozwolona. Matka kipiała ze złości.

– Na górę, JUŻ! – wrzasnęła.

Poderwałam się, a Matka chwyciła mnie za nadgarstek i wywlekła z biura rzeczy znalezionych. Zatrzymała się niespodziewanie, przez co na nią wpadłam. Uderzyła mnie płaską dłonią w głowę. Drzwi do kawiarni były otwarte i Matka wparowała do środka, ciągnąc mnie za sobą. Nie traciła ani chwili, o nie. Zaczęła się awanturować, próbując przekrzyknąć muzykę. W pewnym momencie zdawało mi się nawet, że przeszła do śpiewania *Kto się Panu odda w opiekę*.

Stałam z rozdziawionymi ustami, chłonąc wzrokiem najwspanialsze widoki, jakie dane mi było w życiu oglądać. Miejsce było egzotyczne – miałam wrażenie, że przeniosłam się do innego kraju. Włoski ekspres do kawy wyglądał jak zaczarowany. Z metalowych cylindrów buchała para, wijąc się węzami w powietrzu, a poniżej widniały długie dźwignie z czarnymi uchwyty do ściągania w dół.

– Wszystko wyglądało tak jak teraz? – ciekawi się George Harris, przerywając tok moich myśli.

Rozglądam się po kawiarni.

– Niezupełnie. Ściany były żółte jak żonkile, nie czerwone jak teraz. Błaty stolików bardziej jaśniały bielą. Tamte chyba zdjęto, a wstawiono te. – Przesuwam dłonią po powierzchni stołu. – Te same czerwone krzesła, ale wtedy niektóre były obrotowe, na takich metalowych podstawach. Bardzo fajne. Pamiętam, jak przyszłam tu po raz pierwszy i próbowałam wszystko ogarnąć spojrzeniem. Nie mogłam skupić wzroku; walczyłam z ustami, żeby nie układały się w uśmiech.

Uśmiecham się, George Harris również.

– To był chyba wyjątkowy dzień – mówi.

Głośno burczy mi w brzuchu.

– Głodna? Może ciasta? – pyta.

– Elisabeth mówiła, że ludzie przychodzili do niej, zajmowali fotele i siedzieli tak cały dzień, a na koniec marudzili, że wystygła im kawa. Wyobrażasz sobie stworzyć miejsce, którego nikt nie chce opuszczać?

– Ona to potrafi – z uznaniem kiwa głową legionista.

Patrzę na Elisabeth, ale stoi za daleko, by słyszeć słowa chłopaka.

– Matka miała inne zdanie. Nienawidziła jej od chwili, w której ją poznała.

Pamiętam, jak Matka na wstępie zasugerowała, że klienci będą płacić nierządem. Elisabeth odpaliła coś w stylu: „Cóż, królowo. Nie mam nic przeciwko, żeby regulowali rachunki na zmywaku, ale pieprzenie się na moich stolikach uznałabym za przesadę”. Uśmiecham się do wspomnienia.

– Co sobie pomyślałaś, kiedy ujrzałaś ją po raz pierwszy? – pyta George Harris.

– Że jest piękna. Miała włosy upięte pod błękitną, przypominającą turban czapką z dużą, niebieską kokardą. Blond grzywka biegła prościutko jak teraz. Miała oczy grubo podkreślone kredką i najdłuższe rzęsy, jakie w życiu widziałam. To był makijaż jak u modelek, które widziałam w zgubionych przez ludzi czasopiśmiech, zanim Matka zdążyła wyrzucić je do śmieci.

Doskonale pamiętam, że miała na sobie sukienkę mini, żółtą jak jaskry, z koronkowym dekoltem i takimiz mankietami. Jej nogi były długie i opalone, wydawała się taka wysoka w niebieskich lakierkach na kwadratowym obcasie. Nie umknął mi z pamięci żaden szczegół. Wtedy po raz pierwszy spotkałam kogoś tak wyjątkowego. Nadal nie znam nikogo, kto by jej dorównał.

– Ślicznotka z niej, to prawda – przyznaje George Harris.

Patrzy na Elisabeth, a z jego twarzy nie znika uśmiech.

– Kiedy wyszła z za lady – mówię – zdjęła biało-niebieski fartuszek; odłożyła go na szklaną szafkę obok przykrytych siatką wypieków. Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam.

– Ty też jesteś piękna – oznajmia George Harris, po czym oblewa się rumieńcem.

Uśmiecham się, ale on wbija wzrok we własny napierśnik.

Wspominam chwilę, w której Elisabeth odwiązała fartuch. Zapytała, jak mam na imię, ale nie miałam odwagi się do niej odezwać. Całe szczęście, bo Matka stała tuż obok. Trzymała mnie mocno za przedramię, szarpiąc, żebym się ruszyła. Nie byłam w stanie drgnąć. Wtedy Matka zapowiedziała, że żadne jej dziecko nie przekroczy progu burdelu Elisabeth. Poczulałam taki przyływ złości na Matkę za chamstwo w stosunku do Elisabeth, że wyrzuciłam z siebie swoje imię.

Pamiętam, że powiedziała:

– Miło cię poznać, laleczko. Jestem Elisabeth.

I wyciągnęła do mnie rękę. Nie uścisnęłam jej dłoni. Uśmiechnęłam się tylko, a wtedy ona spytała:

– Umiesz mashed potato?

Matka natychmiast wypaliła:

– Ona nie będzie u ciebie harować⁶.

6 Mashed potato to w języku angielskim „gniecione ziemniaki” (przyp. red.). I spróbowała wyciągnąć mnie z lokalu. Elisabeth pokręciła głową:

– Ach, królowo, co ty wiesz? To nazwa tańca...

Skinęła na kogoś, chyba jakiegoś mężczyznę, po czym zaczęła dziwnie kręcić stopami. Matka przestała się ze mną szarpać, ale uścisk jej dłoni był nadal jak imadło. Zaraz buchnęła muzyka – jakaś kobieta śpiewała o ziemniakach. Elisabeth przesuwiała pięty do środka i na zewnątrz, do środka i na zewnątrz. Potem ugiwała kolano, a jeden z obcasów wyrzucała do góry, odstawiała stopę na podłogę i znów pięty tańczyły do środka i na zewnątrz, do środka i na zewnątrz. I druga noga w górę! Ciało tancerki było nieruchome od pasa w górę, ale od kolan w dół działały się czary. Nigdy bym nie przypuszczała, że można się tak obracać i kołysać, nie tracąc równowagi. Ruchy były niezwykle szybkie, bezbłędnie zgrane z głośną muzyką.

– A ty znasz mashed potato? – zwracam się do George’a Harrisa.

Wstaję i dokonuję demonstracji. Legionista śmieje się serdecznie, takim śmiechem prosto z brzucha.

– Najważniejsze jest kołysanie i obracanie na piętach – instruuję go, powtarzając wymyślny układ, którego nauczyła mnie Elisabeth.

Kończę taniec i dygam, a George Harris bije brawo. Od klaskania grzechocze mu zbroja. Oboje się uśmiechamy.

Rzecz jasna tamtego dnia Matka nie pozwoliła mi zostać, by nauczyć się kroków. Tego pierwszego razu w kawiarni muzyka dudniła dokładnie wtedy, kiedy Matka próbowała śpiewać *Radujcie się, Pan jest Królem*. Była niczym wulkan; omal nie doszło do erupcji.

– ZASŁOŃ USZY! Obok nas wprowadził się Diabeł! – wrzasnęła.

Oczywiście w tej właśnie sekundzie muzyka ustała, w kawiarni zapadła cisza i wszyscy wbili wzrok w Matkę.

Z wyjątkiem mnie. Ja nie słyszałam jej handryczenia. Nie widziałam jej wykrzywionej złością twarzy. Patrzyłam na szafę grającą, prawdziwą, najprawdziwszą. Elisabeth zauważyła, co mnie zafascynowało.

– Lubisz słuchać muzyki? – zapytała.

Zacząła tańczyć lindy hop po całej sali. Uśmiechnęłam się mimo woli, po czym z ust wyrwał mi się chichot.

Matka strzeliła mnie w ucho – zapiekło. Przeciągnęła mnie przez kawiarnię i wywlekła na zewnątrz. Wychodząc, napotkałam wzrokiem spojrzenie Elisabeth. Pomachała mi ukradkiem, ale w jej oczach malował się smutek. Wiedziałam, że ta kobieta może zostać moją pierwszą w życiu przyjaciółką.

Po powrocie do biura rzeczy znalezionych Matka ostrzegła jeszcze:

– Diabeł siedzi w tej kawiarni, Marto Zgubo, moja droga.

A żebym na pewno dobrze zrozumiała konsekwencje niezatykania na czas

uszu, tego wieczoru Matka wymierzyła mi dziewięć razy skórzanym pasem na gołe plecy i kazała mi spać na zimnej, kamiennej posadzce biura.

– Tęsknisz za nią? – pyta George Harris.

Jego słowa wbijają mnie w ziemię; przełamują mój tok myśli. Zamieram.

– Tak. Martwię się, że zapomnę, jak to jest być naprawdę nieszczęśliwą i samotną. Że przestanę doceniać to, co teraz mam.

Nadane przez Anonima, adresowane do Marty Zguby, przekazane w *Pokoju w kształcie* L Lynne Reid Banks, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja droga Marto,

bijąca od ciebie inteligencja nappełniła mnie zachwytem dzisiejszego ranka. Twój plakat jest precyzyjny i zawiera długo wyczekiwane przeze mnie pytanie.

Jak wynikało już z mojej korespondencji, kobieta, którą nazywałaś Matką, była pełna kłamstw. Nie zmienia to jednak faktu, że pewien element „dawno, dawno temu”, który Ci przedstawiła, jest bliski prawdzie. Matka słusznie twierdziła, że została znaleziona, lecz w istocie zostawiono Cię na stacji Lime Street.

W tym czasie przeżyłaś już na tym świecie trzy miesiące. Prawdą jest, że Twoja biologiczna matka pozostawiła Cię, śpiącą w brązowej walizce, pod drzwiami biura rzeczy znalezionych. Sprawiedliwie będzie dodać, że zostawienie Cię w tym miejscu zbiegło się z osobistymi modłami Matki do JEJ Boga o znak, że istnieje jakiś sens dalszego jej trwania na tym padole. Faktem pozostaje również, że Matka przygarnęła Cię do siebie i wychowywała najlepiej, jak potrafiła. Była starszą panią, przejawiającą skłonności do dewocji religijnej. Twoja biologiczna matka uznała to za zaletę.

Muszę w tym miejscu podkreślić, że Twoja biologiczna matka była przekonana, że zostawia Cię z kobietą, która otoczy jej dziecko opieką i obdarzy szacunkiem zgodnym z chrześcijańskimi wartościami. Była przerażona, gdy odkryła, w jak wielkim była błędzie.

Moje dziecko, czuję, że muszę Cię zapewnić, że Matka była okrutna i nikczemna. Ale wynikało to z jej strasznych doświadczeń z dzieciństwa. To, że nie potrafiła Cię kochać i troszczyć się o Ciebie, to była jej własna ułomność, a nie Twoja wina. Ułomność, która odzwierciedlała ból i rozpacz, jakimi naznaczone było jej życie. Tak, moje dziecko, stwierdzam prosty fakt, żeby uniknąć jakiegokolwiek niejasności, żebyś zrzuciła brzemię, które mogłoby Ci ciążyć – Matka była chora.

Na tym etapie mojej bazgraniny jesteś już pewnie spragniona wiadomości o swojej biologicznej matce, tym bezdusznym dziecku, które oddało Cię, choć bezwiednie, w paszczę bezwzględного potwora. Niestety obawiam się, że jedyne, co mogę Ci zaoferować, to zapewnienie, że Twoja mama miała nadzieję wrócić przed upływem dziewięćdziesięciu dni, żeby Cię odebrać. Jak zapewne pamiętasz,

w poprzednim liście został wspomniany jej młody wiek, ale nie dodano, że ona sama żyła w domu pełnym przemocy. Jej stosunki z rodzicami były toksyczne i prześączone poczuciem winy.

Kiedy rodzice Twojej biologicznej matki dowiedzieli się, że jest w ciąży, wyrzucili ją na bruk, pozwalając zabrać ze sobą tylko ubranie, które akurat miała na sobie. Znała straszliwe opowieści o domach samotnej matki i wiedziała, że nie przetrwa w takim ośrodku. Nie mając do kogo się zwrócić o pomoc, Twoja biologiczna matka udała się do Liverpoolu. Muszę Ci donieść, że z początku dziewczyna zamierzała dokonać tutaj, w Liverpoolu, aborcji, ale kiedy nadszedł dzień wizyty u lekarza, schowała się w jakimś zaułku i nuciła Ci słodkie irlandzkie melodie. Chcę Cię przy tym zapewnić, że Twoja biologiczna matka Cię kochała, choć pewnie niełatwo jest zaakceptować taką miłość, która prowadzi do porzucenia dziecka.

Z żalem przyznaję, że trzy miesiące po narodzinach swojego jedyne dziecko, z ogromnym smutkiem i perspektywą życia na ulicach Liverpoolu, bez domu, Twoja biologiczna matka uznała, że jej jedynym wyjściem jest zostawienie Cię na stacji Lime Street. Od tego nieszczęsnego dnia Ty, moja kochana Marto, zostałaś zgubą.

Nie będę usprawiedliwiać zachowania Twojej biologicznej matki, ale mogę stwierdzić – i to bez cienia wątpliwości – że kierowała się wyłącznie pragnieniem, by Cię chronić. Z chwilą, gdy Cię straciła, przestała być znakomitą pianistką, porzuciła zamiłowanie do literatury. Wyrzekła się wszelkiej przyjemności. Patrząc z perspektywy czasu, obawiam się, że jej ocena sytuacji była niewłaściwa, a decyzje błędne. Jednak wtedy Twoja biologiczna matka chciała dla Ciebie jak najlepiej.

Ufam, że nie pogniewasz się na mnie za wyrażenie mojej opinii.

Z pozdrowieniami,

Anonim

Wyrastają przede mną, tam, gdzie zawsze stają klienci. Jeden wygląda jak Humpty Dumpty, cały gładki, krągły i błyszczący. Drugi jest wysoki i chudy jak drewniana drabina. Wysoki trzyma w garści kij do krykieta, który podbija na dłoni. Mają wykrzywione złością twarze. Chyba się zgubili.

– Znaleźliście to na terenie stacji? – pytam, wykonując gest podbródkiem w kierunku kija do krykieta i podnosząc długopis, by sporządzić notatkę.

– Nie, ale znaleźliśmy ciebie – odzywa się dryblas.

Przyglądam mu się, próbując ocenić, czy jego brwi są równie krzaczaste jak moje. Wstaję z taboretu i wyglądam przez ladę, by sprawdzić, jakie ma kostki.

– Wydawało ci się, że przechytrzysz Zarząd, co? – pyta grubszy, podchodząc jak kaczka do przesmyku w kontuarze, po czym odwraca się bokiem i przepycha do środka.

– Tu nie wolno wchodzić – upominam, siadając z powrotem na krześle. – Chyba że musisz do toalety, to wtedy...

– Zamknij się, kurwa – ucina wysoki.

Trąca mnie kijem do krykieta w pierś. Boli. Nabieram powietrza. Czasami, kiedy Matka robiła mi krzywdę, wstrzymanie oddechu zatrzymywało w środku ból. To chyba trochę jak udawanie trupa. Nie rozumiem, dlaczego chudzielec chce mnie skrzywdzić.

– Mógłbyś przestać? – pytam, wskazując długopisem na kij. Głos mi drży, jest lekko chropawy.

Grubas jest tuż przy mnie. Śmierdzi piwem i brudnymi skarpetkami.

– Byłaś niegrzeczną dziewczynką – oznajmia ten szczapowaty, unosząc kij na wysokość mojej brody.

Chyba ma zamiar mnie uderzyć. Chyba chce zostawić ślad.

– Jesteście wysłannikami Diabła? – pytam chudego.

Porusza brwiami i puszcza oko do grubasa. Jestem już całkiem dezorientowana.

– Najpierw myślałam, że może jesteś moim ojcem, choć on podobno nie żyje, ale teraz mam szczerą nadzieję, że nie jesteś, bo...

– Przyszliśmy cię ustawić do pionu – oświadcza grubszy.

Dźga mnie w ramię pulchnym paluchem. Robi to z milion razy. Nie patrzę na niego; nie odrywam wzroku od chudzielca. Dźganie jest bolesne.

– Jesteś moim ojcem? – pytam dryblasa.

Kładę dłoń na kolanach i krzyżuję dwa palce. Z całego serca marzę, by odpowiedź brzmiała: „Nie”.

– Co, kurwa, mówisz? – wyrzuca z siebie chudy, popychając kij mocniej i uderzając mnie w brodę.

Tracę równowagę i zsuwam się z taboretu. Potykam się, ale wreszcie staję na nogach, robię krok w tył. Omal nie wpadam na grubasa. Mam wrażenie, że chce

mnie zjeść. Chyba dałby radę pożreć mnie jednym kłapnięciem.

– Zarząd nie jest zadowolony. Chcą, żebyś się wyniosła – oznajmia grubas.

– Zarząd? – pytam. Nadstawiam ucha, ale już wszystko mi się miesza. –

Przecież dostałam list...

– Zlekceważyłaś pismo, więc zmienili zdanie. Posłali nas, żebyśmy załatwili sprawę. – Teraz chudy jest tuż przy mnie.

Cofam się, ale zaraz wyląduję przy drzwiach do mieszkania. O, nie chcę się znaleźć w środku z tymi dwoma. Brzydko pachną.

– Mają cię za świruskę – mówi grubas i wybucha śmiechem.

– Ale przecież wszystko załatwiam. Staram się zdobyć numer ubezpieczenia...

– Zarząd ci nie wierzy. Doszły ich słuchy, że w tym biurze nie wiadomo co się wyrabia. Masz się wynieść – powtarza gruby.

– Ale ja jestem kormoranem Lime... – próbuję tłumaczyć.

– A my przyszlismy ci pomóc się spakować – przerywa mi chudy.

Śmieje się wrednie, grubas mu wtóruje. Nie wiem, co ich tak bawi.

– Mam walizkę; sama spakuję swoje...

Chudzielec podnosi kij do krykieta w powietrze. Zaraz przyłoży mi nim w głowę. Rozsypię się na milion kawałeczków. Krzyczę. Rzucam się na podłogę i przyjmuję pozycję żółwia. Nie przestaję wrzeszczeć.

– Weź się, kurwa, zamknij – syczy grubas.

Nie słucham go; krzyczę dalej.

– PETERZE BARRYMORE!

Przestaję krzyczeć. Jakiś głos leje na mężczyznę potok wyzwisk. Liczę do sześćdziesięciu i odwracam się, by sprawdzić kto to. Jenny Jones z kiosku. Jest drobną kobietką, ale dziś jest olbrzymem i wygląda, jakby przymierzała się do ataku na dwóch osiłków. Przeszła przez przesmyk w blacie i mierzy nas wzrokiem. Stoi podparta pięściami pod boki.

Podchodzi bliżej. Wtedy dostrzegam Draka i Stanleya. Też wpychają się do środka. Stanley sięga do pudła ze zgubionymi kijami do hokeja. Drak odstawia torbę z listami i bierze w garść dwie zgubione laski. Jenny Jones stoi tuż obok mnie i leje grubasa po głowie.

– Co ty wyprawiasz, Peterze Barrymore? Twoja matka wie, że lubisz straszyc dziewczynki? – Każdemu słowu towarzyszy uderzenie.

Tłuścioch drapie się po łysinie. Teraz widzę, że nie jest wiele starszy ode mnie. Ciekawe, czy goli tę głowę?

– Ciociu Jenny, litości, no przecież to moja robota! – broni się.

– Ta twoja robota to moja przyjaciółka – oznajmia kioskarka. Wskazuje na mnie ruchem głowy, więc próbuję się uśmiechnąć, ale kąciki ust jakoś nie bardzo chcą powędrować w górę.

– Zarząd kazał ją wywalić. Słyszeli różne rzeczy – włącza się chudy.
– Ty już lepiej nie otwieraj jadaczki, Gary Baggocie – karci go Jenny Jones.
– Jak my nawalimy, wyślą kogoś innego – mówi grubas.
– Zarząd dał jej dwadzieścia osiem... – zaczyna Drak.
– Dwadzieścia dziewięć – poprawiam. Nadal kulę się na podłodze.
– Dał jej jeszcze dwadzieścia dziewięć dni – ciągnie Drak, który stoi teraz przy Jenny Jones. W każdej dłoni trzyma laskę, jak jakiś podstarzały liverpoolski samuraj. – Więc co tu robicie?

– Zarząd nam kazał. Mówili coś o wyznawaniu Diabła w piwnicy i ekshibicjonizmie na hali dworca. Za pół godziny będzie tu gość od zmiany zamków – dodaje dryblas.

– Leć po Elisabeth – nakazuje podniesionym głosem Jenny Jones.
Stanley wypada z biura. Kioskarka odwraca się znów do osiłków:
– Więc uznaliście, że macie prawo nachodzić małą dziewczynkę? Nie przyszło wam do głowy spytać...

– Mam mój list! – odzywam się.
Podniosłam się na tyle, by na czworakach zbliżyć się do blatu.
– Co tu się wyprawia?

Wpada Elisabeth. Minę ma bardzo groźną, a jej nogi wyglądają jak promienie słońca w żółtych spodniach capri. Nie chcę, żeby była na mnie zła.

– Peter Barrymore? A ty co tu robisz? – pyta Elisabeth.
Wtedy to Jenny Jones, Drak i Stanley wspólnie zdają jej relację z tego, czego dopuścili się Peter Barrymore i Gary Baggott. Wreszcie wybucham płaczem, przede wszystkim dlatego że nie rozumiem, dlaczego wszyscy na siebie krzyczą, dlaczego chudy chciał mnie skrzywdzić i skąd zmiana decyzji Zarządu, żeby jednak pozbawić mnie domu.

– Przecież jestem kormoranem stacji Lime Street – wymyka mi się szeptem.
Wtedy krzyki milkną. Elisabeth i Jenny Jones podchodzą do mnie.
– Przepraszam, że cię rozgniewałam. Królowa jeszcze mi nie odpisała – zwracam się do Elisabeth.

– Nie, laleczko. – Elisabeth powoli kręci głową. Ona też szepcze, pochylając się ku mnie. – Nie jestem na ciebie zła.

– Nie przestaną przysyłać zbirów – mówię cicho.
– Prawda – przytakuje Jenny Jones. – Jeśli chcą się jej pozbyć, zjawią się tu kolejne karki.

Przechwytyuję okropne spojrzenie, które Elisabeth przesyła Jenny Jones, ale zaraz przenosi wzrok na mnie.

– Ci z Zarządu robią z siebie idiotów, nic się nie martw. Zaraz się tym zajmę. – Odwraca się do kioskarki. – Zostań z Martą i już nic nie mów. Idę dzwonić do Londynu. Powiem im, co o nich myślę. A wy dwaj... – wstaje i wskazuje pal-

cem na Petera Barrymore'a i Gary'ego Baggotta – ...zabierać tyłki do lokalu obok i czekać tam na mnie. Jeszcze z wami nie skończyłam.

Zanim zdołam się odezwać, zapanowuje wokół mnie ruch, a po chwili siedzę na podłodze sama, a gdzieś nade mną Jenny Jones gwizdże *What's New Pussycat* i napełnia wodą czajnik.

Pytanie umieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który powiesiła na tablicy przy peronie szóstym:

Kim jestem?

Oczywiście Elisabeth wszystko załatwiła. Zadzwoiła do Zarządu i opowiedziała o napadzie z pogrózkami, dodając, że lada chwila ma się zjawić policja, by zebrać zeznania. Zarząd polecił, by nie zgłaszała zdarzenia władzom. Elisabeth oznajmiła, że dwóch zbirów grożących małej dziewczynce to sprawa, o której należy niezwłocznie powiadomić organy ścigania. Celowo nie wspomniała, że dobrze wie, że to Zarząd stoi za całą akcją. Poruszyła temat „plotek”, które do nich dotarły, i wyprostowała kilka kwestii. Założyłyśmy się o drożdżówkę z lukrem, że nie zjawi się nikt do zmiany zamków. Miała rację, ale drożdżówkę z lukrem i tak dostałam.

Peter Barrymore i Gary Baggott wrócili do biura rzeczy znalezionych pod nadzorem Jenny Jones. Żaden z typów nie patrzył na mnie; zwracając się do podłogi, złożyli skromne przeprosiny. Jenny Jones kazała im siedzieć przed kioskiem przez trzy tygodnie. Nie wchodzi mi w drogę, ale gdyby w trakcie dnia zjawiły się jakieś inne oprychy, to ci dwaj mają rzucić się w mojej obronie ze swoim kijem do krykieta. Wcale nie wiem, czy czuję się dzięki temu bezpieczniejsza.

Elisabeth powiedziała, że najlepiej byłoby, gdybym zaopatrzyła się w jakąś broń, na wypadek gdyby nowym zbirom udało prześliznąć się obok wszystkich moich obrońców. Twierdzi, że Zarząd z całą pewnością przyśle kolejnych typków za tydzień, może dwa. Poradziła, żebym natychmiast poprosiła anonimowego nadawcę książek o mój numer ubezpieczenia społecznego albo akt urodzenia, ale postanowiłam jeszcze trochę się wstrzymać.

Potrzeba mi odrobinę więcej czasu. Dostałam dopiero trzy książki, w tym dwa wspaniałe tomy pełne odręcznych słów, i po prostu muszę dowiedzieć się jak najwięcej o mojej przeszłości, zanim tajemniczy znajomy zniknie. Być może to moja ostatnia szansa, by odkryć, kim jestem. Więc zrobiłam sobie broń. To parasolka z przymocowaną na czubku sztuczną szczęką; materiał obszyłam koralikami, dzwoneczkami i cekinami. Podejrzewam, że część cekinów może odpaść, kiedy otworzę parasolkę. Na razie trzymam ją na górze pod blatem. Później zaprezentuję ją Elisabeth.

Teraz siedzę na trzecim stopniu zakręconych schodów, zagłębiając się w lekturze kolejnej pozycji znalezionej przez George'a Harrisa. Wpis w książce brzmi: „Byłem przekonany, że ci na mnie nie zależy, ale teraz mam nadzieję, że się myliłem”. Tym razem to on wniósł niewielką opłatę, która pozwoliła mi zatrzymać tomik.

Stopień nie należy do najwygodniejszych siedzisk. Czuję przez sukienkę chłód metalu. Byłoby bosko mieć tu kilka poduszek, ale nie przyniosę ich ze strachu, że szczury zrobią sobie w nich nory albo zalęgną się tam pająki czy coś w tym guście. Już dawno dopiłam herbatę i spieszę się, żeby dokończyć rozdział przed spotkaniem z Williamem. Nie lubię przerywać lektury przed końcem rozdziału.

Ale właśnie wtedy dobiega mnie odgłos pukania. Niesie się głośno, jakby

ktos stukał młotkiem, nie delikatnymi palcami. Zdaje się dochodzić zza książek. Zamykam książkę, choć nie doszłam do końca rozdziału, i wstaję.

Puk. Puk. Puk. Stuk, puk, puk.

Schodzę w dół po schodach i staję w piwnicy. Idę na paluszkach tam, skąd, jak mi się zdaje, dobiega dźwięk, po czym nagle zamieram.

– Diabeł – wypowiadam drżącym szeptem. – Matka miała rację.

Puk. Puk. Puk. Stuk, puk, puk.

Robię kolejne dwa kroczki i docieram do ściany regałów z książkami. Pukanie zdaje się dochodzić zza nich. Chwila wahania. Stukanie nie ustaje; wręcz przeciwnie – jest donośniejsze, częstsze, rozgniewane. Półki są ciasno zastawione książkami. Nie ma szczeliny, przez którą można by zajrzeć. Stoją tu pomarańczowe grzbiety. Przemykam wzrokiem po obwolutach, próbując sobie przypomnieć cztery opowieści pewnej książki o rozwlekłym tytule, ale pukanie zaraz sprowadza mnie z powrotem na ziemię.

Zakładam, że stukanie nie ucichnie, więc zabieram się za opróżnianie półek. Układam książki w stosy z dala od regałów, blisko podstawy krętych schodów, w końcu zauważam, że regały skręcone są razem, ale nie przytwierdzono ich do ściany. Zapieram się, by przesunąć regał odrobinę, tyle tylko, żeby zerknąć, czy coś się za nim nie kryje. Chwytam lewą krawędź mebla i z całych sił staram się go odciągnąć. Ani drgnie, nic a nic. Jedyne, co mi pozostaje, to zdjęcie kolejne książki.

Zabieram wszystkie książki o pomarańczowych grzbietych i pół zawartości półki z fioletowymi okładkami. Na regale zostało niewiele ponad pół uprzedniego ładunku, do kręconych schodków trudno się dostać, a moje palce pokrywa warstewka książkowego kurzu. Kicham raz i drugi. Zaciskam obie dłonie na krawędzi regału. Popycham mebel odrobinę. Podchodzę do powstałej szczeliny i zaglądam za regał. Już widzę, w co pukał Diabeł.

Widzę żelazne drzwi.

Całe wieki zajmuje mi usunięcie pozostałych książek z półek. Ułożyłam równiutkie stosy kolorowych opraw. Lekkie wariacje w obrębie określonej barwy zaczynają się od wyblakłej i przechodzą w bardziej wyrazistą. Większość okładek wydaje się być w jakimś odcieniu pomarańczy, ale to fioletowe grzbiety najbardziej mnie ekscytują. To rzadsze okazy, dzieła autorów, na których nazwiskach łamię sobie język. Dużo jest wyrazów i nazw, które sprawiają mi trudność, ale na szczęście Stanleya nigdy nie męczą moje pytania. Czasem bardziej kłopotliwe słowa przystrajam francuskim akcentem. Wydają mi się wtedy turlać z języka. Może jestem Francuzką?

Jest w bibliotece siedemdziesiąt pięć książek, do których nigdy nie zajrzałam i jedna, którą przeczytałam dwa razy – są w niej dwie ręcznie wykonane zakładki, dwa wspomnienia, prowadzące mnie do chwili czytania. Stoją tu dwieście trzy książki, które zaczęłam, lecz nigdy nie przeczytałam do końca. Myślę sobie cza-

sem, że poznawanie postaci, żeby później stworzyć dla nich własną historię, jest w porządku.

Wiem na pewno, że takich książek jest dokładnie dwieście trzy, bo prowadzę rejestr w postaci maleńkich karbów w sztucznym panelu pod spodem blatu w biurze; nie notuję jednak tytułów. Jeśli bohater zginie lub zostanie w inny sposób skrzywdzony, a ja zupełnie nie mogę się z tym pogodzić, wracam do miejsca sprzed nieprzyjemnego zwrotu akcji. Potem ponownie czytam wybrany akapit i odkładam tom na właściwe miejsce na półce. Po raz pierwszy zrobiłam tak podczas lektury *Tess d'Urbervilles*.

Pewnie mogłam po prostu pościągać książki z półek. Zepchnąć je razem na wielką hałdę u podstawy krętych schodów. Mogłam je wszystkie wymieszać, a potem ponownie cieszyć się tworzeniem biblioteki. Jednak to kwestia szacunku, docenienie ich piękna.

Kiedy półki są już puste, jestem w stanie zaprzeć się mocno i odsunąć regał od żelaznych drzwi. Cała jestem w kurzu i czuję, jak wypełnia mnie panika. Spodziewam się, że lada chwila wyleje się na mnie fala czarnych szcurów. Niemal widzę wlepione we mnie ich żółte ślepie. Niemal widzę, jak gotują się do skoku. Jeśli mam być zupełnie szczerą, to nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich pięciu minut biorę pod uwagę, że Diabeł sam może być ogromnym szcurem, a w tej chwili całutka drzę ze strachu, że może zaraz stanę z nim twarzą w twarz.

Odsunięcie regału pozwala mi przyjrzeć się żelaznym drzwiom. Są idealnie prostokątne, bez żadnych wzorków, nieopatrzona tabliczką z napisem: TĘDY DO PIEKŁA. Przynosi mi to nieznaczną ulgę. W zamian dostrzegam okrągłą metalową gałkę i dziurkę od klucza. Rzecz jasna skoro jest dziurka od klucza, należy się schylić i przez nią zajrzeć. Moje założenie jest proste: jeśli po drugiej stronie znajduje się Piekło, to w otworze będzie widać płomienie.

Klękam więc – wstrzymuję oddech – i przysuwam oko do dziurki od klucza. I wtedy wydaję z siebie najgłośniejszy wrzask, jaki kiedykolwiek się ze mnie wydobył.

Z dziurki, wprost na mnie, wygląda oko. Przysięgam, że jest żółte, przysięgam, że to Diabeł, przysięgam, że Matka miała rację, a moje ciało lada chwila zostanie odessane od kości. Robię więc to, co powinnam była zrobić, kiedy po raz pierwszy usłyszałam pukanie. Zrywam się na równe nogi, daję susa przez stopy książek i zwiewam.

Wrzeszczę, wbiegając po krętych stopniach, ale zarówno krzyczenie, jak i schody wymagają sporo oddechu, więc kiedy docieram na górę, już tylko ciężko sapię. W kilku krokach pokonuję biuro rzeczy znalezionych, aż staję przy ladzie, po stronie klienta. Zegar na ścianie informuje, że już prawie dwudziesta, dobiega pora spotkania z Williamem, ale ja tkwię w miejscu; dopiero teraz dostrzegam, że cała drzę. Nie jestem gotowa dołączyć do Diabła i jego dzieci w Piekło; nie mam

ochoty spędzać czasu w towarzystwie czarnego szczura giganta.

Drobnymi, chwiejnymi kroczkami cofam się przed szklane wejście do biura. Nie odrywam wzroku od drzwi prowadzących do piwnicy, ale próbuję wykombinować, jak mogłabym się uzbroić. Obawiam się, że moja parasolka ze sztuczną szczęką, cekinami, dzwoneczkami i koralikami może okazać się nieskuteczna w starciu z Diabłem. Może lepiej sprawdziłby się zwykły parasol z pudła ze zgubionymi parasolkami albo kij do hokeja ze skrzynki ze zgubionymi kijami do hokeja. Szkoda, że nie mam skrzyni ze zgubionymi mieczami.

Oba pudła stoją daleko, po lewej stronie pokoju, przy czajniku. Nie jestem pewna, czy moje nogi jeszcze działają. Przykładam dłoń do policzków – są rozpalone; moja twarz wygląda pewnie jak wielki, plamisty burak. Całe ubranie mam w kurzu i pajęczynach, sapię jak miech. Albo jak pudeł. Jednocześnie nie mogę się pogodzić, że znalezione książki wpadną w szczurze łapy Diabła.

Myśl, że książki poczują się znów zagubione, samotne i porzucone, jest nie do zniesienia. Pomyślą, że je zostawiłam. Że je zawiodłam. Znalazłam się w pułapce, jestem uziemiona i zła na samą siebie. Zaczynam sobie wyobrazać, jak Diabeł panoszy się wśród moich równiutkich stosów tomów o grzbietach tworzących tęczowy wzór. Zaczynam się zastanawiać, czy właśnie w tej chwili nie wchodzi po schodach, nie zmierza do biura rzeczy znalezionych. Zaraz się zjawi, żeby odebrać...

Ktoś puka w szklane drzwi za moimi plecami. Wrzeszczę. Rzucam się szczupakiem na podłogę. Leżę bez ruchu, udając trupa.

Mijają sekundy. Staram się nie oddychać z obawy, że kiedy zaczerpnę powietrza, moje ciało drgnie i Diabeł zorientuje się, że próbuję go oszukać. Stukanie się nie powtarza, więc zakładam, że udało mi się go zwieść, ale nagle dobiega mnie czyjś głos. Jest przytłumiony – dochodzi zza szklanych drzwi. Leżę z głową pośrodku biura, stopami dotykając szyby.

– Laleczko, co robisz? – słyszę.

Nadal udaję trupa; o, nie zamierzam dać się nabrać na jego sztuczki. Matka ostrzegła mnie przed diabelskimi podstępami, przestrzegła, że Diabeł potrafi być niezwykle przebiegły. Ale wtedy do moich uszu dobiega śmiech Elisabeth. Daję słowo, że zaraz się posika – śmiech jest głęboki i głośny. Nigdy nie słyszałam jej tak rozbawionej. Nie mogę powstrzymać uśmiechu, choć jest on bardzo wątpliwy.

Powoli przesuwam głowę z pozycji „wbijania martwego wzroku w podłogę” w lewo. To drobny ruch; mam nadzieję, że Diabeł go nie zauważy, jeśli jednak próbuje mnie podejść, choć jestem już o wiele mniej podejrzliwa, bo nie sądzę, żeby ktokolwiek, nawet Diabeł, potrafił podrobić śmiech Elisabeth.

Odważam się zerknąć szybko przez szklane drzwi. Na szczęście włosy opadły mi na oczy, więc patrzę przez nie i zakładam, że w razie czego uda się jeszcze sfignować bycie trupem. Elisabeth stoi zgięta w pas, ubrana w te swoje żółte

spodnie capri, i pęka ze śmiechu. Podnoszę z podłogi głowę, potem ręce, aż wreszcie siadam po turecku twarzą do szyby. Patrzę, jak przyjaciółka zatacza się z wesołości.

Wreszcie też siada na ziemi, w takiej samej pozycji jak ja. Szklane drzwi pozostają zamknięte. Elisabeth nie odzywa się ani słowem; zamiast tego robi miny. Jest wesoła, smutna, zdezorientowana, zaskoczona, rozgniewana. Jest najwspanialszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

– Udawałam trupa – szepczę, nachylając się ku szybie.

– Po co? – Już ma normalny wyraz twarzy.

– Diabeł – odpowiadam krótko, a wtedy oczy Elisabeth z radosnych robią się smutne.

– Może mnie wpuścisz, laleczko, to zrobię ci dobrej herbaty?

– Czy herbata przegoni Diabła? – pytam, na co kiwa głową.

Wstaję, przekręcam klucz w zamku i przesuwam się, by wpuścić Elisabeth do środka.

– William! – przypominam sobie.

Patrzę w stronę peronu, ale nikogo nie widzę. Nagle oblatuje mnie strach, że jeśli opuszczę ten jeden dzień, William może już nigdy nie wrócić. Nie mogę znieść myśli, że będzie głodny albo że dojdzie do wniosku, że go opuściłam.

– Nie martw się – mówi Elisabeth. – Zaniosę mu później tartę cytrynową i kanapkę.

I wtedy ponownie rozlega się stukanie. Z moich ust znów wrywa się wrzask. Wargi Elisabeth zaczynają się poruszać; wypowiada słowa, których nie słyszę, a oczy ma otwarte szerzej niż kiedykolwiek. Dociera do mnie wyłącznie walenie własnego serca i echo mojego wrzasku, który trwa, trwa i trwa, odbijając się od ścian biura rzeczy znalezionych. Zupełnie jakbym była gwiazdą opery, zdolną w nieskończoność utrzymać jedną nutę.

Po chwili jednak przestaję wsłuchiwać się w dudnienie w skroniach i echo krzyku, bo Elisabeth wygląda na przejętą, ale w taki pozytywny sposób, nie straszny. Pukanie nie ustaje. Następuje według pewnego wzoru – trzy oddzielne stuknięcia, a potem trzy blisko siebie. Sekwencja się powtarza. I powtarza.

– Alfabet Morse’a – szepczę. – Diabeł zna alfabet Morse’a.

Uderzenia są tak głośne, że zdaje mi się, że dobiegają z wysokości kilku schodków i z innego pomieszczenia. Spoglądam na Elisabeth.

– Słyszysz, prawda? – Przyjaciółka przytakuje, więc przedstawiam jej swoją teorię: – To Diabeł przyszedł po mnie.

– Nie, laleczko, bzdury gadasz. Ktoś puka, żeby go wpuścić.

Patrzę na nią, jakby zwariowała, bo tyle to i ja wiem, z tym że to Diabeł żąda, by mu otworzyć. Elisabeth posyła mi spojrzenie spod uniesionych brwi, na co wzruszam ramionami. Nie mam pojęcia co teraz.

- Skąd dochodzi pukanie? – pyta.
 - Żelazne drzwi. Za regałami. W bibliotece.
- Elisabeth kiwa głową.

– Podziemne korytarze – rzuca, ja potwierdzam skinieniem głowy. – Może to ktoś z Zarządu? Co ty na to, żebyśmy wzięły dwa kije do hokeja i poszły się przywitać?

Tak więc robimy. Wybieram kij w kształcie litery J.

Kładę przedmiot na blacie i pozwalam palcom przemknąć po rurze. Czuję, jak został stworzony. Przesuwam dłoń po płaskiej stronie łopatki, tej do gry, a potem po wygiętej tylnej stronie. Biorę kij do ręki, powieki same mi się przymykają. Kij do hokeja nigdy nie doczekał się meczu, a bardzo chciałby wziąć udział w rozgrywce. Wyczuwam jego smutek, widzę chwilę jego zakupu.

Mam przed oczami mężczyznę – czarna broda, ciemne okulary z mostkiem zlepionym przezroczystą taśmą. Nie ma portfela, banknoty i monety nosi luzem w kieszeni. Jest tata. Kij będzie prezentem, wyjątkową niespodzianką dla córki. Ojciec nie może się doczekać, żeby zawieźć go do domu; urodziny córeczki wypadają następnego dnia.

Mężczyzna jest na stacji Lime Street. Stoi po bilet. Nie może włożyć rąk do kieszeni, bo są już zajęte trzymaniem białych plastikowych toreb i kija do hokeja. Jedna z siatek jest wypchana jabłkami i pomarańczami z hali targowej St. John's Market, w drugiej są trzy kotlety i dwa plastry bekonu – urodzinowy obiad dla córki, uroczyste śniadanie. Stawia zakupy na ziemi, obok kładzie kij. Osoba w kolejce przed nim odwraca się od okienka; wpada wprost na białe reklamówki. Przepraszamy, rozsypane produkty, tu jabłko, tam pomarańcza, pan schyla się, by uratować mięso przed rozdeptaniem. Kasjer wydziera się w okienku.

- Nie mam czasu, żeby na pana czekać!

Mężczyzna od kija do hokeja prostuje się szybko.

- Jeden do Edge Hill.

Grzebie w kieszeni w poszukiwaniu drobnych. Podaje sprzedawcy kilka monet i czeka na bilet.

– Musi się pan pospieszyć, jak chce pan zdążyć na siedemnastą dziesiątą – mówi kasjer, po czym przesuwają resztę przez ladę.

Wyczuwam rosnącą w mężczyźnie panikę. Bilet trzyma w zębach, wsypuje monety do kieszeni, schyla się po białe torby, jednocześnie szukając wzrokiem informacji o numerze peronu, na który musi bieć. Zapomniał o kiju. Znalazł się poza jego polem widzenia. Czyjaś noga posłała go kopnięciem za osobę stojącą w kolejce trzy miejsca dalej.

Nie wiem, czy ludzie w ogonku zauważyli, co się stało; może po prostu niktogo to nie obeszło. Nikt nie zaproponował pomocy. Zalewa mnie fala smutku, że nikt nie wyciągnął pomocnej dłoni...

– Marto?

Elisabeth przerywa tok moich myśli. Podnoszę zamglony wzrok.

– Przepraszam – mówię.

Przepelnia mnie żal. Nie mogę mu się jednak poddać, bo znów słyszę stukanie. Mogłabym przysiąc, że rozlega się głośniejsze niż poprzednio. Elisabeth chichocze, w jej oczach tańczą iskiereczki.

– Nie boisz się? – pytam, kiedy idziemy na paluszkach do schodów prowadzących do mojej biblioteki książek znalezionych.

Szczękam zębami z nerwów. Elisabeth zdjęła szpilki – zostały na podłodze przy szklanych drzwiach biura. Patrząc na jej widoczne pod rajstopami palce u nóg i zastanawiam się, czy nie martwi się, że wbije sobie drzazgę.

– Nie – odpowiada. – Kiedy spotkało cię już najgorsze, co możesz sobie wyobrazić, to nic ci niestraszne.

Kiwam głową, ale nie umiem znaleźć właściwych słów. Chciałabym nauczyć się pokonywać strach. Ciekawe, czy istnieje książka o reakcjach pożądanych w konkretnych sytuacjach. Zastanawiam się, co taki poradnik mógłby zawierać i jak bardzo pragnęłabym go przeczytać. Musiałoby się tam znaleźć coś o...

– Laleczko – dociera do mnie głos Elisabeth.

Zdaje się, że na moment się zatrzymałam. Przyjaciółka uśmiecha się do mnie.

– Doprawdy, w takiej chwili toniesz w marzeniach, wariatko?

Przyspieszam, żeby stanąć razem z Elisabeth na szczycie schodów. Światło już jest zapalone, więc nie muszę pierwsza wychylić się przez balustradę i ciągnąć za sznureczek żarówki. Elisabeth prowadzi, rzecz jasna, w jednej ręce dzierżąc wyciągnięty kij, drugą zaciskając na krętej barierce spiralnych schodów. Ściskam mocniej swoją broń, mając nadzieję, że nie będę zmuszona rozłupać Diabłu łba kijem do hokeja dla małej dziewczynki. To dopiero byłoby dla kija fatalne wspomnienie.

Docieramy na sam dół. Elisabeth zdejmuję rękę z balustrady i kładzie palec na ustach, nakazując mi zachowanie ciszy, najwyraźniej nieświadoma, że mój głos i tak wyczerpał się ładnych kilka minut temu. Wchodzi do biblioteki książek znalezionych i upuszcza kij na podłogę. Rozlega się głośny, metaliczny dźwięk. Przyjaciółka wykonuje przewrót w przód jak komandos, zręcznie omija stosy książek i niemal wbija się stopami w dolną półkę pełną zielonych tomów. Fikołek kończy się tym, że komandoska leży płasko na plecach w konwulsjach śmiechu, podczas gdy ja stoję u podstawy schodów, kurczowo trzymając kij i trzęsąc się jak wariatka.

Śmiech Elisabeth okazuje się jednak zaraźliwy i po chwili też chichoczę, a im więcej się śmieję, tym bardziej żałuję, że przed zejściem do piwnicy nie poszłam się wysikać. Daję słowo, że Elisabeth to najzabawniejsza osoba, jaką w życiu spotkałam. Ostatnio zauważyłam, że coraz bardziej wypełnia ją radość. Tak jakby

codziennie wyparowywała odrobina kryjącego się w jej oczach smutku. Ta obserwacja sprawia, że i ja staję się weselsza niż kiedykolwiek. Po prostu wiem, że przyjdzie dzień, w którym cały smutek zniknie.

Elisabeth klęka, przysiada na piętach. Śmiech ustał.

Puk. Puk. Puk. Stuk, puk, puk.

– Słyszałaś? – pytam, wskazując na drzwi.

Elisabeth unosi brwi i z całych sił staramy się nie chichotać, co jest dość absurdalne, zważywszy, że za drzwiami może stać Diabeł lub banda typów z kijami do krykieta.

– Otworzę – oznajmia.

Zanim zdążę krzyknąć coś w stylu: NIE OTWIERAJ DRZWI!, ona już stoi przy nich, chwytając za gałkę, przekręca ją i...

– Zamknięte na klucz – stwierdza i ponownie wybucha śmiechem. – Cóż, zdaje się, że ani Diabeł, ani Zarząd nie wpadnie dziś na herbatkę.

Jestem już w połowie schodów; dopadam tekturowego pudełka stojącego na drugiej półce po prawej stronie biura rzeczy znalezionych, to trzeci karton od lewej. Porywam go i niosę po krętych stopniach do biblioteki. Elisabeth wciąż tkwi przy żelaznych drzwiach, z ręką na gałce. Odwraca się, by spojrzeć, jak podchodzę do niej z pudłem, które stawiam u jej stóp. Zagląda do środka, po czym patrzy na mnie pytająco.

– Klucze? – dziwi się.

– Zgubione klucze. Całe setki – wyjaśniam.

– O rany – wzdycha.

– Znajdę właściwy.

Elisabeth kiwa głową. Siadam na kamiennej posadzce i wsuwam dłoń do pełnego kluczy pudła. Pozwalam palcom zatańczyć nad żelastwem. Kiedy muskają metalowe główki, krzywki i końcówki, mój umysł wypełniają obrazy.

Dziewczyna przerzucona przez ramię mężczyzny próbuje przekręcić klucz w zamku nowiutkiego domu, podczas gdy świeżo poślubiony małżonek udaje, że ugina się pod jej ciężarem; klucz wiszący na sznurku na szyi dziewczynki; klucz do domu użyty przez sąsiada, kiedy gospodarz poszedł do pracy; kluczyk do skrytki, która zawiera więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widziałam na oczy. Setki kolorowych migawek błyska mi przed oczami. Jest i Matka z kluczem do nieznanej mi skrzynki. Temu kluczykowi przyglądam się trochę zbyt długo.

– Laleczko? – zagaduje Elisabeth.

Najwyraźniej zauważyła moje wahanie. Wyjmuję klucz Matki i kładę go na podłodze. Przyjaciółka sięga po niego.

– To nie ten – mówię i z powrotem zagłębiam dłoń w pudle.

Po chwili wydobywam klucz. Niczym się nie wyróżnia, to prosty metalowy klucz. W głowie widzę żelazne drzwi. Prezentuję trofeum na wyciągniętej dłoni.

Elisabeth przejmuje ode mnie znaleźisko, ostrożnie, żeby uniknąć zetknięcia naszych dłoni.

– Ten? – upewnia się, chwytając klucz w dwa palce.

Potwierdzam skinieniem. Przejmuje ode mnie przedmiot i odwraca się ku drzwiom. Ja siedzę wciąż na podłodze, więc widzę, jak klucz wpasowuje się w zamek. Przyjaciółka kiwa głową – tak, to ten, strzał w dziesiątkę. Obserwuję, jak przekręca klucz w zamku. Słyszę kliknięcie, kiedy obraca gałkę. Drzwi otwierają się powoli. Chyba skrzypią. Chyba wstrzymuję oddech.

Kiedy skrzydło drzwi przestaje się poruszać, zaglądam w pustą przestrzeń, próbując przyzwyczaić wzrok do ciemności. Nie wyzierają na mnie żadne żółte ślepie, nie czai się na nas szczur gigant, nie ma zbirów nasłanych przez Zarząd. W ogóle nic tam nie ma, nic się nie porusza. Wejście zdaje się prowadzić do tunelu, a podmuch zimnego powietrza, który uderza mnie zniecka, przyprawia mnie o dreszcze.

Wstaję. Elisabeth milczy. Widzę, że stara się wykombinować, dokąd wiedzie przejście, ale mnie bardziej interesuje, czy ktoś nas nie obserwuje.

– Myślisz, że powinniśmy pozwiedzać? – pyta Elisabeth, na co kręcę przecząco głową. – Co najgorszego może się zdarzyć?

Przychodzą mi na myśl gwałt, morderstwo, utopienie, pogrzebanie żywcem i wyżarcie twarzy przez szczury, ale nic nie mówię, a Elisabeth przyjmuje moje milczenie za zgodę, żeby pójść dalej. Odwraca się plecami do korytarza i lustruje bibliotekę.

– Masz latarkę? – Jej głos odbija się echem po bibliotece i trafia do tunelu.

Już mam jej odpowiedzieć, kiedy nagle w pomieszczeniu bucha śpiew Cilli Black, niemal przyprawiając mnie o zawał serca i wyrrywając z Elisabeth okrzyk zachwyty.

– Ach, laleczko, cholernie lubię ten kawałek! – woła, rzucając się biegiem w mrok.

– Czekaj!!!

Wkraczam do tunelu. Mój krzyk zatrzymuje Elisabeth i ucisza jej głos, radośnie wtórujący Cilli Black. Chłód przenika mnie na wskroś; wilgoć wkrada mi się pod ubranie, przyprawiając o dreszcze. Chyba już nigdy się nie rozgrzeję. W wąskim korytarzu jest jak w jaskini, przerażająco. Niosące się echem dźwięki sprawiają, że cała się trzęsę.

– Co jest? Nie znasz tej piosenki? *Jesteś moją...* – zaczyna Elisabeth.

– Nie powinniśmy tego robić – szcękam zębami. – Nie powinniśmy tu być.

– Gdzie twój głód przygody?

– Matka miała rację. W piwnicy mieszka Diabeł. Kusi nas Cillą Black.

– Laleczko, posłuchaj, gdyby Diabeł próbował nas kusić, nie użyłby Cilli.

Cilla to anioł Liverpoolu.

– Elisabeth, to nie są żarty. Nie boisz się? Ani trochę? – nie dowierzam.

– Nic a nic – zapewnia, po czym znów śpiewa z Cillą na całe gardło, a mi nie pozostaje nic innego, jak dać się powieść w mrok.

Zaraz po wejściu do tunelu wykonałyśmy ostry skręt, więc nie świeci nam zza pleców żadne światło. Elisabeth się spieszy, a ja desperacko staram się wyskrobywać paznokciami znaki na ścianach, żeby łatwiej było nam trafić, kiedy później będziemy uciekać, by ocalić życie. Śpiew Cilli ustaje, a w zamian z pełną mocą rozbrzmiewa męski głos.

– Tom Jones! – cieszy się Elisabeth. – O, tego Walijczyka to ja lubię!

Nie odpowiadam. Jestem zbyt pochłonięta liczeniem kroków i zostawianiem wskazówek, jednocześnie zamartwiając się, że zostało nam niewiele czasu, zanim olbrzymi szczur wyssie z nas życie. Te korytarze stanowią podziemne królestwo z piaskowca; zagubione tunele kryją przejścia prowadzące w nieznane miejsca. Dotykam nosa – kapie mi z niego. Na zewnątrz przewala się fala gorąca, ale tu, na dole, marzną mi palce i leje mi się z nosa. Tu nie mam nawet ochoty wirować. Spowija nas kompletny mrok. Cała drzę. A jeśli już nigdy nie ujrzymy światła? Może przeszliśmy już do jakiegoś innego świata? Zastanawiam się, czy przypadkiem Piekło nie jest tak naprawdę skute lodem, a Diabeł to w istocie Król Śniegu. Wycieram nos w rękaw.

– Używaj papieru toaletowego – upomina mnie Elisabeth.

Grzebię w rękawie i wydobywam zwitek papieru. Wycieram porządnie nos i przyspieszam, by dogonić przyjaciółkę. Mam przemoczone nogi, bo tunele są częściowo zalane. Woda sączy się z piaskowca, a teraz wspina mi się po palcach stóp. Nie mogę odpędzić myśli, że pochodzi z dworcowych toalet. W korytarzu cuchnie moczem. Ciekawe, jak mokre są rajstopy Elisabeth. Przyjaciółka wtóruje teraz Tomowi Jonesowi i pewnie wywija pupą w rytm chórków.

– Muzyka mnie uratowała! – woła Elisabeth.

– Przed czym? – odkrzykuję.

– Przede mną samą, przed czasem, kiedy...

Ale nie kończy myśli, bo właśnie w tej chwili skręcamy za róg i wkraczamy w światło. Znajdujemy się w pokoju. Tak jakby w czyimś salonie, choć w sumie nie do końca. Moje oczy muszą dopiero przywyknąć do światła, ale jednocześnie nie chcę mrugać, bo przede mną rozpościera się uczta różności i boję się, że jeśli choć na sekundę przymknę oczy, skarby rozpląną się w powietrzu.

Wzdłuż ścian pokoju ustawiono przeróżne bibeloty; w zasadzie pomieszczenie jest chyba rozszerzeniem tunelu, który ktoś przekształcił w pokój. Ma kształt butelki i powierzchnię co najmniej dziesięć razy większą niż biuro rzeczy znalezionych. W miejscu, gdzie stoimy, jest szerzej, a potem izba zwęża się w ciasną szyjkę. Nie ma drzwi wejściowych, wyjściowych też nie widzę. Ściany pokoju, czyli, jak sądzę, korytarza, są zaopatrzone w półki.

Tak więc przedmioty nie zagracają jedynie podłogi, ale zajmują też krzywe półki. Nic do siebie nie pasuje, ale całość daje wrażenie swoistego porządku. Widzę butelki różnych kolorów i wielkości. Są tu talerze i fragmenty talerzy – na wszystkich zdaje się widnieć ten sam biało-niebieski, roślinny motyw. Wszystko jest brudne, ubłocone, piękne. Jest tu mnóstwo końskich podków, mniejszych i większych, potłuczone naczynia, które chyba ktoś próbował posklejać, a także kilka starych masek gazowych. Są i kości, butelki po piwie imbirowym, słoje po marmoladzie, kałamarze, flaszeczki po truciznie, butelki po soku z limy, kwadratowe butelki po napojach gazowanych. Och, jest zbyt wiele do oglądania.

– Muszle ostrygi – zauważam, wskazując na setki brudnych muszelek walających się po podłodze w sąsiedztwie okazałego zbioru butelek po piwie imbirowym.

– Uczta biedaka.

Elisabeth wodzi oczami po pomieszczeniu; obie próbujemy znaleźć sens naszego odkrycia. Na ścianie po naszej prawej ręce wisi wypłowiała tabliczka z czasów drugiej wojny światowej z napisem: „Schron przeciwlotniczy”. Znowu rozlega się muzyka. Jej źródło nie znajduje się w tym pokoju, płynie skądś w pobliżu.

Wymieniamy z Elisabeth spojrzenia. Przyjaciółka unosi brwi; kiwam głową w odpowiedzi. To jasne, że nie mamy wyboru – musimy iść za dźwiękiem, po nitce do kłębka. Nie umyka mojej uwadze, że z twarzy Elisabeth zniknął uśmiech. Żadna z nas nie ma bladego pojęcia, co tu się dzieje. Dłonie pocą mi się na kiju do hokeja, ale o dziwo nie czuję strachu. Nie wygląda mi to na dzieło Diabła, a odkąd zapuściliśmy się w korytarz, nie widziałam i nie słyszałam ani jednego szczura.

Elisabeth chrząka, by zwrócić moją uwagę, i rusza przed siebie. Idę za nią. Poruszamy się pomału, rzucając spojrzenia na lewo i prawo. I wtedy go widzę. Staję jak wryta. Przyjaciółka idzie dalej. Zmierza ku wąskiemu wyjściu, ale ja skręcam w bok, ku ścianie po lewej. Kieruję się ku fotelowi, wysokiemu abażurowi, połówce kredensu i stołowi jadalnemu, pod który wsunięto samotne krzesło.

Tam, na blacie stołu o trzech solidnych nogach, stoi domek dla lalek. Docieram do niego, nie oglądając się, by sprawdzić, czy Elisabeth jest jeszcze w pokoju. Brakującą nogę stołową zastąpiono kijem od miotły. Domek dla lalek ma kształt prostokąta, jest pozbawiony dachu, ale zamontowano w nim światło. Pomieszczenie, w którym się znajduję, też jest jasno oświetlone. Przez chwilę zastanawiam się, jak to możliwe, ale to bardzo krótka chwila. Jestem zafascynowana domkiem. Kucam przy stole, by móc zajrzeć do środka. I wtedy odkrywam, że domek dla lalek wcale nie jest domkiem dla lalek, tylko miniaturową repliką stacji Lime Street!

Badam konstrukcję wzrokiem i zauważam, że miniatura nie obejmuje całości dworca. Jest biuro rzeczy znalezionych, ale bez mieszkania na górze. Kawiarnia Elisabeth też się załapała, jest moja biblioteka książek znalezionych i tunele wiodące do miejsca, w które trafiłyśmy. Widzę też peron siódmy i ławkę naprzeciwko

mojego biura.

Dbalność o szczegóły zapiera dech w piersi. W biurze rzeczy znalezionych jest dokładnie tyle półek, ile trzeba, a nawet maleńkie kartoniki z etykietami. Jedno z pudełeczek, które podnoszę w palcach, jest opatrzone napisem „kije do hokeja”. Miniatura mojej biblioteki naprawdę zawiera tycie książeczki, ustawione w barwne pasy tęczy. Po prostu wiem, że znajdę tu replikę każdego posiadanego przeze mnie tomu.

Nie przeszkadza mi, że ktoś dokonał precyzyjnej analizy biura rzeczy znalezionych i piwnicznych pomieszczeń. Cieszę się, że ktoś gościł w mojej bibliotece. Są nawet stojące otworem srebrne drzwiczki i dwie maleńkie figurki w pokoju o kształcie butelki. Odkładam kij na ziemię i biorę w palce jedną z laleczek.

Ma ciemne, dość długie włosy przycięte w niechlujny sposób, jak ja; ma moje brązowe oczy. Chyba dreszcz powinien przebiec mi po plecach, chyba wypadałoby się przerazić, chyba należałoby poderwać się z wrzaskiem, popędzić do biblioteki ile sił w nogach i zaryglować drzwi na wieki. A jednak nadal nie czuję strachu. Wypełnia mnie podziw, wdzięczność i świadomość, kto stworzył figurkę, zdobyta w chwili, gdy tylko ujęłam w palce minimnie.

Ktoś pociąga nosem za moimi plecami. Lekko odwracam głowę i widzę Elisabeth. Nachyla się nad dziełem, kapiąc na nie łzami. Ociera oczy.

– Cudeńko – mówi.

Podnosi miniaturową wersję siebie i wstawia ją do kawiarni. Rekonstrukcja jest doskonała. Właścicielka wysuwa maleńką szufladkę, odkrywa tam maciupkie noże i widelce; w innej kryją się maluśkie kopie rachunków, o których wolałaby zapomnieć.

– Jakim cudem? – Elisabeth kręci głową, ale tak naprawdę nie interesuje jej odpowiedź.

Odwracam twarz ku wąskiemu wyjściu. Ruchem podbródka pokazuję, dokąd musimy iść. Przyjaciółka potwierdza skinieniem głowy.

– Nie boisz się, laleczko? – upewnia się.

Wsuwam rękę do kieszeni i gładzę palcami staromodnego kawalerzystę.

Wkraczamy do kolejnego pomieszczenia – jeszcze nigdy nie byłam w takim miejscu. Pokój jest przestronny, szeroki na jakieś osiem metrów i co najmniej na trzydzieści długi. Olbrzymie łuki, wysokie na kilkanaście metrów, stanowią wejścia do dalszych tuneli, ale nie mam najmniejszej ochoty ich penetrować.

Stojąc w progu tej hali, mam wrażenie, że znajduję się w sali balowej podziemnego pałacu. Przestrzeń jest podzielona na sekcje; odrębne strefy nie są odgraniczone ścianami, lecz odróżniają się od siebie wystrojem. Nie wiem, na czym najpierw skupić wzrok. Miejsce jest niewiarygodne. Jak dom bez ścianek działowych, tyle że to tunel. Wątpię, czy ktoś kiedykolwiek tu sprzątał. Nad moją głową wisi największa lustrzana kula, jaką w życiu widziałam. Jest zrobiona z odłamków lu-

ster wymieszanych z fragmentami kolorowego szkła, które odbijają światło, rozsyłając po tej części pomieszczenia wesołe promyki.

Przed nami znajduje się strefa ze stołem, na którym stoi stary gramofon. Obok przystawiono wiekowy fotel, w którym siedzi mężczyzna. Człowiek nie podnosi wzroku, choć na pewno zdaje sobie sprawę z naszej obecności w swoim domu. U jego stóp leży wędka.

– *Bonjour*, Williamie. – Uśmiecham się.

Elisabeth jest tuż przy mnie. Nie odezwała się, odkąd weszliśmy. William nadal na mnie nie patrzy. Nie wiem, czy gniewa się, że naruszyliśmy jego prywatną przestrzeń, tę wspaniałą przestrzeń, którą stworzył przy ogromnym nakładzie czasu i wytrwałości.

Miejsce, w którym siedzi William, ten konkretny fragment przestrzeni, ma wygląd umeblowanego pokoju, pełnego pamiątek i fotografii. Jest wystylizowany na starodawny salon, nie pasuje do lustrzanej kuli nad nami. Stoi tu duży stół jadalny nakryty do obiadu dla trojga. Głośno wciągam powietrze.

– Co się dzieje? – szepcze Elisabeth.

– Tu, gdzie siedzi William; już widziałam tę jadalnię – mówię.

– Jak to? Przecież nigdy nie wyszłaś poza stację Lime Street.

– Tutaj – odpowiadam, wskazując palcem własną głowę, po czym wyjmuję z kieszeni samotnego kawalerzystę.

Nie umiem tego wyjaśnić, ale Elisabeth rozumie i kiwa głową.

– Zbudował replikę swojego dawnego mieszkania? – zgaduje. Słyszę, że znów pociąga nosem. – Tak mi przykro. Ostatnie, czego mu trzeba, to moja liść, ale...

Przemykam wzrokiem po pozostałych przestrzeniach. Toaleta, kuchnia, cztery sypialnie, choć wystarczyłaby jedna. Centralną pozycję w tym genialnym dziele sztuki, najwspanialszym hołdzie złożonym rodzicom, zajmuje niepowtarzalny William.

Siedzi w swoim fotelu. Udaje, że nas nie dostrzega. Przyjmowanie gości najwyraźniej nie mieści się w jego rutynie. Czyta na niby komiks z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, zakrywając nim twarz, co uniemożliwia nam stwierdzenie, czy wzbudziłyśmy jego złość.

Odchrząkam.

Żadnej reakcji.

Krzyczę:

– *BONJOUR, WILLIAMIE!*

William podrywa się z fotela. Kwaśny odór jego ciała wisi w powietrzu. Patrzymy sobie prosto w oczy; żadne z nas nie śmie zrobić pierwszego kroku naprzód. Jesteśmy sobie obcy, choć tak wiele nas łączy.

– Williamie, dziękuję ci za to. – Unoszę w górę samotnego cynowego kawa-

lerzystę. – To najcenniejszy podarunek, jaki w życiu otrzymałam.

Dziwak milczy.

– Wiem, jak ważny jest dla ciebie ten przedmiot. Wiem, że dostałeś go od rodziców, tuż przed...

– Jestem William – przedstawia się nagle i pokonuje dzielącą nas przestrzeń pokoju.

Jego smród go wyprzedza, jednak kiedy zbliża się do nas, wyciągam do niego rękę. Elisabeth wydaje krótki okrzyk zdumienia.

– Nigdy nie ściskasz nikomu dłoni – mówi.

– To wyjątkowa okazja. William odzyskał głos – tłumaczę, po czym zwracam się do niego: – Mam na imię Marta.

Ujmuję brudną dłoń nowego przyjaciela. Jego skóra przypomina w dotyku piasek.

– Jesteś tym zgubionym dzidziusiem – mówi powoli. – Widziałem. Jak zostajesz sama.

Puszczam jego dłoń. William odwraca się i wskazuje duży stół jadalny, po czym patrzy na mnie i wyciąga palec; następnie ledwo zauważalnie pokazuje na Elisabeth. Jego gesty są powolne, zamierzone, uroczyste.

– Czy to nakrycia dla nas? – pyta moja przyjaciółka, a William potwierdza skinieniem głowy. – Cóż, to bardzo miło z twojej strony. Urządzamy dziś tutaj wieczorny piknik?

William ponownie przytakuje.

W epoce utilitaryzmu, bardziej niż kiedykolwiek, poszanowanie dla baśni jest sprawą najwyższej wagi.

Charles Dickens

I tak toczy się moja baśń. Ta część ma miejsce w sierpniu, nadal w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, w czasach, kiedy olbrzymy bywają przyjazne, a smoki pozwalają się ujarzmić. To pewnie Rozdział siódmy historii mojego życia.

W tej chwili stoję w progu biura rzeczy znalezionych. Przed peronem szóstym, nieopodal tablicy ogłoszeń, jakiś mężczyzna korzysta z budki telefonicznej. Widzę tylko jego plecy, twarz pozostaje ukryta; jego bagaż przytrzymuje drzwi budki przed zamknięciem. Człowiek krzyczy; używa akcentu, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałam.

– Taaa, stary. Witaj, Grahamie. Tu Max Cole, melduję się.

Milknie. Szkoda, że nie słyszę, co mówi osoba w słuchawce.

– Nieźle, nieźle. Właśnie dotarłem do Liverpoolu.

Wypowiada nazwę miasta w dziwaczny sposób, po czym wybucha śmiechem.

– Długo, stary. Straciłem rachubę, nie wiem, jaki dziś dzień i godzina. Chciałem od razu umówić się na spotkanie. Załatwmy sprawę potwierdzenia autentyczności jak najszybciej, dobra?

Patrzę na Jenny Jones. Wychyla się ze swojego kiosku, wpatrzona jak ja w plecy obcokrajowca.

– Jenny Jones! – wołam i macham do niej, kiedy na mnie spogląda.

Kioskarka wykonuje jakieś dziwne gesty, trochę jakby doła krowę, po czym wskazuje na mężczyznę, a może na budkę telefoniczną, chyba że na tablicę ogłoszeń? Wzruszam ramionami.

– Mistrzu. Pasowałaby ci dziesiąta rano? Cholera, sekundę, muszę jeszcze wrzucić monetę do...

Wypuszcza z ręki słuchawkę, która upada z hukiem. Przeszukuje liczne kieszenie w rozpaczliwej próbie wyłowienia drobnych.

– Halo, halo?

Trzyma telefon jedną ręką, drugą wydobywając monety ze spodni. Udaje mu się. Znajduje pieniądze, namierza otwór. Klaszcze w dłoń i wołam: „Dobra robota!”, ale nie odwraca się w moją stronę. Może powinnam nauczyć się krzyczeć trochę głośniej.

– Hej, przepraszam, nie mogłem znaleźć drobnych. Jestem na wpół przytomny.

Milknie.

– Nie, korzystam z budki, mam przed nią wszystkie graty...

Zawiesza głos. Odwraca się, ale nadal nie widzę jego twarzy. Schyla się; jedną ręką trzyma w powietrzu słuchawkę, drugą przekłada sztuki bagażu.

– Przepraszam za to, no... tak, mieszkam w hotelu Adelphi. Tak, spytam...
CHOLERA JASNA!

Usiłuje się wygiąć i wykręcić, żeby spojrzeć na rzeczy, jednocześnie krzy-
cząc do słuchawki. Raczej nie jest mu wygodnie.

– Nie. O, NIE!

Milknie.

– Mogę do ciebie oddzwonić?

Tyle słyszę. Teraz moją uwagę przyciąga Drak, który podaje mi brązową
paczkę, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Kolejna przesyłka dla ciebie, Marto – oznajmia, wręczając mi książko-
kształtną paczkę z miną, po której znać, że zdaje sobie sprawę, jaką to ma dla mnie
wartość.

– Znowu? – pytam.

Przejmuję pakunek i zajmuję miejsce na taborecie za ladą.

– Taka jak poprzednie. Założę się, że to odpowiedź na ten twój plakat – zga-
duje.

Wieści się rozniosły. Wszyscy na stacji Lime Street mówią o moich ogłosze-
niach i o zbirach, których nasłał na mnie Zarząd. Sporo osób zaglądało ostatnio
do biura rzeczy znalezionych ze słowami wsparcia i zapewnieniem, że stoją po mo-
jej stronie i że pomogą mi stawić czoła Zarządowi. Ostatnimi czasy dużo się uśmie-
cham. Wiem, że powinnam załatwiać dane i dokumenty, które usatysfakcjonowały-
by Zarząd, ale wreszcie poznaję smak szczęścia. W końcu czuję się bezpieczna.

Dotyk pakunku w dłoni wywołuje we mnie nerwowe drżenie i radość –
wszystko zmieszane ze sobą. Ktoś poświęcił czas, by przeczytać mój plakat, wy-
brać książkę, a następnie zapłacić puste przestrzenie słowami i nadać paczkę,
by mogła dotrzeć do mnie w torbie Draka. Nie chcę zerwać tej komunikacji, jesz-
cze nie teraz. Zerkam na znaczek.

– Stempel z Liverpoolu – zauważa listonosz. – Jak poprzednio.

Kiwam głową. Chłonę wzrokiem moje imię i adres na starannym opakowa-
niu. Wszystko napisane drukowanymi literami, czarnym atramentem; charakter pi-
sma nie dostarcza żadnych wskazówek. Otwieram książkę i przeglądam z grubsza
obejmujący kilka stron wpis. Łzy napływają mi do oczu.

– Wszystko w porządku? – troszczy się Drak.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Zdobyłaś już, co tam trzeba, żeby szefostwo ci się nie naprzykrzało?

– Jeszcze nie – odpowiadam, nie odrywając wzroku od tekstu. – Ale spokoj-
nie, mam mnóstwo czasu. Dwadzieścia sześć dni.

Mój głos brzmi na znudzony, choć jestem daleka od tego stanu. Przyglądam
się zawijasom pisma.

– Nie zwlekaj z tym zbyt długo. No nic, pójdę już.

Wychodzi; kiwam mu głową na pożegnanie.

Wpatruję się w słowa. Staram się siłą woli pobudzić je do tańca. Ach, gdyby

tak mogły się zmienić w coś dotykającego. Wiedzą, kim jestem, jest w nich pewien komfort. Nawiązałam kontakt z kimś, kto może mi pomóc w zdobyciu numeru ubezpieczenia społecznego i aktu urodzenia. W brzuchu czuję rodzące się ciepło – to promyczek, iskierka nadziei. Nagle mam ochotę je zgasić. Nie chcę karmić się złudzeniami.

Czy nadal jestem zgubą?

Kładę książkę na blacie. Schylam się, by włączyć grzejnik gazowy; przyciągam go bliżej siebie. Może to prawda, że całe Zjednoczone Królestwo topi się w nieskończonej fali upałów, ale ja rozcieram zmarznięte dłonie. Staram się skupić na bieżącym dniu pracy.

Mam dziś zdecydować o losie zapalniczki z grawerunkiem i martwej fretki, którą ktoś niezbyt umiejętnie próbował wypchać – obu przedmiotom skończył się czas. Jednak najpierw muszę się zająć zagubionym motylem.

I wtedy do biura rzeczy znalezionych wchodzi on.

Czuję na sobie jego wzrok. Pakuję właśnie motyla – mieniaka tęczowca – płochliwe stworzenie, trudne do schwytania, jednak narażone na niebezpieczeństwo ze względu na swoją nieodpartą potrzebę gaszenia pragnienia. Mam w bibliotece książkę, która opowiedziała mi wszystko o tych pięknych owadach.

Ten motyl nie został złapany przeze mnie. Chwytam pęsetką lekko drżącymi palcami. Mój okaz to samiec; samica pozostawałaby w ukryciu. Ciekawe, jak długo czekała na partnera? Tułów motyla przebito szpilką, a skrzydła zostałyby pewnie rozpięte na tablicy – nie przeze mnie. Staram się nie myśleć o przeszłości zwierzątka i nie muskać palcami jego ciała.

Kładę go na spodzie z korka i przykrywam szklanym kloszem, dzięki czemu można podziwiać jego piękno. W pojemniku umieściłam lusterko, tak żeby motyl mógł też sam na siebie patrzeć. Jego skrzydła lśnią fioletem, tańczą w sztucznym świetle biura. Już nie jest zagubiony.

W drzwiach, jak zwykle otwartych, stoi mężczyzna. Tkwi tam od ładnych pięciu minut, ale nie śmiem podnieść na niego wzroku. Nic nie mówię, bo muszę poświęcić całutką uwagę zabezpieczeniu i ochronie mieniaka tęczowego. Był zagubiony przez dziewięćdziesiąt dni. Dziś został odnaleziony.

Pojemnik ze szklanym kloszem jest przygotowany; odkładam pęsetę na blat. Wtedy przybysz się odzywa:

– A lusterko po co, słonko? – Słowa pospiesznie uciekają z jego ust.

Przyglądam mu się. Jest wysoki, o czarnych falujących włosach opadających na oczy o przedziwnym odcieniu – pierwszy raz taki widzę. Są koloru najczystsze-go błękitu i nie mogę przestać w nie patrzeć.

– To tragiczne – wracam spojrzeniem do mojego mieniaka tęczowego, po czym kończę myśl – że motyl nie ma szans, żeby dostrzec własne piękno. A pan się zgubił czy znalazł?

– Zgubiłem się – stwierdza i wybucha śmiechem.

– Nie ma dwóch identycznych motyli – mówię, nie podnosząc wzroku znad okazu. – Trudno się dopatrzeć drobnych różnic w barwie i wzorze, ale dla mnie są wyraźne. Uderzające piękno.

Wkładam pojemnik z motylem do mojej walizki, leżącej na podłodze; później pozwolę mieniakowi zamieszkać w bibliotece książek znalezionych. Jest cudnym okazem i nadaje jeszcze większej wagi słowom, które dopiero przeczytałam: „Bo Ty, moja kochana Marto, jesteś motylem. Boli mnie, że być może, niczym najbardziej urzekający motyl, nigdy nie docenisz własnego piękna”.

Wiem, że osoba, która wysłała mi tekst, знаła moje plany dotyczące owada. Nadawca książki najwyraźniej mnie obserwuje, ale nawet ta wskazówka nie pozwala mi odgadnąć jego tożsamości. Prawda jest taka, że opowiadam o zagubionych przedmiotach każdemu, kto ma ochotę słuchać, więc i z motyla nie robiłam tajemnicy. Elisabeth powiedziała mi kiedyś, że jeśli czyjaś historia zostaje wysłuchana, to ten ktoś nie może być prawdziwie zagubiony.

Odwracam się i spoglądam na mężczyznę. Patrzę mu w oczy i odczytuję jego zdenerwowanie. Jest spocony i nieco zasapany.

– Proszę wybaczyć – mówię. – W czym mogę panu pomóc?

– Zgubiłem walizkę. Naprawdę ważną walizkę, pewnie najważniejszą, jaka może być, i...

Znów ten charakterystyczny akcent!

– Czy to pan korzystał z budki telefonicznej? – kojarzę, a on potwierdza skinieniem głowy. – Przyjechał pan na wakacje? – pytam, mierząc wzrokiem leżące na podłodze bagaże.

– W interesach. No, w sumie to zbieram informacje. Jestem pisarzem. Wylądowałem kilka godzin temu. Chcę napisać... Przyleciałem z Australii. W tej walizce jest klucz do wszystkiego.

– Australijski pisarz bez klucza do informacji – mówię, po czym przybieram mój najpoważniejszy wyraz twarzy. – Zapraszam, proszę usiąść na moim taborecie. Zobaczmy, co mogę dla pana zrobić.

Nadane przez Anonima, adresowane do Marty Zguby, przekazane w książce *Wiem, dlaczego ptak w klatce śpiewa* Mai Angelou, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja droga Marto,

dzisiejszego ranka Twój plakat tak mnie zachwycił, że pióro natychmiast znalazło się w mojej dłoni, by ulżyć nieco poczuciu zamętu i przygnębienia przygaszającego Twój uśmiech.

Ufam, że świadomość, że patrzę na Ciebie każdego dnia, nie wywoła w Tobie poczucia zaniepokojenia czy lęku; pragnę tylko zaznaczyć, że moje codzienne obserwacje pozwalają mi zaproponować opis Twojej osoby, który jest, moim zdaniem, szczery i wnikliwy.

Twój plakat zadał mi proste pytanie: „Kim jestem?”. Pytanie, które padłoby z ust niewielu Twoich rówieśników; pytanie bez odpowiedzi, które – jak miemam – jest dla Ciebie źródłem troski i poczucia osamotnienia. Tak, moja kochana Marto, to prawda, że w Twoim krótkim życiu nie brakowało żalu i cierpienia, ale one nie definiują tego, kim jesteś. Bo Ty, kochana Marto, jesteś motylem. Boli mnie, że być może, niczym najbardziej urzekający motyl, nigdy nie docenisz własnego piękna. Jesteś mądra, pełna empatii i dobra, moje dziecko. Smukłą, niemal chłopięcą figurę otrzymałaś od matki; Twoja magia to dar od ojca.

Wybacz mi śmiałość, proszę, ale moja rada byłaby taka: „Nie pytaj, kim jesteś ani kim mogłabyś być, tylko patrz w przyszłość, ku temu, czym dopiero się stajesz”.

Z pozdrowieniami,

Anonim

Kiedy ujrzałam maleńkiego rzymskiego legionistę siedzącego na ławeczce w replice stacji Lime Street, zrozumiałam, że Williamowi nie będzie przeszkadzało, jeśli zaprosimy George'a Harrisa na wspólne spotkanie. Tak też zrobiliśmy. Z początku chłopcy nieco się krępowali, ale wszyscy tak już mamy. Elisabeth twierdzi, że jesteśmy zagubionymi dziećmi, przez co brak nam obycia towarzyskiego i zdarza nam się potykać o to, co wypada.

Dziś zamiast pikniku urządziliśmy obiad przy stole. Znajdujemy się wszyscy w tunelu Williama. Gospodarz puszcza piosenki Beatlesów. George Harris został dziś z nami dłużej niż zwykle; chciałby się dowiedzieć więcej o Williamie. Ten właśnie oznajmił, że chce nam wszystko opowiedzieć. Chyba potrzebuje wyrzucić z głowy to, co go dręczy.

Siedzimy wszyscy przy stole jadalnym. William zdobył dodatkowe krzesło, rzecz jasna niepasujące do reszty. Tym razem nakryto dla czworga, a pośrodku stołu pojawiła się nawet zesztukowana, posklejana patera. Spędziłyśmy z Elisabeth długie godziny na przyrządzaniu pyszności – kanapek z jajkiem, kromek z mielonką, babeczek ze śmietaną, maleńkich babeczek z posypką, miniaturowych placków z czereśniami, babeczek z serem, jaj na twardo i wielu innych smakołyków. Moja przyjaciółka przydźwigała swój czajnik – taki ogromny – i uparła się, żeby przynieść czyste filiżanki, porcelanowe talerze i zestaw sztućców. William nie miał nic przeciwko. Czuję, że jest szczęśliwy, kiedy do niego wracamy. Lubimy go odwiedzać.

W oczach nieznanymy stanowimy zapewne dziwaczną bandę. William, w niedopasowanym, długim surducie, z melonikiem na głowie i sztybletach na nogach. Jego brązowa broda, zmatowiała i nieprzystrzyżona, zwija się w szpic. Nadal cuchnie i jest okropnie brudny. Chyba od lat się nie kąpał.

Tuż przy nim siedzi Elisabeth. Wygląda olśniewająco. Jej fryzura jest jak zwykle doskonała; przyjaciółka ma na sobie obcisłe spodnie, czarny golf, sznur pereł i baletki. Na jej ubraniu nie uświadczysz ani pyłku kurzu czy mąki, a każdy element garderoby wygląda jak świeżo wyprasowany, brak najdrobniejszego zagniecenia. Nie mam pojęcia, jak osiąga taką nieskazitelność, skoro calutki dzień krząta się w kawiarni.

George Harris zajmuje miejsce naprzeciwko Williama. Ma na sobie pełny strój rzymskiego legionisty; czasem podejrzewam, że nigdy nie ściąga zbroi, żeby od niej odpocząć.

Ja siedzę obok niego. Wybrałam na dziś czerwono-białą sukienkę bez pleców, z rozkloszowaną spódnicą, ciasno przylegający biały sweterek na guziki i białe buty na obcasie. Dostałam je w prezencie od Elisabeth. Sukienkę też dla mnie uszyła; nie brakuje siatkowej halki, która szumi, kiedy wiruję. Myślę, że gdyby ktoś trafił na nasze przyjęcie, doznałby nie lada szoku. Zgraja dziwaków, każdy z innego świata, spotkała się na herbatce u Szalonego Kapelusznika. Ale jeśli lepiej

jej się przyjrzeć – wszyscy doskonale do siebie pasujemy.

Rozmawiamy bez ładu i składu, przeskakujemy z tematu na temat. Pokazałam przyjaciółkom moje wydanie *Wiem, dlaczego ptak w klatce śpiewa* i odczytałam na głos odręczny wpis. Kiedy skończyłam, William bił brawo.

– Ona wciąż jeszcze nie była na zewnątrz – oznajmia Elisabeth w odpowiedzi na uwagę George’a Harrisa, że fala upałów już mija.

Teraz panuje susza. Przyjaciółka podarowała mi radio; mówili o klęsce w porannych wiadomościach.

– Wkrótce wyjdę – oświadczam. – Muszę tylko wymyślić, jak zabrać ze sobą fragment stacji Lime Street. Kiedy na to wpadnę, wezmę swoją wytartą walizeczkę i wybiorę się na spacer po Liverpoolu. Będę udawać turystkę.

– Zastanawiałem się, co byś mogła zabrać – odzywa się William.

Sięga pod stół, po czym prostuje się na krześle, kładąc przed nami spory kawał piaskowca. Głaz ma szerokość dużego talerza i wysokość jednej z porcelanowych filiżanek Elisabeth.

– Skąd to masz? – pytam.

– Z tuneli. Z głębi, głębin, z serca stacji Lime Street. Weźmiesz? Na zewnątrz?

– Och, Williamie! – wołam z zachwytem. – Masz rację. To jest to!

Muszę użyć obu rąk, by udźwignąć kamień. Kładę go sobie na podolku. Jest bardzo ciężki; miażdży mi uda.

– Nie sądzisz, że może ci być trudno spacerować z czymś takim, laleczko? – pyta Elisabeth.

Uśmiecham się do niej, na co wybucha śmiechem.

– Mogę ci pomóc to nosić – oferuje George Harris.

Zerkam na niego, ale znów wbija wzrok w napierśnik. Patrzę na Elisabeth, która chichocze, a potem uśmiecham się do przygniatającego mnie piaskowca.

– Serce stacji Lime Street – szepczę. – Dziękuję, Williamie. Nie włożę go do walizki, tylko...

Spoglądam na Williama, ale nie patrzy na mnie. Wiodę wzrokiem po twarzach pozostałych. Elisabeth się uśmiecha, Rzymianin również. Ale oblicze Williama jest smutne, jakby błędził myślami gdzieś daleko.

– Gdzie twoja wędka, Williamie? – pytam.

– W bezpiecznym miejscu – odpowiada.

– Król Rybak⁷ stacji Lime Street – mówi George Harris.

⁷ Król Rybak, zwany też Rannym Królem – postać z legendy arturiańskiej, ostatni członek rodu, którego zadaniem było czuwanie nad Świętym Graalem; ranny w nogę bądź pachwinę; zajmuje się łowieniem ryb ze względu na nieurodzaj swoich ziem (przyp. tłum.).

Śmieję się, Elisabeth mi wtóruje. William nie.

– Inne dzieci. Ewakuowali. Malutkie, brązowe walizeczki – rzuca. Nie interesuje go rozmowa o wędkach. – Trochę kobiet, dużo dzieci. Dzieci się cieszyły. Wyjazd na wakacje. Farma w Walii. Ja miałem nie jechać. Mama i Tata... Mama i Tata chcieli, żebym był. Bezpieczny. Z nimi.

– Podczas wojny? – dopytuje Elisabeth.

William chyba jej nie słyszy. Dźga brudnym palcem białą bułkę swojej kanapki z jajkiem. Na pieczywie zostają czarne odciski. Gapię się. Mam nadzieję, że nie włoży tego do ust.

– Mieliliśmy tunele pod domem. Niestraszne nam były szwabskie bomby. Tata był marynarzem. Królewskim marynarzem, w marynarce wojennej. Medalu mu nie dali, ale był dobrym marynarzem. Nie musiał więcej walczyć. Nie pozwoliłby, żeby mnie czy Mamie stała się krzywda.

– Jak to możliwe, że to pamiętasz, Williamie? Byłeś malutki, kiedy...

– Pamiętam. Znalazłem w gruzach papiery...

– Och, Williamie – wzdycha Elisabeth.

Ale on nie oczekuje współczucia, chce tylko, by ktoś go wysłuchał. Nie sądzę, żeby miał dotąd okazję do zwierzeń. Ludzie oceniają innych po pozorach.

– Patrzyłem. Z zakrytego siatką okna sypialni. Patrzyłem. Rodzina z naprzeciwka. Państwo Davies. I ich dzieci, przed domem, z walizkami. Szóstka dzieci. Moi przyjaciele. Nie wiedziałem, czy jeszcze kiedyś ich zobaczę. Laura i Mary wysyłały pocztówki. Z Walii. Nie umiałem pisać ani czytać. Byłem za mały. Ale Mama obiecała, że będzie pomagać i mogłem na kartce narysować obrazek. Miałem pięć lat. Machałem do nich. Laura i Mary odchodziły ulicą. Nie odmachały mi. Małe brązowe walizeczki i maski gazowe. Cieszyły się. Będzie przygoda. Chciałem, żeby szybko wróciły.

– Takie walizki? – pytam, wskazując palcem burą walizeczkę i dziecięcą maskę gazową leżące na kredensie.

William wstaje – tym razem wlecze lewą stopę – i podnosi przedmioty. Nie przerywa swojej opowieści.

– Miesiąc. Mama co noc napełniała wodą garnki i rondle. Garnki i rondle, gdyby szwaby po nas przyszły. Przez pierwszy tydzień codziennie rysowałem obrazek. Dla Laury i Mary. Mama obiecała, że da je pani i panu Davies, żeby przesłali dalej. Nie było dzieci, żadnych, wcale, na naszej ulicy, nigdzie. Mama się śmiała. Mówiła, że uratowali mnie z Tatą przed... Flecistą z Hameln.

– Widziałeś szczury? – pytam pod wpływem skojarzenia z mroczną bajką.

– Szczurołap czy Flecista z Hameln to tylko metafora, laleczko – mówi Elisabeth.

Wzruszam ramionami.

– Pewnego dnia przyszła pani Davies. List do mnie. Od Laury – ciągnie William. – Pisała, że dobrze się bawi. Że ludzie mówią śmiesznym językiem. Świeże

powietrze, bez ulicznych hałasów. Jedyne, co Laura słyszała, to szum strumyka, spływającego z góry za domem, w którym mieszkała. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak brzmi strumyk. Nie potrafiłem. Spytałem Mamę, odkręciła kran, pochlapała mnie wodą. List się zmoczył.

William chichocze. Przerywa opowieść i przesuwa czarnymi od brudu palcami po masce gazowej.

– Wrócili? – George Harris przełamuje ciszę.

– Wrócili – kontynuuje William. – Nic się nie wydarzyło w tym miesiącu. Kiedy dzieci wyjechały. Na nasze domy nie spadły bomby. Szwaby nikogo nie zabiły. Nie w naszej okolicy. Mama powiedziała, że to sztu... sztuczna wojna. Pomyślałem sobie, że może wojna już się skończyła. Dzieci wróciły. Te od Daviesów. Mary i Laura znowu bawiły się na ulicy. Mnie też Mama pozwoliła wyjść się pobawić. Opowiedziały mi o dziewczynce z farmy, mówiły, że miała niebieskie oczy. Kruczoczarne włosy. Mogła mieć z osiem czy dziewięć lat i rozdawała całusy za pensa. Mary i Laura były oburzone. Cieszyłem się, że wróciły. Wszystko było normalnie. No, prawie normalnie. Mama i Tata zapowiedzieli przyjęcie na moje urodziny. Szóste urodziny. Obiecali parówki. Tata powiedział, że zdobędzie. Takie spod lady.

– Spod lady? – nie rozumiem.

– Racjonowanie żywności – wyjaśnia krótko Elisabeth.

Kiwam głową.

– Na pewno chcesz mówić dalej? – pytam Williama.

Widzę, że wspomnienia budzą w nim niepokój. Przeskakuje z jednego sztybletu na drugi.

– I nagle atak. Bomba, w Prenton, za rzeką. Jedna ofa... ofiara. Mama słyszała, że zginęła niemiecka sprzątaczką. Ludzie byli, albo wydawali się, szczęśliwi. Bo szwaby zabili jedną ze swoich. Tata się śmiał, Mama groźnie na niego patrzyła. Laura i Mary. Z powrotem do Walii. Mary była najstarsza, piętnaście lat. Chłopców nie mieli, nie, żadnych synów. Na odjezdne Mary podarowała mi taksówkę. Resorówkę, londyńską taksówkę, trochę poobijaną, ale niezepsutą. Wiedziała, że już prawie mam urodziny. Uściskałem ją. Powiedziała, że szkoda, że z nimi nie jadę. Mama nie chciała, żeby opiekował się mną ktoś obcy. Mama mówiła, że Tata nie da mnie skrzywdzić.

– Nie mieliśmy wiele, nie to, co ludzie dzisiaj – kontynuuje William. – Mieliśmy to, co było nam potrzebne. Ładne rzeczy. Mama mówiła, że nasza porcelana jest najlepsza. Najlepsza, jaką można kupić. Obiecała, że na moje urodziny wyciągnie eleganckie talerze. Mieliśmy być tylko my: Mama, Tata i ja. Mieliśmy siebie nawzajem. Nikt więcej nie był nam potrzebny. Troszczyliśmy się. O to, co kochaliśmy.

Łzy spływają po policzkach Williama. Elisabeth wstaje i podchodzi do niego

pomału. Wyciąga ręce, a on pozwala jej się przytulić. Patrę na nich. On zanosi się płaczem, a ona tuli go, chroni, daje bezpieczeństwo.

Pytanie zamieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który przykleiła na tablicy przy peronie szóstym:

Jak naprawdę się nazywam?

Wybieram numer do hotelu Adelphi, gdy zegar stacji Lime Street wybija dziesiątą, zagłuszając nieco serwis informacyjny o pełnej godzinie. Słuchawkę podnosi Charlotte. Pracuje na recepcji w Adelphi, a w czwartki przychodzi zwykle na lunch do kawiarni. Elisabeth twierdzi, że żadna z niej liverpoolanka. W wolnym czasie podobno próbuje sił jako gwiazdka estrady. Łączy mnie z Maksymem Cole'em, żebym mogła mu przekazać dobre wieści.

– Znalazłam walizkę – oznajmiam.

– Dzień dobry? – odzywa się Max.

– O, przepraszam, tu Marta Zguba z biura rzeczy znalezionych.

– Marta! Chwileczkę, nazywasz się Zguba?

– To długa historia. Ilekroć pytałam o moje „dawno, dawno temu”, Matka opowiadała mi o Nocnym Promie z Paryża, o pasażerach podjadających swoje oeufs sur le plat z szynką w...

– Ale znalazłaś moją walizkę?

– Boże, ale jestem postrzelona, przepraszam, Max. – Z rozpedu przechodzę z nim na ty. – To przez telefon, tak się denerwuję...

– Spokojnie, słońce. Nie jesteś... Co powiedziałaś? Ktoś cię postrzelił? Niemożliwe. Ale naprawdę ją znalazłaś? Moją walizkę?

– Tak, mam ją tutaj. Właśnie na nią patrzę – potwierdzam.

– Bosko. Ratujesz mi życie, Marto, słowo daję, ratujesz mi życie.

– Lubisz czytać? Bo ja tak. Zeszłej nocy skończyłam książkę i była tak dobra, że wzięłam ją do łóżka i spałam z nią pod poduszką. Nie chciałam się zegnać z głównym bohaterem. Rozpłakałam się na myśl o odstawieniu jej na półkę.

– Książki? E, nie, jeśli mam być szczery, słoneczko, to jakoś nie mogę się do nich przekonać.

– Jak to?!

Pytanie wyrывa mi się w formie niezamierzonego krzyku. Ach, muszę się pilnować, żeby nie krzyczeć na obcych. Elisabeth twierdzi, że to może działać odpychająco.

– Cóż, przyjemnie jest na książki popatrzeć – przyznaje. – Ale nie lubię wpuszczać sobie do głowy głosu innego pisarza. Widzisz, skarbie, zależy mi, żeby moje pisarstwo było nieskażone.

Pisarz, który nie lubi czytać? Hm, to co najmniej dziwne. Zawsze sądziłam, że pisarze uwielbiają książki. Wyjaśnienie Maksa nie ma sensu. Nie mogę się doczekać, by omówić tę kwestię z George'em Harrisem. Też będzie w szoku. Na pewno uważa, że pisarze lubią czytać.

– Słowa innych ludzi zaburzyłyby moją kreatywność – ciągnie Max. – Nie ma pisarzy, którzy lubiliby czytać.

Ogarnia mnie absurdalny smutek. Oczywiście nie zdradzam tego Cole'owi. Nie chcę, żeby pomyślał, że ma do czynienia z największym głuptasem świata.

Po prostu czuję żal na myśl o pisarzu, który zna jedynie świat stworzony przez siebie samego.

– To zupełnie jak ja. Mój świat ogranicza się do stacji Lime Street – mówię.

– Może i tak, słonko.

Nie jestem jednak pewna, czy Max rozumie. Słyszę, jak ziewa w słuchawkę. Chodzi o to, że książki pomogły mi wędrować poza biuro rzeczy znalezionych. Jestem wdzięczna krainom stworzonym przez innych ludzi. Nie zdradzam jednak przybyszowi swoich myśli. Nie chcę, żeby pomyślał, że z niego kpię.

Kiedy zjawił się u mnie, by zgłosić zaginięcie walizki, spytałam go, kiedy widział ją po raz ostatni. Powiedział, że na sto procent miał ją w pociągu, który przywiózł go na stację Lime Street. Spytałam, czy jest pewien, że wysiadł z nią na peron. Nie potrafił sobie przypomnieć, powiedział, że od wielu godzin nie zmrużył oka, że w ogóle nie pamięta, czy zdjął ją z półki na bagaże, był zupełnie rozkojarzony. Namierzenie walizki nie stanowiło dla mnie najmniejszego problemu.

– Zacząłem pisać różne książki – mówi Max, a ja zastanawiam się, czy aby nie umknął mi fragment rozmowy. – Ta jest inna.

– Pokonałeś szmat drogi. Chyba bardzo cenisz Beatlesów.

– Nie znoszę ich. Dopiero niedawno wysłuchałem kilku piosenek. – Śmieje się. – Wolę Elvisa.

Na to ja parskam śmiechem. Zakładam, że żartuje.

– Mam osiem tygodni, żeby dopiąć celu. Wybrałem z konta wszystkie oszczędności, wzięłem bezpłatny urlop z pracy. To będzie przełom, życiowy zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, słoneczko.

– Przełom?

– Moja książka doczeka się druku, rzucę zwykłą pracę, będę pisał na pełny etat i tarzał się w kasie.

– Brzmi ekscytująco – przyznaję.

– A jak! Właśnie dlatego mówię, że odzyskanie walizki ratuje mi życie. Mam większy talent niż mnóstwo gamoni, których teksty trafiają do księgarni – prycha. – O, przepraszam, nie powinienem się przechwalać.

Potem opowiada mi, jak znalazł walizkę pełną wyjątkowych przedmiotów należących niegdyś do Mała Evansa. Elisabeth mówiła mi o śmierci Mała Evansa w styczniu. Płakała, kiedy zdawała relację z wydarzeń.

– Jest tam mnóstwo gratów związanych z Beatlesami. Paul nakręcił pełno filmów z wakacji, na które pojechał w sześćdziesiątym szóstym. Jeździł po Francji ze sztucznym wąsem i inne takie wygłupy. Nikt na to wcześniej nie trafił. A kto towarzyszył mu w tych szaleństwach? Mał Evans! Mówię ci, ta walizka okaże się prawdziwą skrzynią skarbów.

Mam nadzieję, że Max doczeka się swoich skarbów, ale jego słowa budzą we mnie smutek. Jeżdżenie po Francji ze sztucznym wąsikiem brzmi dokładnie jak

wyprawa, o której marzę, kiedy wiruję z moją walizką. Mal Evans musiał być wtedy szczęśliwy – a potem skończył tak tragicznie.

– Mogę zajrzeć do walizki i... – zaczynam. Elisabeth byłaby zachwycona, gdyby mogła poznać jej zawartość.

– NIE! Nie otwieraj jej! – krzyczy Max, po czym dodaje łagodniejszym tonem: – Przepraszam, Marto, zrozum mnie, wiesz, obiecałem ekspertowi, że obejrzy wszystko pierwszy. Nie mogę ryzykować, że ktoś coś skubnie.

– Ja nie kradnę. – Czuję się urażona.

– Jasne, że nie. Ale muszę zachować ostrożność. Bez tej walizki jestem w czarnej dziurze, słoneczko.

Kiwam głową, choć trudno, żeby widział moje kiwanie.

Odzyskanie walizki to była bułka z masłem. Było dla mnie oczywiste, że zostawił ją w pociągu. Mamy swoje systemy. Kilka telefonów wczoraj i kiedy dziś otwierałam biuro, żeby udać się na poranne wirowanie, zguba już była na miejscu. Oczekałam do dziesiątej, by powiadomić Maksa. Jest kreatywny; może nie sypiać w tych godzinach co ja.

– Ile masz lat? – pytam, na co mężczyzna wybucha śmiechem.

– Trzydzieści siedem. Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Pomyślałam, że warto zapytać.

Max znów się śmieje. Nie rozumiem, co go tak bawi. Wcale nie siliłam się na dowcip; sprawdzałam, czy Matka mówiła prawdę, kiedy twierdziła, że to niegrzecznie spytać kogoś o wiek. No i dalej nie wiem.

Jest pierwszym pisarzem, którego w życiu poznałam. Staram się podejść do tego na luzie, ale nie mogę przestać myśleć o mojej bibliotece książek znalezionych. Ciekawe, czy miałby ochotę w niej pisać? Ale jeśli nie lubi czytać, to pewnie głupi pomysł. Nie znoszę nie wiedzieć, jak się zachować. Mam nadzieję, że Elisabeth udzieli mi stosownych wskazówek.

– Może gdzieś jutro wyskoczymy? Wrzucimy coś na ruszt. Ja stawiam – proponuje Max.

– Jaki ruszt?

– Jedzenie. Zaraz wpadnę odebrać walizkę, a jutro moglibyśmy coś razem przekąsić. Zarezerwuję nam stolik na dole. Żeby ci ładnie podziękować, słoneczko.

– Kończę pracę o trzynastej.

– No to luz. Zgarnę cię w drodze ze spotkania. Możemy się nawet przejść spacerkiem.

Nie mówię mu, że w życiu nie byłam niczego przekąsić. Nie wspominam, że nigdy nie wyszłam poza stację Lime Street. Nie ostrzegam, że dworzec może lec w gruzach w chwili, gdy go opuszczę, i że jeśli zacznie się rozpadać, będę musiała natychmiast wbiec z powrotem i obyć się bez eleganckiego lunchu. Już wiem, że nie pobiorę od niego opłaty, kiedy zjawi się tu po odbiór walizki. Sięgam na dru-

gą półkę pod ladą po książeczkę czekową Matki.

Ostatnią godzinę spędziłam, usiłując pomalować rzęsy, zamykając biuro rzeczy znalezionych, biegając to na górę, żeby się przebrać, to na dół, żeby z powrotem otworzyć drzwi, a potem podjąć od nowa walkę z tuszem do rzęs. Latam jak wariatka.

Tego było mi trzeba – konkretnego powodu, żeby wyjść wreszcie poza stację Lime Street i sprawdzić pomysł zabrania fragmentu dworca ze sobą. Żołądek mam ściśnięty w najciaśniejszy supeł. Sama nie wiem, czy bardziej denerwuję się perspektywą obiadu w eleganckiej restauracji, czy wyjściem poza mój świat. Patrzę na spoczywające na ladzie serce stacji Lime Street i modlę się do bogów kormoranów stacji Lime Street, żeby mi się udało.

Przez otwarte drzwi wchodzi Elisabeth. Niesie papierowy talerz z babeczką ze śmietaną i kawałkiem torciku cytrynowo-bezowego. Zjawia się dziś później niż zwykle. Za pół godziny kończę pracę.

– Przepraszam, laleczko, mam dziś urwanie głowy. Przyniosłam ci za to dwa ciastka, żebyś dotrwała do lunchu.

Uśmiecha się, jednocześnie przyglądając mi się badawczo. Zauważyła zmianę, więc czekam, aż zapyta. Chodzi o to, że codzienna wizyta Elisabeth z ciastem to element naszego nowego rytuału – praktykujemy go już od kilku tygodni. Nie zadajemy zbędnych pytań; zakładamy. Ja zakładam, że przyjaciółka wpadnie do biura, ona zakłada, że będę miała ochotę na coś słodkiego, a potem wspólnie zjemy lunch. Nasze życia splatają się i zazębiają jak mechanizm zegarka. Podoba mi się to. Naprawdę, taki stan rzeczy sprawia mi wielką przyjemność. Trwająca od kilku miesięcy rutyna rysuje uśmiech na mojej twarzy.

Dzisiaj jest inaczej. Powinnam była powiedzieć jej wcześniej, ale tego nie zrobiłam. Chyba spodziewałam się, że on odwoła. Chyba myślałam, że stchórzę i nie wyjdę. Chyba chciałam uniknąć zamieszania.

– Nie sądzisz, że „bezowy” to doskonałe słowo? Świetnie oddaje chrupkość i...

– Wychodzę na lunch – mówię, przerywając Elisabeth w pół zdania.

– Wychodzisz? Ze stacji Lime Street? Z kim?

– Pamiętasz mężczyznę, który przedwczoraj zgubił walizkę?

– Tego, który mógłby być twoim dziadkiem?

Wybucham śmiechem; Elisabeth się nie śmieje.

– Ma trzydzieści siedem lat – informuję. – Zabiera mnie do restauracji wrzucić coś na ruszt. To znaczy, że idziemy coś zjeść.

Elisabeth spogląda na ciasta, które przyniosła, i z uśmiechem wzrusza ramionami. Też się uśmiecham.

– Dokąd pójdziecie? – chce wiedzieć.

– Do Adelphi.

– O cholera, laleczko. Toż to Hrabia Mam-Gest z Mam-Gesto-Dworu. – Przewraca oczami.

– Tam się zatrzymał – tłumaczę. Uśmiecham się od ucha do ucha.

– On stawia czy organizujemy szybką zrzutkę po stacji?

Śmieję się.

– A więc wychodzisz na zewnątrz? – upewnia się.

Kiwam głową. Radość rozświetla twarz przyjaciółki. Widzę, jak bardzo się cieszy. Coś ściska mnie w gardle. Chyba się rozplączę.

– Przepraszam – mówię, przesuwając papierowy talerzyk z ciastami z powrotem w stronę Elisabeth. Staram się odwrócić uwagę od moich łez. – Dziś o trzynastej ja oraz serce stacji Lime Street wyruszamy w świat.

– Tak szybko! – woła Elisabeth i zaraz proponuje: – Pomóc ci ułożyć włosy?

– Mogłabyś? I wiesz, malowanie rzęs jest do niczego. Cały czas trafiam szczoteczką w oko. Mam jakieś dwadzieścia minut.

Elisabeth wypada z biura i wraca z kosmetyczką pełną skarbów, zanim doliczę do sześćdziesięciu. Wkracza za ladę, stawia torbę na podłodze i zaczyna wyjmować narzędzia.

– Nie ruszaj się – nakazuje, stając przy moim taborecie. – Nawet się nie obejrzysz, a zrobię z ciebie Cillę Black.

Siadam spokojnie i pozwalam Elisabeth dokonać czarów kredką do oczu, tuszem, różem i cieniem do powiek. Doczepia mi nawet sztuczne rzęsy. Nie mam czasu denerwować się wyjściem poza stację. Zaczesa mi włosy do tyłu, tapiruje i psika na nie z pół puszki lakieru. Po pięciu minutach podaje mi lusterko; nie mogę uwierzyć, że patrzę na własne odbicie.

– Prawdziwa ślicznotka – ocenia przyjaciółka.

– Dziś mogę być kimś innym, kimś, kto już miliony razy opuścił stację Lime Street.

– Ale stawiaj ostrożne kroki, laleczko. Nie bój się, nie stanie się nic złego. Adelphi jest niedaleko. W razie jakichkolwiek problemów powiedz Charlotte, żeby po mnie zadzwoniła. Przyjdę po ciebie i wrócimy razem.

Wtedy go dostrzegam. Kątem oka. Odwracam głowę. Słyszę Elisabeth. Jej westchnienie jest znakiem, że i ona go zauważyła.

Oboje patrzymy na Maksa. Stoi przed biurem rzeczy znalezionych. Ma fioletowe buty. Jest pięć minut przed czasem. Odwracam się do przyjaciółki. Ma zmartwioną minę. Nie zdejmuje spojrzenia z Cole'a, a usta ma zaciśnięte w linijkę, bez najmniejszego promyczka radości na twarzy. Chwytam kurtkę, potem sięgam pod ladę po czapkę i szalik, a wreszcie zabieram serce stacji Lime Street. Piaskowiec muszę nieść w dwóch rękach.

– Nie jest aż tak zimno – odzywa się Elisabeth, zdejmując ze mnie czapkę i szalik. – Pozamykam. O mnie się nie martw.

Ze śmiechem wybiegam z za lady, wypadam przez drzwi, do Maksa.

– Idź normalnie, nie wiruj! – woła za mną przyjaciółka, więc kiwam głową, że dobrze, że rozumiem.

– Wpadnę potem do ciebie! – krzyczę, po czym przenoszę całą uwagę na Cole'a.

Razem wyjdziemy ze stacji Lime Street. On nie ma pojęcia, że to historyczna chwila. Czuję na sobie wzrok wielu ludzi. Wstrzymują oddech, bo zaraz przekonają się, czy dworzec nie runie im na głowy. Jenny Jones siedzi w kiosku. Stanley zamiata, ale obserwuje każdy mój ruch. Drak roznosi drugą turę poczty, a Elisabeth wyszła z biura rzeczy znalezionych i stoi pośrodku hali.

Skręcamy w prawo. Nie wiruję; spokojnie zmierzamy ku głównemu wyjściu. Odliczam numery peronów krokami – mijamy szóstkę, zaraz dziewiątkę. Kiedy kiosk Jenny Jones zostaje za nami, odwracam się i macham do wszystkich ścisłymi w obu dłoniach sercem stacji Lime Street. Wyruszam na moją przygodę.

Stanley zaczyna klaskać w dłonie. Woła do mnie:

– Dalej, mała!

Wszyscy wychodzą naprzód, odprowadzając nas do wyjścia. Łowię spojrzenie Maksa. Jest dezorientowany – być może sercem stacji Lime Street, a może zbierającym się za nami niewielkim tłumem, ale wzruszam ramionami, co mi tam. Próbuję puścić oko do Elisabeth, niemiłosiernie się krzywiąc, jak to ja, żeby dać jej znać, że wiem, że mnie obserwuje. Ciekawe, czy wrzasną: „Hurra!”, kiedy przestąpię próg.

Docieram do otwartego łuku. Zatrzymuję się – na sekundę – po stronie stacji, jeszcze pod dachem. Myślę o niewidzialnej granicy, która całe życie trzymała mnie w środku. Max robi kilka kroków naprzód. Stoi w słońcu. Odwraca się, wzrusza ramionami. Uśmiecham się, a on odwzajemnia mój uśmiech, zapraszając, bym wyszła na zewnątrz, wkroczyła do prawdziwego świata. Robię ten krok. Ja i serce stacji Lime Street wydostajemy się spod zadaszenia i zanurzamy się w Liverpoolu.

Nie rozbrzmiewają wiwaty; budynek dworca nie kruszy się za moimi plecami. Patrzę w niebo. Max spodziewa się pewnie, że zaraz skomentuję pogodę; nie wie, że po raz pierwszy świadomie doświadczam pogody, że czuję się bardziej żywa niż kiedykolwiek. Mam ochotę stać tu, aż moja skóra się zaróżowi i wszyscy będą pytać, czy właśnie wróciłam z wakacji. Chcę się delektować każdą sekundą. Kusi mnie, żeby powiedzieć Maksowi, ale nie, jednak nie. Wstydzę się. Trochę za bardzo różnię się od innych. Nigdy dotąd nie czułam się tak szczęśliwa.

– Pewnie się cieszysz, że fala upałów już mija – zgaduje Max.

Zatrzymał się i wbija we mnie spojrzenie, które wyraża albo dezorientację, albo obawę, że ma do czynienia z wariatką. Przesuwam się o dwa kroki, wytyczając słuch w oczekiwaniu na odgłos sypiących się cegieł.

– Odłóżysz gdzieś ten głaz?

– Nie, to serce stacji Lime Street – odpowiadam z powagą.

Wzrusza ramionami.

– Zarezerwowałem stolik na dziesięć po. Pospieszmy się, słonko.

Jego słowa przypieczętowują moje pierwsze wrażenie zewnętrznego świata i już pędzimy drogą wzdłuż dworca. Adelphi znajduje się na końcu ulicy. Kroczę po Liverpoolu, ale nie oddalam się zbyt od stacji, więc nie tracę poczucia bezpieczeństwa.

Po drodze Max opowiada, a ja zaczynam czuć, że za chwilę odpadną mi ręce.

– Od rana próbuję wygrzebać jakieś informacje o Malu Evansie. Z czasów, kiedy Beatlesi dawali jakieś występy w Amsterdamie. Okazuje się, że przed koncertami chłopaki z zespołu wypożyczali łódki i pływali po kanałach miasta. Na brzegach zbierały się tłumy. No możesz sobie wyobrazić, nie, słonko? Beatlesi już zdążyli zawojować świat. Tak czy inaczej, gdzieś pośród machającego motłochu, George Harrison wypatrzył faceta, który miał na sobie... – Max zerka na wyciągnięty z kieszeni, pomięty karteluszek – ...,czadersko wyglądający płaszcz”. I Mal, normalnie człowiek legenda, wiadomo, dał nura prosto z łodzi i popłynął do brzegu wpław! Trzy godziny później stanął w hotelu Beatlesów z płaszczem w garści. Odkupił go od właściciela. Wyobrażasz sobie tak się dla kogoś poświęcić? No gość był po prostu bez porównania!

Tak, wyobrażam sobie. Elisabeth opowiadała mi, że Mal Evans pracował dla Beatlesów podczas ich tournée, towarzyszył im w trasie, dbał, żeby sprzęt działał jak trzeba, ale poza standardowymi obowiązkami spełniał wszelkie niezwykle zachcianki muzyków, na przykład przywoził im do Indii walizki pełne fasoli w sosie pomidorowym. Albo wyszukiwał samochody z wyjątkowo szerokimi drzwiami, przez które mogliby wskakiwać w ucieczce przed rozhisteryzowanymi fankami. Albo za pomocą budzików dorabiał efekty specjalne do ich przebojów. Elisabeth opowiada o Malu Evansie z takim wyrazem twarzy, że podejrzewam, że gdyby żył, stanowiłby poważną konkurencję dla ud Kevina Keegana.

– Jesteś w stanie wyszukać informacje, jakie tylko chcesz? – pytam.

Trochę mi niedobrze. Maszerowanie, słuchanie, dźwiganie serca stacji Lime Street i chłonięcie wszystkiego wokół przekracza moje możliwości. Staję w miejscu.

– Jasne, że tak. Polowanie na ciekawostki to moja specjalność – chełpi się Max. – Chodź, guzdrało, jesteśmy prawie na miejscu.

– Zdaje się, że muszę poszukać informacji o czasie, kiedy zaginęłam – rzucam i ruszam z miejsca.

– Zaginęłaś? – nie rozumie Max.

– Jestem znajda.

Cole przyjmuje to bez emocji, lekkim skinieniem głowy. Nie pyta o szczegó-

ły.

– Błahostka, słoneczko. Musisz tylko przejrzeć archiwa gazet z okresu, w którym zostałaś znaleziona.

Kiwam głową, ale właśnie stoję przed hotelem Adelphi i zastanawiam się, czy nie runie na mnie, by połknąć mnie w całości.

– Uwierzysz, że swojego czasu to był najbardziej luksusowy hotel poza Londynem? Trochę się posypał, nie sądzisz? – zagaduje Max.

– Moim zdaniem jest piękny.

Jesteśmy tu od co najmniej pięciu minut, serce stacji Lime Street ciąży mi na kolanach i nie wiem, co powiedzieć, brakuje mi słów. Staram się chłonąć wszystko, co mnie otacza. Siedzimy po przeciwnych stronach niskiego stolika. Na jego blacie stoi delikatna patera z białej porcelany z talerzami, filiżankami, spodeczkami i dzbanuszkami na mleko do kompletu. Jest też naczynko z plasterkami cytryny i maleńkie miseczki – jedna z zawijaszem masła, druga z selekcją dżemów o różnych smakach. Czajniczek z sitkiem niecierpliwi się, by go użyć.

– Kojarzysz, kiedy przeszedłeś przez obrotowe drzwi, ten pokój u szczytu schodów, prosto od wejścia? – pyta Max.

Przytakuję, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówi. Hol był wielki, przytłaczający, cały w marmurach, skórze, drewnie i mosiądzu. Chyba wstrzymałam oddech, kiedy Max rozmawiał z Charlotte na recepcji. Wokół kłębili się ludzie, przychodzili, odchodzili. Marzyłam tylko, by zapaść się pod ziemię.

– To Apartament Sefton. Dokładna replika salonu dla palących pasażerów pierwszej klasy z Titanica, kochana – mówi Max, wrywając mnie z zamyślenia.

– Naprawdę?

Cole potwierdza skinieniem głowy. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o tym Elisabeth. Poprawiam się w fotelu, usiłując usiąść wygodnie, ale czuję się bardzo nie na miejscu.

– A ten pokój, jak się nazywa? – chcę wiedzieć. Staram się wszystko starannie zapamiętać, żeby potem opowiedzieć Elisabeth, George’owi Harrisowi i Williamowi.

– Sala Hypostylowa. Panienska z recepcji powiedziała, że kiedyś był tu otwarty dziedziniec, a wokół mieściły się najbardziej luksusowe apartamenty.

Omiata ręką salę, kiwam głową. Pomieszczenie zapiera dech w piersi – olbrzymie kolumny z białoczarne marmuru pną się w górę ku pozłocanym tynkom. Podnoszę wzrok; misterne dekoracje na sklepieniu są zachwycające.

– Wcinaj. Mają tu bajecznego kucharza – zachęca Max.

Przyglądam się paterze, na której piętrzą się maleńkie kanapeczki i przeróżne miniaturowe wypieki. Czekam, aż Australijczyk pierwszy dokona wyboru; nie chcę popełnić gafy.

– Wszyscy sławni ludzie się tu zatrzymywali – opowiada Cole. – Franklin D.

Roosevelt, Winston Churchill, Frank Sinatra, Stan Laurel i Oliver Hardy, wiesz, Flip i Flap.

Myślę o Stanleyu i uśmiech wypływa mi na usta.

– Raz gościli nawet konia, nazywał się Tigger, czy jakoś tak.

– Trigger – poprawiam go. – Pamiętam, Elisabeth mi opowiadała. A teraz mogą dopisać do listy i twoje nazwisko.

– Jasne! – Szczerzy zęby w uśmiechu. – Lada dzień potwierdzą autentyczność walizki, ale póki co zastanawiam się, czy nie mogłabyś mi jeszcze w czymś pomóc. No, w sumie w dwóch sprawach.

– Znam się tylko na znajdowaniu zgubionych rzeczy.

– Doskonale, słonko. Słyszałaś o Malu Evansie?

Przytakuję.

– A o tym, że nikt nie wie, gdzie wcięło jego prochy? – ciągnie Max, a ja znów kiwam głową. – Więc tak sobie myślałem, czy nie pomogłabyś mi ich znaleźć? Wieść niesie, że leżą w jakimś biurze rzeczy znalezionych, gdzieś w Anglii. Gdybym tak ja je odkrył, to byłoby jak wisienka na torcie – chichocze.

– Wiesz, kiedy widziano je po raz ostatni?

Tym razem Max kiwa głową, sięga do leżącej na podłodze plastikowej torby i wyjmuje wycinek z gazety. Czytam artykuł.

– Styczeń? – upewniam się. Max potwierdza. – Nie powinno być problemu.

A pomożesz mi znaleźć...

– Serio? Ty ślicznotko, ty! Obiecujesz?

– Daję słowo – mówię, kładąc rękę na sercu. Uśmiecham się. – Jestem małym znalazcą.

Max ma poważną minę. Sięga po trójkątną kanapeczkę z ogórkiem i wpycha ją na raz do ust. Naśladuję go.

Cole kończy przeżuwać ogórka.

– Druga prośba, którą miałbym do ciebie – mówi, sięgając tym razem po trójkącik z szynką. – To żebyś oprowadziła mnie po mieście, pokazała, co warto...

– TAK! – wyrywa mi się.

Jednocześnie pluje Maksowi w twarz kawałeczkami ogórka, zbyt podekscytowana, by wziąć pod uwagę, że nie mam pojęcia, co warto obejrzeć w Liverpoolu. Patrzę na niego, kiedy podnosi serwetkę z kolan i wyciera ogórek z czoła.

Nadane przez Anonima, adresowane do Marty Zguby, przekazane w książce *Smak miodu* Shelagh Delaney, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja kochana Marto,

wśród wszystkich pytań, których można się było spodziewać z Twojej strony, to akurat było nieoczekiwane. Pozwól jednak, że w pierwszej kolejności wyrażę ulgę i wdzięczność, że podtrzymujesz korespondencję ze mną. Widok Twojego plakatu przed zaledwie trzydziestoma minutami nappełnił mnie radością. Dręczyła mnie obawa, że z powodu moich opinii, tak bezpośrednio wyrażonych przeze mnie w poprzednim liście, zrezygnujesz z kontaktu ze mną. Dziękuję Ci, moje dziecko, że pozwalasz wybrzmieć mojemu głosowi.

Przechodząc do zadanego przez Ciebie pytania... Odpowiedź jest dziś wyjątkowo nieskomplikowana. Zawsze miałaś na imię Marta. Imię to nadała Ci Twoja biologiczna matka, wiedzioną rodzinną tradycją, ponieważ jej babcia wybrała dla niej to samo imię. Marta jest imieniem niosącym ze sobą ducha pokoleń silnych kobiet; to dar dla Ciebie.

Czuję, że to właściwa chwila, by podzielić się z Tobą informacją, która – jak miemam – nie została zawarta przez Matkę w przedstawionej Ci bajce o Twoim przybyciu na stację Lime Street. Moja droga Marto, kiedy Twoja biologiczna matka opuszczała stację Lime Street bez Ciebie, pozostawiła Matce list, w którym umieściła Twoje pełne imię i nazwisko oraz datę urodzenia. Gdyby Matka chciała wyszukać dane dotyczące Twojego pochodzenia, nic nie stałoby na przeszkodzie. Istniejesz, moje drogie dziecko. Zawsze istniałaś. Wzbudzasz radość i zachwyt u każdego, kto spotka Cię na swojej drodze.

Oczekuję na pytanie, które – dobrze o tym wiem – pragniesz i potrzebujesz zadać.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Anonim

– Odkąd sięgam pamięcią, Matka opowiadała mi tę samą wersję historii o moim odnalezieniu. Nie było dnia, w którym nie czułam się zagubiona. Wierzyłam, że czekałam dziewięćdziesiąt dni, żeby któreś z moich biologicznych rodziców się po mnie zgłosiło. Trzy miesiące spędziłam na tamtej półce. – Wskazuję palcem regał.

– Obok pudła zapodziających szalików.

Max opiera się o blat po stronie dla klientów. Ja siedzę na moim zwykłym miejscu.

– Przypuszczalnie wtulona w karton zgubionych sztucznych szczęk – wzdycham. – Matka była kierowniczką biura rzeczy znalezionych, więc wersja, według której zostałam odnaleziona w pociągu i oddana w jej ręce, wydawała się całkiem logiczna. Nikt się po mnie nie zgłosił. Nikt mnie nie chciał. Matka podjęła się opieki nade mną.

– Masz jeszcze te kruche pierniczki, słonko?

Schylam się, by sięgnąć na górną półkę pod ladą, wydaję dwa ciasteczka z paczki, którą tam trzymam, i kładę je na blacie. Max obdarza mnie uśmiechem, bierze jeden z pierniczków i macza go w herbacie. Nie jestem pewna, czy w ogóle mnie słucha, ale ma olśniewająco biały uśmiech i nieziemsko błękitne oczy.

– Kiedyś spytałam Matkę, czy sądzi, że moja biologiczna matka padła ofiarą gwałtu. Czytałam o przemoc seksualnej w jednej z moich książek i długo nie mogłam pozbyć się strasznych wizji. Matka zbyła mnie wzruszeniem ramion. Powiedziała, że nie zna żadnych odpowiedzi i kazała mi się uspokoić.

– Z tego wynika, że jesteś owocem gwałtu.

Przebiega mnie dreszcz, wywraca mi się żołądek.

– Ale Matka kłamała. Znała prawdę. Dostała dokumenty. Schowała je gdzieś pod kluczem. Istnieje akt urodzenia... Jeszcze nie wiem gdzie, ale to mój jedyny trop. Chyba nigdy nie zostałam zarejestrowana u żadnego lekarza. Nigdy nie byłam na tyle chora, żeby iść na wizytę.

– Masz szczęście – komentuje Max, upuszczając na blat rozmokłego pierniczka.

– Okazało się, że Matka cały czas wiedziała, kim jestem, ale postanowiła zatrzymać to dla siebie. Kazała mi żyć w zmyślonym świecie – skarżę się.

– Fantazje są ciekawsze niż rzeczywistość. Nie rozumiem, o co masz pretensje.

Może niewystarczająco dobrze wyjaśniłam w czym rzecz. Mam w końcu do czynienia z pisarzem; jest przyzwyczajony do porządnie opowiedzianych historii. Dziś wpadł tylko na herbatę i z prośbą o przysługę.

– O co chciałeś prosić? – pytam.

Buzia mi się dziś nie zamyka. Nie pozwoliłam mu jeszcze dojść do słowa.

– Wreszcie. Wiem, że razem z tą twoją skałą pokazałyście mi już trochę mia-

sta, ale może miałabyś ochotę oprowadzić mnie jeszcze dziś? Byłoby cudnie, serduszko. Wypisałem sobie, co...

– Przykro mi, ale nie czuję się dzisiaj na siłach – wykręcam się.

Tak naprawdę potrzebuję co najmniej nocy na przygotowanie trasy, którą bym go poprowadziła. Już poprzedniej nocy siedziałam prawie do świtu, szykując się do wczorajszej przechadzki, a trwała raptem dziesięć minut.

– Może zastanowimy się, dokąd chciałbyś pójść jutro i to sobie zapiszemy? – proponuję.

– Nie, spokojnie, słonko. Charlotte wspomniała, że ma wolne popołudnie...

– Widziałeś mój plakat? – wpadam mu w słowo.

Plansza leży na ladzie obok Maksa. Australijczyk kiwa głową; nie zadaje więcej pytań.

Obserwuję, jak wzrok Maksa przeskakuje z plakatu na półki. Dostrzegam siateczkę zmarszczek wokół jego oczu. Wygląda na zmęczonego; przy tym świetle nie jestem pewna, czy jest aż taki przystojny. Zastanawiam się, czy stresuje się sprawą zagubionych prochów. Nigdy dotąd nie miałam chłopaka. W zasadzie nie wiem, czy teraz mam, ale z całą pewnością nie zamierzam pytać. Czy trzydziesto-siedmioletniego mężczyznę można w ogóle nazwać chłopakiem? Nie wyobrażam sobie mieć trzydziestu siedmiu lat – to strasznie dużo. Kiedy Max się pochyła, dostrzegam kółko różowej skóry na głowie, gdzie przeredziły mu się włosy.

– Powiesić twój plakat na tablicy, kiedy będę wychodził? – pyta.

Kręcę głową przecząco.

– Nie, ale dziękuję. Nie chcę, żeby czar prysł – wyjaśniam, po czym dodaję: – Mam imię.

– Marta, tak, ja...

– A to oznacza, że naprawdę istnieję.

Max wybucha śmiechem.

– Nie uważasz, że coś, czemu nadasz nazwę, staje się rzeczywiste? – pytam.

– Jaja sobie robisz? Masz dziewiętnaście lat, słonko, istniejesz od dziewiętnastu lat.

– Szesnaście. Nie o to mi chodzi...

Jestem gotowa mu wytłumaczyć, ale wystarczy spojrzenie w jego stronę, by stwierdzić, że w ogóle nie słucha. Ma rozbiegany wzrok, jakby starał się przeczytać etykiety ze wszystkich kartonów ze zgubionymi rzeczami naraz. Urywam zdanie w połowie, żeby sprawdzić, czy poprosi, żebym kontynuowała. Nie prosi.

– Zapakujesz prochy do pudełka i opatrzysz tabliczką „Zgubione prochy”? – pyta i prychnie śmiechem.

– Wszystkie znajdy noszą nazwisko „Zguba”.

– Już to mówiłaś, głuptasie – mówi Max, zwracając na mnie spojrzenie swoich nieziemsko błękitnych oczu. – Zdajesz sobie sprawę, że to kompletny idiotyzm,

prawda?

Podnoszę z blatu mój nowy plakat. Istnieje szansa, że doprowadzi do ekscytującej mnie odpowiedzi. Przyszło mi do głowy, że może mam rodzeństwo, że gdzieś na świecie żyją bliskie mi osoby, które mogłyby zostać moimi przyjaciółmi. Zamieściłam na plakacie numer telefonu do biura rzeczy znalezionych, ale – szczerze mówiąc – nie spodziewam się, że ktoś zadzwoni.

Nie mam oczekiwań, choć kołacze się we mnie nadzieja otrzymania nowej książki. Nie mogę znieść myśli, jak bardzo będę zawiedziona, jeśli nie dostanę kolejnej paczki. Moje dotychczasowe życie było wolne od oczekiwań, ale od tych poszukiwań zachodzi we mnie zmiana. Wiem, że Zarząd wkrótce kogoś na mnie naśle, ale zamiast zaprzętać sobie tym głowę, wyobrażam sobie osobę, która siada i myśli o mnie, przeglądając książkę, by znaleźć czyste przestrzenie, które zapełni słowami skierowanymi tylko do mnie. To fantastyczne uczucie. Powstrzymuje mnie jednak od zadawania pytań, na które powinnam szukać odpowiedzi.

Wbijam wzrok w telefon. Spoczywa na stosie gazet na półce poniżej czajnika. Siłą umysłu błagam go, by zadzwonił. Uparcie milczy. Czuję, że Max obejmuje mnie za ramiona. Wszedł do mnie za ladę. Ciekawe, czy rozumie, co to znaczy być zagubionym? Chcę mu pomóc w odnalezieniu prochów. Zrobię, co w mojej mocy, żeby stał się sławny i bogaty i żeby nie wyglądał na tak zmęczonego, ale moim priorytetem i tak pozostaje doprowadzenie Mala Evansa do domu. Sądzę, że to uszczęśliwiłoby też Elisabeth. Nie dzielę się z Maksem tymi przemyśleniami; coś mi mówi, że uznałby mnie za dziwaczkę.

– Chyba nigdy nie poznałem nikogo takiego jak ty – mówi Max.

Ciekawa sprawa – ludzie często to powtarzają.

– To dobrze? – chcę wiedzieć. Max potwierdza skinieniem głowy. – Co pomyślałeś, kiedy po raz pierwszy mnie zobaczyłeś?

– Że masz ciekawą twarz.

Upija łyk herbaty. Nie zdejmuje ręki z moich ramion, a wzrokiem bada kartony. Kieruje słowa w przestrzeń.

– To wszystko? – dopytuję.

– Może jeszcze, że nie jesteś w moim zwykłym typie.

– Typie?

Max wybucha śmiechem. Nie rozumiem, co ma na myśli ani co go tak bawi.

– Pomogę ci, słonko. Mam niezwykły talent do wyszukiwania informacji.

Nie jestem pewna, do czego zmierza; może chodzi mu o prochy, a może zainteresował się wiszącą nade mną groźbą eksmisji i potrzebą ustalenia mojej tożsamości. Jego ręka ciąży mi na ramionach.

– Podejrzewam, że Matka ukryła gdzieś skrzynkę. Mam klucz – mówię.

– Sądysz, że skrzynka zawiera prochy? – zapala się Cole.

Odwracam twarz, żeby na niego spojrzeć. Przekrzywia głowę i muska war-

gami moje usta. Mój pierwszy prawdziwy pocałunek – ledwie wyczuwalny dotyk. Zetknięcie naszych ust nie wywołuje w mojej głowie żadnych obrazów. Całe szczęście. Przez sekundę wstrzymuję oddech. Czekam, aż ugną się podę mną kolana albo że on, w wybuchu namiętności, rzuci mnie na ladę. Książki obiecywały coś więcej. Czekam. Zerkam na Maksa, ale nie patrzy na mnie. Jego wzrok jest skierowany na Elisabeth, stojącej z gniewnym wyrazem twarzy w progu biura.

Pytanie zamieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który przykleiła na tablicy przy peronie szóstym:

Czy mam jakieś rodzeństwo?

– Minęłaś się wczoraj wieczorem z George’em Harrisem. Zostawił ci to.

Jej słowa docierają do moich uszu, ale boję się na nią spojrzeć. Max wymknął się, gdy tylko weszła; nie było powtórnego buziaka, bo Australijczyk zmył się z biura rzeczy znalezionych w rekordowym tempie – jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak szybko stąd wybiegał. Ciekawe, czy kiedykolwiek odważy się mnie jeszcze pocałować? Pierwszy pocałunek niespecjalnie mi się podobał, ale może trzeba dopiero nauczyć się je doceniać, tak jak smak oliwek. Wreszcie przenoszę uwagę na Elisabeth.

– Byłam z Maksem. Mówiłam ci... – zaczynam.

– Domyśliłam się – ucina.

Kładzie na blacie książkę w wytartej czarnej oprawie.

– Powiedział, że znalazł w pociągu.

– Wcześniej dziś przyszłaś – zauważam, zerkając na tablicę odjazdów.

Zauważam, że Elisabeth nie przyniosła dziś talerza z jedzeniem. Chyba czyta mi w myślach – ma takie tajemnicze zdolności.

– Nie wiedziałam, czy będziesz głodna. Myślałam, że znowu zjesz na mieście.

Patrzę na nią. Na jej twarzy maluje się złość; nie podoba mi się, że z mojego powodu jej śliczne rysy zrobiły się znacznie mniej śliczne.

– Przykro mi – mówię. – Dziś zostaję.

Uśmiecha się. Jej twarz natychmiast się zmienia. Maską gniewu opada.

– Najbardziej lubię twoją twarz, kiedy nie jest wściekła.

– Nie lubisz mnie, kiedy się złościę? – pyta Elisabeth.

– Nie lubię czuć, że kiedy nie jestem dość dobra, przeze mnie robisz się brzydka.

– Brzydka? – wybucha serdecznym śmiechem. – Przepraszam, laleczko, chyba jestem nadopiekuńcza. On ma czterdziestkę na karku. Mógłby być twoim ojcem; powinien mieć więcej rozumu.

– Nie mów tak – proszę, a Elisabeth kręci głową. – Ma trzydzieści siedem lat.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Zręda ze mnie. Wynagrodzę ci to wystrzałowym lunchem.

– Kanapki z dżemem? – pytam, ale zanim zdąży odpowiedzieć, oglądam już znalezioną przez George’a Harrisa książkę. – Znowu czarna.

Podchodzę do powieści i przesuwam palcami wzdłuż białych pęknięć tańczących po grzbiecie. Na okładce widnieje postać mężczyzny żującego długie źdźbło trawy. Oprawa nie oferuje żadnych wskazówek na temat kipiącej wewnątrz treści. Brzegi stron są zabarwione na żółto. Otwieram książkę i trafiam na dedykację: „Żebyś pamiętała, że zawsze o tobie myślę”.

Uśmiecham się. Ciekawe, kto jest autorem słów? Zastanawiam się, czy tom

został zgubiony, czy celowo porzucony. Mam nadzieję, że ktoś zgłosi się po książkę, ale jeśli nie, to wiem, że na moich półkach będzie bezpieczna. Moje palce nie wychwytyją żadnych informacji. Widzę tylko regał; powieść wcale nie woła, że zginęła. Gdzie też George Harris mógł ją znaleźć? Staram się zanotować w pamięci, żeby go o to zapytać.

– Spodoba ci się – mówi Elisabeth, odrywając moje myśli od książki. – A więc poszłaś na randkę?

Wzruszam ramionami.

– Byliśmy turystami: ja, Max i serce stacji Lime Street. Nie poszliśmy daleko, tylko w górę, kawałek za Adelphi. Potem na Mount Pleasant, ale nie dalej niż Wigwam Paddy’ego, następnie Hope Street... – Rysuję palcem po blacie, ilustrując trasę, którą przebyliśmy.

– Zapamiętałaś nazwy wszystkich ulic.

– Leżąc w łóżku poprzedniej nocy, powtarzałam je w kółko. Pewnie recytowałam je nawet przez sen. Czuję, że żyję.

Elisabeth się uśmiecha.

– Powoli, małymi kroczkami – radzi.

Kiwam głową.

– Nie spodziewałam się, że będzie tak bardzo pięknie – wzdygam. – Poza książkami i stacją Lime Street jest jeszcze cały wielki świat.

Uśmiech nie znika z jej ust, ale radość gaśnie w jej oczach.

– Masz swoje „dawno, dawno temu” – mówi.

Marszczę brwi, co Elisabeth przyjmuje ze śmiechem.

– Wcale nie – mówię twardo, uparcie.

– Jakies postępy w sprawach związanych z Zarządem?

– Max mi pomoże.

Twarz Elisabeth wykrzywia się w paskudnym grymasie.

– Uważaj, bo uwierzę. Nie można na nim polegać. Zostały ci zaledwie...

– Dwadzieścia dwa dni.

Elisabeth kiwa głową.

– W każdej chwili mogą tu kogoś przysłać. Powinnaś się skupić na zdobyciu aktu urodzenia i numeru ubezpieczenia społecznego, a nie na jakimś kombinatorze, któremu się wydaje, że jest pieprzonym panem Liverpoolu – denerwuje się.

– Przestań.

– Przepraszam. – Elisabeth łapie oddech. – Zrozum, laleczko, może widziałam go przez sekundę, ale ani trochę nie przypomina mi ciastka z bakaliami. Było ci kiedyś niedobrze po ciastku z bakaliami?

Kręcę głową i podchodzę do czajnika.

– Czas zaparzyć herbatę.

Mogę śmiało powiedzieć, że to był najgorszy dzień w moim życiu.

Obiecałam Maksowi, że zaprowadzę go na Falkner Street 36, gdzie John i Cynthia zatrzymali się na przedłużony miesiąc miodowy; potem Cole chciał odwiedzić Percy Street 9, gdzie mieszkał Stu Sutcliffe, i wreszcie Gambier Terrace 3, niegdyś mieściło się tam mieszkanie Johna, które zajmował ze Stu Sutcliffe'em i Rodem Murrayem.

Max twierdził, że to były czasy, kiedy dopiero kształtował się zespół The Beatles, kiedy jeszcze wypróbowywali różne nazwy, takie jak Johnny i Księżycowe Psy albo Srebrne Żuki. Tak więc Max zapowiedział mi z góry, gdzie będzie chciał pójść, dając mi czas na nocne wkuwanie tras i ulic, których powinniśmy się trzymać. Wszystko mieściło się w obrębie śródmieścia; wszędzie można było dojść pieszo ze stacji Lime Street. Byłam pewna siebie, kiedy wraz z sercem stacji Lime Street poszłam po niego rano do hotelu Adelphi.

Problemy zaczęły się, kiedy Max dorzucił do planu zwiedzania kilka dodatkowych miejsc. Zażyczył sobie klubu Jacaranda przy Slater Street, bo Beatlesi zagrali tam kilka lunchowych występów, a także Hessy's przy Stanley Street, żeby porozmawiać o długu, który podobno uregulował Brian Epstein. Nie były to prośby nedorzeczne i żadnemu normalnego liverpoolczykowi nie sprawiłyby problemu.

Ale ja zawałam. Wpadłam w taką panikę, zachodząc w głowę, jak opracuję nową trasę, że całkiem zapomniałam starej i najzwyczajniej w świecie się zgubiłam. Chyba najgorsze było to, że zamiast podnieść ręce do góry i przyznać się, że nie mam pojęcia, dokąd iść, ciągnęłam nas w złą stronę, przez co wylądowaliśmy hen, aż w drodze do południowej części miasta.

– Jesteś pewna, że dobrze idziemy, słonko? – zwrócił się do mnie Max, i to ładnych parę razy.

Kiwałam ze zdecydowaniem wysoko uniesioną głową, tak jak uczyła mnie Elisabeth, chociaż czułam, że dźwiganie serca stacji Lime Street zaraz mnie wykończy. Chyba określała to jako „kozaczenie”. Kiedy po godzinie włóczęgi nie udało nam się trafić w żadne z wyznaczonych przez Maksa miejsc, Australijczyk stanął w miejscu. Zrobiłam jeszcze kilka kroków, nie zauważywszy, że mi nie towarzyszy, i dopiero po chwili odwróciłam się do niego. Jego twarz wyglądała jak wielka, czerwona kula złości.

– Nie wiem, w co ty, kurwa, grasz, ale mam tego dość – wypluł z siebie, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę, z której przyszliliśmy.

Zostawił mnie samą Bóg wie gdzie, z rękami obolałymi od dźwigania serca stacji Lime Street, a ja nie miałam pojęcia, co z sobą począć. W końcu postanowiłam, że powinnam uzbroić się w mój francuski akcent i spytałam kilka osób o drogę. Za każdym razem ryczałam jak głupia. Zdjęłam nawet szpilki, bo obcierały mi pięty, więc mam teraz potargane rajstopy, w dodatku całe w kupach mew.

Całą drogę do domu myślałam o Elisabeth i o tym, że wszystkiemu zaradzi, ale stoję bezradnie w drzwiach jej kawiarni. Jestem po stronie hali, ludzie mijają

mnie pospiesznie, jakiś mężczyzna właśnie huknął na mnie, żebym się ruszyła. Nie ruszyłam się. Naprawdę nie wiem, ile chamstwa jestem w stanie znieść w ciągu jednego dnia.

– Poznałam w życiu niejednego ślicznookiego palanta, kolego – mówi Elisabeth. – Nauczyłam się wykrywać prawdziwych dupków, a ten tu jest...

– Prawdziwym dupkiem – kończy za nią George Harris.

Elisabeth parska śmiechem.

– Przyjeżdża sobie do Liverpoolu, szemrany typ, kryzys wieku średniego, bo z czterdziestką na karku, no, albo prawie. Łapie okazje, babiarz jeden – zaperza się właścicielka kawiarni, po czym dodaje jeszcze: – Szybka kasa, minimum wysiłku. Pozuje na pieprzonego króla północy!

– Robi się o nim głośno – zauważa Rzymianin.

– Rozmawiałeś może z Charlotte z recepcji w Adelphi? Jej znajomość z Cole'em jest, jakby to powiedzieć, bardziej dogłębna niż naszej Marty...

– Drań!

Najwyraźniej nie zauważyli, że stoję tuż przed drzwiami biura rzeczy znalezionych i słyszę każde słowo. Są tak pogrążeni w plotkach, że nawet nie spostrzegli, kiedy minęłam kawiarnię. Elisabeth się mnie nie spodziewa. Myśli, że zwiedzam miasto z Maksem, a potem idziemy coś zjeść.

Najwyraźniej nie wie, że Maks jest na mnie wściekły, bo jestem do niczego i może już nigdy go nie zobaczę. Najwyraźniej nie jest świadoma, że dotarcie do domu zajęło mi dwie godziny, że mam podarte rajtki, bolą mnie ręce od dźwigania kamienia i marzę tylko o kawałku ciasta i ujrzeniu uśmiechu na jej twarzy. Nie umiem powstrzymać łez; chcę, żeby wszystko było tak jak dawniej. Nie mogę znieść, kiedy Elisabeth jest na mnie zła, chciałabym, żeby polubiła Maksa i żeby George Harris go polubił. Pragnę, żeby wszystko było „i żyli długo i szczęśliwie”, choć przecież nie wierzę w szczęśliwe zakończenia.

– Nasza Marta haruje ponad siły, bo zrobił sobie z niej przewodniczkę po Liverpoolu. Biedna dziewczyna siedziała wczoraj pół nocy, wkuwając mapy...

– Jest wyjątkowa – wchodzi jej w słowo George Harris.

Mimo płaczu uśmiech wypływa mi na usta. Ciekawe, czy wyglądam jak tęcza. Znów się uśmiecham.

– Nasza Marta jest po prostu wspaniała. I zasługuje na wiele więcej niż ten gamoń – stwierdza Elisabeth.

Śmieję się do siebie, ale chyba nadal mnie nie słyszą, bo przyjaciółka ciągnie:

– Tak naprawdę interesują go tylko zagubione prochy. A kiedy Marta je znajdzie, myślisz, że podzieli się z nią chwałą?

Tę chwilę wybieram, by wkroczyć do kawiarni. Elisabeth natychmiast mnie zauważa. Jej policzki zalewają się najjaskrawszym różem, jaki kiedykolwiek wi-

działam.

– Nie padło nic, czego nie powiedziałabym ci prosto w oczy – mówi, patrząc wprost na mnie.

– Ale jednak nie powiedziałaś.

Łzy płyną mi po policzkach. Pewnie już dawno rozmazał mi się tusz i wyglądam jak straszdyło. George Harris odwraca się, by na mnie spojrzeć. Żadne z nich nie siedzi – stali przy drzwiach, obgadując mnie i Maksa. Choć Rzymianin ma około metr dziewięćdziesiąt wzrostu, to kiedy się zawstydzi, wygląda jak krasnoludek. Bełkocze coś o jedzeniu i ucieka za bar. Obserwuję, jak jego zbroja połyskuje podczas ruchu. Chłopak wpada po drodze na dwa plastikowe krzesła i oba grzecznie prosi o wybaczenie.

– Co się dzieje? – Elisabeth zwraca się do mnie, a jej głos rozbrzmiewa spokojem, miłością i wszystkim, czego w tej chwili najbardziej mi potrzeba.

Bada mnie wzrokiem od stóp do głów. Widzi, że trzymam w rękach buty i serce stacji Lime Street; widzi, jak paluchy wyłazą mi z podartych rajstop. I chociaż chcę się na nią zezłościć, nawrzeszczyć na nią i powiedzieć, że jest niesprawiedliwa i okrutna wobec Maksa, to odpuszczam. Bo Elisabeth jest jedyną osobą na świecie, której mogę opowiedzieć o moim okropnym dniu. Jest jedyną osobą, która może sprawić, że znowu będzie dobrze.

– Chodź tu, laleczko, daj mi to. – Przejmuje ode mnie serce stacji Lime Street i szpilki. – Zaparzymy ci świeżej herbaty i nałożymy tarty cytrynowej.

Max nie odzywał się przez cały dzień, ale też nie spodziewałam się kontaktu z jego strony. W końcu jest bardzo zajęтым człowiekiem. Wydał fortunę na przylot do Liverpoolu i nie powinien marnować czasu na taką głupią gęś jak ja. Mam nadzieję, że jeszcze go zobaczę. Nie oczekuję, że tak się stanie, ale w snuciu marzeń nie ma chyba nic złego.

Spędziłam całe popołudnie na wynajdowaniu tropów w sprawie zaginionych prochów. Chyba posunęłam się o krok naprzód w poszukiwaniach Mała Evansa. Sądzę, że prochy znajdują się w Liverpoolu. Uważam, że Maksowi należy się ode mnie wszelka możliwa pomoc – w ramach wynagrodzenia za marnowanie jego czasu i nieudolność w całowaniu.

Od rana było mi idiotycznie żal samej siebie, aż wreszcie, jakąś godzinę temu, wszedł do biura mężczyzna. Miał czarną brodę, a mostek jego ciemnych okularów przytrzymała taśma klejąca. Natychmiast go rozpoznałam.

– Zgubił pan kij do hokeja – odezwałam się, zanim zdążył powiedzieć „dzień dobry”.

– O cholera, dobra jesteś, królowo.

Nie zdołał jeszcze o nic spytać, kiedy podałam mu kij, który kupił dla córki.

– Mam nadzieję, że miała miłe urodziny – mówię do pleców mężczyzny, który wychodzi z biura nieco oszołomiony, mocno ściskając kij do hokeja.

Nie wołałam za nim, żeby poinformować o obowiązku wniesienia opłaty. Wypiszę czek. Niech idzie do domu z niezwykłą historią do opowiedzenia.

Teraz siedzę z George'em Harrisem przy naszym ulubionym stoliku w kawiarni Elisabeth. Planujemy zejść później do tunelu. Cieszę się na chwile, które spędzimy we czworo w świetle Williama, z dala od wzburzonej chaosem stacji Lime Street.

Legionista wierci się na plastikowym krześle, nie mogąc wygodnie się usadowić, i opowiada mi o pogodzie – łaskawej jak na wrzesień. Mówi głównie do swojego napierśnika. Jakoś nie chce dziś na mnie patrzeć.

Elisabeth stoi za ladą; rozmawia z agentem od ubezpieczeń na życie. Pan zjawia się co tydzień na wielką kanapkę, ale zauważyłam, że ostatnio przychodzi też ubrany na luzie, bez służbowego garnituru; wyraźnie widać, że interesuje się Elisabeth. Ona jednak kręci głową. Ubezpieczyciel przyklęknął na jedno kolano. Elisabeth się śmieje, ale nadal potrząsa głową przecząco.

Pewnie znowu proponuje jej randkę, a może pyta, czy zostanie jego żoną. Nie mogę pojąć, dlaczego odmawia każdemu facetowi, który ją gdzieś zaprasza. Może czeka na kogoś naprawdę wyjątkowego. Podejrzewam, że kiedyś, dawno, dawno temu, ktoś złamał jej serce.

Nie odrywając wzroku od Elisabeth, mówię:

– Czasem najtrudniej opowiedzieć nasze własne historie, prawda?

To moje pierwsze słowa skierowane do George'a Harrisa, odkąd usiedliśmy pięć minut temu. Ma niepewną minę.

– Ale jeśli historia nie doczeka się opowiedzenia – ciągnę – staje się czymś innym. Zostaje zapomniana.

Rzymianin kiwa głową i mówi:

– Jeśli historia nie zostanie opowiedziana, staje się czymś innym, zgoda, ale nawet jeśli ktoś się nią podzieli, może pójść w niepamięć.

– Jak to?

– Bo nie wszystkie historie zostają zapisane w pamięci. A czasami ludzie po prostu wcale nie słuchają.

– Myślisz, że ludzie zapomnieli o Malu Evansie? – Patrzę na George'a Harrisa, a on się uśmiecha.

– Są tacy, którzy nie są nawet świadomi, że istniał.

Wyjął kanapki i teraz odpakuje je na stoliku.

– Przecież odegrał taką ważną rolę w sukcesie Beatlesów – mówię.

– Twoim zdaniem. W oczach innych był tylko byle pracownikiem. Wiesz, że składał nawet autografy w imieniu członków zespołu?

– Powinien być jakiś sposób, żeby nikt nigdy nie został zapomniany i żeby opowieść każdego człowieka miała szansę rozbrzmieć.

– Chyba nigdy nie poznam nikogo takiego jak ty. Mój dziadek pracował kie-

dyś z Malem. Poznałem Evansa, byłem wtedy bardzo mały. Pamiętam, że wydał mi się olbrzymem, ale bardzo miłym. Pogłaskał mnie po ramieniu.

– Powinieneś porozmawiać z Makssem.

Rzymianin nie odpowiada; zamiast tego zachłannie wgrzyza się w bułkę.

– Max pisze o Malu – informuję. – Trzeba mu powiedzieć, że poznałeś go osobiście.

George Harris nadal się nie odzywa. Chyba coś wymruczał, ale dobre wychowanie nie pozwala mu konwersować z pełnymi ustami.

– Nigdy nie marzną ci nogi? – pytam, mierząc wzrokiem gołe łydki i uda wystające spod rzymskiej zbroi.

Legionista przełyka i wybucha śmiechem. Lubię jego śmiech – rodzi się głęboko w brzuchu i rozpała w oczach chłopaka wesołe iskierki.

– Czasami tak, głównie po deszczu. Ale nawet maszerowanie w ulewie sprawia mi przyjemność. Czuję się wtedy jak prawdziwy Rzymianin.

Lubię George'a Harrisa. Rozumie mój sposób myślenia. Ma wspaniały dar wyszukiwania tego, czego mi trzeba, lub czegoś, co mnie zafascynuje.

Wczoraj wieczorem słuchał. Niby był pochłonięty spożywaniem kanapek, ale przysłuchiwał się, kiedy opowiadałam o byciu fatalną przewodniczką. W pewnej chwili zabrał głos, stwierdzając, że wszyscy przewodnicy noszą ze sobą mapy i książki z faktami.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Oczywiście. Dopiero byłaby katastrofa, gdyby przewodnik się zgubił.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem. W końcu dostałam czkawki, której nie mogłam się pozbyć przez dobre dziesięć minut.

A teraz, właśnie w tej chwili, George Harris kładzie na blacie przede mną aktualny przewodnik po Liverpoolu; jest nawet plan miasta wetknięty między strony. Nie odezwał się ani słowem, po prostu położył książkę przy moim talerzyku. Podnoszę ją. Przerzucam kartki; w środku są odręczne dopiski informujące o miejscach, w których koncertowali Beatlesi, a nawet o knajpkach, w których lubili prześiadawać, zanim stali się bajecznie sławni. Widać, że przewodnik był używany, ale żadne obrazy nie rozbłyskują mi przed oczami, kiedy dotykam okładki.

– Znalazłem w pociągu – mówi legionista.

Gdybym miała w zwyczaju to całe ściskanie ludzi, z całą pewnością wyściskałabym George'a Harrisa. Daję słowo, jest niezmiernie, jeśli chodzi o odnajdywanie rzeczy. Szkoda, że nie pracuje ze mną w biurze rzeczy znalezionych. Mógłby nawet przychodzić w swojej rzymskiej zbroi, nie miałabym nic przeciwko, sama przebrałabym się za Budykę.

Właścicielem przewodnika był pewnie jakiś turysta – może celowo porzucił książkę, może nie była mu już potrzebna. Ludzie czasem tak robią. Zostawiają przedmioty, których już nie potrzebują. Ludzie postępują tak z rzeczami, ale

ze sobą nawzajem również. Smutne. George Harris nie wyglądał nawet na podekscytowanego, kiedy kładł książkę na stoliku – prawie jakby nie zdawał sobie sprawy, jaki znalazł skarb.

Gładzę palcami błyszczącą okładkę.

– Czuję, jak świat się przede mną otwiera.

– Żadnych „dawno, dawno temu” – zauważa Rzymianin z uśmiechem.

– Zgadza się; to raczej tak, jakby Liverpool mnie odnajdywał. Chyba czuję radość – mówię z namysłem.

George Harris zawiesza na mnie wzrok. Na dłuższą sekundę. Zdaje się, że zamierza powiedzieć coś ważnego, ale zmienia zdanie. Rumieniec wypływa mu na policzki, a wzrok wraca do napierśnika. Otwieram przewodnik kieszonkowy po Liverpoolu i trafiam na wpis na wewnętrznej stronie okładki: *All You Need Is Love* – jedyne, czego ci trzeba, to miłość. Uśmiecham się na myśl, ile historii miłosnych miało swój początek w Liverpoolu. Zamykam książkę.

– Pisałeś tu? – pytam, wskazując na przewodnik leżący na stole.

– Coś tam dodałem – przyznaje, nadal na mnie nie patrząc. – Zauważyłem, że ktoś już zamieścił kilka komentarzy, a tak się składa, że sam znam pewne lokalizacje... miejsca, w których Mal Evans lubił spędzać czas. Nie były zaznaczone, więc pomyślałem, że nie będziesz miała nic przeciwko...

– Jasne, że nie mam nic przeciwko.

Pochylam się i cmokam George'a Harrisa w policzek. Natychmiast zalewa się purpurowym rumieńcem.

– Muszę lecieć – rzuca, zrywając się z krzesła.

Omal nie traci równowagi, gdy schyla się po plecak.

– Czeka, przecież mieliśmy zejść odwiedzić...

Ale on już przeskakuje przez próg kawiarni.

– Do jutra, kolego! – woła za nim Elisabeth.

Kiedy przechwytyję jej spojrzenie, puszcza do mnie oko. Mrugam do niej obojętnie – zamykam, otwieram – na co przyjaciółka wybuchą śmiechem.

Odwracam się z powrotem do frontowej szyby kawiarni, żeby sprawdzić, czy dojrzę gdzieś jeszcze George'a Harrisa. Zniknął już. Zastanawiam się, kiedy przestanie się czuć zagubiony. Ciekawe, kiedy wszyscy przestaniemy się tak czuć. Rozważam, czy bycie zagubionym nie polega głównie na czekaniu, aż ktoś nas znajdzie.

Droga Angelo,

od czego by tu zacząć?

Sam nie wierzę, jak cholernie jestem zmęczony; wszystko idzie na opak. Boję się, że moje decyzje nas zniszczą. Nawet nie wiedziałem, jak zacząć Ci to wyjaśniać przez telefon. Wybacz, że nie zapytałem nawet, jak Ci minął dzień.

Czy gra jest warta świeczki? Czy, do cholery, warto się tak starać? Nie umiem się nawet odnaleźć w Liverpoolu, więc jak mam odkrywać tajemnice życia innego człowieka?

Ale cóż innego mogę zrobić? Myślę sobie, że przecież zaszedłem już tak daleko, a zaryzykowaliśmy wszystko. Nie mogę się wycofać. Wszyscy musimy ponosić jakieś ofiary, żeby dotrzeć do upragnionego celu.

Spytałaś, jak mi idzie i co już odkryłem. Zawahałem się z odpowiedzią. Po prostu się boję. Pobyt tutaj już mnie odmienił. Odpowiedź teraz, kiedy ją dla Ciebie spisuję, jest taka, że odkąd rozpocząłem badania, znajduję coraz więcej pytań niż odpowiedzi. I to na każdy cholerny temat. Na każde ziarenko prawdy, jakie udaje mi się odgrzebać, przypadają setki pytań bez odpowiedzi.

Ale dobrze, spiszę wszystko czarno na białym i się tym z Tobą podzielę, zgodnie ze złożoną Ci obietnicą. Oto, co wiem (albo wydaje mi się, że wiem).

Mal Evans był częścią Beatlesów. To już wiesz. Ale zacząłem się głowić nad PRAWDZIWĄ rolą, jaką odgrywał w zespole. Na czym konkretnie polegała? Był pracownikiem technicznym podczas tras koncertowych? Co to dokładnie oznacza? Jak taka byle praca przekłada się na to, co się stało, albo przynajmniej co według ludzi się stało, czyli jak ważny Mal stał się dla członków grupy? Czy był istotniejszy, niż sądziłem?

Mam solidne podstawy, by wierzyć, że był DOBRYM przyjacielem przynajmniej jednego z Beatlesów. Ale którego? Stawiam na George'a, ale w zasadzie dla czego by nie Paula? Nie ciągnęło go przypadkiem do sierot? Nie adoptował Johna? Ale dlaczego Mal? Beatlesi mogli przebierać w towarzystwie, więc dlaczego wybrali akurat jego? Bo był liverpoolczykiem? Czy to wystarczyło? Co Mal miał do zaoferowania?

Przeraża mnie, jak mało wiem.

Jaki był przed powstaniem Beatlesów? Czy był zagubiony, zanim ich poznał? To tak, jakby jego życie rozpoczynało się od spotkania w klubie Cavern, Kawerna, jakby to on był Człowiekiem Znikąd. Czy Kawerna stanowi klucz do zagadki? Wszystkie tropy wiodą zawsze tutaj. Czy ta cholerna dziura może kryć jakieś tajemnice?

Wygląda na to, że klub służył podczas wojny jako schron przeciwlotniczy. Pod ziemią ciągnęła się sieć tuneli i pomieszczeń, do których schodziło się po osiemnastu stopniach z Mathew Street. Ustaliłem, że pierwszy występ Beatlesów w Kawernie odbył się w czwartek, 9 lutego 1961 roku. Koncert nie był rozreklamowany, a wynagrodzenie muzyków wyniosło pięć funtów. Ludzie mówią, że występ odniósł sukces i że natychmiast zamówiono zespół na cztery przerwy obiadowe w tygodniu; do tego dochodziły specjalne występy w weekendy. To właśnie na jeden z takich koncertów trafił Mal Evans, kiedy po raz pierwszy odwiedził Kawernę.

Odkryłem również, że Beatlesi często się wygłupiali podczas występów, opowiadali żarty czy nawet rzucali się ze sceny w tłum fanów. Śpiewali też melodyjki z reklam albo wykonywali motywy z dziecięcych kreskówek. Najpierw pomyślałem sobie, że musieli być naprani, ale wcale nie! W 1961 roku nie sprzedawano tam alkoholu; Kawerna nie posiadała wówczas licencji na handel trunkami. Johna Lennona widywano, jak wcina hot dogi i popija colę.

Jednak nie wiem, jak te wszystkie ciekawostki mają mi pomóc w ustaleniu, kim był Mal Evans. A co z jego ptakiem i rodziną? Co pchnęło go, by ich porzucić i dać się zastrzelić w Los Angeles? Czy to w ogóle ma znaczenie?

Przeprowadził się do Stanów po rozpadzie Beatlesów. Ale po co? Czy chodzi tylko o to, że było mu przykro, czy może przed czymś uciekał? Co sprawiło, że uroczy liverpoolski olbrzym zmarł tak daleko od domu? Czy to prawda? Padł ofiarą morderstwa? Czy naprawdę posiadał tajemnice? Jeśli tak, to jakie i na czyj temat?

Wkurza mnie, że z tej cholernej zagadki prześwieca nadzieja. Wkurza mnie, że wpadłem w jej kleszcze. Wspominałem Ci, że Mal miał czterdzieści lat, kiedy zginął? Był ledwie kilka miesięcy starszy ode mnie. Czy i ja uciekam, jak on? Czy tak właśnie zachowują się faceci, którzy nie umieją się pogodzić ze swoim wiekiem? Wkurza mnie smutek, który czuję, kiedy odkrywam nowe fakty na temat Mala Evansa – zdaje się, że był porządnym gościem.

Jak już mówiłem, w tej chwili mam więcej pytań niż odpowiedzi, ale nie za-

mierzam się poddać. Nie masz się czym martwić, teraz już nie odpuszczę.

Love me do – kochaj mnie, o tak.

Max

Później, podczas pikniku przy stole jadalnym Williama, opowiadam im o Maksie, jego poszukiwaniach i zaginionej urnie z prochami Mała Evansa.

– Ktoś zażartował, że Mał został pogrzebany w stosach nieodebranej poczty i mam wrażenie, że ta wersja nie mija się zbyt z prawdą – mówię.

– Może faktycznie prochy znajdują się w Liverpoolu; przecież zostały wysłane do rodziny Mała. Czy w rejestrze biura, tak z początku roku, nie widnieje urna? – dopytuje Elisabeth.

– Nie znalazłam żadnego wpisu. Matka rzadko pojawiała się na dole, więc to ja musiałabym przyjąć zgłoszenie.

– Pomogę. Sprawdzę w workach ze zgubami, tych w tunelach – oferuje William. – Zrobię to. Odnalezienie prochów ukoi serca. Serca rodziny Mała Evansa.

Kiwam głową. Nie mam pojęcia, dlaczego urna miałaby się znaleźć w podziemiach, ale jak na razie wszelkie tropy wracają do biura rzeczy znalezionych na stacji Lime Street.

– Gdzie George Harris? – interesuje się nagle William, rozglądając się po pokoju.

Zastanawiam się, czy oczekuje, że Rzymianin lada chwila wyskoczy z któregoś kąta. Czasem nawet najdrobniejszy ruch ze strony Williama rozsiewa i wzmacnia jego odór do granic znośności. Staram się wstrzymać oddech, dopóki nie usiądzie z powrotem i nie przestanie się wiercić. Oby Elisabeth wkrótce poruszyła temat „doprowadzenia Williama do porządku” – mamy taki projekt.

– Marta go odstraszyła, kiedy próbowała się do niego dobierać – donosi moja przyjaciółka.

William kiwa głową, jakby wszystko mu się zgadzało, a Elisabeth chichocze. Mnie nie jest do śmiechu. Posyłam jej lodowate spojrzenie, ale to tylko bardziej ją rozbawia.

– Pewnie tak czuli się rycerze poszukujący świętego Graala – mówię.

– Max Cole to żaden rycerz – prycha Elisabeth.

Patrzę na nią z groźną miną, ale puszcza do mnie oko i nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Wtedy spoglądam na Williama. Chociaż bierze udział w rozmowie, jego oczy są dziś pełne smutku.

– A gdyby cię tak ogolić? – proponuję.

Chcę wyciąć z jego brody olbrzymie grudy błota, a może kupy, i kawałki gruzu.

– Nigdy nie nauczyłem się golić – odpowiada William.

Wzdycha. Wydaje się dziś złamany, przygasła jego iskierka. A wydawało mi się, że czynimy postępy.

– Williamie – mówi łagodnie Elisabeth. – Wiesz, że każdy miewa gorszy dzień, prawda? Jesteś dzieckiem w ciele dorosłego mężczyzny. Dopiero zaczyna do ciebie docierać świadomość utraty rodziców. Odnajdujesz się. Wiem z całą

pewnością, że pod tym całym owłosieniem i... czymś, kryje się przystojny gość.

Wyciąga rękę i kładzie ją na dłoni dziwaka. Ściska jego palce. Błękitne oczy Williama zachodzą łzami. Nie chcę, żeby płakał. Pragnę, by był szczęśliwy. Gdybyśmy tylko mogły dać mu szczęście!

– Wasza życzliwość... – William bierze głęboki wdech.

– Już jesteś bezpieczny – zapewnia Elisabeth.

– Jesteś wśród rodziny – dodaje. – Trochę dziwacznej i posklejanej z zagubionych dzieci, ale nie zamieniłabym jej za żadne skarby świata.

– Czy coś cię dręczy? – docieka Elisabeth.

William potwierdza skinieniem głowy.

– Proch – odpowiada.

– Prochy? – podchwytuję z nadzieją w głosie.

Elisabeth gromi mnie wzrokiem. Wzruszam ramionami.

– Chcesz nam opowiedzieć, co się stało? Słyszałeś syrenę ostrzegawczą? – nie ustępuje przyjaciółka.

William przytakuje.

– Po bombach, ludzie bez domu, ci, co przetrwali, musieli iść od ośrodków przejściowych. U nas do ratusza. Rodziny, ofiary bomb. Tata mówił, że potem było „przesiedlenie”. Przeprowadzało się do nowego domu, pustego.

– Zgadza się, pamiętam, słyszałam o tym, kiedy byłam mała. Ludzie tracili wszystko, co mieli – przypomina sobie Elisabeth.

Wciąż ściska jego rękę. Patrzę, jak delikatna jest jej dłoń, jakie długie i smukłe ma palce. Ich biel odcina się na tle brudu na skórze Williama.

– Wyszedłem z tuneli. Myślałem, że Mama i Tata będą w ratuszu. Że będą czekać. Zakładałem, że Tata będzie wiedział, że tunele są zablokowane od szwabskich bomb, ale że wie, jak dobrze umiem kopać. Będzie wiedział, że się wydostałem. Nie wiem, jak długo mi to zajęło.

– Jesteś dzielny; przetrwałeś – mówię.

Elisabeth patrzy na mnie i posyła mi uśmiech.

– Jakoś wspiałem się na powierzchnię. Proch, pył i słońce w oczy, swędziało. Ręce brudne z tunelu. Potarłem oczy, pył je zadrapał. Płakałem. Usiadłem na ulicy. Płakałem, bo bolały mnie oczy. Wreszcie je otworzyłem. Ujrzałem ludzi, ale niezupełnie ludzi, tylko ciała, niesione. Skrzydła drzwi zmieniły się w nosze. Nie wiedziałem, dokąd idą. Chciałem do Mamy i Taty...

Przerzywa, głos mu drży, łzy spływają po policzkach, choć z całych sił stara się być silny.

– Nic nie wyglądało jak dawniej. Połamane sprzęty, cegły, pokruszone fragmenty ścian, meble, ubrania, ciała. Zbyt wiele ciał. Byłem cały pokryty pyłem. Moje ubranie, calutki w sadzy, prochu, popiele. Nawet w buzi pył. Okleił mi gardło. Martwiłem się. Bałem się, że zaraz sam zmienię się w ścianę. Ale to było do-

bre przyb... przebranie, bycie szarym. Pomyślałem, że może mógłbym się stać niewidzialnym. Po raz pierwszy byłem niewidzialny.

– Lecz nie po raz ostatni – wzdycha Elisabeth, kiwając głową.

– Ten pył to nie był zwykły pył. Jeszcze nigdy takiego nie widziałem. I już nigdy potem nie miałem z takim do czynienia. Nie był jak cienka warstewka szarości na porcelanie Mamy, nad którą cmokała z niezadowoleniem. Ten proch był mieszanką sadzy, ceglanego pyłu, drobinek zaprawy, gipsowego mialu. Ludzkich prochów. Tata mówił, że tynki w naszym domu, jak zresztą we wszystkich budynkach w tamtych czasach, zawierają końską sierść. Dziwne rzeczy działały się od bomb. Uderzały na tyłach budynku, a wtedy tylne okna i drzwi zapadały się do środka, a frontowe wylatywały na zewnątrz. Było mnóstwo szkła, potłuczonego, na chodniku, na drogach. Rozglądałem się. Worki z piaskiem, deski, stopy cegieł i fragmenty ścian. Nic nie wyglądało jak dawniej.

– A ty byłeś przerażony – mówię.

– Myślałem tylko o tym, że powietrze cuchnie – opowiada William. – Powiniennem być pomyśleć o Mamie i Tacie. Ale nagle usłyszałem moje imię, ktoś mnie wołał. Spodziewałem się, że to Mama. Zjawiły się dorosłe ręce, podniosły mnie do góry i ścisnęły zbyt mocno, ale uścisk był inny, niż kiedy przytulała mnie Mamusia. To była pani Davies. Zanosila się płaczem. Nie tak jak Mama, kiedy czasem pokłóciła się z Tatą i trochę popłakiwała. Pani Davies szlochała całym ciałem. Chciałem, żeby postawiła mnie na ziemi. Chciałem znaleźć rodziców.

– Wytłumaczyła ci, co się stało? – pyta Elisabeth.

– Chyba wychlipiała: „Tak mi przykro”, a potem: „Znajdziemy kogoś, kto się tobą zaopiekuje”. Ale ja nie słuchałem. Nie docierało do mnie, co mówi. Spytałem tylko, co tak śmierdzi.

– I co to było?

Elisabeth mrozi mnie wzrokiem. „No co? ” – pytam bezgłośnie ruchem warg, ale ona wzrusza tylko ramionami i wznosi oczy do nieba.

– Powiedziała, że kord... kordyt. Pewnie wziął się z broni przeciwlotniczej – odpowiada William.

– Skąd to wszystko wiesz? – pytam i zaraz dodaję: – Jesteś bardzo mądry.

– Z książek. Czasem jakieś znajduję. Umiem trochę czytać, jeszcze ze szkoły. I przysłuchiwałem się ludziom, ćwiczyłem.

– Powinieneś poznać Stanleya, sprzątacza. Doskonale pomaga w kwestii wymowy trudnych słów – mówię.

– Broń przeciwlotnicza? – Elisabeth sprowadza Williama z powrotem na tory właściwej opowieści.

– Ktoś sprytny postanowił zrobić zasłony dymne, żeby bombowce nas nie widziały. Ludzie palili olej, żeby wytworzyć dym.

– Czy pani Davies ci pomogła? – pyta Elisabeth.

William kręci głową, że nie. Łzy kapią mu z oczu – jedna kropelka wpada mi do filiżanki. Na herbacie robią się zmarszczki. Wysyłam marzenie, żeby William, jak najszybciej poczuł się lepiej.

– Wyśliznąłem się z jej uścisku. Wylądowałem na chodniku. Był cały pokruszony. Nie chciałem, żeby ktoś się mną zaopiekował. Chciałem znaleźć Mamę i Tatę. Byli moją rodziną. Jedyłą, jaką miałem – mówi William, a jego głos nabiera mocy. Słyszę ryczący w nim gniew, kiedy wspomina: – Podeszła jakaś inna kobieta, z głową owiniętą czarnym szalem. Powiedziała: „Biedny chłopiec, biedna sierota”, i wskazała palcem. Mnie. Nie wiedziałem, co znaczy „sierota”. Wyglądała jak wiedźma. Spojrzała w niebo i westchnęła: „Ciekawe, czy szwaby na dziś skończyły?”.

– Och, Williamie – mówi Elisabeth.

Mężczyzna odsunął krzesło od stołu. Wstał i kiwa się na boki, niemal przeskakując z jednej nogi na drugą.

– Biegłem, przeskakiwałem przez przeszkody. – William podryguje w miejscu, dodając słowom dynamiki. – Dwa razy upadłem. Na szkło. Odłamki cegieł. Miałem podrapane kolana, lała się z nich krew, chciałem do Mamy. Wpełznąłem pod leżące na ziemi drzwi i modliłem się do Boga. Wierzyłem wtedy, że Bóg naprawdę istnieje, wszyscy tak myśleli. Mama twierdziła, że ludzie potrzebują Boga w chwilach smutku i lęku. Tata powtarzał: „Ateizm jest luksusem, na który nikt z nas nie może sobie pozwolić”.

Na tym opowieść się kończy. William chce nam oszczędzić widoku wylewającego się z niego cierpienia. Wychodzi z pokoju, tym razem wlokąc za sobą prawą nogę, i zagłębia się w jednym z tuneli.

– Lepiej, żeby wyrzucił ból z siebie, niż trzymał go w środku – stwierdza Elisabeth, wzdychając ciężko.

Jej oczy są pełne smutku; obie czujemy się zagubione i samotne.

– Nie tknął jedzenia – zauważam. Serce dyktuje mi, żeby karmić Williama i ulżyć mu w samotności.

– Skoczmy na górę i upieczmy mu placek z wiśniami, laleczko. Mam też mleko w puszcze, którym może sobie popić – mówi Elisabeth.

W drodze powrotnej przez korytarze do mojej biblioteki staję, by przyjrzeć się domkowi dla lalek. Widzę w kawiarni siebie i Elisabeth. Dziś William ustawił nas do tańca, a George Harris, w kompletnej rzymskiej zbroi, siedzi i podziwia nasze płąsy. Rozglądam się w poszukiwaniu figurki Maksa, ale nigdzie jej nie ma.

Ćwiczę gwizdanie, kiedy wchodzi do biura z pękiem różowych goździków. Nie przepasza, nie wspomina o mojej porażce w roli przewodnika. Zamiast tego pyta, czy jestem wolna po południu.

– Niecała godzina do zamknięcia – informuję, zanurzając twarz w kwiatkach i wdychając powietrze nosem. W zasadzie wcale nie pachną. – Możemy pozwie-

dzać razem Liverpool.

Na wszelki wypadek nauczyłam się kilku tras.

– Dzwonił dziś do mnie Graham Kemp – mówi Max.

Wzruszam ramionami. Nie znam nikogo takiego.

– Ten ekspert, facet, który wie wszystko o Beatlesach.

Kładę bukiet na ladzie.

– Miał jakieś wieści? – pytam.

– Nie, jasne, że nie. To potrwa ładnych parę tygodni. Przecież ci tłumaczyłam, słonko. – W jego głosie słychać nutkę rozdrażnienia, więc kiwam głową i przepraszam. – Tak czy inaczej, dzwonił, żeby przekazać, że Rocky Hooper chce zaprosić mnie wieczorem na drinka.

– Kto to jest Rocky Hooper? – Jego też nie znam.

– Gdzieś ty się uchowała, słonko? Przecież to sycha w tym mieście. Jesteśmy umówieni o dwudziestą drugą pod Dickiem Lewisem. Wiesz, gdzie to jest?

Uśmiecham się, to akurat proste.

– Naprzeciwko twojego hotelu, po drugiej stronie ulicy. Widziałeś rzeźbę nagiego mężczyzny? Nad głównym wejściem do Lewisa. Autorstwa sir Jacoba Epsteinina?

– Jest spokrewniony z Brianem? Nastaw wodę, Charlotte.

Spoglądam na niego, posyła mi uśmiech. Zastanawiam się, czy go poprawić, ale w końcu się nie odzywam. Parzę mu filiżankę angielskiej herbaty, stajemy za ladą i rozmawiamy o Brianie Epsteinie⁸.

⁸ Brian Epstein (1934–1967) – menedżer zespołu The Beatles (przyp. red.).

– Wczoraj w łóżku – mówię – próbowałam policzyć, ile razy mógł przyjeżdżać i wyjeżdżać ze stacji Lime Street, i jak walczył o to, by agencje płytowe zainteresowały się Beatlesami.

– Ile ci wyszło?

– Zasnęłam.

– Wiesz, słonko, miałem cię spytać o prochy... – Czekam, aż sformułuje pytanie, ale kiwa głową, wskazując, że teraz moja kolej na odpowiedź.

– Odnajdę je. Każdego dnia jestem bliżej celu.

– Będę cię kochał na wieki, jeśli ci się uda.

– Na wieki? – chichoczę.

– Słowo daję, słoneczko.

– Znalazłeś jakieś informacje o moim zagubieniu?

Max kręci głową.

– Jeszcze nie. Wybacz, słonko, spadła na mnie masa spraw.

– Widziałam dziś, jak ten Peter Barrymore bił się z jakimś mężczyzną na terenie hali.

Pokazuję palcem dokładnie miejsce. Max nie odwraca nawet głowy, żeby

zobaczyć.

– Ciekawe, czy Zarząd przysłał kolejnego... – zaczynam.

– Co kręci Martę? – pyta zniecierpliwiona Cole. – Co lubi, czego nie lubi. Jazda.

Przez chwilę milczę, bo zastanawiam się, co wymienić, a co zachować dla siebie. Głośno siorbię herbatę.

– Lubię motyle i angielską herbatę. Lubię oddawać właścicielom zgubione przedmioty. Cieszę mnie historie, które nie zaczynają się od „dawno, dawno temu”.

Max wybucha śmiechem.

– Zapamiętam sobie.

– Lubię mróz i świat fantazji. Moje ukochane słowo to „przynależność”.

– Przynależność do drugiej osoby?

– Może, choć raczej w szerszym znaczeniu. Uwielbiam lampki choinkowe. I filiżanki z porcelany kostnej, ale spodeczki już nie bardzo.

Max znów się śmieje. Wymieniam dalej:

– Lubię rysować uśmiechnięte buźki na zaparowanych szybach, czuję sympatię do mojej zniszczonej brązowej walizki... Co jeszcze? Zachwyca mnie wieża Eiffla, choć w życiu jej nie widziałam. Lubię smak płatków śniegu, choć nigdy ich nie kosztowałam...

– Przecież pada u was śnieg – dziwi się Australijczyk. Przytakuję, ale on nie zgłębia tematu.

– Lubię pociąg, który przyjeżdża o siedemnastej trzydzieści siedem z Chester.

– Co za konkret. Dlaczego akurat ten?

– George Harris nim przyjeżdża – mówię, ale zaraz żałuję swojej szczerości.

Twarz Maksa zmienia się, wygląda na zezłoszczonego. Wolałabym, żeby znów się uśmiechał.

– Uwielbiam mówić z francuskim akcentem – kontynuuję, stosując mój francuski akcent, po czym wracam do normalnego głosu. – Przyjaźnię się z gołębiami, które mieszkają wśród dźwigarów hali. Budgie się z nimi trzyma. Lubię tartinki z dżemem...

– Tartinki?

– Takie małe kanapki – wyjaśniam.

Max kiwa głową.

– Fascynują mnie wpisy w książkach.

– Ty i te twoje książki, słonko. – Cole przewraca oczami.

Znów szczerzy w uśmiechu te swoje olśniewające zęby. Postanawiam więcej nie wyjawiać. Nie mówię, że kocham Elisabeth, wirowanie, gwizdanie czy uśmiechanie się. Nie wspominam o mojej bibliotece książek znalezionych. Nie opowiadamy, że jest mi miło, kiedy ktoś siada obok mnie na ławce naprzeciwko biura rzeczy znalezionych, wprawiając siedzisko w ruch góra-dół. Nie zdradzam, że lubię,

kiedy balony uciekają pod sklepienie stacji Lime Street. Nie przyznaję się, że podoba mi się znaczek dziewczynki na drzwiach do toalety, bo uważam, że ma śliczną sukienkę. Nie mówię, że lubię tykanie zegara i widok osoby, która krzyżuje palce, by życzyć komuś powodzenia. I że sprawia mi przyjemność cisza, siorbanie napojów i kiedy druty stukają o siebie, gdy powstaje szalik. I dotyk wciąganej przez odpływ wody.

To wszystko zachowuję dla siebie. Trzymam to w sobie, bo staram się nie być sobą. Próbuję być dojrzała i starsza, żeby Max miał ochotę spędzać ze mną czas, ale nie po to, żeby chciał mnie całować. Zastanawiam się, czy powinnam poфарbować włosy na kolor, jaki nosi Charlotte. Ostatnio, kiedy spotykaliśmy się u Maksa w hotelu, widziałam, jak puszcza do niej oko.

Zamiast tego pytam:

– A ty? Co tobie sprawia przyjemność?

Nie pada błyskawiczna odpowiedź. Tak jakby Max naprawdę się namyślał zamiast wyrzucać z siebie wszystko, co kolejno przychodzi mu do głowy. Szkoda, że sama się tak nie zachowałam. Żałuję, że nie byłam taka dojrzała i tajemnicza.

Wreszcie odpowiada:

– Podoba mi się Liverpool.

Milczę. Czekam, żeby wymieniał dalej, ale on tylko patrzy na mnie bez słowa.

– I co jeszcze? – pytam.

– Najbardziej ucieszyłbym się z tych prochów, słonko.

– One by cię uszczęśliwiły?

– Jak cholera. Kręci mnie jeszcze myśl o tym, kiedy wreszcie poświntuszimy – dodaje.

– Poświntuszimy? – nie rozumiem.

– Seks – mówi krótko.

Nie umiem stwierdzić, czy żartuje. Nie jestem pewna, czy moje przyzwolenie, by musnął wargami moje usta, było równoznaczne ze zgodą na uprawianie seksu. Mam szczerą nadzieję, że nie. Potem Max pyta:

– A do czego masz awersję?

– Awersję?

– Głuptasie! Pytam, czego nie lubisz.

Śmieję się. Znam znaczenie tego wyrazu, ale chyba nigdy nie próbowałam uporządkować rzeczy, których nie lubię. Milczę przez kilka minut. Max wpatruje się we mnie cały ten czas.

– Poczucia zagubienia – mówię wreszcie. – I mrówek, naprawdę nie cierpię mrówek. I nie znoszę Wielkiego Postu, bo polega na wyrzeczeniach.

– Nie lubisz wyrzeczeń? – podchwytuje Max.

– Elisabeth mówi, że życie jest zbyt krótkie, żeby odmawiać sobie przyjem-

ności. Jej zdaniem nie staniesz się lepszym człowiekiem, jeśli odmówisz sobie ciasta przez czterdzieści dni z wyjątkiem niedzieli.

– Bo ja wiem. I tak nie lubię ciasta.

Cole wzrusza ramionami. Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami. Brak mi słów. Zastanawiam się, czy to typowe dla Australijczyków. Nie umiem wymienić ani jednego ciasta, które by mi nie smakowało.

– Chciałabym być krótkowidzem – mówię.

– To nie jest awersja – zauważa Max.

– Nie podoba mi się, że nie noszę okularów. I nie lubię zakończeń.

– A jeśli są szczęśliwe?

– Takie nie istnieją. Wszystko umiera i nie ma w tym żadnej radości. Chyba nie przepadam za jesienią i wiosną, bo to takie mi przypięły, ni przyłatały. I nie podobają mi się rysunki wykonane kredą.

– Rysunki kredą?

– Bywają rozmazane – wyjaśniam. – I nie znoszę złamanych obietnic. Oraz pożegnań.

– A Matka?

– Matka nie żyje – mówię, po czym prostuję się nad blatem i podchodzę do czajnika. – Jeszcze herbatki?

– Jasne. Lepiej włóż kwiatki do wody.

Kiwam głową. Powstrzymuję się od uwagi, że nie lubię, kiedy ludzie kupują kwiaty. Kwiaty mają przemawiać językiem miłości, a kiedy patrzę na bukiety w wazonach, słyszę tylko, jak oplakują swoją powolną, nieuchronną śmierć.

Jest już późno, ładne parę godzin po zamknięciu, więc nie powinnam reagować, ale ktoś usilnie próbuje się dodzwonić do biura rzeczy znalezionych. Uznaję, że skoro ktoś ma tak pilną sprawę, że dzwoni, i to jakiś milion razy, to naprawdę powinnam odebrać.

Więc odbieram.

– Jestem, kurwa, w drodze. Wracam, słonko – słyszę. – Pieprzony kluczowy świadek. Piwo... Jestem na zewnątrz, słońce, muszę się, kurwa, odlać.

Odsuwam słuchawkę od ucha.

– Piłeś alkohol? – pytam.

– Co cię to, kurwa, obchodzi? – Max krzyczy, w jego głosie słychać wściekłość, kiedy wyrzuca z siebie: – Muszę mieć te cholerne prochy, Charlotte.

– Marto – poprawiam.

– Znalazłaś je już, do cholery? – pyta spokojniejszym tonem, jednak nie szczędząc brzydkich słów. Wyrazy zlewają się ze sobą, jakby śpiewał.

– Prawie.

– „Prawie” to, kurwa, za mało. Moja pieprzona kariera pisarska wisi na włosku i jeśli nie dostanę tych cholernych...

Słyszę pikanie.

– Nie mam, kurwa, drobnych. Jestem na pieprzonym dworcu. Chcę się odlać w twoim cholernym kiblu. No, kochanie, otwórz te pieprzone drzwi.

– Nie możesz skorzystać z publicznej toalety na sta...

Połączenie zostaje przerwane. Patrzę w słuchawkę, a potem w przeszklony front biura rzeczy znalezionych. Widzę Maksa, jak tańcząc, pokonuje halę. Przekręcam klucz w zamku.

– No nareszcie – sapie. – Byłem w mieście wrzucić coś na pieprzony ruszt. Cholerny kluczowy świadek.

– Już mówiłeś.

Robi krok w moim kierunku, ja cofam się o krok, on wykonuje kolejny krok ku mnie. Można by uznać, że to forma tańca. Zionie od niego alkoholem. Odwracam się. Przechodzę przez szczelinę w ladzie i idę ku białym drzwiom, które prowadzą na górę. Są otwarte, więc wskazuję ręką schody do mieszkania, gdzie mieści się łazienka.

Cole potyka się na schodach i wybucha śmiechem. Obraca się. Przyciąga mnie do siebie. Przyciska usta do moich. Marszczę twarz, zaciskam wargi. Nie chcę jego pocałunków. Śmierdzi nieświeżymi chrupkami i wpycha język przez moje zaciśnięte wargi. Całuje mnie, ale udaje mi się wyswobodzić.

– Skorzystaj z toalety – mówię.

– Pieprzona oziębła idiotka – pluje Max, po czym dodaje: – Idę na drinka z cholernym Rockym Hooperem. Słyszałeś o Rockym?

Kiwam głową – rozmawialiśmy już na ten temat. Wskazuję mu łazienkę; wtacza się do środka. Zostawia otwarte drzwi; słyszę, jak mocz wpada do muszli. Nie myje rąk.

– Tędy – prowadzę, kiedy wychodzi.

Schodzę po schodach z powrotem do biura rzeczy znalezionych. Bardzo chcę, żeby sobie poszedł. Jakoś radzi sobie ze stopniami w dół. Przyciąga mnie do siebie i chwyta mocno, boleśnie za ramiona, wkraczając do biura. Znów mnie całuje. To ciężki pocałunek, brutalny. Jego zarost drapie mnie w twarz. Walczę z nim, próbuję się uwolnić. Liże mnie w policzek, co jest zupełnie nieprzyjemne.

– Złap mnie, kurwa, za rękę, kochanie.

– Jesteś pijany.

– A ty brzydka.

– Umieścisz mnie w swojej książce?

– To nie taki rodzaj pieprzonej książki, pieprzona kretynko.

– Ale umieścisz? – nalegam.

– Nie. No może. Znajdź mi te cholerne prochy, to obwieszczę światu, jaka byłaś cholernie pomocna.

– Znajdę je.

– Lepiej, żebyś mnie nie zawiodła! – krzyczy. – Bo pożałujesz.

Parskam śmiechem, ale on wcale nie jest rozbawiony.

Odwracam się i mój wzrok pada na stojącą w progu Elisabeth. Czuję ulgę. Jest tu, drzwi nie są zamknięte na klucz, tabliczka nie wskazuje, że biuro jest zamknięte. Patrzy najpierw na mnie, potem na Maksa. Jej oczy ciskają gromy.

– Lepiej będzie, jak już pójdziesz – zwraca się do Cole’a.

– Lepiej będzie, jak się odpierdolisz – odparowuje Max, ale potulnie zatacza się przez otwór w ladzie, celując w drzwi.

Elisabeth czeka, aż mężczyzna wyjdzie z biura rzeczy znalezionych, po czym odwraca się na pięcie i odchodzi. Staję w progu. Patrząc, jak Max pokonuje zygzakiem halę, zmierzając ku wyjściu. Czekam w nadziei, że Elisabeth wróci ze mną porozmawiać. Nie wraca, a ja nie idę do jej kawiarni.

Nadane przez Anonima, adresowane do Marty Zguby, przekazane w książce *Wielkie nadzieje* Charlesa Dickensa, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja kochana Marto,

widok Twojego plakatu nappełnił mnie jak zwykle ciepłymi uczuciami, jednak po zastanowieniu się nad Twoim pytaniem, stwierdzam, że rośnie moja ciekawość co do celu naszej korespondencji. Czy nie jest prawdą, że goni Cię termin, przed upływem którego jesteś zobowiązana przedstawić Zarządowi dowód Twojej tożsamości? Kiedy zapytasz o swój numer ubezpieczenia społecznego, niezbędny, byś mogła zachować pracę? Obawiam się, że podtrzymujesz nasz kontakt, żeby nie mierzyć się z pilniejszymi sprawami.

Pozwól mi zapewnić, drogie dziecko, że nie mam najmniejszego zamiaru zniknąć. W rzeczy samej Twoje plakaty są dla mnie źródłem zachwyty i radości. Rozświełają moje dni i zganiają sen z powiek nadzieją, że odpowiesz na moją pisaninę. Czy mogę zdradzić Ci sekret? Pozwolisz? Zanim odpowiem na Twoje ostatnie pytanie.

Prawdą jest, moje drogie dziecko, że przepelnia mnie chęć, żeby zdjąć Twoje plakaty i zabrać je dla siebie. Pragnę zerwać je z tablicy i zabrać do domu, by schować jak skarb. Oczywiście nie zrobię tego, bo wiem, że obserwujesz halę i że masz przyjaciół, którzy również czekają, by poznać rozwiązanie zagadki i tożsamość osoby, która do Ciebie pisze. Mam szczerą nadzieję, drogie dziecko, że pewnego dnia dane mi będzie wyjawić Ci, kim jestem.

A teraz Twoje pytanie dotyczące rodzeństwa, które potencjalnie mogłoby istnieć. Mogę stwierdzić z całą pewnością, że Twoja biologiczna matka nie została po Twoim narodzeniu pobłogosławiona innymi dziećmi, a także mogę zapewnić, że żyje i ma najgorętszą w świecie nadzieję, żeby znowu być z Tobą.

Twój ojciec, niech spoczywa w pokoju, miał dwoje dzieci ze swoją żoną. Jego dzieci, synowie, nie są świadomi Twojego istnienia, nie wie też o Tobie jego biedna małżonka. Twoja biologiczna matka postanowiła nie narażać Twojego ojca i jego rodziny na skandal, w związku z czym nigdy nie poinformowała ich o ciąży.

Faktem jest, że rodzice Twojej biologicznej matki wiedzieli, że spodziewa się dziecka, ale nigdy nie poznali tożsamości Twojego ojca. Obawiam się, że gdybyś zapragnęła prowadzić śledztwo w tym kierunku, nie będę w stanie dostarczyć infor-

macji dotyczących Twojego ojca. Twoja biologiczna matka zdecydowała się chronić Bogu ducha winną rodzinę i z pewnością miałaby nadzieję, że uszanujesz jej wolę w tym względzie.

Wybacz mi, drogie dziecko, ukrywanie przed Tobą informacji. Pozostaje mi mieć nadzieję, że odezwiesz się do mnie jeszcze i że pojmujesz potęgę tajemnic i ujawniania ich światu.

Z pozdrowieniami,

Anonim

- Obudziłam cię? – pytam.
- Nie, w porządku – mówi chrapliwym głosem, kaszle.
Słyszę zbierającą się flegmę, którą zaraz wypluwa.
- Mam diabelskiego kaca.
- Próbowałam się wcześniej dodzwonić.

Jestem już dziś po pracy.

– Przepraszam, byłem martwy dla świata – wzdycha Max. – To była najlepsza noc w moim życiu, słonko.

Zaczyna się śmiać; nie bardzo wiem, jak zareagować. Podbródek mam podrapany od jego zarostu. Obiecał, że odezwie się rano, ale nie zadzwonił. Martwiłam się, że może sprawiłam, że mnie znienawidził i straciłam szansę bycia kochaną na wieki. Wahałam się, co zrobić.

Wybrałam numer recepcji w Adelphi. Odebrała Charlotte. Powiedziała, że jest umówiona z Maksymem na później, więc przekaże, że go szukałam. Chciałabym wiedzieć, jak reagować w takich sytuacjach. Nigdy nie miałam chłopaka, więc może tak ma być, może o to chodzi w powieściach, gdy opowiadają o prawdziwej miłości.

- Nasze popołudniowe wyjście aktualne? – pytam.
- Nie obchodzi cię nawet, jak wczoraj poszło?
- Myślałam, że gdybyś chciał mi powiedzieć, to...
- Rocky Hooper zaprosił mnie na późną kolację.
- I co jedliście?

– Rocky to boss nocnych klubów, ma pod sobą prawie cały Liverpool, zna wszystkich, po prostu wszystkich, nawet mięśniaków takich jak Cassius Clay, a ty pytasz, co jedliśmy? Skończona idiotka.

Jest poirytowany. Denerwuje się, bo nie zadałam właściwego pytania. Wiele bym dała, żeby wiedzieć, jak ono brzmi.

– Świetnie, to niesamowite – ryzykuję.

– Właśnie tak – podchwytuje Max. – Ciebie też będzie chciał poznać... jak już znajdziesz prochy, słonko.

– Już niedługo. Nasze popołudniowe wyjście aktualne?

– Tak, po południu, jasna sprawa.

– Dostałam kolejną książkę od Ano...

– Cieszę się, że cię zobaczę, Marto. Ale... – zawiesza głos. Kaszle w słuchawkę.

– Wszystko w porządku?

– Trochę mi niedobrze. Wiesz, muszę ci coś powiedzieć, poważnie. Muszę ci coś powiedzieć dosłownie w tej chwili.

Kiwam głową do telefonu, wstrzymując oddech. Pozwalam mu mówić, słucham.

- Wydaje mi się, że cię kocham. Chyba nic nie potrafię na to poradzić.
- Dziękuję – mówię.
- Max się śmieje.
- Wiem, że dzieli nas duża różnica wieku. Ty masz dziewiętnaście, ja trzydzieści siedem lat...
- Szesnaście.
- Ale ja cię kocham. Nigdy dotąd nie czułem czegoś podobnego.
- Dziękuję – powtarzam.
- Powinnaś jednak wiedzieć, że jestem rozwiedziony. I mam dwójkę dzieci.
- Pracowałeś kiedyś jako nauczyciel gry na fortepianie?
- Nie, przestań się wydurniać. – Max parska śmiechem i mówi: – Moje dzieciaki są świetne.
- Chłopcy czy dziewczynki?
- Parka, ale to nie zmienia nic między nami, słonko. Tworzymy zespół, duet do znajdowania prochów.

Pytanie zamieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który przykleiła na tablicy przy peronie szóstym:

Kim jesteś?

Droga Angelo,

nie takiego Liverpoolu się spodziewałem. Może jest bardziej mroczny? Może bardziej stawia opór? Miasto jest jednocześnie żywe i martwe. Nie wystarcza, że-bym był sobą, muszę się starać być kimś innym, kimś lepszym, jak sądzę. Problem w tym, że wszystko robię na opak. Wiesz, łgarstwo na temat wieku to jedno (te pi-smaki ze szmatławców i tak raczej nie sprawdzą), ale kłamstwo o moim życiu z Tobą to zupełnie inna sprawa. Wciąż podejmuję niewłaściwe decyzje. Idiota ze mnie i tyle.

Wczoraj chciałem wybrać się na prom, ale pojechałem złym autobusem. Wy-siadłem i się zgubiłem. Włóczyłem się godzinami. Ulica po ulicy. Trafiłem w miej-sce, gdzie kiedyś bomby zmiotły domy z powierzchni ziemi; brakowało całych sze-regów budynków, jakby ktoś powyrywał zęby, a w ich miejsce została czarna, błot-nista ziemia. Z rynsztoków wylewały się śmieci, dookoła grasowały umorusane dzieciaki. Ale potem skręciłem za róg i trafiłem na małe skupiska życia, na ludzi, którzy z radością ze mną rozmawiali, chętnie służyli pomocą, wyglądali na zwy-czajnie szczęśliwych. Przyglądałem się każdym mijanym drzwiom, zastanawiając się, jakie kryją tajemnice.

Wiem, że powinienem zacząć od początku. Kawerna jest właściwym miej-scem – to w końcu kolebka wszystkiego. Ale będę szczery – w tej chwili słyszę, jak mówisz: „Pewnie po raz pierwszy”, z tym swoim charakterystycznym śmieszkim – Kawerna mnie przeraża. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Przez ostatnie dni prze-chodziłem obok niej cztery razy. Snulem się w górę i w dół Mathew Street, ze wzro-kiem spuszczonej jak uczniak. To mroczne wejście, ta dziura w ziemi...

Została już tylko skorupa z zamkniętymi w środku tajemnicami. Wreszcie zdobyłem się na odwagę (po kilku głębszych), żeby zagadać do jednego z bramka-rzy przy końcu Mathew Street. Zrobiło na nim wrażenie to, że jestem Australijczy-kiem, i rozmawiał ze mną chętnie. Powiedział, że nie znał Mala osobiście, ale dużo o nim wiedział. Twierdził, że Evans pracował dla poczty, zanim dostał pracę jako bramkarz w Kawernie. Oznajmił, że jego szef kumpłował się z Malem, ale czmych-nąłem stamtąd jak spłoszony królik, gdy mój rozmówca wszedł do środka zawołać przełożonego.

Wybrałem najprostszy sposób. Cofnąłem się do czasów sprzed początku. Mu-siałem wtykać nos w nie swoje sprawy, drażnić, wypytywać. Udało mi się odnaleźć urząd pocztowy i zacząłem się przed nim w porze zamknięcia. Potem śledziłem kil-ku pracowników, którzy poszli do pubu. Szkoda, że mnie nie widziałaś, wyglądałem

jak najprawdziwszy prywatny detektyw. Jak ci goście w filmach. Pogadałem z paroma facetami i po kilku piwkach trafiłem wreszcie na kilku, którzy znali Mala. Powiedziałem im, że piszę książkę o Beatlesach – wydawali się zadowoleni.

Jeden z nich opowiedział mi o tym, jak Beatlesi po raz pierwszy poprosili Mala, żeby zawiózł ich do Londynu. Wiedziałem, że do obowiązków Evansa należało dbanie o zespół w trasie, ale nie miałem pojęcia, że wszystko zaczęło się, kiedy etatowy kierowca muzyków się rozchorował. Ale co było dalej!

W drodze powrotnej z Londynu panowały koszmarnie warunki, autostradę zasnuwała gęsta mgła, chyba to była trasa M1. Tak czy inaczej, pocztowiec mówił, że nagle rozległ się huk – w przednią szybę uderzył kamień. Szyba pękła, kompletnie pozbawiając kierowcę widoczności, ale Mal, nie zjeżdżając nawet na pobocze, owinął dłoń czapką i wybił w szybę dziurę. Jechał prawie czterysta kilometrów, ledwo widząc, podczas gdy Beatlesi leżeli z tyłu, dysponując jedną jedyną butelką whisky dla rozgrzewki. Wyobrażasz sobie, jak musiał marznąć Mal? Ale jechał dalej. Był taki jak ja, Angelo, nie poddawał się bez walki.

Poznałem też starszego pracownika poczty, który we wtorkowe wieczory grywał z Evansem w rzutki. Okazuje się, że Mal i jego przyszła żona poznali się i zakochali w wesołym miasteczku, w miejscu o nazwie New Brighton. To taki nadmorski kurort za wodą – tak tu mówią na rzekę Mersey, po prostu: woda. Jakby to była jedyna rzeka na świecie.

Widzisz, Liverpool przycupnął przy takim potężnym, szarym potworze – rzece. Po drugiej stronie widać wystający znad wody brzeg. Nazywają go Wirral. New Brighton leży na Wirralu, który jest jak paluch wysunięty w Morze Irlandzkie. Podobno liverpoolczycy uwielbiają spędzać tam letnie dni. Wsiadają na prom, łapią pociąg i już mogą cieszyć się popołudniem, zajadając lody, brodząc w morzu i przechadzając się deptakiem. Pamiętasz tę piosenkę Ferry Cross the Mersey, Prom przez Mersey? Słyszeliśmy ją na potańcówce w zeszłym roku, prawda? DJ był Anglikiem.

Zdaje się, że powinienem się wybrać do New Brighton. Wczuć się w nie, jak to się mówi. Tak robią pisarze, kiedy chcą się wkraść w umysły własnych postaci. Właśnie odpływa stąd fala upałów, więc może skorzystam z ostatnich promieni słońca. Popłynę promem. Można się tam też dostać podwodnym tunelem, ale trzeba mieć samochód. Stwierdziłem, że prom będzie bardziej autentyczny i właśnie na niego zmierzałem wczoraj, kiedy się zgubiłem.

Kolejny fakt. Okazało się, że Malowi wkrótce po ślubie urodził się syn. Dali mu na imię Gary. Jeden z moich rozmówców zapamiętał go jako „pełnego energii chłopaczka”. Nie ma to większego znaczenia dla mojego śledztwa, ale pomyślałem o naszym Stephenie.

Zacząłem się zastanawiać, czy Gary był dumny ze swojego taty, a potem myślałem, co takiego Stephen sądzi o tym, że przebywam na drugim krańcu świata. Chciałbym, żeby był ze mnie dumny. To tylko perspektywa pieniędzy wymieszana z piwem – czyli nie najlepsza kombinacja – ale staram się przekuć to w jakiś sukces. Tubylcy też zdają się czegoś ode mnie oczekiwać. Czy to w ogóle ma sens? Odnoszę wrażenie, że odgrywam tu, w Liverpoolu, pewną rolę, a moja publiczność życzy sobie, abym zachowywał się w określony sposób.

Tak czy inaczej, wiem, że jakoś przez to przebrniemy, bo Ty i ja jesteśmy razem na mur beton, prawda?

Love me do – kochaj mnie, o tak,

Max

Próbuję wymyślić, jak powiedzieć Elisabeth, że Max jest rozwodnikiem, że ma dzieci i że oświadczył, że się we mnie zakochał. Niestety ilekroć staram się sformułować w głowie zdania, brzmią fatalnie. Brzmią, jakbym zwariowała.

Elisabeth zaraz tu będzie. Już wcześniej zapowiedziała, że wpadnie na kanapkę i rozmowę. Patrzę na halę i widzę, że przyjaciółka stoi w towarzystwie mężczyzny w garniturze. Raz po raz spoglądają w stronę biura rzeczy znalezionych. Z początku elegant miał groźny wyraz twarzy, ale teraz wyraźnie złagodniał. Elisabeth dwukrotnie pogładziła go po ramieniu i uśmiecha się do niego sztucznie. Nie mam pojęcia, co kombinuje.

Wreszcie idzie do mnie. Stoję za ladą, a mężczyzna nie rusza się z miejsca. Nie zdejmuje wzroku z Elisabeth, więc ta wyjątkowo ładnie kręci pupą, specjalnie dla niego.

– Szycha z Londynu – mówi, niemal szepcząc.

– Że co? – nie rozumiem.

– Zarząd, ze stolicy. Gość przyjechał dać ci reprimendę, ale na szczęście najpierw wstąpił do kawiarni na kanapkę z bekonem.

– Zamierza mnie walnąć tą teczką? Wyrzuci mnie na bruk?

– Wyrzuci, jeśli się nie pospieszysz i nie dostarczysz im tego, czego żądają.

– Robię, co mogę – bronię się. – Zostało mi jeszcze... – wyciągam z kieszeni karteluszek – ...siedemnaście dni.

– Laleczko, znalazłaś sobie korespondencyjnego przyjaciela i dobrze się bawisz – oznajmia Elisabeth z grobową miną – ale sprawa jest poważna. Musisz im podać numer ubezpieczenia społecznego. Musisz płacić podatki albo w jednej minucie spuszczą cię po drucie.

Wybucham śmiechem. Sytuacja bynajmniej nie jest zabawna, ale daję słowo, że Elisabeth wymyśla te swoje powiedzonka na poczekaniu.

– Spuszczą po drucie? – pytam. Przyjaciółka kiwa głową, odwraca się, by zerknąć na waśniaka w garniturze, po czym zwraca się z powrotem do mnie:

– Teraz już pełna powaga.

Mężczyzna wkracza do biura rzeczy znalezionych i wchodzi za blat. Przybieram najpoważniejszy wyraz twarzy, na jaki mnie stać. Przedstawiciel Zarządu staje przy mnie. Nie wstaję z taboretu. Sięgam w dół po moją parasolkę ze sztucznymi zębami, cekinami, dzwoneczkami i koralikami. Kątem oka widzę jednak, że Elisabeth stanowczo kręci głową; jej oczy mówią: NIE. Dyskretnie odkładam broń z powrotem pod blat.

– Marta Zguba, jak mniemam – odzywa się mężczyzna w garniturze.

Chyba czeka na odpowiedź, ale nie jestem pewna, jak brzmi pytanie.

– Tak, proszę pana.

– Marto, mamy problem. Przyjechałem tu w zupełnie innej sprawie, ale postanowiłem do ciebie zajrzeć i osobiście zamienić z tobą kilka słów. Ponieważ leży

nam na sercu zadowolenie naszych pracowników.

– Czy pozwoli pan, że zaoferuję filiżankę herbaty? A może sztuczną szczękę?

Słyszę, jak Elisabeth tłumi chichot. Nie siliłam się na humor. Po prostu kiedy mężczyzna mówił, patrzyłam mu w usta i zauważyłam, że brakuje mu dolnych łydek. Nie chciałam być okrutna, ale wydało mi się naturalne zaproponować, żeby pogrzebał sobie w pudle ze sztucznymi szczękami.

– Nie – pada sucha odpowiedź.

Nie jestem pewna, czy odmowa dotyczy herbaty, czy zębów, więc na wszelki wypadek nastawiam wodę w czajniku.

– Marto, to biuro może się pochwalić najwyższym wskaźnikiem zwrotu zagubionych rzeczy. Działa nadprogramowo dobrze i jeśli mam być szczery, nie mamy najmniejszych wątpliwości, że doskonale wyniki są zasługą twojej ciężkiej pracy. Zakładam, że otrzymałaś od nas pismo?

Przytakuję w milczeniu.

– Tak, otrzymała, i zamartwia się, odkąd się z nim zapoznała – włącza się do rozmowy Elisabeth, która również przeszła na naszą stronę lady.

– Zamartwia? – powtarza za nią mężczyzna w garniturze.

Ciekawe, jak ma na imię. Wygląda na Johna, ale chyba mu tego nie powiem. Zdążyłam już zapomnieć, o co pytał, więc zamiast do mężczyzny kiwam głową w stronę czajnika.

– Czy przekroczyłaś granice kraju nielegalnie?

– Nie jestem pewna. – odpowiadam zgodnie z prawdą. Odwracam się od półki, na której stoi czajnik i przechodzę na francuski akcent. – Być może, bo widzi pan, przybyłam tu pociągiem z *le Paris*, kiedy miałam...

Elisabeth wchodzi mi w słowo.

– Marta chce powiedzieć, że odkąd zmarła jej matka, świeć Panie nad jej duszą, miała bardzo wiele na głowie. Nie była w stanie odnaleźć swojego aktu urodzenia i numeru ubezpieczenia społecznego. Denatka schowała je gdzieś w bezpiecznym miejscu i robimy, co w naszej mocy, by ustalić lokalizację dokumentów.

Elisabeth brzmi inaczej niż zwykle. Używa akcentu z Blundellsands, żeby wyrzucić na waśniaku z Zarządu jak najlepsze wrażenie.

– Wystarczy złożyć wniosek o odpis – mówi mężczyzna w garniturze, ale w jego oczach pojawia się niepewność.

– Wiem, wiem, tylko od śmierci matki Marta czuje się nieco... – Elisabeth urywa, po czym kończy szeptem: – ...zagubiona. Ale powiem panu tak, panie...

– Johnie! – nie wytrzymuję. – Ma pan na imię John, prawda? – uśmiecham się, skutecznie niweczając poważny wyraz twarzy.

– Nie, Simon – szepcze mężczyzna.

Wodzi nieco błędnym wzrokiem pomiędzy mną a Elisabeth.

- A jako że nasłał pan na nią dwóch zbirów... – rozpęda się Elisabeth.
- Nic podobnego! – zaperza się urzędnik.
- Tak się składa, kolego, że jestem w posiadaniu pisemnych oświadczeń obu panów, w których zeznają, że kazałeś im Martę „wykurzyć” z zastosowaniem „wszelkich koniecznych środków”.
- Ależ zapewniam, że...
- Tej oto dziewczynce – wskazuje na mnie przyjaciółka – grożono kijem do krykieta. Ty – wymierza palec w pierś mężczyzny w garniturze – oskarżyłeś ją o czczenie Diabła. Została znaleziona na podłodze...
- Byłam żółwiem... – wtrącam, ale Elisabeth ucisza mnie spojrzeniem.
- Od tamtego dnia żyje w strachu. Nie rusza się nigdzie nieuzbrojona – peroruje przyjaciółka, a ja zerkam na spoczywającą pod ladą broń. Przydałoby się ją jakoś nazwać. – Ma zaledwie szesnaście lat.
- Nigdy nie było moją intencją...
- Tak czy inaczej, kolego – nie daje się uciszyć Elisabeth, a ja chichoczę. – Daję ci słowo, że w ciągu czterech tygodni wpłyną do was wszystkie dane, które wymagacie od Marty.
- Potrzebuje więcej czasu? Toż to kolejne dwadzieścia osiem dni! – waśniak łapie się za głowę. – Według naszych obliczeń zostało jej siedemnaście.
- W porządku, kolego, pójdziemy na kompromis. Umówmy się na dwadzieścia jeden dni i zapomnimy o tych dwóch typach, którym zapłaciliście za przepędzenie dziewczyny. A, nie zdążyłam chyba wspomnieć o kolejnej dwójce zbirów, których nasłaliście, choć obiecaliście, że będzie spokój. – Elisabeth, puszcza oko do człowieka w garniturze.
- Kolejna dwójka? – powtarzam.
- Przyjaciółka uśmiecha się do mnie krzepiąco.
- Naprawdę nie sędzę... – zaczyna mężczyzna.
- Dorzucę do umowy kilka porcji ciasta – kusi Elisabeth. – Wygląda pan na fana drożdżówek z lukrem.
- Urzędnik pozwala sobie na uśmiech.
- Dobrze, już dobrze. Niech będzie dwadzieścia jeden dni od dzisiaj, ale potem zawieszamy wypłatę wynagrodzenia.
- Nie możecie... – zaczyna Elisabeth.
- Przekona się pani, że owszem, możemy. Akt urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego przed upływem dwudziestu jeden dni albo...
- Mamy twoje słowo, że nie pojawią się już żadni napastnicy? – upewnia się Elisabeth.
- Owszem.
- W przeciwnym razie składam zgłoszenie na policji.
- Zwolnicie mnie? – pytam.

– Nie zostawiasz nam wyboru. Jeśli nie dostarczysz wymaganych danych, stracisz zarówno pracę, jak i dom, Marto. Pozostali członkowie Zarządu sugerowali złożenie donosu do jeszcze wyższych władz.

Słyszę, co mówi, ale moja uwaga zdążyła się już rozproszyć.

– Ma pan w teczce książkę? – pytam, przyglądając się czarnej skórzanej walizeczce u jego stóp.

– Tak.

Podnoszę na niego wzrok. Posyła mi uśmiech.

– Zbliża się pan do końca? – chcę wiedzieć.

– Jestem gdzieś w połowie. Ale w razie czego mam też zapasową lekturę.

Moja kolej na uśmiech. Czuję do niego sympatię.

– Jest pan rozwiedziony?

– Owszem.

– Dzieci?

– Dwóch chłopców. Są całym moim światem.

– Przepraszam, że tłuł się pan przeze mnie taki kawał.

– Dwadzieścia jeden dni, Marto.

– Doskonale – wtrąca Elisabeth. – Nie bez lekkich turbulencji, ale dotarliśmy do porozumienia. A teraz, Simonie, w kwestii twojej drożdżówki z lukrem. Zakładam, że wolisz te z rodzynkami?

Kolumna „O mieście” w „Liverpool Daily Post”

BEATLESI ZNÓW WSTRZĄSNĄ MIASTEM?

Rozniosła się wieść, że w mieście gwałtownie wzrosła sprzedaż pamiątek związanych z zespołem The Beatles. Od swetrów i czapeczek po szaliki i flagi, Beatlesi przeżywają odrodzenie zainteresowania za strony publiki.

Być może to skutek plotki, według której zespół z powrotem jednoczy siły. Ale nie dajmy się ponieść emocjom – jakby nie było, to będzie siódmy reportaż na temat wielkiego powrotu Beatlesów w ciągu kilku tygodni.

Człowiek chwili, Max Cole, był widziany dziś przed południem w białym T-shircie z napisem: „Gdzie się podział Mal?” – nowy, ciekawy element w zakresie pamiątek. Trzydziestopięcioletni Australijczyk wyglądał bardzo elegancko w nowej koszulce, zainspirowanej jego niedawnym odnalezieniem słynnej walizki.

Widziany w śródmieściu w towarzystwie właściciela sieci klubów nocnych, Rocky’ego Hoopera, Max odmówił komentarza. Tymczasem wiarygodne źródła donoszą, że Max Cole wkrótce ogłosi, gdzie ukryte są prochy Mala Evansa, czym zapewniłby sobie klucz do naszego miasta i zaskarbił naszą wdzięczność.

Później spędzam czas z George'em Harrisem i Elisabeth w tunelu Williama. Nasz gospodarz znów jest nieswój. Wydaje się zdenerwowany i zdołowany. Nie udało mi się jeszcze powiedzieć nikomu z towarzystwa, że Max ma dzieci i że nie mam ochoty, żeby mnie całował, ale w zasadzie nie przeszkadza mi perspektywa miłości na wieki z jego strony.

Już wiele dni nie odwiedzałam podziemnych korytarzy. Brakuje mi tych wizyt, ale wszystko wydaje się jakieś inne, jakby nie na miejscu. Chcę poruszyć ten temat, ale brak odpowiedniego nastroju. Chyba jestem na nich wszystkich zła. Gniewam się, bo potrzebuję, żeby poprawili mi humor, a żadne z nich nawet nie próbuje. Zamiast tego wszyscy zauważyliśmy, że William jest podminowany.

Pytam go więc:

– Co się stało, Williamie?

Nie odpowiada; zamiast tego stara się sprawiać wrażenie zajętego; zasiadłszy po turecku na podłodze, przegląda zawartość skrzynki z nowymi znaleziskami. Nie docierają do niego moje słowa. Chyba jest obrażony. Elisabeth i George Harris odwiedzali go beze mnie. Nie wiem, co przegapiłam. Patrzę pytająco na Elisabeth; wznosi oczy do nieba.

– Wolisz, żebyśmy sobie poszli? – dopytuję i nagle William wydaje z siebie rozdzierający dźwięk, ni to jęk, ni wycie.

Zakrywam uszy dłońmi. Patrzę na przyjaciół i widzę, że zrobili to samo.

– O co chodzi? – pytam, gdy wrzask ustaje.

Zsuwam się z krzesła i klękam na ziemi przy Williamie. Podłoga jest zimna i brudna. Przemykają mi przez myśl szczury.

– Zostawisz mnie – odzywa się William.

– Co takiego?

– Słyszałem, co mówił ten mężczyzna. Powiedział, że będziesz musiała się wynieść.

– Nie, nie dojdzie do tego – uspokaja Elisabeth, ale William nie podnosi wzroku znad swojej skrzynki skarbów.

– Ukrywałem się w ciągu dnia. W ciemnych zaułkach, zakamarkach. Nocą schodziłem pod ziemię – znienacka zmienia temat. – Wszędzie szukałem Mamy i Taty. Wróciłem tam, gdzie pamiętałem, że stał nasz dom. Nie byłem pewien, czy to właściwe miejsce. Wszystko wyglądało inaczej. Za dużo pyłu. Zbyt wiele zrównanych z ziemią budynków. Wciąż miałem ze sobą moją poobijaną taxi-resorówkę i cynowe żołnierzyki. Byłem ubrany odświętnie, urodzinowo. Krótkie spodniki, szare, i wełniany sweterek. Miałem też pasek. Mój ulubiony. Był rozciągliwy i miał klamerkę w kształcie literki S. Przypominała węża. Wszyscy chłopcy mieli takie paski. Ale mój był wyjątkowy. Dla mnie.

– Williamie – odzywa się Elisabeth, ale on wcale nie chce jej słuchać.

– Tam, gdzie kiedyś stał nasz dom, zobaczyłem pana Daviesa i sąsiada z ko-

lejnego domu, pana Petersa; nieśli ciało na skrzydle frontowych drzwi. Pan Davies mnie zauważył. Wydawało mi się, że dobrze się schowałem. Pan Davies był spostrzegawczy. Mówił, że pani Davies mnie szuka. Było mu przykro z powodu moich rodziców. Powiedział, że byli porządnymi ludźmi.

– Nie zostawię cię – szepczę.

Ale William nie słucha. Nie chce moich słów, jeszcze nie.

– Pan Davies powiedział do pana Petersa, że to nie miejsce dla dziecka. I że rodzice powinni mnie byli odesłać na wieś z innymi dziećmi. Znienawidziłem go za te słowa. Spytałem, czy szwabcy jeszcze się pojawiają. Pan Davies nazwał ich szkopskimi sukinsynami. Zapowiedział, że jeszcze wrócą.

– Pewnie bardzo się wystraszyłeś – mówi Elisabeth.

William kiwa głową.

– Nie rozumiałem, co pan Davies i drugi sąsiad mówią o Mamie i Tacie. Zresztą nie zatrzymali się na długo. Nieśli przecież martwego człowieka. Widziałem dłón. Wydało mi się, że się porusza. Wrzasnąłem i zbiegłem z powrotem pod ziemię.

– Och, Williamie – woła Elisabeth. – Musiałeś wystraszyć się na śmierć!

Dziwak znów potwierdza skinieniem głowy. Jego łzy kapią do skrzynki.

– Usłyszałem, jak jedna pani mówi o masywnych, nie, masowych grobach. Ale rodziny miały możliwość otrzymania odrębnego grobu, tylko dla swoich bliskich, jeśli kilkoro z nich zginęło. Po kilku dniach spędzonych w ciemnych zakamarkach zdałem sobie sprawę, że Mama i Tata zostali zabici przez szwabskie bomby. Byłem malutki. Nie umiałem zdobyć dla nich grobu, żeby pochowano ich jak rodzinę. Nie wiem, gdzie leżą. Ich ciała. Nie pożegnałem się. Ukryłem się i czekałem.

– Mogę ci pomóc – oferuję.

– Nie, nie sądzę – stwierdza William. – Wielu ciał nie odnaleziono nigdy. A jeśli ktoś długo się nie pojawiał, wyzna... uznawano go za zmarłego. Mnie uznano za zmarłego. Już nie istnieje. Chowałem się w tunelach, bo myślałem, że jeśli zaszła pomyłka, jeśli Mama i Tata jednak żyją, to tam będą mnie szukać. Nie w tych korytarzach, tylko tych pod naszym domem.

– Nikt nigdy się nie zjawiał? – pyta Elisabeth.

– Nie, wszyscy odeszli, wy też odejdziecie...

William wstaje i odbiega od nas, wlokąc za sobą lewą nogę. Ucieka w labirynt tuneli, swoją strefę bezpieczeństwa.

– Ale ja nigdy cię nie opuszczę – szepczę.

Szkoda, że mnie nie słyszy.

Nagle dobiega mnie jego krzyk:

– Max jest żonaty!

Podnoszę wzrok na Elisabeth i George'a Harrisa i napotykam wściekłe spoj-

rzenia.

– Rozwiedziony... – zaczynam.

Nadane do Marty Zguby przez Anonima, przekazane przez *Dumę i uprzedzenie* Jane Austen, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja droga Marto,

martwię się, czy nie odkryłaś dziś mojej tożsamości. Zdawało mi się tylko, czy rzeczywiście wypatrzyłaś mnie dziś pośród tłumu? Obawiam się, że Twój uroczy plakat przykuł mnie w miejscu; oderwanie wzroku od słów, które ułożyłaś w pytanie, było niemożliwością. Zdaje się, że podróżni musieli obchodzić mnie łukiem, chcąc dotrzeć do peronu szóstego. Patrzyłaś, drogie dziecko? Może już nie musisz pytać o moją tożsamość? A może Twoje pytanie wymaga głębszej odpowiedzi? Czy ktokolwiek z nas naprawdę wie, kim jest?

A jednak spytałaś. Nadal rozmyślam nad odpowiedzią. Kim jestem?

Czy żądasz mojego imienia i nazwiska? Czy naprawdę chcesz je poznać? Czy moja tożsamość odbierze wagę moim słowom? Czy twarz, głos lub imię w miejsce „Anonima” wpłynie w jakikolwiek sposób na fakty, które Ci przekazuję, moje dziecko? Dlaczego w pierwszej kolejności zmierzasz ku rozwiązaniu zagadki, zamiast zająć się zdobywaniem danych niezbędnych dla Twojego świata, zawodowego i osobistego? A co będzie, jeśli wyjawię Ci, kim jestem, a Ty przestaniesz się ze mną kontaktować? Czy nie stracisz wówczas domu, dochodu i zatrudnienia? Obawiam się, że nie rozważyłaś potencjalnych konsekwencji oczekiwanego odkrycia, moje dziecko.

A jednak postaram się nie zostawić Cię bez odpowiedzi. Moje dziecko, ważne, abyś wiedziała, że darzę Cię najszczerzym uwielbieniem, ale cierpię z powodu zagubienia; żywię też nadzieję, że pewnego dnia zawiąże się między nami przyjaźń. Nie mam wobec Ciebie żadnych złych zamiarów; właściwie jedynym moim celem na tym świecie jest zapewnienie Ci ochrony. Czy to wystarczy? Czy taka odpowiedź zadowoli Cię, przynajmniej na razie? Bo widzisz, Marto, jestem strażnikiem tajemnic, Flecistą Szczurołapem, jestem nie na miejscu. Kim jestem, Marto? Kim pragnę być? Obawiam się, że czasami nasze własne historie najtrudniej opowiedzieć.

Pewnego dnia, moje dziecko, usiądziemy razem, a ja opowiem Ci historię mojego życia. Obiecuję, nie zacznę od „dawno, dawno temu”. Moje życie rozpoczęło się w dniu naszego poznania, w dniu, kiedy po raz pierwszy rozgrzało mnie uczucie miłości.

Moja kochana Marto, Twoje dzisiejsze pytanie wstrząsnęło mną do głębi.

Wyjawienie Ci mojej tożsamości na tym etapie naszej korespondencji przeszkodziłoby Ci w zadaniu pilniejszych pytań. Twój czas niedługo się skończy, moje słodkie dziecko. Kiedy wreszcie spytasz o informacje, których mogę udzielić?

Oczekuję Twojego kolejnego pytania,

Anonim

Siedzę przy barze w kawiarni. Właśnie zjawił się George Harris. Przyciąga dla siebie stołek, rysując linoleum podłogi.

– Podnieś go, kolego! – denerwuje się Elisabeth.

Jego policzki robią się różowe, a ja kontynuuję moją opowieść.

– To nie tak, że nagle zrobiło się romantycznie – mówię.

Rzymianin stawia wysoki taboret obok mojego. Uśmiecha się, próbując złapać równowagę na siedzisku.

– Nawet nie dyskutowaliśmy jakoś żarliwie – kontynuuję. – To było dziś po południu. Robił mi herbatę u Matki w kuchni.

– Kto taki? – George Harris kładzie hełm na blacie.

– Max. – Elisabeth przewraca oczami.

– Analizowaliśmy informacje, które udało mu się zebrać. Siedziałam w salonie Matki. A mówiłam ci, że Elisabeth zdjęła krucyfiks? – pytam.

George Harris kiwa głową.

– Dałam go Jenny Jones z kiosku. Lubi krzyże, szczególnie duże. Durna starowinka, stwierdziła, że przyniesie jej szczęście – wtrąca przyjaciółka, jednocześnie nalewa legionście herbaty.

– Szczęściara Jenny Jones – mówi, a ona chichocze.

– Rozłożyliśmy jego notatki na podłodze i próbowaliśmy rozwikłać zagadkę – ciągnę. – Zawołał do mnie z kuchni, używając imienia swojej byłej żony.

– Jak żonka ma na imię? – pyta Elisabeth.

– Była żonka – wzdycham. – Angela.

– Jak zareagowałaś? Co zrobiłaś? – chce wiedzieć George Harris.

– Nic. Nie wiedziałam, czyje to imię, ale Max wpadł do salonu Matki, zupełnie zapominając o herbacie, i zaczął mnie gorąco przeproszać. Tak naprawdę nie miałam mu za złe; mnóstwo razy mylił mnie z Charlotte.

– Co za dupek – kwituje Elisabeth.

– Obiecałaś! – przypominam jej, na co znów wznosi oczy do nieba. – Wysłuchałam, co ma do powiedzenia. Usiadł przy mnie na kanapie Matki i opowiedział, jak się poznali. Uśmiechał się, kiedy ją wspominał.

– Nie przerwałaś mu? – dziwi się przyjaciółka.

– Pozwoliłam mu się wygadać. Ale kiedy skończył, niespodziewanie zmienił ton i warknął: „Coś ty taka oziębła? Ile mam jeszcze czekać, żebyś dała mi się zabawić?”

– Dałaś mu w gębę? – pyta George Harris, cały w wypiekach.

– Nie, położyłam palec na ustach.

– Dlaczego, laleczko? – nie rozumie Elisabeth.

Widzę, jak wzrusza ramionami, wymieniając spojrzenia z Rzymianinem.

– Chciałam, żeby już nic nie mówił – wyjaśniam, a przyjaciółka wybucha śmiechem. – Ale potem powiedział, że jeśli go Kocham, to pomogę mu znaleźć pro-

chy, tylko że...

Patrzę w osłupieniu, jak Elisabeth wypada z kawiarni na halę. Przenoszę wzrok na George'a Harrisa, ale ten zdążył się zerwać z miejsca i gna ku wyjściu, grzechocząc swoją rzymską zbroją.

Podbiegam do drzwi i staję w progu u jego boku. Odwracam głowę w prawo i widzę Elisabeth, stojącą naprzeciwko Maksa. Cole jest w towarzystwie Charlotte. Elisabeth jest czerwona na twarzy, zaciska pięści opuszczonych po bokach rąk. Wygląda, jakby szykowała się do ataku. Zatrzymała parę, która najwyraźniej zmierziała do wyjścia z dworca.

– Max, ty kompletny dupku! – dobiega mnie krzyk przyjaciółki. Nigdy dotąd nie słyszałam jej zewnętrznego głosu.

Wychodzę na halę. Patrzę. Max odwraca się, widzi mnie, idzie w moją stronę. Charlotte nie rusza się z miejsca. Obserwuje nas. Max podchodzi do mnie, całuje mnie w usta i odwraca się na pięcie. Żadnych planów, obietnic; ani słowa. Nie wiem, czy jeszcze go zobaczę, i nawet nie wiem, czy bym chciała.

– PRZYWALĘ MU! – wrzeszczy Elisabeth.

Patrzę w jej stronę i widzę, że George Harris trzyma ją, nie pozwala się wyrwać, ale moje spojrzenie wraca ku Maksowi. Minął szamoczącą się Elisabeth, dotarł do Charlotte. Odprowadzam ich wzrokiem do wyjścia. Trzymają się za ręce.

Pytanie zamieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który przykleiła na tablicy przy peronie szóstym:

Czy posiadam numer ubezpieczenia społecznego?

Droga Angelo,

stanąłem na początku. Nie na początku historii Mala, ten pozostaje osnuty tajemnicą, ani też nie na początku mojej opowieści, ta zamknięta jest w walizce, ale na początku HISTORII. Kawerna, nadal ona! Okres życia Mala przed Kawerną stanowi próżnię. Nie ma nic, tylko cień. Nie istniało nic solidnego, nic, co pozwoliłoby mi wniknąć Malowi pod skórę. Jakby był fikcyjną postacią ze stron powieści.

Czy Mal Evans w ogóle istniał?

Czasem się nad tym zastanawiam. Ale przecież musiał żyć. Rozmawiałem z ludźmi, którzy poznali go osobiście! Relacje z pierwszej ręki. Główne źródła! A jednak brak informacji jest frapujący. Jedyne faktom mogę zaufać. Tylko fakty się sprzedają.

A teraz do rzeczy. Co udało mi się odkryć?

Jak wiesz, namierzyłem dawne miejsce zatrudnienia Mala. Okazało się, że pracował na poczcie, ale o tym już Ci pisałem. Rozmawiałem z kilkoma facetami. Wszyscy go pamiętają, ale nikt tak naprawdę nie wie, czym Mal się zajmował. Każdy przedstawiał w zasadzie ten sam obraz – wielki, czuły miś.

Pamiętasz, pisałem Ci o gościu, który grywał z Malem w rzutki. Spotkałem się z nim po raz drugi. W sumie przez przypadek. Wpadłem do pubu na piwko i zastałem go w lokalu, siedział sobie, dumny jak paw, przy końcu baru. Postawiłem mu drinka, a on opowiedział mi nową historię. Przypomniała mu się po naszej poprzedniej pogawędce. Miał nadzieję, że jeszcze się pojawię. Zrządzenie losu! Nic innego!

Okazuje się, że Mal, kiedy się żenił, kupił dom. Staruszek, z którym rozmawiałem, miał półciągarówkę, więc pomagał Evansowi przewieźć kredens ze starej chałupy w to nowe miejsce. We dwóch dźwigali ją z ulicy do salonu. Ukochana Mala stała podparta pod boki, obserwując ich pracę w milczeniu. Gość zapamiętał nawet adres: Hillside Road w dzielnicy Mossley Hill.

Mój nowy znajomy od razu wyjawiał, że od tamtej chwili Mal zaczął mieć kłopoty z kasą i że już do końca się z nich nie wykaraskał. Cena hipoteki i rodziny, jak mniemam. Czy ma to jakieś znaczenie? Liverpool nie jest bogatym miastem. Nie sądzę, żeby ktokolwiek, może z wyjątkiem Rocky'ego, posiadał tu jakiegokolwiek znaczące pieniądze. Dobrzy, uczciwi ludzie, harujący cały tydzień, żeby sobotę spędzić

na meczu, a potem wieczór w pubie. Jeden z moich rozmówców żartował, że żyje od „sobotniego piwka i zagryzki” do kolejnej soboty. Czy właśnie taki był Mal? Nie wydaje mi się. Mam wrażenie, że był inny. Nachodzą mnie dziwne przeczucia. Może to szósty zmysł pisarza.

Tak czy inaczej, staruszek zaserwował mi jeszcze jedną ciekawostkę. Długo trzymał ją dla siebie. Już niemal machnąłem na niego ręką. Sam nie wiem, ile browarów mu postawiłem, aż wreszcie wyrzucił z siebie wszystko, jakby dusił to w sobie i dusił, aż wreszcie omal się nie udusił.

*– Wiem, kiedy po raz pierwszy spotkał Beatlesów – oznajmił znenacka, z wi-
szącym w kąciku ust papierosem. – To ważne?*

– Może – odpowiedziałem ostrożnie.

– Cóż, w sumie to nic wielkiego. Pewnego razu, we wtorek wieczorem, Wielki Mal zjawia się tu na tradycyjną rundkę rzutek, ale tej nocy zachowuje się inaczej. Cały aż kipi z emocji.

– Jak to?

– No bo okazało się, że w przerwie obiadowej wyskoczył na miasto. Lubił tak sobie wyskoczyć. Pospacerować. Nie pamiętam dlaczego. Tak czy inaczej, tego dnia powiedział mi, że zauważył wąską uliczkę, której nigdy wcześniej nie widział. Nazywała się Mathew Street. Teraz żadna z niej wąska uliczka, tylko centrum cholernego wszechświata. Ale w sześćdziesiątym pierwszym to było totalne zadupie. W każdym razie opowiedział mi, że wszedł w tę uliczkę i trafił na lokal, z którego płynęła muzyka. Klub. Kawerna, tak go nazwał. A teraz powiem ci o Malu coś ważnego.

– Co?

– Mal był zagorzałym fanem Elvisa, prawdziwym napaleńcem. Uwielbiał Presleya. Znał na pamięć wszystkie dialogi z Króla Kreola. Znasz Elvisa?

Pokiwałem głową. Czulem, że trafiłem na coś dużego. Pisarze mają chyba nosa do takich spraw.

– Więc Mal usłyszał muzykę. „Rockową”, tak powiedział. Zaintrygowała go, zapłacił szylinga i wszedł do środka. Wiesz, kto grał?

– Elvis? – strzeliłem.

Oczywiście znałem prawidłową odpowiedź, ale nie chciałem psuć ciekawej opowieści.

– Jaki Elvis? Po co Elvis miałby grać w jakimś podziemnym klubie w centrum Liverpoolu i to w środku dnia? Cholerni Beatlesi, ot, kto! Wtedy po raz pierwszy ich zobaczył.

Zaraz następnego ranka zapisałem tę informację na skrawku papieru. Wiedziałem, że okaże się ważna.

Ale zgodnie z tym, co zapowiadałem przed wyjazdem, chcę zrobić wszystko, jak należy. Pragnę wniknąć w umysł Mala i oto jestem – żyję sobie w rockandrollowym stylu. To nie tak, że ludzie tu nie wiedzą o Tobie i dzieciach, ale głównie interesują się mną i walizką. Wciąż im mnie mało, a znasz mnie – kompletnie nie umiem odmawiać.

Zresztą im częściej mówię „tak”, tym więcej odkrywam! Dopiero zeszłej nocy odkryłem, że istnieje związek między Malem Evansem a Elvisem. Tak, tak, wróciłem do tematu Elvisa! Czemu, do licha, nie znalazłem walizki należącej do Króla Rock and Rolla?

A więc podczas tournée po Ameryce w 1965 roku Malowi trafiła się okazja, by poznać swojego idola, ale uznał spotkanie za jeden z najgorszych rozczarowań w swoim życiu. Wielki Dzień przypadł na 27 sierpnia 1965 roku, w willi Elvisa pod numerem 565 przy Perugia Way w Bel Air, w Los Angeles.

Mal był podekscytowany perspektywą spotkania i zadbał o siebie. Daję głowę, że skakał z radości – rozumiesz, taka okazja! Poznać Króla! Oddał garnitur do pralni chemicznej, wybrał bielutką koszulę, włożył krawat.

Świta zjawiła się o dwudziestej trzeciej i została przyjęta przez Elvisa w jego okrągłym salonie. Zdaje się, że z początku gadka się nie kleiła, bo wreszcie Presley rzucił coś w stylu: „Jeśli zamierzacie tu siedzieć i gapić się na mnie całą noc, to idę spać”. W ten sposób lody zostały przełamane i wkrótce pojawiły się gitary. Wtedy Elvis spytał, czy ktoś ma piórko (czyli plektrum).

Paul powiedział wtedy: „Tak, Mal ma piórko. Zawsze ma jakieś przy sobie.

Wozí je ze sobą nawet na wakacje!” Evans rzucił się do marynarki, żeby przynieść piórko z kieszeni i wtedy okazało się, że wyjęto je w pralni! Skończyło się na tym, że Mal połamał kilka plastikowych łyżek, żeby zrobić piórko – nie miał innego wyjścia.

Wygląda na to, że ten wieczór był jednym z najcięższych w życiu Mala. W tamtej chwili o niczym bardziej nie marzył niż o wręczeniu piórka Elvisowi, a potem włożeniu go w ramki, kiedy Król pociągnie nim już po strunach gitary! Oczywiście na spotkaniu obowiązywał zakaz robienia zdjęć. Krążą jednak plotki, że powstało nagranie tamtej jam session. Gdyby to była prawda, czy Mal wiedziałby o istnieniu taśmy, a może nawet posiadał kopię? Byłaby bezcenna! Czy istnieje szansa, że skarb znajduje się w walizce?

Zależy mi, żebyś wiedziała, że cokolwiek tu robię, to nie jestem prawdziwy ja. Ludzie tutaj nie znają mnie, tak jak ty. Rozumiesz, prawda?

Love me do – kochaj mnie, o tak,

Max

Odzywa się dopiero po trzech dniach.

Opowiada mi, jaki był zajęty, i że przesypiał dni, a nocami spotykał się na imprezach z ludźmi. Przyznaje się, że brał narkotyki i pił alkohol, i że wszyscy wciąż tylko wzdychają och i ach nad zawartością walizki. Mówi, że wyszło na jaw, że kilka drobiazgów to pamiątki, reprodukcje, które Mal Evans kupował jako suweniry z podróży.

– Ale nie ma się czym martwić – uspokaja. Szybko wyrzuca z siebie słowa, które zlewają się w wartki potok. – Część z tych rzeczy to czyste złoto, słoneczko, bo Mal znajdował się w centrum wszystkiego. Po tym jednym występie w Nowym Jorku, nie pamiętam, gdzie dokładnie się odbył, gdzieś sobie zapisałem... – Jego głos dobiega do mnie jak zza ściany, jakby zakrył słuchawkę dłonią.

– Jesteś tam jeszcze? – pytam.

– Beatlesi wrócili do hotelu i palili marihuanę z Bobem Dylanem – opowiada. Chyba mnie nie słucha; mam wrażenie, że mówi do siebie. – I Mal tam był, słonko, jasne, że tam był, w centrum wszystkiego, tak jak ja teraz... I dowiedziałem się, że Paula McCartneya dopadła nagle ochota, żeby spisać własne myśli, bo poczuł się, słoneczko, jakby myślał po raz pierwszy w życiu. Zaczął więc męczyć Malą, żeby zdobył mu jakiś papier i ołówek. Evans oczywiście miał je przy sobie... – Max zawiesza głos. Może czeka na jakiś komentarz z mojej strony. Nie odzywam się. – Co za gość, pierwsza klasa, zawsze wszystko nosił przy sobie. Istnieje też szansa, że zachował te notatki, przemyślenia Paula na temat kosmosu. Mogę się założyć, że je zatrzymał. W głębi serca Mal był pisarzem, jak ja. Ale stracił na tym, że nie stawiał siebie na pierwszym miejscu. Wiesz, słonko, że Evansowi zawsze brakowało kasy? Jak leciał do Stanów, to utknął w klasie ekonomicznej, aż dotarło to do uszu zespołu...

– Czy Charlotte jest twoją dziewczyną? – wchodzę mu w słowo, a on się śmieje.

– Ta zdzira? – mówi, a ja aż się kulę, zażenowana.

– Myślałam...

– Nie myśl tyle. Jesteś moją jedyną ptaszynką.

Nie uśmiecham się.

– Wiele kobiet już kochałeś? – chcę wiedzieć.

Słyszę jego oddech w słuchawce.

– Nie, słonko, byłem szczęśliwie żonaty – oświadcza i znów wybucha śmiechem.

– No to odkąd przestałeś być żonaty – nie odpuszczam.

– Nie, głuptasie, jesteś moją pierwszą miłością, odkąd...

Źle słyhać. Słowa Maksa toną w dźwiękach głośniejszej muzyki. Ktoś krzyczy w tle, kobiety chichoczą.

– Max – dobiega mnie kobiecy głos.

Zdecydowanie zbyt długo przeciąga samogłoskę. Nie podoba mi się to.

– Kto to? – pytam.

– Nikt.

– Gdzie teraz jesteś?

– U Rocky’ego Hoopera. Możesz czuć radość, ale i pokusę. Nie dzwonię, żeby wysłuchiwać tych bzdur. Sądziłem, że szanujesz Mała. Widocznie myliłem się, zakładając, że będziesz zainteresowana.

– Przepraszam – bąkam.

– Co z tymi cholernymi prochami, słonko?

Patrzę na gołębie siedzące pod sufitem hali. Nagle sfruwają, przelatują tuż nad głową jakiegoś podróżnego. Człowiek piszczy. Parskam śmiechem. Wypatruję Budgiego, ale nigdzie go nie widzę.

– Co cię tak bawi? Masz tam tego Rzymianina? – pyta.

Zerkam na zegar; jeszcze nie czas na George’a Harrisa.

– Zaraz przyjedzie – mówię.

– Nie życzę sobie, żebyś z nim rozmawiała.

Znowu słyszę kobiecy chichot. Ponownie woła jego imię.

– Ale to mój...

Telefon zaczyna pikać, Cole przeklina:

– Cholera, nie mam drobnych. Znajdź mi te prochy, słonko, dobra? – rzuca i już go nie ma.

Elisabeth wchodzi w chwili, gdy odkładam słuchawkę. Zostawiłam dla niej otwarte drzwi. Staje przed ladą, po stronie dla klientów.

– Znów kłopoty w rajku? – zgaduje.

– Bycie z chłopakiem jest dość dziwne – stwierdzam.

– Hmm... – mruczy przyjaciółka. – W ogóle nie widzę w tym sensu, laleczko. Narażać się na złamane serce, kiedy odejdzie. Poza tym wiesz, że posuwa tę Charlotte.

– Wcale nie. Tak czy inaczej, ja żyję.

Elisabeth kiwa głową.

– Skup się na zdobyciu aktu urodzenia i...

– Piętnaście dni – przerywam jej. – Pracuję nad tym.

– Zachowujesz się samolubnie. Williama bardzo drażni cała ta sytuacja.

– Przecież nie chcę...

– Chciałabym tylko, żebyś zrozumiała, że nie wszystkie zguby są takie, jakimi się wydają. Życie nie musi być parszywe – mówi Elisabeth, po czym odwraca się na pięcie i zostawia mnie samą w biurze rzeczy znalezionych.

===LUIgTCVLI5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGIiTT1SMUs/XnAAbA===

Nadane przez Anonima, adresowane do Marty Zguby, przekazane w *Obcym w obcym kraju* Roberta A. Heinleina, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja droga Marto,

z faktu, że kontynuujesz ze mną korespondencję przez plakaty, wyciągam wniosek, że pozostajesz nieświadoma mojej tożsamości. Muszę wyznać, że jest to dla mnie zaskoczeniem. Dręczyła mnie obawa, że spostrzegłaś moją reakcję na poprzednie ogłoszenie, ale najwyraźniej było to z mojej strony błędne przekonanie.

Z każdym dniem upływającym od naszego ostatniego kontaktu narastał we mnie strach, że postanowiłaś nie tworzyć kolejnego plakatu. Ogromnie się cieszę z Twojego PYTANIA, które pojawiło się dzisiejszego ranka na tablicy, wyrażając przy tym nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Moje dziecko, oczywiście, że posiadasz numer ubezpieczenia społecznego. Został wydany przez Departament Zdrowia i Polityki Społecznej. Twoja karta z numerem została wysłana Matce. Mogę jedynie zgadywać, że od śmierci Matki nie przeszukiwałaś jej rzeczy, ponieważ takowe przeszukanie dostarczyłoby odpowiedzi na wiele pytań, których nie śmiesz nawet ubrać w słowa. Po dołożeniu przeze mnie starań wydano Ci na moje ręce tymczasowy numer – niech Ci służy, dopóki nie zbierzesz się na odwagę i nie przejrzyś rzeczy Matki. Oto numer: TN O5 02 60 F.

Władze były świadome, że Matka tak naprawdę Cię nie urodziła. Zostałaś zameldowana w mieszkaniu nad biurem rzeczy znalezionych. W dokumentach wpisano, że pozostajesz pod opieką ciotki i jesteś objęta programem edukacji domowej. Moje drogie dziecko, ani na chwilę nie przestawałaś istnieć, nigdy nie było powodu, byś się ukrywała. Prosty fakt jest taki, że Twoja biologiczna matka zawarła za pośrednictwem prawnika umowę z Matką. Tożsamość Twojej rodzonej matki nie została podana Matce z obawy, do czego ta mogłaby wykorzystać tak tajne dane.

Jednak w okolicy Twoich szóstych urodzin prawnik Twojej biologicznej matki odezwał się do Matki i od tamtej pory pozostawał z nią w comiesięcznym kontakcie. Dlatego właśnie numer ubezpieczenia społecznego został wysłany do Ciebie na adres biura rzeczy znalezionych z użyciem Twojego pełnego imienia i nazwiska. Nigdy nie zaintrygowało Cię, dlaczego Matka utrzymuje, że nie posiadasz nazwiska? Czy naprawdę wierzyłaś, że wszystkie znajdy są go pozbawione?

Zdaję sobie sprawę, że trauma porzucenia zaburza Twoje wspomnienia biologicznej matki, ale podam Ci informację, która stanowić może dodatkowy dowód na to, że rodzicielka od lat śledziła Twój rozwój. Moje drogie dziecko, odnoszę wrażenie, że być może docieramy właśnie do końca naszej korespondencji; być może już więcej nie pozwolisz mi się wypowiedzieć, więc czuję się w obowiązku donieść Ci, że każdego roku otrzymywałaś karteczkę urodzinową. Twoja biologiczna matka nigdy nie zapomniała dnia, w którym wydała Cię na ten ponury świat. Wysyłała też listy i kartki na Boże Narodzenie.

Pośród tajemnic Matki znajdziesz dokumenty urzędowe, które dostarczą kolejnych odpowiedzi, jeśli będziesz miała ochotę ich poszukiwać. Czy będziesz poszukiwaczką, Marto? Podejmiesz się wyzwania czy pozostaniesz zagubiona, moje drogie dziecko? Teraz, kiedy zdobyłaś już numer ubezpieczenia społecznego, pozostaje Ci jedynie spytać o akt urodzenia. Tak, Marto, czy nie nadszedł czas, byś poznała swoje nazwisko, tożsamość Twojej biologicznej matki, a nawet datę urodzenia?

Zegar tyka, czas upływa, droga Marto, Twój czas lada chwila się wyczerpie. Zadasz to pytanie? Zajrzysz w sekrety Matki? Obawiam się, że nie umiem przewidzieć Twojego następnego kroku, moje dziecko, ale bądź pewna, że pragnę Cię wspierać i towarzyszyć Ci w dalszej podróży.

Nie bój się mnie; nie chcę, by stała Ci się jakakolwiek krzywda. Oczekuję Twojego ostatniego pytania.

Anonim

Pytanie zamieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który przykleiła na tablicy przy peronie szóstym:

Czy posiadasz odpis mojego aktu urodzenia?

Wróciłam z miasta w samą porę, żeby dostrzec, jak George Harris i Elisabeth zmierzają do biura rzeczy znalezionych. Kiedy docieram do oszklonych drzwi, zdążyli już przekręcić klucz w zamku; widzę, że wejście do podziemnych pomieszczeń zostawili otwarte. Pewnie schodzą do biblioteki.

– Czekajcie na mnie! – wołam, tłukąc pięścią w szybę.

Kładę serce stacji Lime Street na ziemi i grzebię w przepastnej torbie w poszukiwaniu klucza. Jednak Elisabeth pojawia się z powrotem w biurze. Otwiera drzwi z uśmiechem.

– Witaj, nieznajoma – mówi. – Gdzie się podziewałaś cały dzień?

– Na Wirralu z Maksem – odpowiadam. – Chyba Kocham Mala Evansa.

Przyjaciółka wybucha śmiechem.

– Nie będę się z tobą kłócić w sprawie Mala, laleczko, ale bardzo bym chciała, żebyś odpuściła sobie tego Maksa. Jest... – zaczyna, ale sama się powstrzymuje. Wzdycha i posyła mi uśmiech. – Wiesz, laleczko, nasz Mal był nawet przez chwilę szefem Apple'a, ale go wywalili. Nie zdawali sobie sprawy, jaki mieli skarb. Opowiem ci więcej przy podwieczorku. Chodź, George Harris i William czekają.

Odkładam serce stacji Lime Street i torbę na blat, a potem szybko zbiegamy po krętych schodkach i ostrożnie przestępujemy wyrastające z betonowej posadzki stosy książek.

– Muszę koniecznie zorganizować jakieś nowe półki – rzucam, kiedy przemykamy przez otwarte drzwi.

Odkąd odkryłyśmy obecność Williama w tunelach, nigdy nie zamykamy przejścia. Jest zawsze mile widziany w moim domu. W zasadzie chyba można by uznać, że mieszkamy razem. Podoba mi się to.

Skrećmy za róg i trafiamy na George'a Harrisa i Williama stojących przy domku dla lalek, przy miniaturowej replice naszego fragmentu stacji Lime Street. George Harris pochyla się nad budynek; William coś mu pokazywał.

– Przeniosłem się tu, zanim zjawiła się Marta – opowiada.

– Zanim ja się zjawiłam? – pytam, więc obaj odwracają ku mnie głowy.

George Harris uśmiecha się promiennie.

– Cześć – odzywa się, a ja macham w odpowiedzi. Ma szczęśliwą minę. – Słyszałem, że zdobyłaś numer ubezpieczenia społecznego.

Przytakuję.

– Tak, przed Martą – mówi William, więc wszyscy patrzymy na niego. – Ktoś zaczął się budować w miejscu, gdzie kiedyś stał nasz dom. Do tuneli sypał się cement, całe masy cementu. Żeby zapełnić korytarze. Uciekłem. Wziąłem ze sobą, co tylko dałem radę unieść. Dwukrotnie wracałem po kolejne rzeczy. Za trzecim razem nie było już nic.

– Te wszystkie sprzęty pochodzą z domu twoich rodziców? – nie dowierza George Harris.

Rozglądam się po pomieszczeniu, po raz pierwszy zastanawiając się, jak mały chłopiec przytaszczył tu przedmioty o takich gabarytach.

– Całe wieki szukałem odpowiednich rzeczy. Żeby urządzić pokoje tak, jak kiedy Mama i Tata... – William urywa.

Nie płyną łzy, ale w jego głosie pojawia się nieomyślne drżenie. Elisabeth podchodzi do niego. Przytula go. Pewnie wstrzymuje oddech, kiedy go ściska.

– Williamie – odzywam się, a on wyswobadza się z uścisku i patrzy na mnie. – Uważam, że twój tunelowy dom to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

Na twarz Williama wyływa uśmiech – taki prawdziwy – a w jego błękitnych oczach tańczą wesołe iskierki. Elisabeth zdejmuje rękę z ramion dziwaka. Widzę, jak zaciska palce na jego dłoni. Dodaje mu sił.

– Musiałem wyjść na powierzchnię, kiedy wsypali ten cement. Zamieszkałem w bocznych uliczkach – mówi William.

– Jak znalazłeś te korytarze? – pyta George Harris.

Patrzę na niego i dostrzegam, że trzyma w ręce miniaturowego rzymskiego legionistę. Figurka jest maleńka w jego wielkiej dłoni. Uśmiecham się.

– Byłem na ulicy. Niedaleko hotelu North Western, w środku nocy – snuje opowieść William, przerywając moje myśli – i zatrzymał mnie policjant. Szedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku z moimi rzeczami. Schowałem moje wyjątkowe skarby w dziurze za stacją Lime Street. Dla bezpieczeństwa. Co noc zakradałem się tam, żeby upewnić się, że wszystko z nimi w porządku. Policjant położył mi rękę na piersi, żebym się zatrzymał. Wskazał pałką w głąb ulicy. Przez drogę biegły czarne szczury, całe chmary. Setki.

– Skąd się tam wzięły? – pytam z dreszczem obrzydzenia.

– Policjant powiedział mi, że uciekają z piwnic i tuneli. Podobno co noc odbywały tę samą wędrówkę. Zmierzały w okolice hali targowej St. John's Market, by najeść się do syta ze świeżej dostawy produktów – wyjaśnia William.

– Targ był wtedy wspaniałym miejscem – uzupełnia Elisabeth. – Skończyły się czasy racjonowania żywności. Można było dostać wszystko, czego dusza zapragnie.

– Nie miałem żadnych pieniędzy – kontynuuje nasz dziwak. – Jadłem skrawki i odpadki, wszystko, co dało się znaleźć za darmo. Policjant nie pytał, ile mam lat ani co robię na ulicy pośrodku nocy. Kiedy się oddalił, wszedłem do hotelu North Western. Po cichutku, pod osłoną mroku. Wszedłem do piwnic, gdzie odkryłem przejście do tych korytarzy.

– I co dalej? – pyta George Harris.

– Już tu zostałem – odpowiada William.

– A szczury? – nie mogę się otrząsnąć. – Widziałeś tu kiedyś Diabła?

– Diabła? – Rzymianin wydaje się zbity z tropu.

– Matka – wyjaśnia krótko Elisabeth, przewracając oczami.

– Czarne szczury to koszmar. Nieraz włączałem światło i zastawałem w łóżku chmarę obrzydliwców. Wystarczyło jednak, że zamrugałem oczami i znikwały. Myślałem, że może są... że może tracę rozum – opowiada William.

– W mojej bibliotece odprawiają te same praktyki – mówię.

– Rozmawiałaś z nimi? – pyta William; kręcę głową przecząco. – Razem zamieszkujemy te tunele. Zawarliśmy układ. Nie dokuczają mi, a ja nie próbuję łapać ich w klatki i topić w rzece Mersey. Inni ludzie tak właśnie robili, szczególnie ci od Lewisa. Pakowali samice gryzoni do klatek, żeby przechytrzyć samce i zwabić je w pułapkę. Panowie szczury dawali się nabrać. Włazili do środka, żeby być blisko swoich pań, a potem ci ludzie od Lewisa oddawali klatki jednemu mężczyźnie. Płacili mu, a on obiecywał, że utopi zwierzęta. Ale nie robił tego. Widziałem, jak wypuszcza je na wolność. Do jednego z tuneli. Gnały, pędziły, uciekając od niebezpieczeństwa. Aż do następnej nocy, kiedy wracały do Lewisa po odpadki. I znowu wpadały w pułapkę – opowiada William.

– Do niektórych nic nie dociera – odzywa się Elisabeth.

Patrzy wprost na mnie. Wzruszam ramionami i wznoszę oczy do nieba.

– Szczury musiały się sporo nauczyć. A ja uczyłem się od nich. Podpatrzyłem, jak czaić się w ciemności, nieruchomo, a potem w okamgnieniu przenieść się w inne miejsce.

Droga Angelo,

dziś rozpościerał się nade mną czysty, olśniewający błękit nieba, gdzieś gdzie tylko przelamany białym obłokiem; a jednak był to chyba najsmutniejszy dzień w moim życiu.

Po południu wybraliśmy się znowu za miasto, kierując się w stronę Południowego Liverpoolu. Tak konkretnie, to chcieliśmy dotrzeć do Menlove Avenue, miejsca śmierci matki Johna Lennona. John miał zaledwie siedemnaście lat, kiedy zginęła. W zasadzie wychowywali go ciotka i wujek, ale kiedy John zaczął dorastać, chciał być bliżej matki. „Odkrył ją na nowo” i budował emocjonalne mosty.

Menlove Avenue to dziwna ulica; tu mówią na to „dwupasmówka”. Po obu jej stronach stoją domy, wiele z nich ma czerwone dachy i czarno-białe fasady. Pasy trawy upstrzone mizernymi drzewkami na środku drogi dzielą ulicę na dwie jezdnie.

W środę, 15 lipca 1958 roku, matka Johna stała przy drodze pogrążona w rozmowie ze swoją siostrą. Wreszcie się pożegnały. Przeszła przed jezdnię i dotarła do pasa zieleni. Odczekała chwilę i ruszyła dalej. Wpadła pod samochód prowadzony przez policjanta po służbie. Zmarła w drodze do szpitala.

Długo staliśmy na skraju drogi, wpatrzeni dokładnie w miejsce, gdzie zginęła. Łkałem jak dziecko. Przechodnie gapili się na mnie jak na wariata, ale miałem to gdzieś. Nie płakałem nawet nad Johnem i jego matką. Potem, w drodze do domu, sam siebie przekonywałem, że lałem łzy za Malą, ale to nieprawda; płakałem nad sobą, Tobą, naszymi dziećmi. Płakałem na myśl o tym, co było i jest stracone.

Wybacz mi, Angelo, błagam, bo cholernie żałuję. Chyba Liverpool wydobyl ze mnie wszystko, co najgorsze, i nie jestem dumny ze swojego zachowania, ale wszystko się zmieni. Wierzę, że od teraz nasze życie stanie się niewiarygodnie wspaniałe. Będziemy bogaci, szczęśliwi i sławni, tylko Ty, dzieciaki i ja. Znajdę sposób, żeby Was tu ściągnąć i wtedy już wszystko będzie dobrze. Zawsze sprowadzasz mnie z powrotem na dobrą drogę.

Co ja bym bez Ciebie zrobił, Angelo?

Love me do – kochaj mnie, o tak,

Max

Powinnam dziś pracować, ale zamiast tego zmierzam do hotelu Adelphi; Max jest umówiony z dziennikarką na rozmowę na temat znalezionej walizki. Będą omawiać kwestię kolejnych kilku zbadanych przedmiotów, które nie okazały się autentyczne. Max uważa, że i tak mają sporą wartość, bo stanowią pamiątki z podróży Evansa. Twierdzi, że Mal zjeździł z Beatlesami cały świat. Odwiedzili Holandię, Stany Zjednoczone, a nawet Filipiny (choć akurat ta wycieczka nie poszła zgodnie z planem – zespół podpadł prezydentowi kraju, a uzbrojone straże zaatakowały Malą).

Elisabeth sama zaoferowała, że zastąpi mnie w biurze; poprosiła Jenny Jones z kiosku, żeby zajęła się kawiarnią. Stwierdziłam, że przyjemnie będzie towarzyszyć Maksowi podczas wywiadu. Pomyślałam, że zrobię mu miłą niespodziankę.

Wiruję sobie do Adelphi, ściskając w obu dłoniach serce stacji Lime Street. Hotel nadal robi na mnie ogromne wrażenie, tętni życiem, wszędzie huk przyjeżdżających i wyjeżdżających. Zerkam na recepcję. Za kontuarem stoi Charlotte. Wiruję do niej.

– Cześć, Charlotte – witam ją.

– Cześć, Marto Zgubo.

Nie lubię jej. Lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Mogę ci w czymś pomóc? – pyta.

– Wpadnę tylko do Maksa...

– Pan Cole obecnie jest na spotkaniu z reporterką w swoim apartamencie i nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano – oznajmia recepcjonistka.

– Rozumiem, ale z łaski swojej zadzwoń na górę i przekaz mu, że przyszłam.

Charlotte cmoka z niezadowoleniem. Podnosi słuchawkę, wybiera numer do pokoju Maksa i odwraca się do mnie plecami. Pochyliłam się przez ladę, nie wypuszczając z dłoni serca stacji Lime Street, a dziewczyna odchodzi o dwa kroki od swojego stanowiska. Dobiega mnie jej chichot. Już słyszałam ten śmiech, kiedy Max do mnie telefonował. Charlotte zakrywa słuchawkę dłonią i zwraca się do mnie.

– Max mówi – zaczyna, a ja zauważam, że zgubiła gdzieś „pana Cole’a” – że całe przedpołudnie ma zajęte i że zadzwoni do biura rzeczy znalezionych przed zamknięciem.

– Możesz mu przekazać, że Elisabeth specjalnie mnie zastąpiła i że mogę z nim zostać...

Znów ustawia się do mnie tyłem. Przykłada słuchawkę do ucha, zdejmuje dłoń z mikrofonu i coś mówi, po czym ponownie odwraca się do mnie.

– Bardzo mu przykro, ale twoje towarzystwo jest mu w tej chwili zbędne. – Chichocze jeszcze, po czym się rozłącza.

Nie mogę się ruszyć z miejsca.

– Coś jeszcze byś chciała? – pyta Charlotte. – Nie martw się, kochana, Max

czuł się świetnie, kiedy wychodziłam od niego rano.

– Nazwał cię zdzirą – wypluwam z siebie i dopadam drzwi obrotowych, przyciskając do piersi serce stacji Lime Street.

Wykonuję wraz z drzwiami trzy pełne obroty, po czym wypadam na zewnątrz, na szczyt prowadzących na ulicę schodów.

Patrzę przez ruchliwą ulicę; ludzie tłumnie wchodzą do domu towarowego Lewisa. Żałuję, że nie jestem odważniejsza. Przyglądam się rzeźbie. Matka zawsze na nią psioczyła. Elisabeth tłumaczyła mi, że statua miała symbolizować odrodzenie Liverpoolu po spustoszeniu dokonanych przez bombardowania. Pomnik przedstawia nagiego mężczyznę, zwanego przez tubylców Dickiem Lewisem. Góruje nad Ranelagh Place i jest związany z domem towarowym Lewisa. Czytałam książkę, w której opisywano, że postać stała kiedyś na statku, z wyzywającą miną i dumnie wypiętą piersią. Matka jęczała, że figura zatruwa umysł każdego, kto na nią spojrzy. Podnoszę wzrok na Dickiego Lewisa. Poprawiam serce stacji Lime Street, przytrzymując je lewym cyckiem i lewym łokciem i salutuję mosiężnemu członkowi golasa. W tej chwili postanawiam zakraść się do pokoju Maksa.

Wracam do drzwi obrotowych i wkręcam się z powrotem do hotelowego holu. Nie zaszczycam spojrzeniem recepcji. Zamiast tego z wysoko podniesioną głową idę szybko w kierunku schodów. Usiłuję sprawiać wrażenie pewnej siebie i zdecydowanej pośród tłumu gości i panującego wokół zamieszania. Udaję, że jestem jak najbardziej na miejscu. Nikt nie wykrzykuje mojego imienia, nikt nie próbuje mnie zatrzymać, więc pędzę na górę po dwa stopnie, aż na trzecie piętro.

Zatrzymuję się przed pokojem Maksa. Dysząc ciężko, stoję zgięta w pół, przyciskając serce stacji Lime Street do brzucha. Dobiegają mnie męskie głosy, więc prostuję się gwałtownie, przykładam ucho do drzwi i nasłuchuję.

– To co mogę dla ciebie zrobić, Rocky, przyjacielu? – To głos Maksa.

– Słuchaj, chłopie, przeliczyłem fundusze, a jeden z moich pracowników przejrzał loty. Zdaje się, że moglibyśmy ich tu ściągnąć w ciągu tygodnia. – To pewnie Rocky Hooper. Ma głos suchy jak wióry.

– To cudnie! Jesteś pewien, Rocky? Nie chcę, żebyś dokładał z własnej kieszeni.

– Daj spokój. Już ci mówiłem, potraktuj to jak pożyczkę. Zaraz sam będziesz opływał w kasę, to oddasz.

– Równy z ciebie gość, Rocky. – W głosie Maksa słychać radość.

Podpieram serce stacji Lime Street na nodze i unoszę rękę, by zapukać, ale jeszcze się waham.

– Naprawdę powinna być częścią tego wszystkiego.

Powinna? Ona? Ach, córka Maksa przybywa do Liverpoolu! Kipię z radości na myśl o tym, że ją poznam i oprowadzę po mieście. Może zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami, choć pewnie w końcu będę jej macochą, a dosłownie każda zna-

na mi książka, w której występuje macocha, przedstawia ją w złym świetle.

– Zgadza się. To mnie zmotywuje, żeby już więcej nie zbaczać z drogi.

– Z tego, co słyszałem, masz się aż nazbyt dobrze i niezłe sobie dogadzasz.

Tylko szkoda, że ta Charlotte z tobą zaszła.

Zastanawiam się, czy to znaczy, że się na niego gniewa. Mam nadzieję, że nie nawrzeszczała na Maksa o to, że jestem jego dziewczyną.

– Stary, myślisz, że się nie wygada?

– Załatwię to. Możesz mi zaufać.

– Na śmierć i życie, przyjacielu. Ufam ci jak nikomu innemu...

Głosy zbliżają się z każdym słowem. Odwracam się, trzymając mocno serce stacji Lime Street, i rzucam się ku schodom. Słyszę szcęk otwieranych drzwi, ale nie oglądam się za siebie.

Oczywiście w kilka minut jestem już w biurze rzeczy znalezionych, szczególnie że wiruję całutką drogę. Staję w otwartych na oścież drzwiach zgięta w pół, z trudem łapiąc powietrze; odkładam serce stacji Lime Street na ziemię.

– Co tak szybko, laleczko? – dziwi się Elisabeth. Siedzi na moim taborecie za ladą.

– Nie chciał mnie przyjąć – mówię, po czym dorzucam: – Ta Charlotte to niezła jędza.

– To dlatego że Maks ją bzyka. Wiesz, co to znaczy, prawda?

Kiwam głową, ale po chwili pytam:

– Skąd ta pewność?

– Jej ciotka jest sąsiadką Jenny Jones. Pannica wygaduje, że jest w odmiennym stanie.

– Nie będę płakać. Zdaje się, że nazwałam Charlotte zdziwą.

Elisabeth chichocze i proponuje, żebyśmy poszły do niej na kawałek ciasta.

Dzwoni telefon. Podrywam się i pędzę odebrać.

– *Bonjour*. Tu Marta Zguba, biuro rzeczy znalezionych, czym mogę służyć?

– Dobry – słyszę jego głos.

– Coś mi się wydaje, że ściągnęłam cię czarami. Tyle o tobie mówię, że wreszcie jesteś zmuszony podnieść słuchawkę i wybrać mój numer.

– Zawsze mam ochotę na rozmowę z tobą, serduszko – zapewnia aksamitnie.

– Myślałeś o mnie?

– Bez przerwy. Zawsze o tobie myślę, kiedy rozmawiam z kimś o prochach Mała – mówi. – Charlotte twierdzi, że byłaś zdenerwowana. Ale widzisz, słonko, po prostu nie chciałem, żeby dziennikarka wypytywała o ciebie. Chroniłem cię. Bałem się, że weźmie cię za moją byłą żonę, a wtedy musiałybyś być tylko koleżanką, znajomą, no, nikiem.

– Czy Charlotte jest w ciąży? – pytam prosto z mostu.

Max milczy. Słyszę, jak wzdycha.

- Max?
- Gdybyś tu była, kiedy reporterka przeprowadzała ze mną wywiad, od razu by wyczuła, jak bardzo cię pragnę.
- Chyba wiem, gdzie są prochy.
- Ty moja ślicznotko! – woła. – Wszystko mi opowiedz...

Kolumna „O mieście” w „Liverpool Daily Post”

SREBRNA OBRĄCZKA MAXWELLA!

Po mieście rozniosła się wieść, że droga wiodąca Maksa Cole’a do oczekiwanego bogactwa może nie być tak prosta, jak się z początku zdawało! Moje źródła donoszą, że co najmniej dziesięć raportów dotyczących autentyczności przedmiotów ze słynnej walizki wróciło z wielkim tłustym minusem.

Ale nie traćmy jeszcze wiary w walizkę. Malowi Evansowi przypisuje się przecież grę na harmonijce basowej w utworze *Being for the Benefit of Mr. Kite!*, na kowadle przy nagrywaniu *Maxwell’s Silver Hammer* oraz na tamburynie przy pracy nad piosenką *Dear Prudence*, gdzie podobno również klaskał do taktu i był członkiem chórków – śmiało można więc uznać, że mógł być w posiadaniu oryginalnych taśm. Bez obaw więc, miłośnicy Beatlesów, nie gaśnie nadzieja na zdobycie arcyważnych nagrań.

Wasza reporterka była wniebowzięta, otrzymawszy zaproszenie do apartamentu naszego hotelu Adelphi, gdzie Rocky Hooper i Max Cole nie szczędzili swojego cennego czasu oraz ciastek z bitą śmietaną. Pan Cole sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Popijając szampana i zajadając się słodyczami, Max Cole nie zdradzał najłżejszych przejawów zdenerwowania perspektywą odkrycia, że włożył wszystko, co ma, w ujawnienie falsyfikatu. Tłumiąc w zarodku plotkę, że w Liverpoolu znalazł miłość, Max Cole, trzydziestoczteroletni ojciec dwójki dzieci, zapewnił bez wahania, że od piętnastu lat jest szczęśliwie żonaty. Uciszcie bijące dziko serca, miłe panie, ten ptaszek jest już w klatce, co pozostawia Rocky’emu Hooperowi status najlepszej partii w mieście. W dodatku spieszę donieść, że kawaler szuka miłości. Pamiętajcie, że po raz pierwszy wyczytaliście to u mnie!

Bohater chwili, Max Cole, niechętnie odpowiadał na pytania dotyczące informacji zwrotnej, jaką otrzymał w sprawie archiwum Mala Evansa, ale według doniesień nieoficjalnych źródeł kompletne wyniki powinny zostać ujawnione w ciągu najbliższych tygodni. Miasto, gotowe do świętowania, już trzyma szampana w lodzie.

Oczywiście poprosiłam Cole’a o wyłączność, na co zadziorny Australijczyk puścił do mnie oczko, od którego ugięły się pode mną kolana. Wyznam wam, drogie panie, że pani Cole to nie lada szczęściara.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGLiTT1SMUs/XnAAbA==

Do biura rzeczy znalezionych wkracza Elisabeth; w progu, za jej plecami, czai się Jenny Jones. Kioskarka jest jak zwykle mała i pulchna, ale dziś dodatkowo sprawia wrażenie pomarańczowej. Wygląda jakby przybyła wprost z Lumpalandii.

– Dzień dobry, Jenny Jones – witam ją.

– No dobra, królowo – odpowiada.

Jenny Jones nigdy nie wpada z wizytą do biura rzeczy znalezionych, więc trochę mnie dziwi jej obecność.

– Zgubiłaś coś, Jenny Jones? – pytam.

Kobieta przecząco kręci głową. Elisabeth podsuwa mi dzisiejsze wydanie dziennika „Daily Post”.

– Strona dziewiąta – mówi z powagą.

Przewracam kartki. Od razu wiem, gdzie się zatrzymać, bo wyglądają na mnie rozpromienione twarze Maksa i Rocky’ego Hoopera. Przesuwam palcami po uśmiechniętych ustach Australijczyka i też się uśmiecham.

– Serio, laleczko – odzywa się Elisabeth. – Weź się w garść i przeczytaj artykuł.

Czytam słowa – w zasadzie przebiegam po nich wzrokiem – i zamieram.

– Nawet nie lubi ciasta – prychem. – Po co dziennikarze wymyślają takie bzdury?

Elisabeth kręci głową, Jenny Jones sprawia wrażenie poirytowanej.

– Marto! – krzyczy kioskarka z otwartych drzwi – Ten dupek jest żonaty!

Spoglądam na nią. Nie rozumiem, o czym mówi, więc jeszcze raz czytam kolumnę, po czym potrząsam głową.

– To jakaś pomyłka – stwierdzam. – Owszem, ma dzieci, ale jest rozwiedziony. Poza tym ma trzydzieści siedem lat.

– Im wcześniej stąd wyjedzie, tym lepiej – oznajmia Elisabeth.

– Biedna Charlotte jest załamana – dodaje Jenny Jones.

– Nie jest zbyt sympatyczną osobą – mówię.

– Ma złamane serce – broni jej kioskarka. – Ten kutas dowiedział się, że dziewczyna jest w ciąży i nagle nie chce jej znać.

Już nie wiem, w co wierzyć. Lubię Jenny Jones – sprzedaje czekoladę – ale to znana plotkara. Sama nie wiem, co sądzić o Maksie. Kocham Elisabeth, pragnę, by była szczęśliwa.

– „Zaszła” znaczy to samo, co „jest w odmiennym stanie”?

Elisabeth potwierdza skinieniem głowy. Przykre uczucie rodzi mi się w brzuchu. Choć pewnie nie tak przykre, jak to, które rodzi się w Charlotte.

– Co zamierzasz? – chce wiedzieć Elisabeth.

I nagle wszystko staje się jasne.

– Dotrzymam danego słowa, a potem się pożegnamy – mówię. – Zależy mi, żeby Mal Evans trafił do domu.

- Ale, lalczko, musisz się zatroszczyć o siebie.
- Napisałam do Zarządu, podając im mój numer ubezpieczenia społecznego.

Brakuje tylko aktu urodzenia.

Elisabeth posyła mi uśmiech. Wyciągam z kieszeni karteluszek.

- Zostało mi jedenaście dni.

Nadane przez Anonima, adresowane do Marty Zguby, przekazane w *Kobiecie do zjedzenia* Margaret Atwood, dostarczone przez listonosza Draka do biura rzeczy znalezionych.

Moja droga Marto,

wreszcie zadałaś pytanie, które położy kres tej formie naszej komunikacji. Obawiam się, że po raz ostatni sięgam po pióro, żeby ulżyć Ci w udręce i osuszyć Twoje łzy. Lękam się, że ta książka jest ostatnią, którą Ci wysyłam.

Odpowiedź na Twoje pytanie nie jest trudna, moje drogie dziecko. Muszę wyznać, że nie mam odpisu Twojego aktu urodzenia, a to z prostej przyczyny, że jestem w posiadaniu oryginału. Moje drogie dziecko, czy naprawdę nie odkryłaś jeszcze mojej tożsamości? Czy nadal poszukujesz informacji, kim jestem?

Jestem Twoją biologiczną matką, Marto. Dostarczę Ci Twój akt urodzenia, wręcę Ci go osobiście i jeśli tylko będziesz chciała, odpowiem na wszystkie pytania, które cisną Ci się na usta. Jeśli nie będziesz miała mi nic do powiedzenia, drogie dziecko, odejdę z Twojego życia i zostawię Cię w spokoju.

Wiedz jednak, Marto, że możliwość komunikowania się z Tobą przez te ostatnie kilka tygodni nappełniła moje serce pragnieniem. Przez szesnaście lat żyłam z poczuciem żalu i straty. Zakończenie tej historii leży w Twoich rękach.

Wciąż-Anonim

Dzwoni telefon. Kusi mnie, żeby nie odbierać, niech sobie dzwoni. Jest za pięć trzynasta, czekam, aż przyjdzie Max. Jeszcze nie zdecydowałam, czy w kwestii żony wierzę jemu, czy gazecie „Daily Post”. Elisabeth upiera się, że „Post” nigdy nie kłamie; obiecałam jej też, że pożegniam się z Australijczykiem, ale pożegnania to dla mnie najgorsza rzecz na świecie.

– *Bonjour*, biuro rzeczy znalezionych, tu Marta Zguba, proszę wziąć pod uwagę, że za pięć minut zamykamy...

– To ja – odzywa się Maks.

– Witaj, ja.

– Przepraszam.

– Za co?

– Wyjeżdżam, słoneczko.

– A twoja córka? – pytam, mam ochotę dodać: „I Charlotte”, ale gryzę się w język, bo na samą myśl o niej znów nieprzyjemnie ściska mnie w żołądku.

– Moja córka?

Max nie rozumie, a ja przypominam sobie, jak zdobyłam tę informację. W zasadzie nie wiem nawet, czy przyjazd dziewczyny rzeczywiście został zorganizowany, a nie mogę się przyznać przed Maksem, że podsłuchiwałam jego rozmowę z Rockym.

Zmieniam więc temat.

– Dokąd?

– Nad Jeziora – odpowiada Max. – Ruszam dziś popołudniu. Nagle się okazało, że mam tam krewniaka; wieki temu urwał nam się kontakt...

– Zabierzesz mnie? Nigdy nie byłam nad Jeziorami, a słyszałam...

– Nie – ucina.

Milknę. Czekam, aż poda jakiś powód.

– W życiu nie byłam na wakacjach – mówię.

– Szkoda. Może następnym razem.

– Długo cię nie będzie?

– Dziesięć dni. Znalazłaś wreszcie te prochy? – Zawiesza głos. – Zostało mi parę tygodni pobytu w Liverpoolu. Jeśli nie odnajdę prochów, mój świat się zawali. Włożyłem w to przedsięwzięcie wszystko, co miałem, co do grosza. Musiałem nawet... – wzdycha, po czym kontynuuje: – Słuchaj, mówię serio. To nie żarty, serduszek, nie mogę postawić wszystkiego na jedną kartę. Pozaciągałem u ludzi długi...

Milczę.

– Marta? – woła w słuchawkę. – Halo? HALO?

Nie jestem pewna, czy dam radę zapanować nad drżeniem głosu, a Max myśli pewnie, że połączenie zostało przerwane. Telefon pika, ale on nie dorzuca monet. Nie odkładam słuchawki na widelki. Zamiast tego owijam kabel wokół palca

z gorącą nadzieją, że Max jeszcze wróci, że się odezwie. Kapie mi z nosa, po policzkach spływają łzy.

– Marta?

Nie odwracam się; wiem, że za mną stoi Elisabeth. Nie mam złudzeń co do jej opinii na temat Maksa, a ostatnie, czego mi teraz trzeba, to: „A nie mówiłam?”.

– Co się stało, laleczko?

Zastanawiam się, czy znudzi się, jeśli nie odpowiem; czy da za wygraną i zostawi mnie samą.

Nie robi tego. Stoi obok, wpatrzona we mnie. Wreszcie spoglądam na nią, wciąż ściskając słuchawkę w dłoni.

– Max? – zgaduje przyjaciółka.

Kiwam głową.

– Wyjeżdża na dziesięć dni. Nie ma ochoty na moje towarzystwo – mówię.

– Jego strata. O wiele rzadziej się uśmiechasz, odkąd wkroczył na scenę. – Zawiesza głos. – Odzywał się do ciebie William?

Kręcę przecząco głową, a wtedy Elisabeth wypowiada jedyne słowa na świecie, które mogą ukoić moje serce.

– Twierdzi, że znalazł prochy.

Elisabeth musi wrócić do kawiarni, żeby obsłużyć tłum, który zawsze zwala się w porze lunchu, ale ja nie mogę usiedzieć w miejscu. Zamykam biuro. Schodzę do biblioteki i wkraczam w tunele Williama.

Zastaję go przy domku dla lalek.

– Znalazłeś je? – pytam. Jestem zbyt podekscytowana na „dzień dobry”.

William się odwraca. Rozciąga usta w uśmiechu. Nie przeszkadza mi nawet jego kwaśny zapach.

– Tędy – mówi, po czym jego sztyblety ruszają z miejsca, kłapiąc z powrotem do biblioteki książek znalezionych.

William wspina się po krętych stopniach, ja biegnę tuż za nim. Dziś żadnej z nóg nie wlecze za sobą. U szczytu schodów wybiera pierwsze piwniczne pomieszczenie, to, w którym czarne plastikowe worki czekają, by ktoś zawiózł ich wartość na aukcję. Dziwak staje przed drzwiami. Chyba czeka na pozwolenie, by wejść do środka.

– Jasne. – Kiwam głową.

Wtedy William przekręca gałkę, pstryka światło i schodzi po siedmiu stopniach do pokoju. Ja zatrzymuję się w progu i oczekuję chwilę, gwiżdżąc. Nachodzi mnie myśl o szczurach. Zaczynam się wahać, czy William istotnie wie, gdzie szukać. Przed moimi oczami roztacza się widok morza czarnych worów na śmieci, piętrzących się w całym pomieszczeniu.

William to pojawia się, to znika. Skrupulatnie przejrzałam wszystkie wpisy

wprowadzane w książce od stycznia, a także wszelkie rejestry, ale nie trafiłam na żaden ślad zaginionej urny z prochami. Były prochy w pudełku Tupperware oraz w plastikowej torebce, ale oba przedmioty odebrali właściciele. Urny nie zgłaszał nikt.

– Uważasz, że tutaj są? – wołam. Brak odpowiedzi. – *Bonjour, Williamie?* – próbuję ponownie.

Nadal milczy. Nie mam wyjścia; muszę sama zejść do piwnicznego pokoju.

Jestem na trzecim stopniu od góry, kiedy go dostrzegam. Stoi na czarnym worku na śmieci, wokół niego więcej czarnych worków. Prawą rękę podnosi nad głowę. Wiodę wzrokiem ku jego szarej od brudu dłoni i zamieram. Jest. Urna.

– To jest to? – pytam; William kiwa głową. – Na sto procent?

Znów skinienie.

– Ukoją serca – mówi William spokojnym głosem.

Schodzę na sam dół, przesuwam stopą czarne worki. Znalazca podchodzi do mnie i podaje mi skrawek brązowego papieru do pakowania. Odczytuję nazwisko EVANS, widniejące poniżej pieczętki amerykańskiej poczty.

– Ale jak? Skąd? – pytam.

– W walizce – mówi, wskazując na usypany z plastikowych worów kopiec.

Nie mogę przestać patrzeć na urnę. Niewiarygodne, że była tu cały ten czas, zagubiona pod biurami rzeczy znalezionych. William musiał poświęcić poszukiwaniom wiele, wiele godzin. Najwyraźniej przyjął sobie odnalezienie prochów za punkt honoru.

– Mogę potrzymać? – proszę.

William znów kiwa głową i podaje mi skarb. W chwili gdy moje palce dotykają urny, widzę mężczyznę, który wyciąga po nią rękę. Słyszę słowa: „Odeślij Mała do domu”; czuję głębię bólu tego człowieka.

Otrząsam się jednak z wizji. Piszczę z radości i wykonuję w miejscu pokazywany *mashed potato*. William śmieje się w głos. Chciałabym, żeby porwał mnie w ramiona i zawirował mną tak jak ludzie, którzy witają się na peronach.

– Muszę powiedzieć... – zaczynam, ale nagle przypominam sobie, że przecież wyjechał.

– Powiedzieć Elisabeth? – dopowiada William.

Uśmiecham się; tak, ma rację.

– Chodź ze mną, Williamie. Zapraszam cię na filiżankę herbaty i porcję ciasta.

Ale William kręci głową. Nie, nie uznaje miejsc publicznych.

– To może przyniosę ci ciasto do tunelu? – proponuję. Na to przystaje. – Zraz wracam.

I już pędzę na górę po schodkach, przebiegam przez biuro rzeczy znalezionych i frunę do kawiarni.

Elisabeth obserwuje, jak wpadam do środka; w obu dłoniach ściskam urnę. Patrzy, jak stawiam naszego Graala na ladzie przed nią. Przenosi wzrok ze skarbu na mnie. Kiwam głową, a przyjaciółka zaczyna piszczeć z emocji i podskakiwać.

– Udało ci się, nasz mały znalazco! – woła, a z jej głosu bije duma i miłość.

– To dokonanie Williama – prostuję. – Obiecałam, że przyniosę mu ciasto i herbatkę, mogłabyś...

– Pewnie. Ale co dalej? Rodzina Mała Evansa będzie zachwycona.

– Ale Max wyjechał.

– Nie, jeszcze nie – wzdycha, przewraca oczami i mówi: – W tej chwili udziela wywiadu dla radia.

– Niemożliwe. – Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami.

– Jeśli natychmiast pobiegiesz do stacji radiowej... – zaczyna Elisabeth.

– Złapię go, zanim wyjedzie na wakacje!

Zaraz pęknię z emocji. Wręcę Maksowi prochy, nacieszę się jego radością, potem razem oddamy Mała Evansa jego rodzinie, a Max będzie mnie kochał na wieki. Nie chcę go całować ani nic z tych rzeczy. Ale miło będzie żyć ze świadomością, że ktoś na świecie darzy mnie dozągonną miłością.

– Nie trafię tam. – Łapię się za głowę.

– Szybko! – woła Elisabeth. – Masz tu kawałek tortu czekoladowego dla Williama. – Podaje mi przysmak na papierowym talerzyku. – Poproś, żeby pokazał ci najkrótszą drogę tunelem. Zaprowadzi cię.

Uśmiecham się; nie, chyba nawet chichoczę. Porywam talerzyk i urnę i pędzę na złamanie karku z powrotem do podziemi. Aż piszczę z radości i ulgi, że udaje mi się dotrzeć na miejsce, nie potykając się i nie upuszczając ciasta ani urny. Rzecz jasna William już czeka na mnie przy domku dla lalek. Zerkam na model. Liczę figurki; nadal brakuje Maksa.

– Tort – mówię, wręczając Williamowi talerzyk. – Ale, błagam, zaprowadź mnie do stacji radiowej natychmiast, jak najszybciej!

– Max? – pyta William. Marszczy brwi.

– Muszę go złapać, zanim wyjedzie – wyjaśniam. – Wyrusza lada chwila!

W tej samej chwili z biblioteki książek znalezionych dobiega mnie krzyk Elisabeth.

– Idę z wami!

William parska śmiechem i ja też nie mogę się powstrzymać, kiedy widzę, jak przyjaciółka pędzi tunelem, wywijając trzymanymi w jednej ręce białymi szpilkami i uginając się nieco pod ciężarem serca stacji Lime Street, które dzierży w drugiej.

– Powiesz Maksowi, a potem Mał Evans wróci do domu i serca będą... – zaczyna William.

– Max będzie chciał... – przerywam.

– Max może spadać – ucina Elisabeth. – Mal Evans wraca do domu!

Nigdy nie słyszałam w jej głosie takich emocji. Podaje mi serce stacji Lime Street; zamieniam się za urnę.

– Jakim cudem taszczysz to cały dzień po mieście? – Kręci głową.

Odpowiadam uśmiechem.

– Tędy. – William wskazuje kierunek i rusza biegiem.

Podążamy za jego kwaśnym zapachem i kłapaniem sztybletów; obie nogi niosą go sprawnie.

Wyłaniamy się z tunelu na rogu ulicy, tuż przy stacji radiowej. Elisabeth pierwsza wychodzi na światło dnia. William chichocze, popychając jej pupę, gdy kobieta wspina się, by wyleźć ze studzienki. On zostaje w mroku korytarza. Obiecuje, że poczeka tu na nas i będzie nas wyglądał. Podaję przyjaciółce urnę, potem serce stacji Lime Street, a wreszcie wstrzymuję oddech i całuję Williama w policzek. Dziękuję mu, zanim i mój zadek wypchnie na górę przez właz.

Elisabeth stoi na ulicy, wsuwając brudne stopy w szpilki i wyciągając do mnie rękę z sercem stacji Lime Street. Obie jesteśmy pokryte warstwą kurzu. Zdaję sobie sprawę, że cuchnę potem, a na pupie Elisabeth widnieją czarne odciski dłoni Williama.

– Jak wyglądam? – pytam.

– Olśniewająco – śmieje się przyjaciółka. – Laleczko, uwierz mi, on ma klapki na oczach, jeśli chodzi o te prochy.

Też się śmieję, choć wcale nie wiem, czy to właściwa reakcja, ale nie mam czasu dłużej rozważać tej kwestii, bo nagle dostrzegam go pośród tłumu ludzi z siatkami na zakupy. Widzę jego głowę. Poznaję ten profil.

Coś dziwnego dzieje się z moim sercem; może staje, a może bije z podwójną mocą. Przez chwilę zastanawiam się nad tym fenomenem, ale szept Elisabeth wyrywa mnie z zamyślenia.

– Co? – pytam, wbijając wzrok w jej usta w nadziei, że powtórzy słowa.

Wtem przypominam sobie o Maksie, że jest tutaj, i że ściskam w dłoniach serce stacji Lime Street, i rzucam się biegiem w tłok. Lawiruję między przechodniami, żadnego wirowania, rzucam „przepraszam”, wpadając na kolejnych ludzi. Moim ruchom brak koordynacji – nie mam doświadczenia w dyscyplinie sprintu ze slalomem. Moje rozpędzone stopy uderzają płasko o chodnik. Staram się przeдрzeć przez tłum, goni mnie głos Elisabeth, która krzyczy moje imię, ale muszę dotrzeć do Maksa. Musi zobaczyć, że jestem najlepszym małym znalazcą i musi pokochać mnie na wieki.

Nagle staję jak wryta. Dotarłam do luki między dwoma sklepami; widzę, że Australijczyk też się zatrzymał. Dziеляcy nas dystans umożliwia mi skuteczne wmieszanie się w tłum, a jednocześnie pozwala mi dostrzec, co robi Max. Nie wołam go. Elisabeth staje przy mnie, przyciskając urnę do piersi.

– Co za kutas – odzywa się.

Kiwam głową.

– Kutas – tym razem nie protestuję.

Max trzyma za rękę dziecko. Dziewczynka, blondyneczka, może dziewięcioletnia, uśmiecha się wesoło. Jest i chłopiec. Wygląda na starszego, to już chyba nastolatek; nie trzyma nikogo za rękę, ale wskazuje palcem jakiś budynek i wszyscy kierują spojrzenia w tamtą stronę. Martwi mnie prawa dłoń Maksa. Tę dłoń ściska kobieta, blondynka, wyższa wersja towarzyszącej Cole'owi dziewczynki. Wiem, że to matka jego dzieci. Wiem, że to jego żona.

– Kłamca – syczy przez zęby Elisabeth.

– Do potęgi – przyznaję.

– Chodźmy – ciągnie mnie za rękaw przyjaciółka. – Zabierzmy Mała z powrotem do biura rzeczy znalezionych i opracujmy plan. Skupmy się na rodzinie Evansa. To oni stracili go, kiedy zaczęła się jego znajomość z Beatlesami. Gdyby żył, nie chciałby się znaleźć w centrum uwagi, nie pragnąłby tłumu wielbicieli.

Stoi, wpatrzona w urnę i wędruje gdzieś w świecie własnych myśli.

– Wiesz, laleczko, ostatni występ Beatlesów, ten koncert na dachu w sześćdziesiątym dziewiątym, doszedł do skutku wyłącznie dzięki Malowi. Fani nie spuszczały oczu z Beatlesów, ale to Evans wstrzymywał policję. Nie pozwoliłby, żeby ktoś zepsuł muzykom ich wielką chwilę. George nalegał, żeby Mal włączył z powrotem prąd, choć Evans musiałby stawić czoła czterem funkcjonariuszom. Dobrze się to dla niego nie skończyło. – Urywa opowieść. Składa pocałunek na urnie. – To był ostatni raz, kiedy Mal wystąpił w roli obrońcy; potem każdy poszedł własną drogą. Mal potrafił wszystko naprawić, ale nawet on nie umiał sprawić, by rzeczy trwały wiecznie.

Kiwam głową, ale moja uwaga wraca do Maksa.

– To Rocky Hooper? – pytam, wskazując sercem stacji Lime Street mężczyznę towarzyszącego rodzinie.

Elisabeth podnosi wzrok, kiwa głową, patrzy na mnie.

– W porządku? – pyta.

– Nie. – Czuję, że płacę. Chyba nie pamiętam, gdzie zakręca się kurek ze łzami.

– Wracajmy do domu, laleczko – mówi Elisabeth.

Gładzi mnie po ramieniu. Czuję przez rękaw ciepło jej dotyku. Przebiega mnie dreszcz.

– Hotel Adelphi, recepcja, słucham? – odzywa się kobiecy głos w słuchawce.

– Z pokojem Maksa Cole'a, proszę. – Używam mojego najznakomitszego akcentu z Blundellsands.

– Z kim mam przyjemność?

– Marta Zguba – przedstawiam się.

– Przykro mi, Marto. Max już się od nas wymeldował. Jeśli chcesz zostawić wiadomość, przekażę mu ją, kiedy wróci z krótkiego urlopu.

– Charlotte?

– Tak.

– Kłamiesz? – pytam wprost.

– Tak – mówi uczciwie.

– Jesteś w ciąży?

– Tak.

– Czy to dziecko Maksa?

– Tak. Przykro mi – mówi, ale nie sędzę, żeby naprawdę było jej przykro.

– Przekażesz mu, że dzwoniłam i chciałabym z nim porozmawiać?

Kończę połączenie i odwracam się do Elisabeth i Williama. Stoją tuż za moimi plecami. Tak, William jest w biurze rzeczy znalezionych. To do niego niepodobne, zazwyczaj pozostaje w ukryciu, ale wiem, że dziś znalazł się tu, by mnie chronić. Rozpiera mnie tak wielka miłość do nich obojga, że chyba zaraz pękne. Jednak zanim to nastąpi, słyszę, jak ktoś dobija się do szklanych drzwi biura rzeczy znalezionych. Odwracam się, by spojrzeć, kto to; może w duchu spodziewam się Maksa.

Widzę George’a Harrisa. Nie ma nawet szesnastej, nie mówiąc o siedemnastej trzydzieści siedem. Elisabeth podchodzi przekręcić klucz.

– Przyjechałem najszybciej, jak mogłem – sapie George Harris.

Nie może złapać tchu. Próbuje się pochylić, ale zbroja jak zwykle utrudnia mu życie. Elisabeth pokazuje mu gestem, żeby dołączył do mnie za ladą. Przepycha się przez wąską lukę w blacie, obijając się po drodze o półkę. Zastanawiam się, czy biegł – rzymski żołnierz cwałujący przez stację Lime Street. Kłania się Elisabeth, posyła uśmiech Williamowi i wreszcie zwraca się do mnie: „Trzymasz się?”

– Jak? – pytam krótko.

– Mój przyjaciel, Martin, pracuje w markecie Woolworths w Chester. Zadzwońłam do niego, a on odszukał naszego legionistę – wyjaśnia Elisabeth. – Uznałam, że dzisiejszego popołudnia przydamy ci się tu wszyscy.

I wtedy już tracę kontrolę nad falą łez; tama pęka. Uginają się pode mną kolana i padam na podłogę. Zwijam się w żółwia. To w zasadzie bez sensu, pewnie wyglądam idiotycznie. Tu, w biurze rzeczy znalezionych, mam całą miłość, jakiej kiedykolwiek potrzebowałam i o jakiej mogłabym marzyć, ale dławi mnie smutek. Chyba nie chodzi o Maksa, raczej nie, ale o to, że spędzanie z nim czasu oderwało mnie od tej wspaniałej trójki, moich jedynych prawdziwych przyjaciół. Żałuję, że mu zaufałam, że się tak zaangażowałam; dał mi poczucie, że nie zasługuję na miłość i zaszczepił przekonanie, że nikt nie pokocha mnie na wieki, choćbym nawet była najlepszym znalazcą na świecie.

Elisabeth siada przy mnie na podłodze; głaszcze mnie po plecach.

– Kiedy będziesz gotowa, opracujemy plan – mówi. – Plan będzie się skupiał na tym, żeby ten ślicznooki goguś nie położył łap na prochach Mała.

– Kiedy będziesz gotowa, Marto – podkreśla William.

– Nie powinna dziś zostać sama na noc – stwierdza George Harris.

– George’u Harrisie! – upomina go Elisabeth.

Dobrze słyszę jej głos, choć wciąż jestem zwiniętym na ziemi kłębuszkiem, i wiem, że puściła oko do Rzymianina. Wszyscy się śmieją. Nie wytrzymuję; rozwijam się z kulki i przesuwam, tak żeby spojrzeć im w twarz. Wszyscy są uśmiechnięci – to znaczy, w ich oczach wciąż maluje się troska, ale widzę, że lada chwila wybuchną chichotem.

– Puściła do ciebie oko? – pytam, a George Harris potwierdza skinieniem głowy.

I wtedy ja też parskam śmiechem. Śmieję się tak mocno, że kłuje mnie w brzuchu, a łzy, które płyną mi po policzkach, to łzy szczęścia. Kiedy wreszcie się uspokajam, mówię:

– Potrzebuję odpowiedzi.

– Zdobędziemy je – obiecuje Elisabeth.

Godzinę temu genialny plan Elisabeth został ostatecznie zatwierdzony, a teraz wszyscy – nawet William – siedzimy na poduchach w salonie Matki. Nasz dziwak wierci się na swoim siedzisku, a każdy jego ruch zostawia na tkaninie brudne ślady. Zmarła Matka towarzyszy nam w swojej posrebrzanej urnie na kominku. Postawiłam urnę Mała po sąsiedzku – może jakimś cudem przemówi denatce do rozsądku. Elisabeth wyskoczyła na chwilę i wróciła z butelką whisky i czterema szklaneczkami. Teraz rozlewa alkohol.

– Wygląda trochę jak siki – zauważam.

– Sikasz na taki kolor? – interesuje się George Harris.

Uśmiecha się. Wciąż jeszcze nie zdjął rzymskiej zbroi.

– Zimno ci? – pytam.

– Nie – odpowiada, ale wyraźnie widzę pokrywającą mu ręce i nogi gęsią skórę.

Zanim zdążę pomyśleć, przeciągam palcem po jego skórze. Podrywa się jak oparzony i kontakt zostaje zerwany, ale przez chwilę widzę młodziutkiego George’a Harrisa ukrytego w szafie.

– Ilekroć siadam w salonie Matki... – zaczynam.

– Laleczko, to teraz twój salon – poprawia mnie Elisabeth, a ja się uśmiecham. – Proszę. – Podaje mi szklaneczkę. – Wypij na raz.

Upijam łyżeczek. Whisky pali mnie w usta. Krztuszę się i pluję. Wody! W życiu nie chcę już pić czegoś podobnego. Wszyscy się na mnie patrzą. Śmieją się ze mnie, ale nie mam nic przeciwko. Jestem przeszczęśliwa, że w moim salonie rozbrzmiewa radość.

Patrzę na Williama. Przez uchylone okno przyfrunął Budgie i przysiadł na jego ramieniu. Dziwak przestaje się śmiać. Wbija wzrok w ptaszka.

– Lubi cię – mówię.

William się uśmiecha. Ani drgnie.

– Nie chcę zrobić mu krzywdy – mówi.

– Wiecie, co myślę? – odzywa się Elisabeth. Jest już po trzecim kieliszku. – Myślę, że czas wyszorować Williama.

– Kochamy cię, Williamie – mówię.

– Ale cholernie cuchniesz – dodaje Elisabeth. – Natomiast gdybyś pozwolił nam o siebie zadbać...

William milczy. Nie odrywa wzroku od Budgiego. Ciekawe, co obaj sobie myślą?

– To doskonały pomysł – ciągnę. – Możesz się wykąpać. Przyniesiemy ubrania z plastikowych worków z piwnicy, wypierzemy je i wyprasujemy. George Harris może ci pokazać, jak się golić, a Elisabeth cię ostrzyże.

– Założę się, że pod całym tym owłosieniem i brudem kryje się nie lada przystojniak – kusi przyjaciółka, a na usta Williama wypływa uśmiech. – Dobra, szybko, póki się uśmiecha! George'u Harrisie, leć na dół po ubrania; Marto, przygotuj kąpiel. Ja skoczę do siebie i przyniosę wszystko, czego możemy potrzebować.

– Co ja mam robić? – chce wiedzieć William, patrząc głównie na Budgiego.

– Nie ruszaj się z miejsca, Williamie. Nie spuścimy cię z oka, dopóki nie staniesz się mniej włochaty i choć trochę mniej brązowy – zapowiada Elisabeth.

Pytanie zamieszczone przez Martę Zgubę na plakacie, który przykleiła na tablicy przy peronie szóstym:

Proszę, czy możemy się spotkać?

Pewnego dnia dorośniesz na tyle, by znów sięgnąć po baśnię.

C.S. Lewis

I tak ciągnie się moja baśń. Rozdział ósmy zmierza ku październikowi; nadal mamy rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty, ale to już nie czasy dachów krytych truskawkowymi żelkami i małych bawiących się w berka z jednorożcami. W moim świecie nie ma aż tylu cudeniek, za to jest odrobinę więcej brudu.

Już dwa dni mijają, odkąd wydobyliśmy spod kurzu i włosów prawdziwego Williama.

Wygląda nieziemsko. Jest gładko ogolony, został wyszorowany, a wyszukane przez George'a Harrisa ubranie leży jak ulał. Ma teraz cały wybór odzieży, od dżinsów i bluz po wyjściową marynarkę, a nawet muchę. Wypisałam czek, żeby opłacić to wszystko – drobna forma podziękii za odnalezienie Mała Evansa.

Rzecz jasna William upiera się, by melonik i sztyblety stanowiły elementy każdej stylizacji, a przebiera się teraz kilka razy dziennie. Najwięcej radości sprawia mi podziwianie Williama, który spaceruje po stacji Lime Street, nie kryjąc się, i uchyla kapelusza, witając się z ludźmi. Wpada nawet do kawiarni, robiąc niespodziankę Elisabeth. Słyszałam przez ścianę, jak przyjaciółka piszczy z radości na widok gościa, a dziś rano spędzili godzinę, tańcząc jive'a.

Teraz oboje są u mnie. Przyszli złożyć raport na temat poczynień Maksa w godzinach mojej pracy. Część planu zakłada śledzenie go.

Dzwoni telefon. Elisabeth odbiera. Zakrywa dłonią słuchawkę i ruchem warg przekazuje mi informację: TO MAX, jednocześnie wzrusza ramionami w niemym pytaniu, czy życzę sobie z nim rozmawiać. Kiwam głową na „tak”.

– *Bonjour* – rzucam na powitanie.
– Tęsknię za tobą, słonko.
– Gdzie jesteś?
– Nad Jeziorami.
– Gdzie dokładnie?
– Nie wiem. Co to ma być, gra w sto pytań? – irytuje się.
– Jaka pogoda?
– Pewnie taka, jak u ciebie. Słuchaj, muszę zaraz kończyć, ale chciałem spytać, jak postępy.

– Jakie postępy?
– Prochy Mała, słonko.
– O tak, poczyniliśmy postępy. Znaleźliśmy je.
– Co?! – wyrywa mu się krzykiem.
– Znaleźliśmy je. Elisabeth usłyszała cię w radiu, więc pobiegliśmy do rozgłośni, żeby złapać cię, zanim wyjedziesz.

– Naprawdę je znaleźliście? – nie dowierza. Słyszę uśmiech w jego głosie. – Jasny gwint, mógłbym cię wycalować. Moja ty ślicznotko!

– No cóż, wyjechałeś z Liverpoolu – wzdycham. – Poza tym zostało ci tylko kilka dni, zanim wrócisz do Australii. Stwierdziliśmy, że najlepiej będzie od razu

oddać prochy rodzinie Mała.

– Stwierdziliśmy? Jacy, kurwa, MY?! – wrzeszczy Max.

– Pomyśleliśmy, że tak będzie... – zaczynam.

– Pieprzysz się z tym rzymskim żołnierzkiem, tak?

– Nie, Max – odpowiadam. Staram się brzmieć spokojnie, ale krew we mnie wrze, lada chwila pęknie mi głowa i w ogóle cała wybuchnę. – Nie uprawiam seksu z George'em Harrisem. Ale za to uważam, że masz bardzo piękną żonę.

Z całej siły rzucam słuchawkę na widełki, szybko, zanim znów się na mnie wydrze. Odskakuję od telefonu, jakby poparzył mi koniuszki palców. Odwracam się, by spojrzeć na Williama i Elisabeth. Oboje gapią się na mnie bez słowa. Patrzę, jak zerkają na siebie, a ich usta rozciągają się w uśmiechach od ucha do ucha.

Potem widzę, jak William kiwa głową, a przyjaciółka zaczyna klaskać w dłonie i wołać: „Brawo, brawo!”. Nagle i ja się śmieję, mimo że cała się trzęsę i chce mi się płakać. Zaczynam dygać, chichocząc jak szalona.

Oczywiście George Harris wchodzi do biura, kiedy wykonuję piąte szalone dygnięcie. Niemal tracę równowagę, kiedy usiłuję udawać w połowie ukłonu, że wcale się nie kłaniałam. Rzymianin unosi brew, a William tak bardzo się śmieje, że dostaje czkawki.

– Co ty tu robisz? – pytam. – Nie ma jeszcze siedemnastej trzydzieści siedem.

– Powiedziałem, że się rozchorowałem, bo byłem ciekaw, jak się masz. – Przeciska się przez lukę w blacie i staje z nami.

– Właśnie dzwonił Max – donoszę.

– Powiedziała mu o prochach, a potem, jakby to ująć, kazała mu się odpięprzyć – dodaje Elisabeth.

– Jestem z ciebie dumny – mówi George Harris. Patrzy mi prosto w oczy, aż ściska mnie w żołądku. Potem zwraca się do reszty: – Co teraz?

– Charlotte, Panna-Anna-Weź-Mnie-Kiedy-Chcesz, przekłuła sobie nos agrafką i twierdzi, że jest punkową – składa raport Elisabeth.

– Wcale nie jest rozwodnikiem – odzywam się. – W życiu nie pozwoliłabym mu się pocałować, gdybym wiedziała.

– To jasne – mówi George Harris. – Agrafką?

Elisabeth w odpowiedzi wzrusza ramionami i wznosi oczy do nieba. Uśmiecham się.

– Wygląda na to, że Rocky Hooper zaproponował Maksowi, żeby ściągnął tu żonę i dzieci – mówi Elisabeth. – Lada dzień spodziewają się poznać prawdę o walizce i Rocky uznał, że będzie dobrze, jeśli żona Maksa będzie przy tym obecna.

– Ale mówił, że wydał wszystkie oszczędności na pobyt Maksa w Liverpo-

olu – zauważam. – Kolejne kłamstwa?

– Niekoniecznie – stwierdza William. – Rocky Hooper sponsoruje całą wycieczkę. Dał Maksowi zaliczkę na poczet pieniędzy, jakie Max wyciągnie z walizki.

– Cole obiecał, że spłaci cały dług, kiedy sprzedaż znaleźiska dojdzie do skutku – mówi Elisabeth.

– Sprzedaje walizkę? – pyta George Harris.

– Tylko jeśli okaże się autentycznym – zastrzega William.

– Czy rodzina Mała nie powinna mieć głosu w tej sprawie? – myślę na głos.

– Prawo znalazcy – wzdycha William.

– Nie rozumiem jednego – odzywa się George Harris. – Co Rocky będzie z tego miał?

– Proste – mówi Elisabeth. – Oczekuje sterty forsy, a poza tym zgarnie chwałę za bycie najbliższym kumplem Maksa.

– Za nic nie rozbiłabym rodziny – oznajmiam.

Chciałabym wyszorować sobie usta od środka, zedrzeć z nich smak Maksa.

– Już po wszystkim. To nie jest twój problem – pociesza Elisabeth.

– Niech sobie Cole kopie własny tunel – rzuca William.

– Masz na myśli grób? – pyta George Harris.

William puszcza do niego oko.

– Przede wszystkim musimy się zająć jednym – oznajmiam. – Przekazaniem prochów rodzinie Mała.

Myślę o stojących na moim kominku urnach.

– I zdobyciem twojego aktu urodzenia – dodaje William.

Kiwam głową.

Kolumna „O mieście” w dzienniku „Liverpool Daily Post”

CHCECIE POZNAĆ SEKRET?

Po mieście rozeszła się wieść, że tajemnica osnuwająca zaginięcie prochów Mala Evansa została rozwiązana. Z pewnością pamiętacie, że zgłoszono zaginięcie prochów Mala, kiedy poczta zawiodła i nie dostarczyła ich z powrotem do jego domu. Evans poniósł przedwczesną śmierć w styczniu bieżącego roku, ginąc od policyjnej kuli w Los Angeles. Jednak w tym tygodniu rodzina Mala Evansa ogłosiła, że otrzymała anonimową przesyłkę, zawierającą jego prochy.

Tak jest, moi mili, Mal Evans wrócił do domu!

Oczywiście wszyscy zachodzimy w głowę, kim jest tajemniczy bohater. Kto może być nadawcą tajemniczej paczki? Dlaczego się przed nami ukrywa?

Tak więc, anonimowy znalazco prochów Mala, całe miasto myśli o tobie serdecznie i ciepło. Odsłoń przed nami twarz! Zbiorowo wstrzymujemy oddech.

Jakiż to nieoczekiwany zwrot akcji w tej pełnej emocji historii. Max Cole to już stare dzieje, podczas gdy nasze miasto jak na szpilkach oczekuje poznania tożsamości bohatera, który odnalazł prochy Mala. Niech się ujawni i przyjmie od nas oklaski!

– Prędeży! – pospiesza Elisabeth, wtykając głowę w otwarte drzwi biura rzeczy znalezionych, po czym odwraca się i pędem wraca do kawiarni.

Zerkam przez ramię, by upewnić się, czy nie wołała do kogoś innego. Rzecz jasna, jestem jedyną osobą w biurze, więc szybko zamykam drzwi na klucz i gnam do lokalu obok.

Elisabeth siedzi; jest przy niej William. Ma na głowie melonik i roztacza zapach talku. Przed nimi na blacie stoi radio. Oboje nachylają się nad nim, nadstawiając uszu.

– Co wy ro... – zaczynam.

– Óóó! – uciszają mnie chórem, nawet na mnie nie patrząc.

Elisabeth wyciąga rękę i pokazuje, żebym z nimi usiadła. Nie mam zielonego pojęcia, o co tu chodzi, ale jestem bardzo ciekawa. Ani na chwilę nie odrywają oczu – i uszu – od odbiornika.

– Dla tych z państwa, którzy dopiero do nas dołączają, gościmy dziś naszego rodzimego eksperta w dziedzinie Beatlesów, Grahama Kempa, oraz gościa prosto z Australii, Maksa Cole’a. Jeśli jeszcze nie słyszeliście o archiwum Mala Evansa, to chyba fala upałów wypaliła wam mózg. Całe miasto już od miesiący żyje tym tematem. A dziś, na żywo, odkryjemy przed wami wyniki analizy autentyczności znalezionych przedmiotów. Maks, powiedz szczerze, naprawdę nie znasz rezultatów badań?

– Słowo daję, że nie! Całą noc nie zmrużyłem oka – zapewnia Cole.

Słyszę, jak Elisabeth cmoka z dezaprobatą. Z nerwów obgryzam skórki.

– Niektórzy twierdzą, że decyzja, by poznać wyniki na żywo, na antenie, wymagała nie lada odwagi – komentuje redaktor.

– Liverpool powitał mnie z otwartymi ramionami; czas, żebym jakoś się odwdzieczył.

– Czy to oznacza, że jeśli zawartość walizki okaże się autentyczna, zostawisz nam w Liverpoolu niektóre z pamiątek?

– Jasna sprawa, pod warunkiem że wyłożycie dość forsy – śmieje się Max, na co Elisabeth znów cmoka.

– Przypomnij nam wszystkim, Max, jak walizka znalazła się w twoich rękach?

– Kupiłem ją na pchlim targu pod Melbourne, u nas, w Australii. Zapłaciłem jakieś dwadzieścia funtów w przeliczeniu na waszą walutę.

– A czym walizka przyciągnęła twoją uwagę?

– Była na niej masa naklejek, od razu dało się stwierdzić, że zjeżdżała kawał świata. Zaciekała mnie, zajrzałem do środka i zobaczyłem wszystkie te graty związane z Beatlesami. Wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę.

– Jesteś fanem Beatlesów?

– Nie, stary. Ale Elvisa nawet lubię. – Śmieje się w głos.

– Jak już wspominałem, jest też z nami w studiu Graham Kemp. Grahamie, ty tu jesteś facetem, który ma dla nas wszystkie odpowiedzi, prawda?

– Zgadza się, mam wszystko w tej oto zaklejonej kopercie – przyznaje Graham.

– To co, odkrywamy karty? – pyta redaktor.

– Wspaniale! – odpowiada Graham.

Głosy milkną. Słysząc przytłumione dźwięki – pewnie koperta wędruje z rąk do rąk, ktoś ją otwiera. I wreszcie:

– Tak jest, moi drodzy, oto chwila, na którą wszyscy czekaliśmy. Chyba zasługuje na werble. – Rozlega się odgłos uderzanych o blat dłoni.

– A zatem mogę wyjawić – zaczyna Graham – że zawartość walizki stanowi repliki, podróbki oraz bardzo marne nagranie jakiejś mieszanki wywiadów radiowych z Johnem Lennonem i Paulem McCartneyem.

– Kurwa mać – rzuca Maks, a zaraz po tym słysząc hałas, jakby coś uległo roztrzaskaniu, przytłumione krzyki, wreszcie prowadzący włącza *Hey Jude*.

Elisabeth wyłącza radio i wszyscy prostujemy plecy.

Nikt nic nie mówi.

– Ktoś tu przyjmuje zamówienia?

Jakiś klient przerywa naszą ciszę. Żadne z nas nie zaszczycą go nawet spojrzeniem.

– No! – odpowiada krzykiem Elisabeth. – Spadaj pan! Gdzie indziej szukaj frajera, który cię obsłuży!

– Kogo? – pytam.

– Wystarczyło mu powiedzieć, żeby poszedł do pubu, prawda? – wzdycha Elisabeth, na co wszyscy troje wybuchamy śmiechem.

To nie zbesztany klient, tylko ja, Elisabeth i William, zgięci w pół, ryczymy ze śmiechu jak pijani głupcy. Jeśli mam być szczerą, nawet nie wiem, co nas tak bawi, ale nie możemy się uspokoić jeszcze ładnych parę minut po wyjściu mężczyzny.

– I co on teraz zrobi? – pytam.

– Pewnie wróci do domu – zgaduje William.

– I bardzo dobrze – mówi Elisabeth, a ja kiwam głową.

W zasadzie nie jestem pewna, czy rozmawiamy o Maksie, czy o niedoszłym kliencie kawiarni, ale i tak kiwam głową. Gdzieś w głębi duszy żal mi Maksa, choć w istocie sama nie rozumiem dlaczego.

Łup. Łup. Łup. Łup. Łup. Łup.

Jestem gdzieś pomiędzy snem a jawą. Łup. Łup. Łup. Łup. Wyskakuję z łóżka i ciasno otulam się szlafrokiem. Skradam się na paluszkach, drobnymi kroczkami, ale od łup, łup, łup, łup aż podskakuję.

– Idźcie stąd! – krzyczę.

Przypuszczam, że to ktoś z Zarządu. Podejrzewam, że mają mnie zamiar zabić i schować w czarnym worze na śmieci w piwnicy.

– Marto, to ja – słyszę głos Williama, więc rzucam się otwierać drzwi.

– Znalazłem Maksa.

– Williamie, tę zagadkę już rozwiązaliśmy. Max jest żonaty, jest w hotelu Adelphi.

– Jest w moich tunelach. Ranny. Chodź.

Porywam parę szpilek, bo to jedyne obuwie, jakie wpada mi w oko.

– Prędszej! – woła.

Zdążył zbiec po schodach do biura rzeczy znalezionych; może pędzi już nawet przez moją bibliotekę książek znalezionych.

Gnam za nim z butami w ręce, przytrzymując jednocześnie szlafrok, starając się zawiązać pasek na supeł. Zbiegam z piętra do biura, a potem krętymi schodkami do mojej biblioteki, przez otwarte metalowe drzwi, do tuneli. William oświetlał drogę. Czeka na mnie przy domku dla lalek.

– Załóż buty. Korytarze, do których idziemy, nie są zbyt przyjemne – mówi, więc posłusznie wkładam szpilki.

– Och! Serce stacji Lime Street...

– Nie będzie potrzebne. Wszystkie tunele łączą się z dworcem.

– Jak go znalazłeś?

– Usłyszałem jęki, myślałem, że to zwierzę...

Kiwam głową, ale William już tego nie widzi, bo mknie naprzód korytarzem, a ja biegnę, próbując za nim nadążyć. W tunelu jest wilgotno, zimno i cuchnie ścięciem. Nie jestem pewna, czy przechodzą mnie dreszcze, czy też mój organizm szykuje się do zwrócenia kawałka tarty cytrynowej, który zjadłam na kolację.

– Daleko jeszcze? – sapię.

– Tędy.

Otulam się ramionami, żałuję, że jestem tak skąpo ubrana. Marzę, by znalazła się przy mnie Elisabeth. W tunelu panuje niemiłosierny smród. Nie sądziłam, że istnieje na świecie gorszy odór niż Williama, zanim go wykopaliliśmy, ale teraz wiem, że byłam w błędzie. Co chwilę przystaję; zbiera mi się na wymioty.

Boję się dotknąć ścian. Są zlepkim czerwonych cegieł, zmieszanych ze sobą i zaginających się nade mną. Mam wrażenie, że biegną ze mną szczury. Wyobrażam sobie, że przemykają też po ceglanych ścianach. William jest naprawdę szybki; już nie jest połamany. Robię, co mogę, by nie zostać w tyle. Z każdym przebiegniętym krokiem spowija mnie gęstszy chłód. Chłód, który nigdy nie byłem ciepłym i nigdy się nim nie stanie; ten chłód jest zagubiony.

– Williamie! – wołam.

Mój głos odbija się echem w głębi korytarza. William nic nie mówi, jego milczenie potęguje mój strach. Przyspieszam. Nie wiem, co mnie czeka. Biegnę tu-

nelami o zagmatwanej konstrukcji. Co jakiś czas szeroka strefa, potem wąziutki od-cinek, przestrzeń i ścisk, do wewnątrz, na zewnątrz – kluczę w podziemiach. Głę-biej, coraz głębiej, z każdym krokiem rośnie we mnie poczucie wszystkiego, czego brakuje.

Schylam się, w ostatnim momencie unikając zderzenia z belką. Zwalniam kroku, wszedłszy w wąski korytarz, potykam się, podczas gdy moje oczy próbują dostosować się do ciemności. Żadna przyjemność. Zaciskam kciuki jednej dłoni i marzę, by znaleźć światło; zaciskam palce drugiej ręki i wypowiadam życzenie, żeby Max żył. W tych korytarzach nie ma dobra; wyłącznie smutek, strach i odcho-dy.

Spowija mnie chłód. Będę miała buty wysmarowane kupą. Próbuję biec, ale się zgubiłam.

– O, tam – słyszę nagle głos Williama.

Zatrzymał się, a ja niemal na niego wpadam. Wskazuje na kupkę szmat pod otwartym włazem do studzienki. Kilka promieni światła sączy się pod ziemię. Rzu-cam się w tamto miejsce.

– Max – mówię. – Max, słyszysz mnie?

– Marta?

Gdzieś z góry pada na nas nagle światło ulicznej latarni. Australijczyk ma za-krwawioną twarz, spuchnięte prawe oko i rozcięte czoło. Ale żyje.

– Trzeba go zabrać z powrotem na dworzec – stwierdza William, po czym zwraca się do Maksa: – Dasz radę wstać?

Potwierdza skinieniem, po czym krzyczy z bólu.

– Małymi krokami i wystaw język – mówię.

– Po co? – pyta Max.

– Żebyś go nie połknął – tłumaczę, głównie dlatego że nie przychodzi mi na myśl nic innego, a po części dlatego że jestem kompletnie wytrącona z rów-nowagi dziwną sytuacją.

Na domiar złego, w tej samej chwili największy i najczarniejszy szczur, ja-kiego w życiu widziałam, postanawia wleźć mi na stopę i zajrzeć mi prosto w oczy.

Wrzeszczę jak opętana i biegam w kółko, próbując strzepnąć zwierzę z nogi. Chyba już nigdy nie poczuję się czysta.

Jakimś cudem udaje nam się dotaszczyć Maksa do mojego mieszkania. Cier-piałam, przeprowadzając go przez moją bibliotekę książek znalezionych, ale była to najkrótsza droga, a ja z całych sił starałam się nie dotykać go palcami, jednocze-śnie próbując manewrować w tunelu w szpilkach. Cały czas miałam nadzieję, że ranny nie zwraca zbytnej uwagi na otoczenie.

Teraz Cole siedzi na kanapie w moim salonie. Zdaje się, że doszedł do siebie – ma tylko kilka siniaków, tu i ówdzie spowodowane upadkiem rozcięcie, kto wie, może wstrząs mózgu. Pewnie jeszcze parę godzin pozostanie pod moją opieką.

Przemywam mu rany wodą z solą i wcale ze sobą nie rozmawiamy. Max bacznie obserwuje każdy mój ruch. Jego wzrok sprawia, że mam ochotę uciec z pokoju i być może wsiąść w pociąg do Paryża. Siedzi tu już od kilku godzin. Nawet William się znudził i zostawił nas samych. Najwyraźniej brak konwersacji jego też wytrącał z równowagi.

– Przykro mi, słonko – odzywa się wreszcie Max. – Nie mogę ci dać, czego pragniesz.

– Czego pragnę? – powtarzam.

– Jasne. Zobowiązania, dziecka, na wieki.

– Masz to ze swoją żoną. I mylisz się. Wcale tego z tobą nie chcę. Myślałam, że miło będzie cieszyć się twoją dozgonną miłością, ale już mi przeszło.

– Tylko tak mówisz, bo nie możesz mnie mieć.

Odsuwam dłoń z watą od jego rany. Cofam się o kilka kroków, wzdłuż sofy, i przyglądam mu się bardzo uważnie. I parskam śmiechem.

– Kiedy byłam mała, zastanawiałam się, czy nie spóźniłam się na pociąg. Na pociąg, który odjeżdżał ze stacji Lime Street ze wszystkimi ludźmi, których powinienam kochać.

Max milczy.

– Widzisz, ten pociąg... Teraz wiem, że nie było cię na pokładzie.

– To chyba jasne i całe szczęście – mówi. – Maleńka, ja przybyłem pociągiem do twojego świata. Spójrz na naszą historię. Przyjrzyj się, jak los splótł nasze ścieżki, i zobacz, jaki niewiarygodny czeka nas koniec, słonko.

– Koniec?

– Prochy. – Max wbija spojrzenie w stojącą na kominku posrebrzaną urnę. – To moja szansa na zdobycie kasy dla Rock...

– Nie nadażam – wchodzę mu w słowo, bo naprawdę przestałam rozumieć.

Widocznie Max nie miał w rękach ostatniego „Posta”.

– Rodzina Mała z pewnością wysupła jakąś sumkę, by odzyskać prochy, a ja mam dług wobec Rocky’ego – mówi Cole.

Wtedy podrywa się z miejsca. Staje na równe nogi, a potem rzuca się ku stojącej na kominku urnie.

– Matko! – wrywa mi się.

– Nie ma co wzywać mamusi. Mam tu mojego truposza.

Cole stoi pośrodku salonu, podnosząc w obu rękach nad głową posrebrzaną urnę z prochami Martwej Matki. Myśli, że urna to trofeum. Wygląda jak kompletny idiota.

– Ty dupku! – ciskam mu w twarz. – Trzymasz w rękach moją Zmarłą Matkę.

Australijczyk przenosi wzrok z urny na mnie.

– Jesteś pieprzoną kłamczuchą – mówi.

– Mał wrócił do rodziny. A Zmarła Matka stoi na kominku, odkąd ją skremowali.

Widzę, że Maks przetwarza moje słowa. Bywał już przecież w tym salonie, widział urnę na własne oczy.

Wtedy rzuca Zmarłą Matkę na dywan. Doskakuje do mnie, wytrącając mi z dłoni miskę ze słoną wodą. Uderza o mnie całym ciężarem, kiedy próbuję uciec z kanapy. Padam na podłogę, uderzając głową o kant stolika. Max rzuca się na mnie, przygniatając mnie swoim ciałem. Usiłuję się spod niego wydostać, ale jedną ręką chwytam mnie za nadgarstki, ściskając je razem.

– Zejdź! – drę się.

Zbliża usta do mojego ucha; oddycha szybko.

– Masz się za spryculę, co? No to zaraz wezmę sobie od ciebie to, na co mam ochotę, wstrętna panno podpuszczalska.

Jego głos ocieka jadem, a język trafia do mojego ucha. Walczę, by się wyswobodzić, ale im bardziej się wyrywam, tym mocniej zaciska palce wokół moich nadgarstków.

– ZŁAŻ ZE MNIE! – znowu wrzeszczę.

Wolną ręką rozsuwa mój szlafrok. Supeł na pasku trzyma mocno, ale góra okrycia jest luźna i ukazuje białą koszulkę nocną pod spodem.

– Zdzira.

Wiem, że moje piersi prześwitują przez cienki materiał.

– Spieprzaj – mówię, ale to tylko wzmacnia jego złość.

– Grzeczne dziewczynki nie używają takich słów – sapie, po czym rozdziera moją koszulkę jednym szarpnięciem za dekolt.

Dźwięk dartego materiału niesie się echem po mieszkaniu, a mnie przeszywa ból promieniujący z karku, gdzie tkanina nie chciała się poddać. Teraz widzi moje piersi. Patrzę na niego; oblizuje się.

– Dlaczego to robisz? – pytam, wijąc się mocniej, napędzana strachem i gniewem; nie będę leżała spokojnie.

– Zniszczyłaś mi życie – stwierdza, po czym pstryka środkowym palcem w mój prawy sutek.

Wzdrygam się z bólu. Wtedy on siada, przeciąga moje nadgarstki przede mnie, obciąża mi miednicę. Zaczyna odpinać pasek od spodni. Szarpie się z klamrą, ma do dyspozycji tylko jedną rękę, nie waży się puścić moich rąk.

– Nie – błagam.

– To ci się właśnie należy, suczko – rzuca.

Opuścił spodnie i widzę jego penisa. Nie chcę na niego patrzeć. Siada mi okrakiem na brzuchu, odpycha moje ręce z powrotem za głowę i wymachuje penisem w kierunku mojej twarzy.

– A co tobie się należy, cwaniaku? Może zmierzysz się z kimś równym so-

bie?

Zwracam wzrok w stronę, z której dochodzi głos, przerażona, że tracę rozum i zaczynam mieć omamy. A jednak nie. Jest tu George Harris, tak, w moim salonie. Jest rzymskim wojownikiem, ma prawie dwa metry wzrostu, jest olbrzymem. Widzi moje piersi i członek Maksa. George Harris trzyma w garści sztylet z za swojego pasa. Teraz żałuję, że nie spytałam go, czy ostrze jest prawdziwe.

Unosi nóż w lewej dłoni i zbliża się do nas. Stoi wyprostowany. Jest najważniejszym chłopcem, jakiego w życiu widziałam. Max wypuszcza z uścisku moje nadgarstki i staje na nogach. Zanim Cole odegra ważniaka Liverpoolu, George Harris wykonuje zamach prawą ręką, trafiając pięścią prosto w nasadę nosa przeciwnika. Australijczyk pada na podłogę, zakrywając dłońmi twarz, a krew leje mu się przez palce i wsiąka w mój dywan. Nadal widać jego gołego penisa. George Harris wznosi się nad nim jak wieża, ale po chwili robi krok ku leżącemu.

– Złamałeś mi nos, sukinsynu – bełkocze Max.

– Masz dość? – pyta grzecznie mój wybawca.

– Ja sobie już użyłem; zapraszam, twoja kolej – odpowiada Cole, trzymając się za nos.

Przechwytyuję spojrzenie George’a Harrisa, który posyła mi uśmiech. Dobrze wie, że Max kłamie; nie muszę niczego prostować.

– Ktoś czeka na ciebie na dole, chce zamienić z tobą słówko – mówi Rzymianin, po czym chwyta go za kołnierz koszuli i wlecze z salonu.

Penis Maksa macha na do widzenia.

Nie wiem, co robić. Cała się trzęsę. Potrzebuję Elisabeth. Potrzebuję Williama. Potrzebuję George’a Harrisa. Chcę wiedzieć, z kim zobaczą się na dole. Idę na czworakach przez salon, skradam się tak do szczytu schodów, nasłuchuję. Słyszę męski głos, którego nie rozpoznaję.

– Zachciało ci się zgwałcić jedną z naszych dziewczynek? – dobiega mnie chłodne zdanie.

– Nie, Rocky, stary, nie żartuj – mówi Max.

Wtedy George Harris podnosi wzrok i patrzy na mnie z dołu.

– Wróć, proszę, do salonu, Marto – mówi, a ja posłusznie się cofam, bo w tej chwili George Harris jest moim bohaterem.

Nie mogę zasnąć. Moje łóżko zajmuje George Harris, wciąż nienagannie odziany w swoją rzymską zbroję. Uparłam się, żeby spać na kanapie. Chciałam pogodzić się z tym pokojem. Czułam potrzebę, by wybierać z dywanu jak najwięcej Martwej Matki.

William też był tu zeszłej nocy, na dole, w biurze rzeczy znalezionych. To on zadzwonił po George’a Harrisa, kiedy znaleźliśmy Maksa; on doniósł Rocky’emu, gdzie się ukrywa. William powiedział, że siedząc w mroku, wystarczająco napatrzył się na trawionych gniewem mężczyzn, aby bez trudu rozpoznać spojrze-

nie oczu Australijczyka. Elisabeth nie podniosła słuchawki, kiedy William po raz pierwszy wybrał jej numer. Obiecał, że spróbuje później, choć było już po trzeciej nad ranem. Teraz już wiem, gdzie jest Elisabeth. Chyba Williamowi udało się ją wreszcie obudzić. Wybija piąta rano, moja przyjaciółka siedzi na ławce przed biurem rzeczy znalezionych. Patrzę na nią z okna w salonie.

Schodzę na dół, do biura. Nie włączam światła. Elisabeth z początku mnie nie dostrzega. Stoję bez ruchu przed taboret, za ladą, obserwuję ją. Lubię się jej przyglądać. Fascynuje mnie; na jej widok uśmiech sam wypływa mi na usta.

Jednak dziś coś jest nie tak. Skubie nitkę wystającą z kieszonki tweedowego żakietu, potem zawija kosmyk włosów wokół palca, gryzie paznokieć, wraca do znęcania się nad nitką. Jest zdenerwowana, od razu widać. Robi mi się niedobrze. Przeze mnie jest nieszczęśliwa. Co jeśli stwierdziła, że zbyt wiele kosztuje ją moje sąsiedztwo? Może przyszła mnie zawiadomić, że zamyka kawiarnię, wyprowadza się i już nigdy jej nie zobaczę?

Wiem, że ma mnie powyżej uszu. Jest zła, że nie wzięłam się natychmiast za załatwianie sprawy aktu urodzenia i numeru ubezpieczenia społecznego. Sprawiałam jej przykrość, zestresowałam Williama, pozwoliłam George'owi Harrisowi zobaczyć moje piersi i jeszcze musiał przeze mnie oglądać penisa Maksa.

Na myśl o utracie Elisabeth ogarnia mnie paniczny lęk. Chcę się schować, w ogóle nie otwierać dziś biura, może zaszyć się w mieszkaniu na górze i symulować, że zapadłam na odrę albo nawet cholere, a może jedno i drugie. Nie mogę stracić Elisabeth.

Jestem ubrana w spodnie i T-shirt, bo czułam potrzebę zasłonięcia piersi przed George'em Harrisem. Cała drżę. Szkoda, że nie mam jeszcze swetra. Już mam się wycofać na paluszkach, kiedy Elisabeth się odwraca, dostrzega mnie. Zanim zacznę skutecznie udawać, że jestem tylko posągiem, już zmierza w moją stronę.

Nie uśmiecha się. Na jej twarzy maluje się troska, więc posyłam jej uśmiech, żeby wiedziała, że nic mi nie jest, że nie powinna się wyprowadzać i że już nie będę przysparzać jej więcej zmartwień. Mój uśmiech chyba nie jest szczególnie przekonujący.

Staje przy szklanych drzwiach.

– William do mnie zadzwonił – odzywa się. – Dobrze się czujesz?

Kiwam głową.

– George Harris widział moje gołe piersi – wyrzucam z siebie.

– Wiem, laleczko. Czy Max cię skrzywdził?

– George Harris mnie uratował. Wiesz, że sypia w tej rzymskiej zbroi?

– Tylko na służbie. W miłości tak to już jest.

– Tak, kocha swoją pracę – przyznaję, kładąc dłoń na szkłe.

– Kocha ciebie – prostuje Elisabeth. – Otworzysz mi?

Wtedy zdaję sobie sprawę, że cały czas rozmawiamy przez szybę. Schylam się do zamka, przez chwilę nie mogę trafić kluczem w otwór.

– Chcesz mi coś powiedzieć, prawda? – zgaduję, nie odrywając wzroku od przyjaciółki i walcząc z zamkiem.

Kiwa głową, a ja czuję, że tonę w fali smutku.

– Mogę wejść? – pyta. – Zaparzę nam obu herbatki.

Otwieram drzwi, Elisabeth mijają mnie i przechodzi przez lukę w blacie. Ma ze sobą papierowy talerzyk z owiniętym w przezroczystą folię kawałkiem tarty cytrynowej. Kładzie go na blacie, a torebkę na podłodze obok. Podchodzi do czajnika. Jest jeszcze woda z wczoraj.

Elisabeth włącza światło. Dostrzegam ślady krwi na podłodze po mojej stronie kontuaru. Od razu przychodzi mi na myśl Zarząd; mam nadzieję, że nikt nie zgłosił nocnego zajścia. Woda się grzeje; żadna z nas się nie odzywa. Stoję w luce w blacie, blisko ciasta. Nadal ani słowa.

Elisabeth robi herbatę. Nuci pod nosem piosenkę Cilli Black, ale dziś moje serce jej nie wtóruje. Dzisiaj muzyka mnie irytuje. Może na zawsze znienawidzę Cillę Black. Nie chcę słuchać słodkiej melodii; niech już usłyszę te straszne wieści.

Przyjaciółka przenosi parujące filiżanki, ostrożnie stawia je na blacie, po czym schyla się do leżącej na podłodze torby. Szuka czegoś, a wreszcie prostuje się i kładzie przede mną jakąś kartkę.

– Tak mi przykro – mówi, przesuwając dokument w moją stronę.

Patrzę jej w twarz; łzy płyną strumieniami po jej policzkach.

– Co ty zrobiłaś? – pytam, a Elisabeth odwraca wzrok.

Wbija spojrzenie w leżący przede mną papier.

Patrzę na kartkę. Widzę ją.

Akt urodzenia

Imię i nazwisko: Marta Elisabeth Graham

Data urodzenia: 5 lutego 1960

Elisabeth wyklada na blat kolejną kartkę – mój ostatni plakat. Nie dotykam go. Leży obok aktu urodzenia. Obok mojego aktu urodzenia. Mam imię. Znam swoją datę urodzenia. Już nie noszę nazwiska Zguba.

Kładę palce na prostokącie dokumentu. Przymykam oczy. Mój umysł natchniony wypełniają wizje Elisabeth trzymającej w ramionach maleńkie dziecko. Jest młoda, zbyt młoda. Tuli niemowlę do siebie. Przemawia do niego, przepelnia ją miłością. Ten dzidzius to Marta.

Mam matkę. Szeroko otwieram oczy; nie panuję nad łzami.

– Przepraszam – mówi Elisabeth. – Przepraszam. Przepraszam.

– Ty jesteś moją matką?

Kobieta kiwa głową.

– Nie masz na imię Marta – zauważam. – Myślałam, że to tradycyjne, rodzinne imię?

– To moje drugie imię. Jesteśmy takie same, tylko na odwrót.

– Ale słowa w książkach... nie brzmiały jak twoje.

– Nie chciałam, żebyś się domyśliła, że to ja. Przynajmniej nie od razu. Musiałam się upewnić, że jesteś w stanie udźwignąć prawdę, laleczko.

– Porzuciłaś mnie?

Elisabeth znów kiwa głową.

– Zostawiłaś mnie tu z nią? – pytam.

Unoszę palec wskazujący ku niebu. Znowu przytakuje.

– Tak mi przykro, laleczko. Chciałam ci powiedzieć. Pragnęłam odebrać cię tej wiedzy, ale za długo zwlekałam. Bałam się, że stracę cię na zawsze, jeśli dowiesz się, kim naprawdę jestem. Wtedy nie byłaś taka jak teraz; ostatnio stałaś się silna. Ona już nie ma nad tobą władzy. Zamknęłaby cię gdzieś w ukryciu, nie dopuściłaby, byśmy utrzymywały kontakt. – Zawiesza głos; łzy nie przestają płynąć jej z oczu. – Co dzień przeżywałam mękę, nie mogąc cię przytulić ani przed nią ochronić, ale jakie miałam wyjście? W dniu, kiedy cię oddałam, straciłam prawa do bycia twoją mamą.

– Kochałaś mnie kiedyś?

Elisabeth w odpowiedzi szlocha głośniej.

Przysuwam się do niej i dotykam jej twarzy. Jej łzy ciekną mi przez palce. Widzę, jak bardzo wstydziała się, gdy zaszła w ciążę. Leży w łóżku. Zanoszą się płaczem, zwinięta w ciasny kłębek.

– Ile miałaś lat? – chcę wiedzieć.

– Piętnaście. Twój ojciec uczył gry na pianinie, był przyjacielem domu. Był pierwszym mężczyzną, którego pocałowałam. Był szalenie przystojny i mądry. Zakochałam się w nim. – Milknie na chwilę. – Był żonaty. Z dwójką dzieci.

Widzę go – to mój ojciec. Patrzą na niego oczami Elisabeth. Dzieli ich spora różnica wieku. Ma dzieci, niewiele młodsze od swojej kochanki. Widzę Elisabeth, która obserwuje, jak mężczyzna bawi się ze swoimi dziećmi podczas pikniku; chyba gdzieś w pobliżu kościoła.

– Moi rodzice pochodzili z Irlandii, byli szalenie surowi, religijni...

Widzę jej matkę, moją babkę, zaciskającą palce na skórzanym pasie z metalową klamrą. Wzdrygam się, kiedy klamra uderza w ciało Elisabeth. Wiem coś o uzbrojonych w pasy matkach. Elisabeth kuli się, chroniąc brzuch. Chroni mnie.

– Chcieli mnie odesłać do instytucji dla matek z dziećmi. Uparłam się, że nie wyjawię, kim jest ojciec. Uznali, że nie wiem...

Widzę Elisabeth na stacji Lime Street. Trzyma w ręce karteczkę, przygląda

się jej. Widzę zapisany na niej adres.

– Przyjechałam do Liverpoolu poddać się aborcji. Nie potrafiłam.

Widzę Elisabeth. Wpatruje się w swoje paznokcie – są czarne od brudu. Kuca w jakiejś uliczce, obok przemykają szczury. Kładzie dłoń na zaokrąglonym brzuchu.

– W końcu znalazłam pracę jako kelnerka w kawiarni, a pewien dobry samarytanin zaoferował mi dach nad głową. Ukrywałam, że jestem... że jestem w ciąży, ale któregoś dnia, kiedy obsługiwałam takiego bardzo pulchnego klienta, odeszły mi wody... Miałam cię przy sobie, zgłosiłam cię w urzędzie...

Nie odrywam palców od jej twarzy. Widzę, jak wychodzi ze szpitala, niosąc mnie owiniętą kocykiem. Wraca do swojej klitki, słyszy, że nie ma tam miejsca dla takich jak ona. Traci pracę. Traci schronienie. Łąduje na ulicy. Kradnie, walczy, by o nas zadbać. Czuję, że wszystko to robi dla mnie. Robi, co w jej mocy, by zapewnić mi bezpieczeństwo. Jest zdesperowana, jest tak straszliwie samotna, smutek trawi ją od środka.

– Musiałam cię oddać.

Zaglądam jej w oczy. Nie ucieka spojrzeniem. Płacze. Wiem, że w dniu, w którym mnie zostawiła, rozsypała się na kawałki. Czuję jej rozpacz. Czuję jej wiarę w to, że czyni to, co dla mnie najlepsze, że zapewnia mi bezpieczeństwo. Miałam wtedy trzy miesiące. Próbowwała wszystkiego, by dostarczyć mi pożywienie, ubranie, ochronę. Była u kresu wytrzymałości. Nie miała wyjścia. Nie było na świecie żywego ducha, który udzieliłby jej wsparcia.

– Wyjście stąd z pustymi ramionami... – Nie jest w stanie wykrztusić słów. Czuję jej żal. – Kiedy ktoś odbierze ci wszystko, co masz, pozostają ci dwa wyjścia: walka o to, by odzyskać to, co jest ci drogie, albo kapitulacja i śmierć.

– Byłam wszystkim, co miałaś? – pytam.

– Jesteś dla mnie wszystkim.

– Wróciłaś po mnie.

– Zawsze wiedziałam, że po ciebie wrócę. Jesteś najbardziej niezwykłą osobą, jaką w życiu poznałam.

Z oczu leją mi się łzy, z nosa smarki. Tyle lat niewiedzy, kim jestem; tyle lat w przekonaniu, że nie zasługuję na miłość, a tymczasem cały czas miałam ją na wyciągnięcie ręki. Patrzyła, czekała, chroniła. A teraz, kiedy dotykam jej policzka, widzę, jak siedzi na ławce naprzeciwko biura rzeczy znalezionych. Siadywała tam przez te lata, kiedy nie miała jeszcze kawiarni za ścianą; dosłownie każdego dnia od chwili, kiedy zostawiła mnie przed biurem. Widzę, jak mnie obserwuje. Nie wyróżnia się w tłumie, ale szaleje z rozpacz, szuka mnie.

– Już rozumiem – mówię. – To ja jestem tą osobą, która złamała ci serce.

– O nie, laleczko, ty leczysz moje serce. Codziennie.

– Patrzyłaś. Każdego dnia przez wszystkie lata, kiedy nie byłaś właścicielką

kawiarni.

– Tak, każdego dnia. Pragnęłam cię odzyskać, ale wiedziałam, co zrobi ta hetera. Słyszałam krążące po dworcu plotki o jej chorobliwej dewocji. Z początku uznałam, że to dobra cecha; dopiero później odkryłam, co to za kobieta. Miałam raptem szesnaście lat, byłam niezamężna, bez dochodów i już raz cię porzuciłam. Nie miałam ani środków do życia, ani możliwości zapewnienia ci opieki. Musiałam wykombinować inny sposób, by być blisko ciebie. Nie mogłam ryzykować odkrycia przez Matkę mojej tożsamości, bo natychmiast zorganizowałyby twoje zniknięcie albo zgłosiłaby sprawę na policję. Gdyby wiedziała, że jestem twoją mamą, trzymałaby cię jak najdalej ode mnie. Więc wypracowałam sobie wyjście z rynsztoka; harowałam ponad siły, oszczędzałam każdy grosz.

– I otworzyłaś kawiarnię tuż koło miejsca, gdzie mieszkałam i pracowałam.

– Czy istniał lepszy sposób zbliżenia się do ciebie? Nie mogłam ci wyjawić, kim jestem... Przyjęłam więc rolę twojej przyjaciółki, byle tylko stać się częścią twojego życia... Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką w życiu miałam.

– Ale wysłałaś tę książkę...

– Badałam grunt. Wiedziałam, że uwierzysz. Okropnie się bałam, że przestaniesz odpowiadać na moje wiadomości albo że odkryjesz moją tożsamość, zanim będziesz na to gotowa.

– Nie miałaś już więcej dzieci?

– Nie miałam już nawet żadnego chłopaka – wyznaje Elisabeth. – Nigdy nie powinnam cię była porzucić. Przysięgam, że wierzyłam, że robię to, co dla ciebie najlepsze. Sądziłam, że zapewniam ci bezpieczeństwo... A potem już było za późno; nie mogłam pozwolić sobie na ryzyko, że Matka gdzieś cię odeśle albo rozbudzi w tobie nienawiść do mnie.

– Nie mogłabym cię nienawidzić – zapewniam.

– Nawet jeśli mi nie wybaczysz, będę cię kochała na wieki.

Sięgam na górną półkę, skąd zdejmuję zniszczoną brązową walizkę. Kładę ją na blacie, odpinam zamki, słychać kliknięcie otwieranego wieka. Rozkładam zawartość na blacie. Elisabeth przygląda się plakatowi.

– Zachowałaś je? – pyta.

– Dla ciebie. W jednej z książek napisałaś, że chciałabyś zatrzymać je na pamiętkę.

I wtedy padamy sobie w ramiona i przywieramy do siebie; i wtedy dowiadujemy się, jak to jest, kiedy przytula matka; moja matka. Moje łzy i smarki wsiąkają w jej tweedowy zakiet.

Kolumna „O mieście” w dzienniku „Liverpool Daily Post”

UCIECZKA PRZED FAŁSZYWĄ WALIZKĄ

Po mieście gruchnęła wieść, że australijski szczur Max Cole, lat 42, uciekł z naszego prawego miasta z podkulonym ogonem.

W związku z kradzieżą dziesięciu tysięcy funtów, dokonaną na naszym Rockym Hooperze, policja chciałaby zadać mu parę pytań. Wodą na młyn plotkarskiej społeczności jest informacja, że Rocky Hooper powstrzymał Cole’a przed zhańbieniem jednego z dzieci naszego miasta. Zdaje się, że wszyscy padliśmy ofiarą oszustwa Australijczyka, którego żona i dzieci są obecnie przetrzymywane gdzieś na terenie miasta w celu przesłuchania.

Skontaktowaliśmy się z Rockym Hooperem z prośbą o słowo komentarza. „Nie żałuję, że wkroczyłem we właściwej chwili i powstrzymałem go przed zgwałceniem tej dziewczynki, ale kosztowało mnie to dziesięć patyków” – wyznał.

Miasto składa hołd bohaterowi, a nasi chłopcy robią, co mogą, by wywęszyć szczura nazwiskiem Max Cole.

Miejcie oczy szeroko otwarte i nie traćcie czujności; zjednoczmy się jako miasto i schwytajmy australijskiego drania, zanim dobierze się do kolejnej z naszych dziewczynek.

Oczywiście już ją widziałam, ale dziś wygląda inaczej. Jej spojrzenie opowiada o wielkim smutku. Stoi w progu biura rzeczy znalezionych, a w tle, na ławce naprzeciwko, siedzą jej dzieci, chłopiec i dziewczynka. Dziewczynka jest miniaturą kobiety w drzwiach, ma blond włosy i jest śliczna. Chłopiec ma paręnaście lat – otacza siostrę opiekuńczym ramieniem. Oboje patrzą w moją stronę. Siedzę na taborecie. Macham do nich, ale nie odpowiadają żadnym gestem.

– Marta? – pyta kobieta.

– Angela? – odpowiadam pytaniem.

Obie kiwamy głowami. Podchodzi do lady.

– Przyszłam przeprosić za zachowanie mojego męża – mówi.

– Nie wiedziałam, że jest żonaty. Nigdy bym nie... Gdybym wiedziała. Nie, żebym...

– Już dobrze. Twoja mama wszystko mi opowiedziała.

– Moja mama – powtarzam i mimowolnie się uśmiecham.

– Chciałam poznać cię osobiście i upewnić się, że nie stała ci się krzywda.

– Jest pani dzielna. Mogła pani wysłać list.

– Naprawdę mi przykro. – Angela zwiesza głowę.

– Wiem.

– A wiedziałaś o tej recepcjonistce z Adelphi?

– W zasadzie nie. Nie mam doświadczenia z mężczyznami.

– Miałaś go za jednego z porządnych facetów? – pyta, a ja przytakuję. – To tak, jak ja. Pisał do mnie takie elaboraty...

– Wie pani, gdzie się ukrywa? – pytam, a ona kręci przecząco głową. – Przykro mi. Niech pani o nie dba – mówię, ruchem podbródka wskazując dzieci.

– Nie zawsze był zły, wiesz? Chyba zbłądził gdzieś po drodze. Może Liverpool wydobyl z niego to, co najgorsze – zamyśla się Angela.

Kiwam głową. Sama nie wiem, czy jej wierzę.

– Czy bardzo cię skrzywdził? – Zawiesza wzrok na sińcach na moich nadgarstkach. Pocieram ślady, starając się je usunąć siłą umysłu.

– Nic mi nie będzie – zapewniam. Słowa są jak ze spiżu.

– Chciałabym, żebyś to przyjęła.

Angela grzebie w ogromnej torbie, z której wydobywa stertę kartek połączonych spinaczami i spiętych recepturkami. Kładzie papiery na blacie przede mną. Dostrzegam zdjęcia, wydruki, wycinki z gazet.

– Nie rozu... – zaczynam.

– Informacje, jakie Max wyszukał na temat Mala Evansa. Weź wszystko, proszę. Uważam, że powinno zostać tu, w Liverpoolu Mala. Ten temat przyniósł nam tylko cierpienie. Może tobie pomoże zrozumieć...

– Co teraz zrobicie?

– Lecimy do domu, do przyjaciół i rodziny.

– Otoczą was opieką – stwierdzam, ale Angela już mnie nie słucha.

Odwróciła się i wychodzi na halę. Dzieci wstają. Podchodzą do matki, a ona przyciąga je do siebie. Jej ręce zdają się wydłużać. Otaczają oba jej skarby; dają dzieciom znać, że zawsze je ochroni.

Nie wiem, dlaczego płaczę.

Marta Elisabeth Graham,

Stacja Lime Street,

Liverpool

Szanowny Panie Kevinie Keeganie,

nie zna mnie Pan, ale piszę, aby oficjalnie zaprosić Pana na degustację jednej z Francuskich Fantazji mojej mamy. Od wieków powtarza, że marzy, by poczęstować Pana takim wypiekiem.

Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że jest moją mamą (długo by opowiadać!), ale o Pana udach słyszę nie od dziś. Czekaliśmy na Pana po zwycięstwie drużyny w Pucharze UEFA. Dotarła do nas plotka, że piłkarze pojawią się na stacji Lime Street. Niestety tak się nie stało. Mama była ogromnie podekscytowana, a potem okropnie zawiedziona. Niestety tamtej nocy zmarła Matka (rzecz jest dość skomplikowana!), więc zapomniałam o Panu aż do dzisiaj. Bardzo Pana za to przepraszam, zdaję sobie sprawę, że jest Pan sławny i nigdy nie powinno się o Panu zapominać.

Tak czy inaczej, moja mama nazywa się Elisabeth Marta Graham i ma trzydzieści dwa lata. Mam nadzieję, że nie jest dla Pana za stara. Miała w życiu tylko jednego chłopaka (w zasadzie żonatego mężczyznę!), ale jest naprawdę bardzo piękna. Sądzę, że jej uroda wystarczyłaby, by została gwiazdą Hollywood. Kawiarnia mamy mieści się na stacji Lime Street, tuż obok biura rzeczy znalezionych, w którym ja pracuję.

Naprawdę serdecznie Pana zapraszam. Wymagany strój to szorty.

Ucałowania!

Pełna nadziei na pozytywne rozpatrzenie mojej prośby,

Marta Elisabeth Graham

PS Jak poprawnie wymówić „Brugge”?

Siedzimy wszyscy przy stoliku w kawiarni. Elisabeth zamknęła lokal i przygotowała dla mnie przyjęcie „dawno, dawno temu”. Nie obchodzę dziś urodzin, to nie ta data, ale to dzisiaj poznałam Rozdział pierwszy mojej baśni.

Najwyraźniej Elisabeth zawiadomiła George’a Harrisa i Williama o rozwoju wypadków, bo obaj przynieśli dla mnie prezenty. Teraz trzy paczuszki czekają pośrodku stołu. Ciągłe wracam do nich wzrokiem. Nie mogę uwierzyć, że są dla mnie. Zjedliśmy już ciasto; zdmuchnęłam nawet świeczkę i pomyślałam życzenie. Teraz popijamy włoską kawę i po prostu się do siebie uśmiechamy.

Spędziłam z Elisabeth calutkie popołudnie. Rozmawiałyśmy, płakałyśmy, słuchałyśmy. Przed nami jeszcze mnóstwo do zrobienia. Pomału, kroczonek po kroczoneku, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Przeszukałyśmy pokój Matki. Nie wchodziłam tam od jej śmierci. Znalazłam drewnianą skrzynkę. Kluczyk, na który trafiłam, kiedy dobierałyśmy go do drzwi wejściowych Williama, pasował jak ulał. Kiedy dotknęłam szkatułki, przeszył mnie dręczący Matkę strach, ale przedarłam się przez to uczucie. W pudełku znajdowały się listy i kartki, całe mnóstwo, wszystkie zaadresowane do mnie. Matka nigdy ich nie otworzyła, ale też nie wyrzuciła do śmieci. Były pośród nich pisma od adwokatów, odpisy oryginalnych dokumentów – wszystko w drewnianej skrzynce pełnej mojego życia.

Zajrzałam do kilku karteczek urodzinowych, ale musiałam je odłożyć. Miałam wrażenie, że tonę. Elisabeth myślała o mnie w każde moje urodziny. Była tuż obok. Tego dnia zawsze serwowała mi wyjątkowo wielki kawał ciasta, ale nie zastanawiałam się nad przyczyną jej hojności. Widok sterty kartek i listów wystarczy, bym wiedziała, że moja mama nie przestawała o mnie myśleć i zawsze pragnęła być częścią mojego życia. Kiedy nabiorę sił, przeczytam wszystko po kolei.

Elisabeth spytała, czy nie chciałabym się do niej wprowadzić, ale powiedziałam, że nie, jeszcze nie. Wciąż jestem kormoranem stacji Lime Street. Nie jestem gotowa, by zamieszkać z dala od dworca. William rozważa przeprowadzkę do Elisabeth, jako przyjaciel i współlokator, a ja nie mogę się już doczekać wspólnych niedzielnych obiadów.

– Byłam tu tej nocy, kiedy Elisabeth cię zostawiała – wyznaje William i wszyscy zwracamy na niego spojrzenia. – Jej ból i mój są takie same.

Kobieta mocno zaciska palce na jego dłoni.

– Dziękuję, że mnie nie znienawidziliście – Elisabeth zwraca się do nas wszystkich.

Uśmiecham się. W tym pokoju nie ma miejsca na nienawiść, za to padło postanowienie, by przez jakiś czas nie puszczać żadnych kawałków Beatlesów.

– Dzwoniłaś do Zarządu? – pyta George Harris, a ja kiwam głową.

– Wszystko załatwione, posada niezagrożona, żadne zbiry nie będą mnie już nawiedzać. Jestem tu oficjalnie. Nawet zdążyłam przed czasem – chwalę się.

Rozglądam się i widzę, że wszyscy się uśmiechają, serdecznie, szczerze. Elisabeth wywraca oczami i wybucha śmiechem.

– Przeczytałam notatki Maksa na temat Mala Evansa – oznajmiam, zwracając się głównie do Elisabeth. – Napisałam do niego list.

– Laleczko, myślałam, że to już zamknięta kwestia. Musisz trzymać się od niego...

– Nie do Maksa. Napisałam do Mala Evansa. Mój list dołączyłam do informacji zebranych przez Cole'a – wyjaśniam, a Elisabeth kiwa głową. – A, napisałam też do Kevina Keegana. Że marzysz, by wpaść skosztować twoich Francuskich Fantazji.

Elisabeth wydaje z siebie pisk. Robi się czerwona jak piwonia i natychmiast kręci głową, patrząc na Williama.

– Wcale nie – woła.

William się śmieje, a George Harris kaszle. To raczej ciche chrząknięcie, ale i tak wszyscy zwracamy na niego wzrok.

– Yy... hm – próbuje się wysłowić. – Znalazłem to.

Przesuwa książkę przez blat stolika, potrącając po drodze dwa spodeczki.

– Znalazłeś? – pytam.

Gładzę okładkę palcami, ale żadne obrazy nie pojawiają mi się przed oczami. Oprawa jest fioletowa i dość stara – akurat zostało mi na półce jedno ostatnie miejsce. Otwieram książkę. Wewnątrz wpisano słowa. Czytam je i uśmiecham się ciepło.

– Jaka dedykacja? – pyta Elisabeth.

Nie odpowiadam; zamiast tego patrzę w oczy George'owi Harrisowi.

– To twoje słowa, prawda? – pytam, wskazując na wpis, a on kiwa głową. – I wszystkie inne słowa w tych poprzednich książkach, które, jak twierdziłeś, znalazłeś?

Chłopak przytakuje potulnie. Jego policzki mają barwę najjaskrawszej w świecie czerwieni. Uśmiecham się.

– Prezenty – piszczy Elisabeth, klaszcząc w dłonie.

Używa obu dłoni, by przesunąć pakunki ku mnie, manewrując pomiędzy filiżankami i talerzykami. Przyciskam do piersi moją nową książkę i przyglądam się podarunkom, nie mogąc się zdecydować, który najpierw rozpakować.

– Proszę, otwórz mój – mówi George Harris.

Paczuszka jest mała, owinięta różową kokardą. Jest niemal zbyt śliczna, by ją ruszać. Spoglądam na palce George'a Harrisa i widzę, że mocno zaciska kciuki. Znow się uśmiecham.

– Co jest w środku? – pytam, na co wszyscy wybuchają śmiechem.

– Dowiesz się, jak otworzysz – zachęca George Harris.

– A mogę jeszcze troszkę poczekać? Chciałabym się na nie jeszcze napa-

trzeć – mówię, a George Harris puszcza do mnie oko. Czuję, jak palą mnie policzki. – Od twojego spojrzenia wywracają mi się wnętrzności.

George Harris ma niepewną minę; Elisabeth chichocze.

I tak właśnie toczy się moja baśń.

Drogi Malcolmie Evansie,

nie znasz mnie, a teraz nie żyjesz. Za późno, byśmy się poznali. William znalazł Cię w piwnicy pod moim biurem rzeczy znalezionych. Twoja urna była naszym Świętym Graalem. Tygodniami szliśmy po śladach, szukaliśmy tropu. Muszę wyznać, że moją motywację stanowiła chęć sprawienia, by pewien mężczyzna pokochał mnie na wieki, co jest oczywiście absurdalne i mogło mnie skłonić do popełnienia strasznego błędu i oddania Cię w jego ręce.

Nie uczyniłam tego. Zamiast tego Elisabeth przyciskała Twoją urnę do piersi i biegła labiryntem podziemnych tuneli. Sama bym Cię niosła, ale dźwigałam serce stacji Lime Street. Przeżyliśmy razem nie lada przygodę, Ty, Elisabeth i ja. Ale teraz jesteś już z powrotem z rodziną i możesz spoczywać w pokoju, Malcolmie Evansie.

Wybacz mi, ale dopiero od kilku tygodni wiem o Twoim istnieniu, ale teraz wręczono mi notatki na Twój temat, opatrzone zdjęciami, anegdotami i wycinkami z gazet. Nie wiem jeszcze, co z nimi zrobię, ale coś będę musiała. Dołożę starań, by Twoja historia ujrzała światło dzienne.

Od majtek po wakacje, Malcolmie Evansie, spełniałeś każdą zachciankę Beatlesów. Byłeś wielkim znalazcą. Ja jestem małym znalazcą i sądzę, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Z tego, co wyczytałam, ludzie są jednomyślni w opinii o Tobie. Wszyscy wspominają Twój łagodny charakter i to, jakim miłym byłeś człowiekiem. Byłeś szczęśliwy w towarzystwie Beatlesów, prawda? Uwielbiałeś ich muzykę i kochałeś zespół, który na zawsze zaznaczył nasze miasto na mapie.

Dbanie o Beatlesów nigdy nie wiązało się z pogonią za sławą, mam rację? Dla Ciebie byli jak rodzina. Szanowałeś ich, darzyłeś miłością. Mogę tylko mieć nadzieję, że odwzajemniali Ci się równie szczerym uczuciem. Nie mogę znieść myśli, że mógłbyś czuć się jak zero, samotny i niedowartościowany. Bardzo żałuję, że niedane mi było wysłuchać Twojej historii opowiedzianej Twoimi słowami. Zamiast tego trafiła mi się lamigłówka – staram się więc zrozumieć Twoje losy, od pracy na poczcie w Liverpoolu po kulę, która przyniosła Ci śmierć w Los Angeles.

Malcolmie Evansie, byłeś kimś niezwykle ważnym. Byłeś przyjacielem Beatlesów, kiedy nie mogli mieć przyjaciół. Byłeś plasterkiem normalności, ogniwem łączącym rzeczywistość z gwiazdorstwem. Nie menedżerem, nie jakimś ważniakiem – sądzę, że stanowiłeś dla nich konkret, constans, punkt zaczepienia. Podczas gdy

świat wrzaskiem żądał choć kawałka każdego z tych młodych mężczyzn, Ty dawałeś im poczucie bezpieczeństwa. Aportowałeś, nosiłeś, byłeś tym, dzięki któremu ich nie poniosło.

Żałuję, że Cię nie poznałam, Malcolmie Evansie. Szkoda, że nie mogliśmy usiąść razem przy filiżance herbaty i porcji tarty cytrynowej. Chciałabym, żebyś to Ty mnie chronił. Pragnęłabym, żebyś podniósł mnie z ziemi i schował do kieszeni. George Harris jest takim samym olbrzymem jak Ty. Myślę, że gdybym mu pozwoliła, otoczyłby mnie opieką. Chyba czułabym się bezpieczna w jego ramionach. Polubiłbyś go. Założę się, że mielibyście frajdę, przebierając się za rzymskich legionistów i paradując razem ulicami Liverpoolu.

Chyba nie przestanę szukać Twojego zaginionego archiwum. Nie wyzbędę się nadziei, że pewnego dnia Twoja historia ujrzy światło dzienne. Twoje nazwisko ma wielką wagę, Malcolmie Evansie. Jesteś legendą, gigantyczną częścią historii Beatlesów. Twoja opowieść nie zaginie, miły panie.

Spoczywaj w pokoju, Malcolmie Evansie. Sądzę, że byłeś porządnym facetem.

Ucałowania,

Marta Elisabeth Graham

Nota do Czytelnika

Marta, która się odnalazła jest powieścią fikcyjną, ale zawiera też elementy bliskie faktom.

Historia Mala Evansa jest prawdziwa, to jemu jestem wdzięczna za inspirację. Był blisko związany z Beatlesami; z początku opiekował się zespołem podczas tournée, potem zajmował kierowniczą posadę w założonej przez muzyków wytwórni Apple. Mal Evans zginął od policyjnej kuli w styczniu 1976 roku; ślad po jego rzeczach zaginął, a później zniknęły też jego prochy. Pewna walizka została odnaleziona, lecz jej zawartość uznano za falsyfikaty. Faktycznie spłodził pewien rękopis (nadal nieodnaleziony), a także prowadził pamiętnik (który również zaginął, lecz fragmenty później odzyskano). Dyskusja na temat spowitych tajemnicą losów Mala Evansa nie ustaje pośród entuzjastów zespołu The Beatles. Sama zaliczam się do tej kategorii; pomysł na tę powieść zrodził mi się w głowie właśnie podczas zgłębiania historii Evansa. Mimo upływu lat nie gaśnie moja pasja związana z Beatlesami. Mam nadzieję, że to nigdy się nie zmieni.

Ciągnące się pod Liverpoolem Tunele Williamsona naprawdę istnieją (choć nie przebiegają pod stacją Lime Street) i autentycznie można tam znaleźć salę balową. Korytarze stanowią intrygujący podziemny świat stworzony pod ulicami dzielnicy miasta Edge Hill przez Josepha Williamsona, bogatego handlarza tytoniem. Przyczyna ich wydrążenia pozostaje nieznana. Dziękuję Claire Moorhead z grupy Friends of Williamson's Tunnels [Przyjaciele Tuneli Williamsona] za pomoc w początkowym etapie moich badań.

Podziękowania

Ogromna liczba osób przyczyniła się do powstania tej powieści, ale nikt w równym stopniu, co mój agent, Donald Winchester, człowiek bystry, cudowny i obdarzony chyba największą dozą cierpliwości w całym przemyśle wydawniczym. Jego wielokrotne analizy tekstu i trafne komentarze były bezcenne. W istocie cały zespół w Watson, Little cechowały zaraźliwe radość i entuzjazm.

Jestem ogromnie wdzięczna mojej wspaniałej redaktorce, Suzanne Birdson, za jej wnikliwe sugestie i gorącą wiarę w moją sztukę pisarską. Pragnę gorąco podziękować niezwyklej Ann-Katrin Ziser oraz zespołowi do zagranicznych praw w Transworld. Składam również podziękowania Kate Samano, Sophie Christopher oraz reszcie niezmiernie entuzjastycznej drużyny w Transworld, którzy okazali mi bardzo wiele wsparcia.

Szczególnie serdeczne podziękowania składam na ręce Joanne i Andy'ego Harrisów, którzy pozwolili mi wykorzystać w powieści imię ich syna i stworzyć postać rzymskiego legionisty nazwiskiem George Harris.

Wyrazy podziwu i nieskończonej wdzięczności dla Sophie Wright, Luke'a Cutforth'a oraz Josha Winslade'a.

Pragnę wyrazić niegasnącą wdzięczność dla dr Anny Judge. Godziny przewodnictwa i słuchania nigdy nie popadną w niepamięć.

Niech przyjmą podziękowania – Bernie Pardue, Francesca Riccardi, Anne Cater, Dave Roberts, Lynne Machray, Birgitte Calvert, Katie Cutler, Clare Christian, Natalie Flynn, Matt Hill, Tracy Whitewell, Sophia Taylor, Alex Brown, Helen Walters, Jean Ward, Cathy Cassidy, Paula Groves, Richard Wells i Margaret Coombs – za motywację, wsparcie i przyjaźń.

Rzecz jasna, nie może zabraknąć wyrazów miłości i uczucia dla dzielnego LG. Cieszę się, że nasza długa, wspaniała podróż rozpoczęła się od wpisu w książce. Dalsze podziękowania (i tym razem chyba też przeprosiny) płyną do moich dzieci, które mężnie znosiły moje złości i obawy. Ich wsparcie i miłość to dary, za które nigdy nie przestanę być wdzięczna. Jednak szczególne podziękowania należą się mojej ślicznej córeczce Poppy, która pomogła mi zobaczyć, jak wiele magii kryje się w otaczającym nas świecie i z którą niezliczoną ilość razy stałam na stacji Lime Street, marząc i szukając Marty Zguby.

Pragnę też serdecznie podziękować agencji Arts Council England za pomoc w napisaniu książki poprzez umożliwienie mi skorzystania z funduszy w ramach „czasu na pisanie”.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdziały

Nota do czytelnika

Podziękowania

